

KEN McCLURE

Spirala Pandory

Pandora's heliks

Przekład Maciej Pintara

Data wydania oryginalnego: 1996

Data wydania polskiego: 1998

TMN

*Jeśli mały zasób wiedzy jest niebezpieczny, gdzie
jest człowiek, który ma jej tyle, by znaleźć się poza
zasięgiem niebezpieczeństwa?*

Thomas Henry Huxley (1825-1895)

PANDORA — wg mitologii greckiej, pierwsza kobieta, stworzona na rozkaz Zeusa i zesłana na ziemię z puszką nieszczęść, które po otwarciu wydostały się na świat, by trapić ludzkość (puszka Pandory).

SPIRALA — kształt śrubowy, np. korkociąg. Formę podwójnej spirali, zwanej podwójnym heliksem posiada cząsteczka DNA, która zawiera informacje genetyczne niezbędne do organizacji i funkcjonowania żywych komórek oraz dziedziczenia cech.

1

Michael Neef, konsultant na oddziale onkologii dziecięcej Szpitala św. Jerzego spoj-
rzył na zegarek zbiegając spiralną klatką schodową na patologię. Nie miał czasu, ale
uznał, że powinien zajrzeć do prosektorium, skoro Frank MacSween prosił, by „wpadł
tam na momencik”. On i MacSween znali się wystarczająco długo i jeden cenił sobie
opinię drugiego. Jeśli Frank mówił, że ma coś, na co warto rzucić okiem, zazwyczaj tak
było w istocie.

Neef, wysoki, dobrze zbudowany, trzydziestopięcioletni mężczyzna, ciemne włosy
zaczesał do tyłu, a jego przystojną twarz szpecił tylko ślad po złamaniu nosa, jakiego
doznał jako nastolatek podczas wypadku motocyklowego. Pchnął uchylne drzwi, skinął
głową dyżurnemu laborantowi i wszedł do szatni. Włożył zielony, bawełniany fartuch
i zawiązał go niedbale. Nie zawracał sobie głowy zmianą obuwia. Gumowce stojące rzę-
dem pod ławką zostawił w spokoju. Nie zamierzał zabawić tu długo.

Nigdy nie lubił patologii. Doceniał jej znaczenie, ale to wszystko. Widoki i zapachy
tej pracowni przyprawiały go o klaustrofobię. Dotyczyło to nie tylko samego prosekto-
rium. Drażniły go ciemne, drewniane półki laboratoryjne pełne słoiczków i buteleczek
z diabelską zawartością i mdła, słodkawa woń utrwalaczy. Podczas gdy wyżej, „na po-
wierzchni”, medycyna pachniała środkami antyseptycznymi i eterem, w podziemnym
świecie patologii czuło się alkohol i formaldehyd. Zatrzymał się, by jednak włożyć pla-
stykowy fartuch. Zawsze stanowił on rozsądne zabezpieczenie, jeśli zamierzało się stać
tuż przy stole.

Neef wkroczył do prosektorium, długiego, niskiego pomieszczenia wyłożonego bia-
łymi kafelkami. W jarzeniowym świetle każdy wyglądał tu jak trup, widoczny stawał
się każdy por na ludzkiej twarzy. MacSween pracował przy najdalszym z czterech sto-
łów. Pochylił się nad zwłokami. Okulary zsunięte na sam czubek nosa, nie mogły mu
spaść tylko dlatego, że przytrzymała je maska. Oczy przysłaniały mu krzaczaste brwi.
Bulgot wody spływającej ze stalowego blatu do kanałów odpływowych zagłuszał kroki
Neefa. Patolog zobaczył go dopiero wtedy, gdy wyprostował się, by przestawić wiszącą
nad głową lampę.

— Aaa, Michael! Dzięki, że wpadłeś — powiedział z miłym, śpiewnym, szkockim ak-
centem, dotykając dłońmi w rękawiczkach zeszywniałych pleców.

— Co tu masz, Frank? — zapytał Neef.

— Włóż maskę, pokażę ci.

MacSween spojrzał w dół na obiekt swych badań. Przez chwilę w pomieszczeniu słychać było tylko odgłos pracy wyciągu umieszczonego w suficie nad stołem. Nie funkcjonował prawidłowo. Równy szum silnika zakłócał regularnie metaliczny dźwięk. Wiatrak zatrzymywał się, po czym znów zaczynał się obracać.

— To Melanie Simpson, lat trzynaście — poinformował patolog.

Neef przyjrzał się ciału dziecka.

— Przepraszam, ale chyba nie...

— Nie, nie. To nie jedno z twoich. Przywieziono ją ze Szpitala Uniwersyteckiego. Brakuje im ludzi na patologii. Eddie Miller kiepsko się czuje.

MacSween rzucił okiem na Neefa i uchwycił jego spojrzenie. Obaj wiedzieli, że Eddie Miller, patolog ze Szpitala Uniwersyteckiego nadużywa alkoholu. Ale ponieważ zostało mu niewiele do emerytury, koledzy go kryli. W opinii ogółu, patolog z przeszło trzydziestoletnim stażem zasługiwał na godne zakończenie kariery. Na uroczysty, pożegnalny bankiet z toastami, przemówieniami i bukietem dla żony. A na razie powierzano mu mniej odpowiedzialne, rutynowe zadania w prosektorium przy sekcjach zwłok. Pobieraniem wycinków żywych tkanek na salach operacyjnych i badaniem ich zajmowali się wyłącznie jego trzeźwi i bardziej kompetentni koledzy.

Eddie wydawał się to akceptować. Nie miał wyboru. Gdyby spróbował zbliżyć się do żyjącego pacjenta, wyleciałby na bruk bez względu na długość stażu pracy.

— Więc o co chodzi?

— Czegoś takiego jeszcze nie widziałem — odrzekł MacSween. — Melanie miała ciężkie, obustronne zapalenie płuc.

— Pneumokoki? Klebsiella? — zapytał Neef.

— O dziwo, ani jedno, ani drugie. To nie było zapalenie bakteryjne, więc uznali je za wirusowe.

— Zapalenie wirusowe zazwyczaj nie jest tak zjadliwe.

— No właśnie — przyznał MacSween. — Ale nie dlatego cię wezwałem. Przyjrzyj się bliżej jej płucom. Powinna zostać jedną z twoich pacjentek.

Neef obejrzał usunięte płuca, które leżały w stalowych naczyniach obok. Pokrywały je małe guzy.

— Dobry Boże! — wyszeptał. — Czy laboratorium to badało?

— Charlie Morse właśnie pobrał kilka wycinków. Te nowotwory są złośliwe. Gdyby nie zmarła na zapalenie płuc, zabiłby ją rak.

Neef podniósł naczynie i przyjrzał się płucom jeszcze dokładniej.

— Dziwne... — mruknął. — Brak tutaj wyraźnego ogniska pierwotnego. A co z innymi narządami?

MacSween pokręcił głową.

— Tylko płuca zostały zaatakowane. Dlatego cię poprosiłem na dół. Nigdy nie natrafiłem na nic takiego u dziecka. Jak sam powiedziałeś, to na pewno nie jest sprawa pojedynczego nowotworu i późniejszych przerzutów. Są tu wielokrotne ogniska pierwotne, ale tylko w płucach.

— I co o tym sądzisz? — spytał Neef. Wciąż jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zaatakowany organ.

— Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś od ciebie — odparł MacSween. — Ty jesteś specjalistą od raka.

Neef potrząsnął głową.

— To nie powstało samorzutnie. Pomijając wszystko inne, dzieci w tym wieku po prostu nie dostają raka płuc. Biorąc pod uwagę stopień zniszczenia tkanki, musiał na nią oddziaływać silny czynnik rakotwórczy. Może nawet źródło promieniowania.

— Na przykład, bomba atomowa na ruchliwej ulicy — podsunął ironicznie MacSween.

— Wiem, o co ci chodzi — powiedział Neef. — Niewiele jest źródeł promieniowania zdolnych wyrządzić tak rozległe szkody i nie spotyka się ich na co dzień. Sądzę, że w grę wchodzi bliski kontakt z rakotwórczym środkiem chemicznym.

— A tych jest o wiele więcej i spotyka się je dużo częściej.

— Niestety, tak. Niemal każdego dnia pojawia się coś nowego.

— Spójrz tylko na nią. Miała już trzynaście lat, a wyglądała jak małe dziecko.

Obaj mężczyźni przyjrzeni się białej jak kreda twarzy martwej dziewczynki.

Miała zamknięte oczy, a jej blond włosy ciasno przylegały do głowy. Nieskazitelnie gładkie, niemal przezroczyste policzki nadawały jej piętno jakiejś niezziemskiej istoty. Ta twarz wyglądała jak fizjonomie z kościelnego witraża.

— Cholera... Nawet nie zakosztowała życia — westchnął żałośnie MacSween.

Neef zerknął na niego z ukosa i zauważył, że patologowi zwilgotniały oczy.

— Nie powinieneś tak się przejmować — poradził przyjacielowi i koledze po fachu. — Nie zapominaj, kim jesteś. Powinieneś stać przy stole, jedząc kanapki i nie pozbywać się cynizmu. Tak, jak pokazują w telewizji.

— Pieprzę telewizję — burknął MacSween.

Neef wzruszył ramionami jakby na znak, że rozumie tę filozofię i patolog uśmiechnął się lekko.

— Więc co robimy? — zapytał.

— Będziemy musieli zawiadzić ludzi z Wydziału Zdrowia.

— Nie chcesz poczekać, aż laboratorium ustali, co to za substancja rakotwórcza?

— To zbyt poważna sprawa — odrzekł Neef. — Oni też muszą zacząć szukać źródła jej pochodzenia. Trzeba dać im znać. Epidemiolodzy będą mieli zajęcie.

— Musimy również zawiadomić Szpital Uniwersytecki. Była ich pacjentką. Inaczej poczują się urażeni.

Neef skinął głową.

— Ciekawe, co stwierdzi Wydział Zdrowia — powiedział w zamyśleniu. — Trudno przewidzieć, gdzie trzynastoletnia uczennica mogła natrafić na tak szkodliwą substancję rakotwórczą.

— Musiałyby w soboty pracować przy usuwaniu odpadów z fabryk azbestu — orzekł MacSween.

— Nasz obecny rząd nazwałby to zapewne praktyką zawodową.

— Rząd też pieprzy — oświadczył patolog.

Neef zerknął na zegarek.

— Mam złe przeczucie, że niedługo dopiszę do twojej listy przedstawicieli prasy.

— Jakież problemy?

— Sprawa Torrance. Dziś mam spotkanie z reporterką.

— A tak! „Mała Tracy”. Czytałem o tym. Nie wywiniesz się, stary.

— Wiem... — Neef skrzywił się ponuro. — Lepiej już pójdę.



Ann Miles, sekretarka Neefa wpadła do jego gabinetu, gdy tylko wrócił. Wyglądała na zaniepokojoną.

— Czekasz tu Ewa Sayers z „Evening Citizen”. Nie jest zachwycona, że tak długo się pan nie pokazuje. Wciąż mi przypomina, że była umówiona na trzecią.

Zegar na ścianie pokoju Neefa wskazywał osiem po trzeciej. Neef wzruszył ramionami.

— Lepiej nikomu o tym nie mów.

Ann Miles uśmiechnęła się konspiracyjnie.

— Mam ją poprosić?

Neef skinął głową.

Do gabinetu wkroczyła szczupła, zgrabna kobieta około trzydziestki. Była ubrana ze swobodną elegancją i sprawiała wrażenie pewnej siebie. Rozejrzała się wokół, jakby wystrój biura interesował ją bardziej niż jego właściciel. Sztuczka niezbyt się udała, gdyż właściwie nie było tu co oglądać. Pokój Neefa prezentował się skromnie, jak typowy gabinet w placówkach państwowej służby zdrowia. Stało w nim tylko biurko i dwie szafki. Neef domyślił się, że kobieta demonstruje w ten sposób niezadowolenie, musiała bowiem czekać na rozmowę. Pozwolił jej zaspokoić ciekawość. Gdy wreszcie spojrzała na niego, przedstawił się z uśmiechem:

— Jestem Michael Neef. Czym mogę służyć, panno Sayers? — zapytał wskazując krzesło stojące na wprost biurka.

Reporterka usiadła, zdjęła z ramienia torebkę, wydobyla z niej mały magnetofon i ustawiła go przed sobą na blacie biurka.

— Cokolwiek powiem, zostanie zarejestrowane? — uśmiechnął się Neef.

— Przeszkadza to panu?

Potrząsnął przecząco głową. Ewa Sayers wcisnęła przycisk nagrywania i przystąpiła do rzeczy.

— Doktorze Neef, jak pan odpowie na zarzuty, że pan i pańscy koledzy nie robicie wszystkiego, co w waszej mocy, by pomóc małej Tracy Torrance? — Jej głos brzmiał chłodno, zdecydowanie, nawet groźnie.

Neef przez dobre pięć sekund przyglądał się przystojnej kobiecie siedzącej na wprost niego, po czym odpowiedział:

— Tracy Torrance jest nieuleczalnie chora. Ja i moi koledzy zrobiliśmy wszystko, co było można. Sugerowanie, że jest inaczej, jak to zrobiła jej matka na łamach pani gazety, to zwyczajna nieodpowiedzialność.

— Czy na decyzję o zaprzestaniu dalszego leczenia Tracy nie miały wpływu związane z tym koszty? — zapytała reporterka.

— Nie — odparł Neef.

— Według moich informacji dalsza kuracja Tracy jest możliwa, lecz zdecydowaliście, aby ją przerwać, bo jest za droga. Co pan na to odpowie, doktorze?

Neef opanował gniew i zmusił się do zachowania spokoju. Przyglądał się jak Ewa Sayers manipuluje swoim magnetofonem regulując poziom nagrania.

— Odpowiem, że to przeinaczanie faktów.

— Zaprzecza, pan istnieniu metody leczenia, o której wspomniałam? — spytała ostrym tonem reporterka, znów wpatrując się we wskaźnik poziomu nagrania.

— Wiem dokładnie, o jaką metodę leczenia pani chodzi. Ale w przypadku Tracy jest ona nieodpowiednia.

— Nieodpowiednia? — powtórzyła Ewa Sayers wyzywająco.

— Nieodpowiednia, ponieważ nie przyniesie żadnych efektów.

— A skąd ta pewność, doktorze?

Neef wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— W takich przypadkach jak ten, nikt nie może być niczego absolutnie pewien. Nikt z nas nie ma szklanej kuli, by móc z niej wyczytać prawdę. Muszę opierać się na fachowych ekspertyzach i własnym doświadczeniu zawodowym. Na tej podstawie podejmuję decyzje. Po rozważeniu przypadku Tracy uważam, że wspomniana kuracja jej nie pomoże.

— Ale skoro przyznaje pan, że nie ma absolutnej pewności, to chyba warto spróbować. Co pan ma do stracenia? A co do stracenia ma Tracy?

— Leczenie jest bardzo kosztowne. To marnowanie naszych środków. Ucierpią na tym inni pacjenci.

— Więc jednak w grę wchodzi pieniądze? — reporterka znów wyregulowała magnetofon.

Neefa zaczynało to wyprowadzać z równowagi. Odnosił wrażenie, jakby ta kobieta wcale nie rozmawiała z nim, tylko rzucała pytania jak automat, myśląc zupełnie o czymś innym. Tym razem nie odpowiedział, dopóki nie podniosła wzroku i nie spojrzała na niego.

— Więc chodzi o pieniądze, prawda? — powtórzyła.

— W pewnym sensie, oczywiście tak — wyjaśnił. — Mój oddział, podobnie jak pozostałe, ma ograniczone środki. Musimy działać w granicach naszych możliwości.

Na twarzy reporterki odmalował się wyraz tryumfu.

— Więc mała Tracy nie zostanie poddana dalszemu leczeniu, bo wy musicie działać w granicach waszych możliwości. Czy to chce pan powiedzieć, doktorze?

— Nie — odparł chłodno Neef. — Tracy Torrance nie zostanie poddana dalszemu leczeniu, bo uważam, że nie odniesie ono żadnego skutku.

— Ach tak... — przypomniała sobie Ewa Sayers. — Nieodpowiednia kuracja.

— Tak — potwierdził Neef świdrując ją lodowatym spojrzeniem.

— No cóż, doktorze. Czuję się w obowiązku poinformować pana, że moja gazeta zdecydowała się sfinansować prywatne leczenie Tracy. Opublikujemy artykuł na ten temat w jutrzejszym wydaniu.

Neef wolno pokręcił głową i wzruszył ramionami.

— Nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, jakie to szkodliwe działanie.

— Jak to, szkodliwe? Mnie wydaje się ono uczciwe, doktorze. Tracy nie może być wyleczona w placówce państwowej służby zdrowia, więc moja gazeta zapewni jej prywatną opiekę lekarską. Być może, to uratuje jej życie.

— Proszę pójść ze mną. — Neef wstał nagle, okrążył biurko i chwycił reporterkę za rękę. Prawie siłą wyciągnął ją z gabinetu. Jego gwałtowność odniosła skutek. Reporterka straciła całą pewność siebie.

— Dokąd mnie pan ciągnie? — spytała zduszonym głosem.

— Zobacz pani.

Weszli piętro wyżej i Neef pchnął drzwi oddziału oznaczone napisem: ONKOLOGIA JEDEN. Na kołkach wisiały chirurgiczne fartuchy. Neef sięgnął po jeden z nich i kazał kobiecie włożyć go.

Reporterka wykonała polecenie i ruszyła za nim.

— W tej chwili mamy tu szesnaścioro dzieci — objaśnił Neef. — Wszystkie z różnego rodzaju nowotworami. Które z nich pani i pani gazeta chcielibyście leczyć na wasz koszt?

— Zaraz, chwileczkę... — zająknęła się Ewa Sayers. — Tracy to...

— Wyjątek, tak? — przerwał jej Neef. — Otóż nie. W podobnej sytuacji jest tutaj wiele dzieci. No więc? Które z nich?

Reporterka uniosła rękę, jakby chciała się osłonić przed jego atakiem.

— Jesteśmy gazetą. Nie do nas należy finansowanie leczenia, które powinien zapewnić im szpital. Możemy tylko zrobić wyjątek w interesie publicznym. Nie stać nas na...

— Ma pani na myśli to, że w grę wchodzi pieniądze? — wtrącił szybko Neef udając oburzenie. — Chce pani powiedzieć, że macie ograniczone środki, panno Sayers? Że musicie działać w granicach waszych możliwości? Dobry Boże! Przyzna to pani, gdy stawką jest życie dzieci?!

— W porządku. Ma pan rację — ucięła cicho.

— Jeszcze nie skończyłem — odrzekł Neef. — Proszę się dobrze przyjrzeć.

Kobieta popatrzyła na dzieci znajdujące się w małych pokojkach za szklaną ścianą. Wyglądały jak bezbronni uchodźcy z jakiegoś dalekiego kraju ogarniętego wojną. Wiele z nich straciło włosy. Był to efekt uboczny przyjmowania leków i radioterapii. Plakaty z postaciami z filmów Disney'a i porozrzucane zabawki tylko podkreślały ich izolację i wskazywały w jak nienormalnych warunkach upływa im dzieciństwo.

— Chodźmy. Pozna pani Neila — zaproponował Neef. Zaprowadził ją do małej bocznej sali, gdzie czteroletni chłopiec bawił się samochodem strażackim. Kiedy weszli, był odwrócony plecami. — Cześć Tygrysie! — przywitał go cicho Neef i malec się odwrócił.

Ewa Sayers gwałtownie westchnęła, widząc wielką narośl szpeczącą lewą połowę jego twarzy. Ciągnęła się od kości policzkowej do szczęki powodując zniekształcenie linii ust.

— Cześć — uśmiechnęła się, z trudem wracając do równowagi. — Co tam masz?

Chłopiec próbował odpowiedzieć „samochód strażacki”, lecz jego słowa zabrzmiały niewyraźnie. Guz utrudniał mu poruszanie wargami. Ewa udała, że zrozumiała i powtórzyła to, co zamierzał powiedzieć. Przyklęknęła, zachwyciła się zabawką i puściła ją do chłopca. Malec przez chwilę przyglądał się obcej osobie, potem zachichotał i pchnął samochód w jej kierunku. Zabawa trwała do momentu, gdy w drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

— Czas na twoje słodycze, Neil — oznajmiła. — Będziesz grzecznym chłopcem i zjesz wszystkie?

Neil bez słowa skinął głową i wstał. Kiedy połknął podane leki, pielęgniarka przytuliła go w nagrodę.

Neef dał Ewie znak, że pora iść.

— Do zobaczenia, Tygrysie — pożegnał się z Neilem i zabrał reporterkę z sali.

— Do widzenia, Neil — powiedziała odwracając się w progę.

Neil wydał z siebie odgłos przypominający gruchanie.

— Dlaczego pan to zrobił? — syknęła Ewa przez zaciśnięte zęby, gdy tylko opuścili oddział i znaleźli się na schodach.

— Doznała pani szoku, prawda?

— Miałam na myśli chłopca — odrzekła. — Nie byłam na to przygotowana. Musiał zauważyć wyraz mojej twarzy.

Neef milczał przez chwilę.

— No cóż... To przemawia na pani korzyść. Martwią panią jego odczucia, nie własne. To już coś.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — nie ustępowała Ewa. Jej poprzednia wrogość częściowo powróciła.

— Przyszła pani do mnie w sprawie pacjentki Tracy Torrance.

— Tak.

— Ale tak jej pani nie nazywa. Wciąż określa ją pani mianem „małej Tracy”.

— Ponieważ pod tym imieniem znają ją czytelnicy gazety.

— Dzięki pani.

— Do czego pan zmierza?

— Pani i pani gazeta uderzacie w czułą nutę używając tych pieśzcotliwych słów i doskonale wiecie, co robicie.

— Przyznaję, że aspekt emocjonalny odgrywa tu pewną rolę...

— A co z dziećmi takimi jak Neil? A może powinienem powiedzieć „mały Neil”? Albo „malutki Neil”? Sądzi pani, że wtedy pasowałby do kampanii prasowej?

Ewa Sayers miała zakłopotaną minę, szukając w myślach stosownej odpowiedzi.

— Zapewne nie — ciągnął Neef. — Neil nie ma matki, która mogłaby w jego imieniu zamieścić apel w gazetach. I nie wygląda zbyt ładnie, prawda? Jest pod naszą opieką od drugiego roku życia. Od chwili, gdy kochanek jego matki rzucił nim o ścianę, bo przeszkadzał mu oglądać mecz w telewizji. A teraz ma nowotwór i z tego powodu umrze, zanim osiągnie pięć lat. Niezbyt długie życie, panno Sayers, prawda? Nie warto apelować do mas o pomoc.

Ewa potrząsnęła głową.

— Chyba można coś dla niego zrobić. Jeśli to kwestia pieniędzy, to może...

— A inne dzieci? — przerwał jej Neef wskazując gestem oddział szpitalny.

Ewa bezradnie wzruszyła tylko ramionami.

Neef odczekał chwilę, po czym powiedział:

— No, dobrze. Ustaliliśmy, że pani gazeta ma ograniczone środki, tak jak mój oddział. A my oboje musimy podejmować decyzje. Ja robię to opierając się na ustaleniach natury medycznej. Pani i pani gazeta wolicie grać na ludzkich uczuciach. Ja i moi koledzy przerwaliśmy leczenie Tracy Torrance, gdyż uznaliśmy, iż z lekarskiego punktu widzenia dalsza terapia nie jest uzasadniona. Prasa, w postaci pani gazety, postanowiła le-

czyć ją dalej, bo dziewczynka ładnie wygląda i to przemawia do czytelników. Ludzie nie znający się na rzeczy, podobnie jak pani, mogą zignorować inne dzieci, bo tak jest wygodniej. Ja i mój personel nie może my. Musimy uczynić wszystko dla dobra pacjentów tego oddziału, panno Sayers. Dla każdego z nich, bez wyjątku. A teraz, proszę mi wybaczyć, ale mam mnóstwo roboty.

Ewa Sayers odwróciła się na pięcie i wyszła bez słowa. Odgłos jej stukających obcasów cichł z wolna w oddali, gdy schodziła po schodach w kierunku głównego korytarza. Neef stał przez chwilę na podeście udając, że wygląda przez okno na podwórze. Nie czuł satysfakcji, raczej smutek. Wrócił do gabinetu, usiadł za biurkiem i oparł ręce na blacie. Po chwili Ann Miles postawiła przed nim filiżankę kawy.

— Pomyślałam, że ci się przyda — powiedziała.

— Dzięki — odrzekł Neef.

— Czy panna Sayers już sobie poszła?

— Tak.

Ann Miles wyczuła nastrój Neefa.

— Coś poszło nie tak?

— Straciłem panowanie nad sobą.

— O Boże!

— O Boże! Żebyś wiedziała — westchnął Neef. — Teraz pozostaje nam tylko czekać, żeby się przekonać jak bardzo nam zaszkodzi.

— Myślisz, że tak zrobi?

Neef niezdecydowanie wzruszył ramionami.

— Przyszła tu, żeby napisać wzruszający artykuł o Tracy Torrance. Znasz takie historie. Skąpi lekarze skazują dziecko na śmierć. Miejscowa gazeta rusza na ratunek wśród wiewiórek czytelników.

— Nie cierpię tego — odrzekła Ann. — Chyba sami nie wierzą, że ktoś mógłby pozwolić dziecku umrzeć, by zaoszczędzić pieniądze.

— Nie wiem, w co oni naprawdę wierzą — wyznał Neef. — Może robią to bez zastanowienia. Nie wiem...

Ann spojrzała na ścienny zegar.

— Nie będziesz mi wdzięczny za to przypomnienie, ale masz o czwartej spotkanie z dyrekcją.

— O Jezu... — jęknął Neef. Zostały mu trzy minuty.



— Aaa, Michael! — odezwał się Tim Heaton, dyrektor szpitala, gdy Neef wszedł do sali i zorientował się, że przybył ostatni.

Comiesięczne spotkania z dyrekcją szpitala nie należały do przyjemnych obowiązków, zdaniem Neefa. W ciągu kilku ostatnich lat administracja rozrosła się jak chwasty po deszczu. Stało się tak dlatego, że szpital jako jednostka trustu państwowej służby zdrowia przejął odpowiedzialność za własne finanse. Poszczególni konsultanci musieli walczyć o fundusze dla swoich oddziałów. Tworzyli jednak przymierza przeciw „garniturom”, czyli osobom bez wykształcenia medycznego, menedżerom sprowadzonym do kierowania tym „biznesem”, jakim stało się leczenie chorych. Sytuacja przypominała Neefowi często Włochy z epoki renesansu, gdzie wiecznie ścierały się ze sobą wrogie frakcje.

Heaton jak zwykle prezentował się nienagannie. Miał na sobie ciemny garnitur, oślepiająco białą koszulę i modny jedwabny krawat. W obecności tego eleganckiego mężczyzny garnitur Neefa wydawał się żenująco stary i workowaty. Niezależnie od pory dnia Heaton zawsze sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą się golił. Na jego wiecznie opalonej twarzy nie widać było nigdy cienia zarostu. Przyszedł do trustu ze świata biznesu i przedtem kierował dużą firmą techniczną, która miała wiele zagranicznych kontraktów. Choć początkowo Neef wzbraniał się przed tym, musiał w końcu przyznać, że Heaton potrafi kierować ludźmi. Okazał się dobrym administratorem.

— Chyba nikogo nie brakuje? — upewnił się dyrektor.

Neef zajął miejsce za stołem pośród dziesięciu innych osób, uśmiechnął się do wszystkich i skinął głową MacSweenowi. Przed sobą miał dokumentację przygotowaną na zebranie. Oprócz odbitego na laserowej drukarce tekstu zauważył nowe godło szpitala, dłonie unoszące gołębicę. Logo miało pastelowoniebieski kolor. Mały tryumf nowoczesności, pomyślał. Kserokopie i maszynopisy należały już do przeszłości.

Heaton obrócił się w lewo.

— Poproszę naszego dyrektora finansowego o sprawozdanie. Tylko w ogólnych zarysach. Będziesz tak dobry, Phillipie?

Neef był w duchu wdzięczny za te „ogólne zarysy”. Phillip Danziger, jak to księgowy, miał upodobanie do cyfr, którego Neef nie podzielał. Są „na plusie”, czy „na minusie” — to wszystko, co chciał wiedzieć.

Główny księgowy wstał i włożył okulary w rogowej oprawie. Skinął głową w kierunku Heatona i powiedział:

— Oczywiście. — Przerzucił papiery i zaczął: — Zasadniczo, panie i panowie, mamy problemy.

Rozległy się jęki.

— Jeszcze się trzymamy, ale przyszłość nie zapowiada się różowo.

— A co z dodatkowymi dochodami, które stały się naszym udziałem po zamknięciu starego Szpitala Ogólnego? — zapytała Carol Martin, szefowa personelu pielęgniarskiego.

— Nasza sytuacja finansowa pozornie uległa poprawie, gdy odpadł nam najbliższy rywal — wyjaśnił Danziger. — Ale wszystko wskazuje na to, że możemy stracić większość dodatkowych pacjentów, gdy zostanie oddane do użytku nowe centrum chirurgiczne w Szpitalu Uniwersyteckim, co nastąpi w listopadzie. Ich dział marketingu, jak zwykle, spisał się na medal. Na pewno odniosą duży sukces. Lekarze ogólni zaczną walczyć o to, by umieścić swych pacjentów w tym najnowocześniejszym ośrodku.

— Co wcale nie znaczy, że chirurgia będzie tam na wyższym poziomie — zauważył poirytowanym tonem Mark Louradis, jeden z chirurgów-konsultantów.

— Oczywiście, że nie — odrzekł Heaton. — Ale ważny jest wizerunek szpitala. Musimy to sobie wyraźnie powiedzieć: Szpital Uniwersytecki z dużym powodzeniem reklamuje się jako najlepsza placówka medyczna.

— To prawda — przyznał Neef. — Prawie nie ma tygodnia, żeby jakaś gazeta nie pisała o nich. W zeszłym tygodniu tematem była litotrypsja, w tym chirurgia. Firmy farmaceutyczne muszą ustawiać się pewnie w kolejce chcąc wpompować w nich pieniądze, żeby też uszczknąć nieco tej sławy.

— Przecież oni nawet nie robią przeszczepów — skwitował Louradis.

— Chodzi o to... — powiedział Heaton — że ludzi nie intryguje już chirurgia transplantacyjna, Mark. To przestało być tematem dnia. Gazety już go wyeksplloatowały, czytelników zaczęło to nudzić. Żeby zwrócić na siebie uwagę, trzeba pochwalić się jakimiś nowatorskimi sposobami leczenia chorób.

Frank MacSween parsknął cicho. Louradis zacisnął wargi.

— Dojdzie do tego, że więcej czasu będziemy poświęcać reklamie i marketingowi, niż opiece nad chorymi — zauważył z ironicznym uśmiechem.

— To chyba lekka przesada — odpowiedział Heaton. — Ale powtarzam. Liczy się wizerunek szpitala. Jesteśmy dużą i dobrą placówką, lecz nie wolno nam spocząć na laurach. Musimy iść z duchem czasu, myśleć o nowych sposobach pokazania się z jak najlepszej strony, o zwiększanie przychodów.

Od słuchania takich dyrdymałów Michaelowi Neefowi robiło się niedobrze. Nowa filozofia nie trafiała mu do przekonania. Kiedy powstawały trusty państwowej służby zdrowia, z początku miał ochotę głośno krzyknąć: „Nie jesteśmy jakimś pieprzonym supermarketem, tylko szpitalem!”. Ale z czasem przestał się buntować. Pogodził się z faktem, że medycyna zmienia oblicze i tak będzie wyglądała w przyszłości. Jak na ironię, porzucił lukratywną posadę w Stanach i powrócił do Anglii, bo chciał znów zajmować się „prawdziwą medycyną”, a nie leczeniem tylko dla zysku. Tymczasem podczas trzech lat jego nieobecności i tutaj nastąpiły rewolucyjne zmiany. Służba zdrowia stała się zwyczajnym biznesem.

W Stanach było tak od dawna. Zajmował tam stanowisko ordynatora oddziału onkologii dziecięcej w Szpitalu Gregor Memorial w Nowym Jorku. Najpierw podobało mu się poczucie swobody, jakie dawały nieograniczone wprost środki i najlepszy sprzęt me-

dyczny, który miał do dyspozycji. Z czasem jednak, to zadowolenie stopniowo zaczęło go opuszczać. Dokuczała mu świadomość, że nie wszyscy potrzebujący mogą korzystać z najnowszych osiągnięć medycyny. Jego pacjentami były dzieci z bogatych domów.

Początkowo wierzył, że indywidualne ubezpieczenia zdrowotne, jakie posiada tam większość ludzi, są tylko alternatywą w stosunku do funkcjonującego w jego ojczyźnie państwowego systemu ubezpieczeń. Musiał zrewidować swe poglądy, gdy przekonał się, jak przedstawia się sytuacja osoby, która wyczerpie limit zgromadzonych środków. A to zdarzało się nieodmiennie w wypadku przewlekłej choroby, zazwyczaj nieuleczalnej. Rozpacz rodziny towarzyszyła ruina finansowa, kiedy rodzice za wszelką cenę chcieli ratować umierające dziecko.

Danziger kontynuował swoją wyliczankę. Mówił, które rzeczy z potrzebnego wyposażenia uda się nabyć, choć nie figurowały wcześniej w budżecie, a które zakupy należy odłożyć na później. Heaton lubił w takich momentach używać określenia, że trzeba „wziąć na wstrzymanie”. Każdy oddział szpitalny miał wprawdzie swój roczny budżet, ale wszyscy zgadzali się co do tego, że postęp w medycynie lub wyjątkowe okoliczności mogą spowodować konieczność wyasygnowania nadzwyczajnych środków na nie przewidziane wydatki. Neef nie dobijał się o nowy sprzęt przez ostatnie kilka miesięcy, wystąpił jednak z prośbą o przyznanie specjalnego funduszu na zakup najnowszego leku chemioterapeutycznego. Na rynku pojawiło się kilka nowych preparatów. Miał zamiar wypróbować jeden z nich po przeczytaniu w periodykach medycznych o wynikach prób przeprowadzonych w warunkach klinicznych.

Jakby czytając w jego myślach, Danziger spojrział na niego mówiąc:

— Obawiam się, Michael, że będziemy zmuszeni oddalić twoją prośbę. Nie uda nam się kupić tego amerykańskiego środka, aby pacjenci mogli go otrzymywać w nieograniczonych ilościach. Podkomisja uważa, że przyniosłoby to marginalne korzyści, nieuzasadniające ponoszenia dodatkowych kosztów.

Neef przez chwilę bawił się długopisem, rozważając, co odpowiedzieć. Co za cholerny dzień!

— Rozumiem... — odrzekł. — Ale może powinienem przypomnieć podkomisji jak długo wstrzymywałem się z tą prośbą. Nie mam zwyczaju żądać każdego nowego preparatu, który akurat się pojawia na rynku. Najpierw gruntownie zapoznaję się z każdą nowością. Zwłaszcza z lekami chemioterapeutycznymi. Gdybym sądził, że specyfik ten przyniesie marginalne korzyści, nie występowałbym o niego. A skoro to zrobiłem... — Neef efektownie zawiesił głos — to znaczy, że moim zdaniem korzyści będą istotne. Antivulon stosowany do walki z nowotworami okazuje się o trzydzieści procent mniej toksyczny w zetknięciu z normalnymi komórkami tkanki, niż preparaty stosowane dotychczas. Stwarza też o wiele mniejsze niebezpieczeństwo wystąpienia efektów ubocznych. A to niezwykle istotny czynnik w przypadku dzieci.

— Wierz mi, Michael, rozumiemy twoje rozczarowanie — wtrącił się Heaton. — Ale jest tyle spraw jednocześnie, tyle potrzeb, że...

— W tym miesiącu ponowię moją prośbę — zapowiedział Neef.

— Jak sobie życzysz — zgodził się Heaton. Wolał unikać sytuacji zapalnych. Spojrzał ponad stołem i zapytał: — Może dyrektor do spraw handlowych ma dla nas weselsze wieści? Jak tam, Andrew?

— Nawet dwie — odrzekł z uśmiechem Andrew D’Arcy, niski, wesoły mężczyzna w prążkowanym niebieskim garniturze i różowej muszce.

— Dzięki Bogu — szepnął dość wyraźnie Frank MacSween.

D’Arcy albo nie usłyszał, albo udał, że nie słyszy i ciągnął:

— Ludzie od Venera Manna, wiecie, tej firmy farmaceutycznej, proszą nas o wypróbowanie trzeciej generacji ich cefalosporyny. Uważają, że jest wyjątkowo skuteczny w likwidowaniu infekcji dróg moczowych. Oferują całkiem pokaźny pakiet i są widoki na dalszą współpracę.

— Wspaniale — ucieszył się Heaton. — Jak rozumiem, nasz konsultant-urolog wie na ten temat wszystko.

— Peter ma dziś seminarium w Manchesterze — odparł D’Arcy — ale zaakceptował tę umowę.

— Dobrze. A ta druga wiadomość?

D’Arcy spojrział na Neefa i powiedział przeprasząco:

— Niestety, nie miałem czasu, by to przedyskutować wcześniej z Michaeliem. A kiedy do niego dzwoniłem, akurat był zajęty. Rozmawiał z prasą, jeśli się nie mylę. Otrzymałem telefon z firmy biotechnologicznej Menogen Research. — Nazwa ta wydawała się zupełnie nie znana zebranym wokół stołu. — To mały, miejscowy ośrodek badawczy. Powstał przy udziale kapitału zagranicznego około dziesięć lat temu. Opracowują tam strategię walki z nowotworami — wykorzystują do tego terapię genową. Doszli już do etapu, na którym ich zdaniem warto przeprowadzić badania w warunkach klinicznych. Chcieliby porozumieć się z nami w tej sprawie.

Heaton rozpromienił się.

— Terapia genowa! Inżynieria genetyczna! To dopiero podziła na ludzką wyobraźnię! W niedzielnych gazetach zawsze pełno artykułów na ten temat. Właśnie tego potrzebujemy, by zyskać w oczach opinii publicznej. Co ty na to, Michael?

— Myślę, że musimy najpierw dowiedzieć się o wiele więcej o Menogen Research, zanim komukolwiek stamtąd pozwolimy zbliżyć się do naszych pacjentów. Ale oczywiście chciałbym z nimi porozmawiać.

— Świetnie — stwierdził Heaton.

— Pragnę podkreślić, że w sensie finansowym nie przyniesie to trustowi znaczących korzyści — wtrącił Danziger. — Ale, jak powiedział Tim, zyskamy w oczach opinii publicznej. Media poświęcą nam wiele uwagi. Ten projekt to kwestia naszego wysokiego prestiżu.

— I naszego wysokiego ryzyka — zauważył Frank MacSween. — W zeszłym roku w Szpitalu Uniwersyteckim próbowali leczyć tą metodą zwłóknienie torbielowate. I nie bardzo im to wyszło.

— Ale znaleźli się w centrum uwagi — powiedział Heaton.

— A to najważniejsze — mruknął pod nosem MacSween.

Zerknął na Neefa ukradkiem i uśmiechnął się do niego.



Po zebraniu Neef został trochę dłużej, by uzgodnić z Andrew D’Arcym i Timem Heatonem dogodny termin spotkania z przedstawicielami Menogen Research.

— Jak to się stało, że nigdy przedtem nie słyszeliśmy o nich? — zapytał D’Arcy’ego Heaton.

— Ponieważ to jedna z wielu firm, które powstały na początku lat osiemdziesiątych — wyjaśnił D’Arcy. — Obcy kapitał wlewał się wówczas strumieniami jak szampan na weselu. W inżynierii genetycznej można było utopić pieniądze, a każdy chciał uczestniczyć w tym interesie. Na nieszczęście dla większości z nich, sprawy nie posuwały się naprzód tak szybko, jak wcześniej zakładano. Wiele firm zostało na lodzie, gdy wyczerpały się fundusze.

— A co poszło źle? — spytał Neef.

D’Arcy wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że zawiniło kilka spraw. Inwestorzy szukali szybkiego zysku, a nie widząc go, zaczęli się niecierpliwić. Podejrzewali, że zostali oszukani, ale prawda była inna. To naukowcy okazali się zbyt dużymi optymistami. Napotykali problemy, z których istnienia nie zdawali sobie sprawy. Zbagatelizowali bariery biurokratyczne, które stały na przeszkodzie szybkiemu przeniesieniu badań z laboratoriów do szpitali. Dla ludzi zajmujących się biotechnologią poprzeczkę podniesiono dużo wyżej, niż dla firm farmaceutycznych. Chodzi o moralne implikacje zamiany genów. Każdy ma tu coś do powiedzenia, a nie brak nam komisji etycznych.

— Ale Menogen, jak widać, przetrwał — zauważył Heaton.

— Owszem — przytaknął D’Arcy. — Byli na tyle inteligentni, żeby nie stawać do zawodów z potentatami. Na początku największy problem tkwił w tym, że wszystkie firmy chciały robić to samo. Każdy usiłował klonować interferon i ludzką insulinę, ale zwycięzca w tym wyścigu mógł być tylko jeden. I tylko on mógł widnieć na dokumencie patentowym w razie powodzenia. Menogen od razu skoncentrował się na mniej ambitnych projektach. Poradzili sobie świetnie wypuszczając nowe zestawy diagnostyczne. Nie tylko utrzymali się na rynku, ale jeszcze się rozwinęli i zatrudnili kilku zdolnych biologów molekularnych. Ta inwestycja im się opłaciła. Wynaleźli kilka nowych wektorów genetycznych i bardzo się liczą w dziedzinie terapii genowej.

Heaton pochylił się do przodu i konspiracyjnie zniżył głos:

— Wiem, że ta terapia genowa to najnowszy wynalazek i tak dalej, ale... co to właściwie jest?

Neef uśmiechnął się.

— To technika polegająca na wprowadzeniu do komórek pacjenta funkcjonującego genu, by poprawić niedobory jego własnych genów. Alternatywnie można ją wykorzystać do wyposażenia tych komórek w zupełnie nową funkcję.

— Ale to chyba nie oznacza, że można zmienić całą strukturę genetyczną pacjenta? — zapytał Heaton.

— Tylko w bardzo ograniczonym stopniu — wyjaśnił Neef. — Nikt nie zamierza zmieniać komórek rozrodczych, jak jajo czy plemnik. Nie ma mowy o wprowadzaniu zmian dziedzicznych, a jedynie umiejscowionych, by pomóc poszczególnym pacjentom. I wierz mi, że nie jest to łatwe zadanie. Cały ten interes dopiero raczkuje.

— Ale do niego należy przyszłość — zapewnił D'Arcy.

— Bez wątpienia — zgodził się Neef.

— Więc Menogen Research chce wypróbować tę technikę na naszych pacjentach? — zapytał Heaton.

— Tak to można określić — odrzekł D'Arcy. — Uczciwie przyznali, że najpierw zwrócili się z tym do Szpitala Uniwersyteckiego. Ten jednak odrzucił ofertę, gdyż tamtejszy wydział medycyny prowadzi własne badania terapii genowej.

— Pytałeś ich o wymagane dokumenty? — zainteresował się Neef. — Wszystko w porządku, jeśli mają odpowiednie licencje i certyfikaty bezpieczeństwa. Oczywiście, musiałyby to zatwierdzić nasza komisja etyki i bezpieczeństwa, kiedy poznamy dalsze szczegóły.

— To ekscytujące! — stwierdził Heaton. — Nie uważasz, Michael?

— Absolutnie — odpowiedział Neef czując, że właśnie tego oczekiwał od niego Heaton.

— Musimy wysunąć się na czoło. O to nam chodzi.

D'Arcy zerknął na zegarek i oświadczył, że musi już iść. Neef wykorzystał okazję i zostawszy sam na sam z Heatonem uprzedził go o grożącej im krytyce prasowej. Czuł, że Ewa Sayers nie oszczędzi im tego.

Heaton wzruszył ramionami.

— Spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Od chwili ukazania się wywiadu z panią Torrance w zeszłym tygodniu wiedziałem, że gazeta wkroczy do akcji. Nie przepuszczą takiej okazji, to dla nich zbyt łakomy kąsek. Zastanawiałem się tylko, co wybiorą. Zafundują tej małej wycieczkę do Disneylandu, czy postarają się nam przyłożyć, finansując jej prywatne leczenie. Niestety, ze szkodą dla nas, zdecydowali się na to drugie. Ale jakoś to przeżyjemy.

Neef przezornie nie wspomniał, iż podczas rozmowy z dziennikarką poniosły go nerwy. Wiedział, że Heaton nie zachowałby się w ten sposób. Miał łagodniejsze usposobienie.

— A przy okazji... — napomknął Heaton przepuszczając Neefa przodem, gdy wychodzili z sali konferencyjnej. — Wiadomo mi, że przez ostatnie półtora roku mieścisz się w budżecie. Podniosę tę kwestię na najbliższym posiedzeniu podkomisji farmacji.

— Będę wdzięczny — odrzekł Neef. — Jestem przekonany, że ten amerykański lek warto wypróbować.

— To mi wystarczy. Musimy czynić wszystko, co w naszej mocy dla dobra naszych pacjentów. Nawet dla tych małych, biednych urwisów z twojego oddziału. Miejmy nadzieję, że ta sprawa z Menogenem wypali. Wyszłoby to nam na dobre. Każdemu z nas.

Heaton uśmiechnął się i oddalił pewnym krokiem. Neef popatrzył za nim i również się uśmiechnął. Tak to się załatwia — pomyślał kwaśno. Heaton udostępni mu nowy amerykański lek, jeśli Neef włączy się do gry, współpracując z Menogenem.

2

Neef spojrział na zegarek. Dochodziła piąta trzydzieści. Wrócił wolno na oddział i zajrzał do dyżurki. Zastał tam siostrę Kate Morse.

— Witaj obcy przybyszu — powiedziała, gdy w drzwiach ukazała się jego głowa.

— Tak to zaczyna wyglądać, co? — odrzekł Neef. Wszedł, przysunął sobie metalowe krzesło i znużony opadł na nie na wprost jej biurka. — Jak się miewają nasi pacjenci? Może wreszcie pójde ich zobaczyć!

Kate Morse uśmiechnęła się pobłażliwie. Miała miły wygląd i była w wieku Neefa. Wychowywała dwoje dzieci. Jej mąż, również trzydziestoparolatek, zajmował stanowisko głównego laboranta w pracowni patologicznej.

— Martin miał kiepski dzień. Lisa Short czuje się coraz gorzej, tak jak się obawialiśmy. Po południu Lawrence wezwał jej rodziców. Przyjdą. Obiecał, że zajmie się nimi. Ma dyżur dziś wieczorem.

Neef skinął głową. Lawrence Fielding miał drugi stopień specjalizacji i w dużym stopniu odpowiadał za codzienne funkcjonowanie oddziału.

— Wszyscy pozostali jakoś się trzymają. Stan Fredy i Charlesa zdecydowanie się poprawia.

— To dobrze. Wpadłem tam wcześniej z gościem, ale nie miałem czasu po rozmawiać.

— Słyszałam — mruknęła znacząco Kate. — Z dziennikarką.

Neef zauważył wyraz jej twarzy.

— Niestety. Chyba nam się dostanie — westchnął.

— Uprzedzę młodsze pielęgniarki — powiedziała Kate. — Lepiej, żeby nie były zaskoczone. Gorzej to przyjmą, jeśli nagle dowiedzą się, że pracują w instytucji, która wyżej ceni sobie pieniądze, niż dobro pacjentów. — W jej głosie przebijała gorycz.

— Byłbym zobowiązany, Kate. — Neef wstał. — Może ja z kolei powinienem porozmawiać z młodszymi lekarzami. A przy okazji, jak oni sobie radzą? — Dwa tygodnie wcześniej nastąpiła rotacja personelu i na oddział trafiło na pół roku dwóch nowych lekarzy. Neef rzadko ich widywał.

— Dobrze — odrzekła Kate. — Wszystko biorą sobie strasznie do serca, ale na tym etapie to wcale nie jest złe. Wolę ich od takich, co to od razu każdą sprawę pojmują w lot.

— Ja też — zgodził się Neef. — Zanim wyjdę, zrobię obchód.

Kate Morse poderwała się, żeby mu towarzyszyć, ale powstrzymał ją gestem ręki.

— Nie fatyguj się, sam się przespaceruję.



Neef wszedł najpierw do sali, gdzie przeniesiono Lisę Short. Jedna z pielęgniarek układała ją właśnie wygodniej, ale mała była tak senna, że zdawała się nawet tego nie zauważać. Siostra wyprostowała się na widok Neefa, ale ten pokazał jej, żeby nie przerywała swoich zajęć.

— Wpadłem tylko, żeby się przywitać. Jaki jest jej stan?

— Doktor Fielding zwiększył wcześniej dawkę środków przeciwbólowych, ale chciał, żeby była możliwie jak najbardziej przytomna. Podobno jej rodzice są w drodze. Teraz nie odczuwa bólu, jest tylko śpiąca.

— W nieznaną krainę — powiedział ze smutkiem Neef.

Lisa otworzyła oczy. Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

— Jak się masz — powitał ją łagodnie. — Niedługo zobaczysz mamusię i tatusia.

Dziecko próbowało się uśmiechnąć, ale było bardzo słabe i znów zamknęło oczy. Neef odczepił kartę choroby wiszącą w nogach łóżka, sprawdził, co przepisał dziewczynce Fielding i kiedy ostatni raz podano jej leki. Potem spojrzął na zegarek.

— Miejmy nadzieję, że jej rodzice zjawią się w ciągu godziny.

Siostra skinęła głową, zamyśliła się na moment, po czym zaczęła porządkować zabawki leżące na szafce Lisy. Pracowała na onkologii od ośmiu miesięcy. Zdążyła się przyzwyczać.

Neef kontynuował obchód: sprawdzał karty i zabiegi przepisane na następny dzień. Nazajutrz rano John Martin powinien rozpocząć radioterapię, ale według słów Kate miał kiepski dzień. Był przy nim dyżurujący lekarz, Tony Samuels.

— Jak się czuje? — zapytał Neef wskazując chłopca.

Lekarz nie usłyszał kroków Neefa i wystraszony poderwał się, po czym nerwowo sięgnął do krawata.

— Przepraszam. Nie miałem zamiaru zaskoczyć pana — uspokoił go Neef. — Co z małym?

— W tej chwili wszystko w porządku — odrzekł Samuels. — Chyba źle reagował na chemioterapię. Może powinniśmy rozważyć zmianę kuracji. Co pan o tym sądzi, sir?

— Jeszcze nie teraz — powiedział Neef. — Przez następnych kilka dni nadal pozostaniemy przy podstawowych, standardowych dawkach. Zobaczymy, jaki to odniesie skutek. Jeśli dalej będzie tak źle znosił przepisane leki, zastanowimy się nad zmianą.

— A co z jutrzejszą radioterapią?

— Zrezygnujemy z niej. Biedne dziecko ma na razie dosyć. Do tego też wrócimy za kilka dni.

— Dobrze, sir.



Neef stwierdził, że Tracy Torrance umieszczono w bocznej sali i domyślił się, dlaczego. Kiedy zajrzał przez drzwi, jego podejrzenia potwierdziły się: podłoga była niemal usłana nowymi zabawkami, które przysłali czytelnicy gazety „Evening Citizen” po pierwszym artykule. Wiedział, że tego wieczoru rodzice Tracy nie pojawią się u małej. Występowali w lokalnym programie telewizyjnym. Jego również zaproszono, ale odmówił. Wołał, żeby zastąpił go „szpitalny rzecznik prasowy”.

— Cześć Tracy — przywitał dziewczynkę.

Uśmiechnęła się do niego. Neef poczuł zadowolenie, że mała nie ma pojęcia o tym, jak politycy i show-business wykorzystują jej chorobę.

— Kogo my tu mamy? — zapytał.

— Pana Gałanka — odrzekła dziewczynka, podnosząc do góry szmacianą lalkę, z którą trafiła do szpitala. Tracy nie oswoiła się jeszcze z mnóstwem nowych, obcych zabawek. To było charakterystyczne dla dzieci w jej sytuacji. Traciły zainteresowanie nowościami, nie ekscytowały się nimi. Kurczowo trzymały się dobrze sobie znanych, starych rzeczy.

Odwiedziny u Neila Bensona Neef odłożył na koniec. Starał się nie faworyzować żadnego ze swych małych pacjentów, lub przynajmniej tego nie okazywać. Ale Neil zajmował w jego sercu szczególne miejsce.

— Cześć Tygrysie — powiedział, gdy chłopiec go zobaczył.

Neil uniósł ramię. Neef wiedział, że to sygnał do powitania i wyciągnął rękę rozstawiając palce. Mały po swoim „przybił piątkę” na jego otwartej dłoni i Neef uśmiechnął się do chłopca. W Neilu było coś niezwykłego, jakaś wewnętrzna siła, odporność psychiczna ponad jego wiek. A może nadzieja?

Nie miał wątpliwości, że nowotwór Neila zwany czerniakiem złośliwym doprowadzi do śmierci chłopca, ale od trzech tygodni guz przestał rosnąć. Codzienne pomiary wykazywały zastój. Jednak na nieszczęście, nowotwór nie chciał się cofać. Mimo tego można było sobie pozwolić na chwilę wytchnienia. Przy leczeniu raka tyle pozamedycznych czynników stawało się istotnych, że przewidywanie czegokolwiek z absolutną pewnością wydawało się nierozsądne.

Neef zakończył obchód i ponownie zajął do Kate Morse, by życzyć jej dobrej nocy.

— Nareszcie jesteś wolny? — powiedziała.

— Niektóre dni wydają się trwać trzydzieści sześć godzin. To jeden z nich — odrzekł Neef.

Kate uśmiechnęła się ciepło.

— Głowa do góry! Większość ludzi wie, że nie należy wierzyć we wszystko co piszą w gazetach.

— Mam nadzieję, że to prawda.

— Nie bierz sobie wszystkiego tak do serca, Mike — pocieszyła go. — Liczy się tylko to, jak jest w rzeczywistości, a nie fałszywe przedstawianie faktów.

Neef pokiwał głową.

— Dzięki, Kate. Może ty, Lawrence i ja spotkalibyśmy się jutro? Pewna firma biotechnologiczna zamierza sprawdzić na naszych pacjentach skuteczność terapii genowej. Chciałbym poznać wasze zdanie, zanim przystąpię do rozmów z nimi.

— To brzmi interesująco — stwierdziła Kate. — Każda nowość, która może przynieść postęp, jest zawsze mile widziana.



Neef wolno jechał do domu. Wieczne godziny szczytu dawno minęły. Niebo wy pogodziło się, wiatr ustał, a zachodzące słońce prześwitywało przez kopułę liści drzew ocieniających długą, wąską aleję. Wiodła w dół, a u podnóża tego stromo opadającego, jednopasmowego szlaku stał jego domek. Nabycie go Neef uważał za najszcześniejsze zdarzenie, jakie kiedykolwiek mu się przytrafiło.

Właśnie przyjechał ze Stanów, by podjąć pracę w Szpitalu św. Jerzego i pilnie potrzebował kwatery. Spędzał kolejny wieczór na bezowocnych poszukiwaniach, oglądając zbyt drogie mieszkania w okolicy. Już chciał wracać do hotelu, w którym się zatrzymał, gdy nagle pomylił drogę i źle skręcił. Znalazł się u podnóża pagórka. Zamierzał zawrócić i właśnie natknął się na domek stojący samotnie wśród wysokich traw i różnych krzewów zarastających go niemal całkowicie.

Rozejrzał się zaintrygowany i odkrył biegnącą niegdyś tędy linię kolejową. Szyny usunięto dawno temu, ale pozostały podkłady, więc poszedł ich śladem. Lokalizacja domku wskazywała, że mieszkał tu zapewne dróżnik albo zwrotniczy. Skontaktował się z zarządem kolei i okazało się, iż o linii oraz domku zupełnie zapomniano. Neef męczył odpowiednich urzędników tak długo, aż w końcu wygrzebano gdzieś akt własności i odsprzedano mu nieruchomość. Ostatnie trzy lata spędził na urządzeniu swej posiadłości, by można było tu wygodnie mieszkać.

Neef zaparkował land rovera discovery na placyku za domkiem. Specjalnie do tego celu oczyścił kawałek ziemi. Pojazd z napędem na cztery koła był tu zimą niezbędny, jeśli Neef chciał pokonywać strome wzgórza. Lokalne władze nie zamierzały zawracać sobie głowy zimowym utrzymaniem drogi na skraju lasu.

Gdy otworzył drzwi, na powitanie wyszła „pani domu”. Miękka, lśniąca i bardzo elegancka kotka Dolly. Poruszała się cicho i sprężysto, z gracją zawsze wzbudzającą jego podziw. Miała też piękny, gruby, puszysty ogon. Dolly nie była zwyczajną kotką, co lubił podkreślać Neef, lecz kotką spryciarą.

Dolly otarła się o nogi Neefa. Uczyniła to ponownie, gdy schylił się, by ją pogłaskać.

— Domyślam się, że twoja miska jest pusta — powiedział. Przyzwyczaił się już do tego, że kotka go ignoruje. — No to trzeba ci coś dać.

Dolly ruszyła za nim do kuchni. Otworzył puszkę kociego pokarmu i wyniósł na tylny ganek, gdzie stała miska. Dolly wierciła się niecierpliwie między jego nogami czekając na jedzenie. W końcu niemal go odepchnęła, gdy opróżnił puszkę. Neef wyprostował się i spojrzał na kotkę z góry.

— Widzę, że nie jestem już potrzebny. — Dolly nie przerwała jedzenia.

Neef nalał sobie dużą porcję whisky i usadowił się w fotelu na wprost drzwi balkonowych, przez które widział ogród za domem. Wieczne słońce przybrało teraz ciemnożółtą, niemal pomarańczową barwę. Żałował, że cały dzień nie był tak piękny jak ten zachód słońca. Zastanawiał się, czy nie zrezygnować z oglądania w telewizji państwa Torrance, ale po namyśle włączył aparat. Lepiej mieć za sobą to, co najgorsze, pomyślał.

Sprawa Torrance'ów pojawiła się w lokalnych wiadomościach jako trzeci temat z kolei. Najpierw podsumowano fakty, potem skierowano kamerę na parę siedzącą przed reporterem.

— Ale państwo nie zgadzają się z twierdzeniem, że córeczce nie można już pomóc, prawda? — zapytał prowadzący program.

Pani Torrance, szczupła kobieta z ufarbowanymi na rudo włosami i świdrującymi oczami podniosła do twarzy chusteczkę. Mąż, dużo wyższy i potężnie zbudowany mężczyzna, otoczył ją ramieniem.

— Nie, nie zgadzamy się — szepnęła.

— Wierzą państwo, że istnieje kuracja zdolna uratować Tracy, ale dziewczynka nie jest leczona, czy tak?

Kobieta skinęła głową przyciskając chusteczkę do ust.

— Dlaczego, pani Torrance? — spytał łagodnie reporter.

— Pieniądze. Nie chcą leczyć mojej małej córeczki, bo to za drogo kosztuje.

— Wolą, żeby umarła — wtrącił pan Torrance.

— Wiem, że to musi być dla państwa bardzo smutne — ciągnął prowadzący program — ale oczywiście szpital temu zaprzecza. Lekarze utrzymują, iż zaprzestali leczenia Tracy ze względów czysto medycznych. Podobno nie chodzi o pieniądze. Jak państwo to skomentują?

— Jak to, nie chodzi o pieniądze?! — oburzył się pan Torrance. — Od kiedy przekształcili się w te... no... jak to się nazywa... trusty, w te cholerne trusty, tylko to ich interesuje. Forsa, a nie ludzie.

Na ekranie pojawił się widok zewnętrzny Szpitala św. Jerzego, a w tle odezwał się dobrze znany głos niewidocznej osoby. Po kilku sekundach przed kamerą ukazał się rzecznik prasowy szpitala, John Marshall i napis wyjaśniający telewidzom, kim jest. Marshall wyglądał jak telewizyjny zawodowiec.

— To chyba oczywiste, że głęboko współczujemy państwu Torrance — powiedział gładko do niewidzialnego reportera przeprowadzającego z nim wywiad, zapewne tego samego, który odwiedził z kamerą również bohaterów programu. — Jednak lekarze specjaliści bywają zmuszeni do podejmowania decyzji nie zawsze popularnych w społeczeństwie. Mimo że w pełni rozumiemy sytuację państwa Torrance, musimy podkreślić, iż decyzję podjęto wyłącznie ze względów medycznych.

Neef podziękował mu w duchu za te słowa.

Kiedy skończył się materiał filmowy, dalszy ciąg programu nadawano ze studia.

— Wypowiedzią Johna Marshalla zakończyliśmy specjalny reportaż ze Szpitala św. Jerzego przygotowany przez Naomi Harrison — oznajmił telewizyjny redaktor. — Dowiedzieliśmy się właśnie, że lokalna gazeta, „Evening Citizen” wystąpiła z propozycją sfinansowania leczenia małej Tracy. W naszym studiu gościmy państwa Torrance, których przed chwilą widzieliśmy w materiale filmowym.

Kamera odjechała do tyłu, by pokazać panią Torrance siedzącą z zaczerwienionymi oczami obok prezentera i męża. Realizator zrobił zbliżenie jej twarzy, najwyraźniej chcąc uchwycić łzy, spływające po policzkach kobiety. Jej ramiona lekko drżały.

— Jak państwo zareagowali na tę optymistyczną wiadomość, pani Torrance? — zapytał prezenter.

— Wprost brak mi słów... — zaczęła kobieta i kamerzysta znów zmienił ujęcie pokazując również jej męża.

— Brak słów — przytaknął pan Torrance.

Po kilku dalszych stosownych pytaniach i łatwych do przewidzenia odpowiedziach nastąpiła króciutka przerwa i telewizyjne wiadomości zajęły się następnym tematem dnia.

Neef obejrzał cały program bez żadnych emocji. Za pomocą pilota wyłączył odbornik, westchnął z rezygnacją i dopił zawartość szklanki.

— Mama uprzedzała mnie, że będą takie dni w życiu — jęknął wstając z fotela i kierując się do kuchni. Musiał się zdecydować, czy przyrządzić sobie coś do jedzenia, czy jeszcze się napić. Wybrał to drugie, włączył odtwarzacz płyt kompaktowych i wrócił na fotel, by popatrzeć na ogród. Słuchając „Adagio” Albiniego posmutniał. Myśli o Elaine powróciły.

Żona Neefa, Elaine, zmarła na raka wątroby blisko cztery lata temu. Byli małżeństwem przez siedem lat. Nie mieli dzieci. Neef długo dochodził do siebie po tej stracie, ale w końcu czas przytępił jego ból, który kiedyś wydawał się nie do zniesienia. Kiedy jednak słuchał Albiniego, ulubionej muzyki Elaine, odczuwał smutek i ból powracał. Położył głowę na oparciu fotela i spojrzął w sufit.

— Wciąż za tobą tęsknię — szepnął.

Utwór skończył się, w pokoju zapanowała cisza. Neef podniósł głowę i doznał dziwnego wrażenia, jakby wylądował po długim locie. Wrócił na ziemię. Do rzeczywistości. Szklanka była pusta, a on musiał żyć dalej, pracować, rozstrzygać różne sprawy. Zamierzał coś zjeść, potem zaś wziąć się do czytania czasopism medycznych, zwłaszcza artykułów na temat terapii genowej.

Około dziewiętej trzydzieści zadzwonił telefon. Neef tak się zaczytał, że nagły dźwięk przestraszył go. Zgłębiał tajniki leczenia mukowiscydozy za pomocą terapii genowej. Tego właśnie próbowano dokonać zeszłego roku w Szpitalu Uniwersyteckim. Wyniki nie okazały się zachęcające. U żadnego z pacjentów nie zaobserwowano poprawy, za to u kilku wystąpiły stany zapalne. Cała sprawa zakończyła się wielkim rozczarowaniem. Zawiedzeni byli nie tylko chorzy i ich rodziny, ale także personel szpitala. Placówka ta znajdowała się przez pewien czas w centrum uwagi z powodu podejmowania tak pionierskich prób. Największy zawód przeżył David Farro-Jones, autor pomysłu, czołowy biolog molekularny tamtejszego wydziału medycyny i przyjaciel Neefa. Wreszcie odebrał telefon.

— Tu Neef.

— Doktor Neef? — zapytał kobiecy głos. — Doktor Michael Neef?

— Tak. Kto mówi?

— Ewa Sayers. Znalazłam pański numer w książce telefonicznej.

Neef poczuł, jak zamiera w nim serce. Czy ta kobieta nie wyrządziła już wystarczająco dużo szkód? Czego jeszcze chciała? Zastanawiał się, w jaki sposób będzie usiłowała odegrać się na nim za to, co jej wcześniej powiedział.

— Po co? — spytał niechętnie.

— Wiem, że nie jest pan tym zachwycony...

Neef nie zaprzeczył, tym samym dając jej do zrozumienia, że się nie pomyliła.

— Ale coś mnie dręczy...

— To znaczy?

— Właściwie wszystko. Pan, pański oddział, ten mały chłopiec Neil. To, co mi pan powiedział... No, wszystko...

Neef pozostał czujny.

— Zechciałaby pani łaskawie przejść do rzeczy? Jestem trochę zajęty.

— Doktorze Neef. Bardzo trudno jest mi powiedzieć przez telefon to, co chcę panu przekazać. Czy mogłabym ewentualnie przyjechać i porozmawiać z panem osobiście?

— Nie wydaje mi się, panno Sayers. Naprawdę nie rozumiem, czego pani ode mnie chce.

— To w gruncie rzeczy proste, ale... takie trudne. Po prostu chciałabym pana prosić.

Neef nie wierzył własnym uszom.

— Przeprosić?

— Naprawdę — zapewniła Ewa. — Po raz pierwszy w moim zawodowym życiu poczułam się zawstydzona tym, co zrobiłam i chciałam poprosić o wybaczenie. Nie rozumiałam pewnych spraw.

Neef nie potrafił wyzbyć się podejrzliwości. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Przykro mi, że nie mogę wstrzymać druku następnego artykułu, który ma się ukazać jutro. Tego o sponsorowaniu dalszego leczenia Tracy. Sprawy zaszły już za daleko. Mój redaktor naczelny widział okazję zwrócenia uwagi opinii publicznej na nasze pismo i kazał ogłosić cały materiał w telewizji. Był wywiad z Torrance'ami.

— Oglądałem ten program.

— Ale zrobiłam wszystko, by stonować wersję gazetową.

— No cóż... Dziękuję pani.

— Naprawdę mi przykro.

— Prawdę mówiąc, może zanadto moralizowałem — odrzekł Neef.

— Miał pan do tego prawo. O jedno muszę pana zapytać.

— Mianowicie?

— Co stanie się z Neilem? Proszę zauważyć, że nazwałam go „Neilem”. Nie „małym Neilem”, czy „malutkim Neilem” — podkreśliła rozbijając Ewa.

— Neil ma czerniaka złośliwego. Nie możemy dla niego zrobić nic poza tym, że nie będzie czuł bólu i cierpiać.

Ewa zamilkła, jakby nie mogła się pogodzić ze zdecydowaną odpowiedzią Neefa.

— Nic nie możecie zrobić? — spytała po chwili.

— Niestety.

— Jego matka musi przeżywać piekło! — Ewa już się otrząsnęła.

— Matka Neila porzuciła go — wyjaśnił Neef. — Przeszkadzał jej.

— Jak pan to robi? — szepnęła Ewa. — Jak może pan zajmować się dzień po dniu umierającymi dziećmi, wiedząc że nie ma sposobu, by im pomóc?

- Kiedy w rzeczywistości możemy dla nich zrobić całkiem sporo.
- Ale ma pan do czynienia z rakiem. Poza chemioterapią i radioterapią niewiele panu pozostaje. Niektórzy twierdzą nawet, że leczenie jest tak przykre jak sama choroba.
- Istnieje jeszcze chirurgia, transfuzja wymienna i kilka innych technik.
- I wciąż przegrywacie.
- Neef musiał przyznać jej rację.
- Bardzo mi przykro. Po prostu nie rozumiem, jak pan, inni lekarze i pielęgniarki potraficie to znieść.
- Czasem nie potrafimy — odparł Neef. — Ale jeden drugiemu stara się tego nie okazywać. Jesteśmy do tego wzajemnie zobowiązani.
- Nie skarżymy się głośno.
- Słucham?
- Nie, nic... To piosenka Elkie Brooks.
- Niech pani posłucha. Nie jesteśmy świętymi, tylko dobrze wyszkolonymi fachowcami starającymi się robić, co tylko w naszej mocy. Nie lubię tych, którzy bardziej interesują się personelem, niż moimi pacjentami.
- Ale nie każdy mógłby to robić — stwierdziła Ewa.
- Kiedy ktoś z mojego personelu zaczyna się skarżyć, że nie może wytrzymać i prosi o przeniesienie, uzmysławiam mu, że dzieci, które zostawi, umrą. Czy nie lepiej więc zostać i starać się im pomóc? Medycyna to nie tylko zajmowanie się chorymi, dającymi się wyleczyć. To również opieka nad pacjentami nieuleczalnie chorymi. Jeśli potrafimy choćby ulżyć ich cierpieniom, uwolnić ich od bólu, to już coś. Jesteśmy im to winni. Ale idzie ku lepszemu.
- Ewa musiała przetrwać to, co usłyszała. W końcu zapytała:
- Czyżby?
- Może nie tak szybko, jak byśmy chcieli, a jednak tak jest. Za kilka lat terapia genowa stanie się skuteczna. Skoro już o niej mowa, to właśnie zamierzamy ją wypróbować w najbliższej przyszłości.
- Rak to nie problem genetyczny, prawda? — upewniła się Ewa.
- Nie, ale nie musi nim być w wypadku terapii genowej — wyjaśnił Neef. — Strategia polega na wprowadzeniu zmian w komórkach nowotworowych, by pozbawić je odporności na czynniki zdolne je zabić.
- Rozumiem. I chcecie to wypróbować?
- Bardzo możliwe, choć niczego jeszcze nie postanowiliśmy. Trzeba najpierw omówić warunki.
- Załóżmy, że zaczniecie... — Ewa zawiesiła głos. — Czy Neila będzie można podać tej nowej terapii.

- Och... Do takich decyzji jeszcze daleka droga!
- Przepraszam. Nie powinnam zabierać panu tyle czasu.
- Nie szkodzi. Miło mi, że zadzwoniła pani i powiedziała to, co zamierzała powiedzieć.
- Doktorze Neef?
- Neef wyczuł w jej głosie nerwowość.
- Tak?
- Sądzi pan, że mogłabym odwiedzić Neila?
- Neef był kompletnie zaskoczony.
- Nie uważam, aby to był dobry pomysł. Tworzenie więzi z takim dzieckiem zaowocuje mnóstwem bardzo smutnych chwil.
- Zdaję sobie z tego sprawę — zapewniła Ewa. — Dostałam krótki wykład na ten temat. Pomyślałam jednak, że jeśli on mnie polubił, a tak mi się zdaje, to mogłabym pobawić się z nim i sprawić, że się uśmiechnie. Wówczas i ja zrobiła bym to, co w mojej mocy, prawda?
- Naprawdę, nie sądzę...
- Nie zapytałabym, gdyby Neil miał matkę lub kogoś innego, kto jest mu bliski.
- Przemyślę to. Niech pani zadzwoni do mnie za kilka dni.
- Dobrze — odrzekła Ewa.

3

— Wyglądasz na zmęczonego — stwierdziła Kate Morse, gdy Neef wszedł do dyżurki.

Nie było w tym nic dziwnego. Nie wyspał się ani trochę. Całą noc dręczyły go koszmary z pogranicza snu i jawy, wspomnienia wypadków z poprzedniego dnia. Oskarżały go świdrujące oczy pani Torrance. Jej mąż w kółko powtarzał: „Wolą, żeby umarła”. Z pustej klatki piersiowej Melanie Simpson wyłaniała się twarz Franka MacSweena mówiącego: „To jeszcze dziecko”.

Na krótko zapadł w głęboki sen dopiero wówczas, gdy zaczęło świtać. Po godzinie poczuł na policzku łapę Dolly. Uznała, że czas na śniadanie.

— Nie spałem dobrze — wyjaśnił Neef biorąc od Kate nocny raport.

— Lisa zmarła o trzeciej nad ranem — poinformowała go Kate. — Byli przy niej rodzice i Lawrence. Dzwonił prawnik, zatrudniony przez „Evening Citizen”. Załatwiono już przeniesienie Tracy Torrance do Kliniki Randolfa. Zabiorą ją dziś po południu.

Neef skinął głową.

— Oglądałeś wczoraj ten program w telewizji?

— Tak — odrzekł Neef. — Telefonowała do mnie również panna Sayers.

— Kto?

— Ewa Sayers. Dziennikarka z „Citizena”. Autorka tych artykułów.

— Czy nie dość jeszcze narozrabiała?! — wykrzyknęła Kate. — Ci ludzie nie znają umiaru!

— Właściwie zadzwoniła z przeprosinami.

— Co?

— Chciała przeprosić za to, co nam zrobiła.

— Myślisz, że mówiła szczerze? — spytała Kate.

— Początkowo byłem podejrzliwy, ale chyba nie kłamała. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

— Żeby dziennikarka przeproszała... Co ją do tego skłoniło?

— Może to za sprawą Neila — odpowiedział Neef. — Poznała go podczas cokolwiek wymuszonego przeze mnie obchodu, który jej urządziłem. Spodobali się sobie. Chce go odwiedzić.

— I co ty na to? — zapytała Kate tonem nie pozostawiającym żadnych wątpliwości co do tego, jak odnosi się do podobnego pomysłu.

— Powiedziałem jej, że to niezbyt dobry plan.

— Słusznie.

— Ale nalegała, więc obiecałem, że to przemyślę.

Spojrzenie Kate Morse mówiło samo za siebie.

— Wiem, wiem... — zaczął się usprawiedliwiać Neef. — Tylko że Neil nie ma nikogo i najwyraźniej ona przypadła mu do gustu.

— Ty tu jesteś szefem — przyznała Kate. — Ale czy zastanowiłeś się nad tym, jak wpłynie na nasz personel obecność kręcącej się tu reporterki w jej stylu? Każdy będzie spięty ze strachu, że jeśli popełni najdrobniejszy błąd, znajdzie się na pierwszej stronie „Citizena”.

— Muszę wyznaczyć, że nie wziąłem tego pod uwagę. Wydawało mi się, że ona przyjdzie tu z czysto prywatną wizytą.

— Przynajmniej musimy się co do tego upewnić. I jeszcze coś.

— Tak?

— Jeśli rzeczywiście ona i Neil podobają się sobie nawzajem, nie skończy się na jednych odwiedzinach. Ona będzie tu wracać. Musi to robić. Nie wolno jej pokazać się kilka razy i zniknąć, gdy ta „nowość” przestanie ją interesować. To warunek.

— Oczywiście. Masz absolutną rację.

— Nawet, jeśli to będzie trudne — dodała Kate ze znaczącym spojrzeniem.

— To nie podlega dyskusji.

— Chyba jednak powinieneś się upewnić, czy ona naprawdę zdaje sobie sprawę ze wszystkich implikacji.

— Może w ogóle do tego nie dojdzie — uspokoił ją Neef. — Nie podejmę decyzji, dopóki nie poznam treści artykułu w dzisiejszym „Citizenie”. Obiecała, że trochę przyhamuje.

— Musisz rozważyć...

— Co takiego?

— Czy przypadkiem panna Sayers nie zamierza napisać czegoś o oddziale onkologii dziecięcej. Może chce wykorzystać Neila jako pretekst do tego, by przebywać u nas. Żeby dostać się do środka.

Neef pokiwał głową.

— Ze wstydem przyznaję, że też o tym myślałem. Podejrzywałem nawet, że te przeprosiny to jakiś podstęp.

— Może bezpieczniej będzie...

— Wiem, Kate, odmówić. A jednak, nie jestem pewien. Jeśli mówiła szczerze i ma dobre intencje, to odprawienie jej z kwitkiem...

— Byłoby niewybaczalnie krzywdzące i nie w twoim stylu — dokończyła Kate z uśmiechem. — No, cóż... Wszystko zależy od ciebie.

— Zostawmy to na chwilę. Nie mamy ważniejszych spraw?

Kate Morse przytaknęła, włożyła okulary i otworzyła notes.

— Lawrence zaproponował, żebyśmy spotkali się dziś o czwartej popołudniu, kiedy znów przyjdzie na dyżur. Co ty na to?

— Świetnie.

— O jedenastej przedpołudniem przyjmujemy nowego pacjenta. To dwunastoletni chłopiec z nowotworem mózgu. Skierował go do nas doktor Sleigh z lecznicy...

— Tak, pamiętam. Dzwonił do mnie. Nie ma pewności, czy operacja będzie możliwa.

— To ten chłopiec, zgadza się. Thomas Downy. I oczywiście, sprawa Tracy Torrance. Będiesz na miejscu, kiedy po nią przyjadą?

— Tak! — odrzekł bez wahania Neef. — Chyba powinienem!

— Zjawią się o drugiej. Pewnie na zewnątrz zaroi się od dziennikarzy.

— Nie wątpię. Mamy papiery Thomasa Downy?

— Położyłam je na twoim biurku.



Neef najpierw udał się na oddział. W przeciwieństwie do wielu swych kolegów wolał takie „nieoficjalne” odwiedziny w salach od tradycyjnych obchodów, podczas których konsultantowi towarzyszy świta młodszych lekarzy. A może jego negatywny stosunek do tych „ceremonii” był niesprawiedliwy? Wyjątkowy charakter oddziału onkologii dziecięcej pozwalał na inną formę kontaktu z chorymi. Na oddziałach ogólnych, gdzie pacjenci stale się zmieniają, konsultanci zapewne chcą wiedzieć, kogo mają u siebie i z jakimi dolegliwościami. Pewnie to konieczność. Muszą być zorientowani na bieżąco. U niego chorzy pozostawali na długo. Znał dobrze wszystkich i lubił zaglądać do nich sam.

Do dziesiątej trzydzięci Neef zdążył zapoznać się dokładnie z historią choroby Thomasa Downy. Wnikliwie prześledził zdjęcia rentgenowskie i wyniki tomografii komputerowej. Wiedział już, w czym tkwi problem. Nowotwór mózdzku usadowił się w tak niefortunnym miejscu, że próby usunięcia go, mogły zakończyć się spowodowaniem nieodwracalnych uszkodzeń lub nawet śmiercią pacjenta na stole operacyjnym. Musiał przekazać sprawę w ręce neurochirurga. Ale zaraz po przyjęciu chłopca na oddział, zamierzał poddać go wszechstronnym badaniom na wypadek, gdyby chirurg zdecydował się zaryzykować. Połączył się przez interkom z Ann Miles i poprosił ją o skontaktowanie się z Normanem Beavistem, neurochirurgiem współpracującym z trustem.

U św. Jerzego niezbyt często trafiały się przypadki wymagające interwencji tego rodzaju specjalisty, toteż zatrudnianie go na pełnym etacie nie było konieczne. Beavis miał ze szpitalem umowę zobowiązującą go do pracy w niepełnym wymiarze godzin. Ann zawiadomiła jego sekretarkę. Neurochirurg rano przeprowadzał operację, ale należało oczekiwać, że po południu oddzwoni.

Thomasa Downy przyjęto o jedenastej. Natychmiast otoczyły go troskliwą opieką pielęgniarki, po czym dwaj młodzi lekarze dyżurni przystąpili do wstępnych badań. Neef uczestniczył w nich jako obserwator. Młodszy koledzy dobrze się zapowiadali i był zadowolony. Obaj gawędzili z małym pacjentem o piłce nożnej, chcąc odwrócić jego uwagę od szpitalnej rzeczywistości. Trzem miłośnikom futbolu nie udało się jednak dojść do porozumienia. Każdy z nich kibicował innej drużynie. Thomas Downy stawił na Arsenał, Samuels na Manchester United, natomiast pochodzący z Glasgow John Duncan — na Celtic. Neef zauważył uśmiech na twarzy chłopca, gdy dwaj lekarze spierali się między sobą, zabawnie gestykulując.

Podczas lunchu w szpitalnej stołówce Neefowi nie dopisywał apetyt. Czuł zdenerwowanie przed zbliżającą się wizytą państwa Torrance'ów. Zjadł tylko sałatkę i popił herbatą. Przysiadł się do niego Frank MacSween.

— Dzwoniłem do Szpitala Uniwersyteckiego w sprawie tej dziewczynki — powiedział.

— Mówiłeś im o nowotworach?

MacSween uśmiechnął się cierpko.

— Chyba najpierw myśleli, że telefonuję z pretensjami, dlaczego pacjentka nie trafiła od razu do nas. Zadali sobie wiele trudu, żeby mnie przekonać, że nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, iż miała raka. Przyjęli ją z rozpoznaniem zapalenia płuc.

Oba szpitale obowiązywała wzajemna umowa co do pacjentów, których leczą. Chorobami zakaźnymi zajmował się Uniwersytecki, specjalnością św. Jerzego był rak u dzieci.

— To przez twój szkocki akcent — odrzekł Neef. — Teraz czekają, kiedy przyślesz im rachunek.

— Potraktuję to z należytą pogardą — stwierdził MacSween. — W każdym razie, wyjaśniłem im, że trzeba zawiadomić Wydział Zdrowia i szybko znaleźć przyczynę tego przypadku raka. Zgodzili się ze mną całkowicie, więc zrobiłem to dziś rano.

— To dobrze.

— Z Wydziału Zdrowia przyślą dziś kogoś po południu. Przyjrzą się materiałowi patologicznemu i zabiorą się do roboty. Szpital Uniwersytecki przesłał nam rano papiery Melanie Simpson na wypadek, gdyby potrzebował ich Wydział Zdrowia.

— Znalazłeś w nich coś ciekawego?

MacSween potrząsnął przecząco głową.

— Nic a nic. Ta dziewczynka prawie w ogóle nie chorowała i nagle, stało się. Nie żyje.

Neef w zamyśleniu bawił się widelcem.

— Wspominałeś, że w laboratorium nie znaleźli dowodu zapalenia bakteryjnego, więc uznali je za wirusowe.

— Tak było.

— I to ci wystarczy?

— Chyba tak. Wprawdzie stawianie diagnozy drogą eliminacji zawsze jest ryzykowne, ale objawy były klasyczne, więc nie wdaję się w spór. Dlaczego pytasz?

Neef pokręcił głową, jakby chciał pozbyć się jakiegoś niejasnego wrażenia, nad którym nie zamierzał się rozwodzić.

— Tak tylko...

— Zobaczymy, co powie pracownia wirusologiczna. Wtedy uzyskamy jaśniejszy obraz sytuacji.

MacSween i Neef spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się szeroko. — Nie liczylbym na to — powiedzieli chórem.

— Znajdą pół tuzina spotykanych na co dzień wirusów wywołujących katar i grypę i zaproszą nas, żebyśmy sobie któryś wybrali jako sprawcę — podsumował Neef.

MacSween przytaknął skinieniem głowy. Wirusy zawsze trudniej było dokładnie zidentyfikować niż bakterie.

Neef spojrzął na zegarek i wstał od stolika.

— Dziś po południu przyjeżdżają po Tracy Torrance — wyjaśnił. — Zabierają ją do kliniki Randolfa.

— Przedstawienie musi trwać dalej — stwierdził MacSween.

— Informuj mnie na bieżąco w sprawie Melanie Simpson, dobrze?

— Jasne. Berty chciałyby cię widzieć u nas na lunchu w niedzielę. Przyjdź z przyjaciółką, jeśli jeszcze jakąś znajdziesz po tym, co napiszą o tobie w gazetach.

— Kończąc tym miłym akcentem... — powiedział Neef, uśmiechnął się na pożegnanie i wyszedł.



Za pięć drugą Neef poprawił krawat i włożył marynarkę. Podeszedł do okna gabinetu i zobaczył tłumek ludzi przed główną bramą. Telewizyjni kamerzyści zajęli już dogodne pozycje, a technicy kręcili się obok z rękami w kieszeniach. Kobieta z mikrofonem zerknęła na zegarek i poprawiła włosy.

Kilka minut później pojawił się czarny ford granada. Skręcił i wjechał na teren szpitala. Zatrzymał się przed frontowym wejściem. Wysiedli z niego państwo Torrance w to-

warzystwie wysokiego grubasa z tęczką. Mężczyzna przyglądał mocno przerzedzone włosy, skierował rodziców Tracy do drzwi, po czym odwrócił się do reporterów. Stojąc na drugim stopniu schodów przypominał człowieka, który za chwilę nakarmi stado fok zgromadzonych u jego stóp i niecierpliwie czekających, aż rzuci im pożywienie.

Kiedy krótki wywiad dobiegł końca i grubas zniknął w drzwiach, Neef zapytał Ann Miles, czy Tracy jest gotowa.

— Tak — odparła, a potem spytała: — Mam ich od razu wprowadzić?

— Tak, proszę.

Po chwili do pokoju wkroczyła trójka gości. Grubas przepuścił przodem państwa Torrance, po czym przedstawił się jako Lewis Milligan.

— Reprezentuję gazetę „Evening Citizen” — oznajmił. — Działam również w imieniu państwa Torrance.

— Tracy jest gotowa — odrzekł Neef. — Wszyscy żałujemy, że nas opuszcza. Mamy nadzieję, że w Klinice Randolfa wszystko pójdzie dobrze.

— Dziękuję, doktorze — Milligan skinął głową. — Jestem tego pewien.

Torrance'owie wydawali się zadowoleni, że grubas we wszystkim ich wyręcza. Stali z boku a na ich twarzach dało się dostrzec ledwo widoczny wyraz satysfakcji.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszła Kate Morse, niosąc na rękach Tracy. Inna pielęgniarka stanęła za nią, trzymając plastikową torbę z rzeczami dziewczynki.

Pani Torrance odegrała wspaniałe przedstawienie, chwytając córeczkę w ramiona i tuląc ją do siebie z miłością. Na Tracy nie wywarło to żadnego wrażenia. Trzymała w buzi rożek ubranka swej lalki, Pana Gałganka. Gdy matka przełożyła ją na drugie ramię, zabawka upadła na podłogę. Dziewczynka wyciągnęła ręką w niemym geście rozpacz. Milligan podniósł lalkę i przyjrzał się jej z niesmakiem.

— U Randolfa dostaniesz mnóstwo nowych laleczek — obiecał tonem, który zapewne wydawał mu się przyjazny.

Tracy nie odpowiedziała. Milligan najwyraźniej nie miał ochoty oddać jej zabawki. Kate Morse podeszła i odebrała mu ją.

— Pan Gałganek też jedzie — powiedziała lodowato do grubasa, wręczając lalkę dziewczynce.

Gdy grupka skierowała się do drzwi, pani Torrance przekazała dziecko mężowi. Pan Torrance też starał się dać z siebie wszystko, by na oczach obcych pokazać ojcowską miłość. Jego żona pozostała nieco z tyłu. Przepuściła wychodzących, odwróciła się do Neefa i utkwiała w nim spojrzenie świdrujących oczu, które nawiedzało go ostatniej nocy.

— Ma pan nadzieję, że ona umrze, prawda? — syknęła.

— Chyba sama pani w to nie wierzy, pani Torrance — odpowiedział, starając się zachować spokój. Ale poczuł się tak, jakby zainkasował cios kolanem w krocze.

— To oczywiste. Jeśli umrze, okaże się, że miał pan rację. Jeśli przeżyje, to będzie znaczyło, że pan się mylił.

— Nie ma ludzi nieomylnych, pani Torrance. I nie uważam się za takiego. Proszę mi wierzyć, że czułbym się uszczęśliwiony, myśląc się co do stanu pani córeczki.

Kobieta posłała mu ironiczny, pełen niedowierzania uśmiech i dogoniła pozostałych.

Neef zamknął drzwi gabinetu i podszedł do małej umywalki w rogu pokoju. Przez kilka chwil opryskiwał twarz zimną wodą, po czym oparł dłonie na krawędzi umywalki. Zauważył, że lekko drżą.

Za jego plecami ktoś cicho otworzył drzwi, ale Neef nie obejrzał się, wiedział, że to Ann Miles.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

Spojrzał w lustro i zobaczył jej odbicie. Z twarzy wciąż ściekała mu woda.

— Ta cholerna baba naprawdę wierzy, że pragnę śmierci jej dziecka.

— Jest roztrzęsiona — pocieszyła go Ann. — Sama nie wie, co mówi. Musisz wziąć to pod uwagę, przecież wiesz.

Neef przytaknął. Wciąż odwrócony do niej plecami osuszył twarz i powiedział:

— Czasem wydaje mi się, że przestaję być do tego zdolny.

— Mój mąż jest księgowym — odrzekła Ann. — Uważa swoją pracę za stresującą, ale nie wie o stresie nawet połowy tego, co my. — Z tymi słowy odwróciła się i wyszła.

Rozdzwonił się telefon. Odezwał się Norman Beavis informując, że zamierza przyjść nazajutrz rano, by obejrzyć Thomasa Downy.

— Zapisalem go na zabieg w czwartek — dodał.

— Dobrze — zgodził się Neef. — To trudny przypadek, ale zobaczymy, co na to powiesz.



Kate Morse i Lawrence Fielding zjawili się punktualnie o czwartej. Lawrence miał ziemistą cerę i poważny wyraz twarzy. Był dobrym specjalistą, ale brakowało mu poczucia humoru. Przepuścił Kate pierwszą, a potem dokładnie zamknął za sobą drzwi. Usiadł obok niej i Neef pomyślał, że ten porządny, inteligentny człowiek i doskonały lekarz zawsze przypomina mu pełnego uniżoności lokaja.

— Chciałem z wami porozmawiać o propozycji poddania naszych pacjentów nowej, próbnej kuracji — zaczął Neef.

— Kate wspominała, że to terapia genowa — odrzekł Lawrence.

— Owszem. Firma o nazwie Menogen Research opracowała strategię leczenia nowotworów bazującą na genetyce. Odpowiednie komisje kontroli i bezpieczeństwa wydały zezwolenie na wypróbowanie jej na ludziach. Firma musi jeszcze uzyskać zgodę naszej szpitalnej komisji etyki i bezpieczeństwa, ale zakładam, że pokona i tę poprzeczkę. Co wy na to?

— Nie bardzo wiem, na czym to polega — uprzedziła Kate.

— Ani ja — przyznał Lawrence.

Neef uśmiechnął się.

— Zatem jesteśmy zgodni co do jednego. Dla nas wszystkich to zupełna nowość. Dowiem się czegoś na spotkaniu z ludźmi z Menogenu. Na razie możemy chyba tylko ustalić pewne zasady postępowania.

— Zawsze jestem za wszelkimi nowościami, pod warunkiem, że mają one realne szansę sprawdzenia się w praktyce i wypróbowywanie ich nie służy jedynie gromadzeniu danych dla jakiegoś nawiedzonego naukowca — oświadczyła Kate.

— Należy również pamiętać o rodzicach — zauważył Lawrence. — Łatwo jest rozbudzić fałszywe nadzieje, gdy zaczyna się mówić o „nowym sposobie leczenia”. Te słowa szybko zmieniają się w ludzkich ustach w termin „cudowna kuracja”.

— A nasi pacjenci są szczególnie, więc ich rodzice chwytają się każdej nowej możliwości jak tonący brzytwy — dodała Kate. — Nietrudno sprawić im ból.

— Słuszne spostrzeżenia — przyznał Neef. — A zatem, możemy się na to zgodzić, jeśli rzeczywiście stan naszych chorych dzieci miałby się znacząco poprawić, czy tak?

Kate i Lawrence skinęli głowami.

— Czy samo leczenie jest bardzo nieprzyjemne? — spytała Kate.

— Mam nadzieję, że nie. Ale dowiem się szczegółów na spotkaniu. Dzieciom już wystarczająco dokucza chemio- i radioterapia. Bez naprawdę istotnego powodu nie powinniśmy narażać ich na dodatkową porcję przykrych doznań.

— Kiedy Kate powiedziała mi o naszym ewentualnym udziale w tych próbach, zacząłem czytać różne publikacje na temat terapii genowej — wyznał Fielding.

— Ja też — przytaknął Neef.

— Wygląda na to, że istnieje tu element ryzyka. Podkreśla się, że jego wielkość nie jest znana.

— To prawda — zgodził się Neef. — Ale obawy wydają się koncentrować wokół niebezpieczeństwa wywołania u pacjentów raka.

— A nasi podopieczni już go mają — przypomniała Kate.

— Wprawdzie to osobliwa pocięcha, przyznaję — powiedział Neef — jednak powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że dzieci, które mielibyśmy poddać próbom nie roszą wielkich nadziei na wyleczenie. Prognozy są jak najgorsze.

— Nie mają nic do stracenia — skwitował Fielding.

— Właśnie — odrzekł Neef.

— Co nie znaczy, że ludzie z Menogenu mogą je uważać za króliki doświadczalne — zaprotestowała Kate.

— Oczywiście, że nie! — przyznał jej rację Neef.

Fielding skinął potakująco głową.

— Czy mam rozumieć, że wszyscy gotowi jesteśmy spróbować pod pewnymi warunkami? A mianowicie, że nowa terapia stwarza realną szansę na cofnięcie się choroby nowotworowej, nie wywoła groźnych efektów ubocznych i nie narazi dzieci na niepotrzebne cierpienia?

— Tak — odparł Fielding.

— Dobrze. Zawiadomię was, jak tylko będę znał więcej szczegółów.



Kiedy Kate i Fielding wyszli, zjawiała się Ann. Oznajmiła, że dzwonił Andrew D’Arcy. Umówił ludzi z Menogen Research na następny dzień.

— Chciał wiedzieć, czy masz czas jutro o dziesiątej rano. Powiedziałam, że tak. Zaznaczyłam to w twoim rozkładzie zajęć.

— Dzięki, Ann. Aha... Beavis zapisał Thomasa Downy na operację w czwartek. Wypada, żebym najpierw porozmawiał z rodzicami chłopca. Mogłabyś ich zaprosić na jutrzejsze popołudnie?

— Załatwione.

Ledwo Ann opuściła gabinet, pojawiła się z powrotem. Zamknęła za sobą drzwi i uprzedziła:

— Przyszedł doktor Lennon z Wydziału Zdrowia. Chciałby zamienić z tobą słowo.

— Poproś go — odrzekł Neef. — Wiem, o co chodzi.

Do pokoju wkroczył niski, łysy mężczyzna około sześćdziesiątki, w ciemnym garniturze, pod pachą miał teczkę zaopatrzoną w szyfrowe zamki.

— Lennon — przedstawił się, wyciągając rękę. — Jestem epidemiologiem. Właśnie rozmawiałem z pańskim kolegą, doktorem MacSweenem.

— O Melanie Simpson?

Lennon skinął głową.

— Kłopotliwa sprawa. Wiem od doktora MacSweena, że był pan obecny przy sekcji zwłok. Widział pan płuca dziewczynki? — Lennon posługiwał się akcentem z południowo-zachodniej Anglii nie pasującym do jego wyglądu. Przypominał bankiera, ale mówił jak farmer.

— Zgadza się. Frank poprosił mnie na dół, kiedy odkrył nowotwory — wyjaśnił Neef.

— Jest pan specjalistą od raka, doktorze. Co, pańskim zdaniem, mogło do tego doprowadzić w wypadku Melanie? Zastanawiał się pan nad tym?

Neef wolno pokręcił głową.

— Niestety, nie wiem. W praktyce to niespotykane, żeby dziecko miało raka płuc. Poza tym, nowotwory występowały w takiej ilości, że nie mogły powstać samorzutnie. Musiał tu oddziaływać silny czynnik rakotwórczy.

Lennon skinął głową zgadzając się z tą opinią.

— Bez wątplenia. Zagadkę stanowi to, że rak zaatakował wyłącznie płuca. — Zamyślił się i dodał: — Gdybyśmy mieli do czynienia z bardzo silnym czynnikiem rakotwórczym, należałoby oczekiwać nowotworów na całym ciele.

— Słuszna uwaga — przyznał Neef. — A gdyby chodziło o źródło promieniowania, moglibyśmy się spodziewać widocznych oznak uszkodzenia naskórka. Ale skóra dziewczynki była nie naruszona.

— Zagadka — powtórzył Lennon. — Pozostaje nam zatem szukać środka rakotwórczego, który Melanie musiała wdychać.

— Na przykład gaz, albo jakieś opary — stwierdził Neef. — A może cząsteczki pyłu. — Przypomniał sobie wzmiankę MacSweena na temat azbestu.

— Laboratorium nie wykryło w jej płucach śladów włókien — odparł Lennon. — Uważam więc, że możemy wykluczyć ciała stałe i wziąć pod uwagę tylko opary chemiczne.

— Od czego zacznie pan poszukiwania? — zapytał Neef.

Lennon uśmiechnął się.

— Dobre pytanie. Gdzie przeciętna mała dziewczynka, mieszkająca z mamą i tatą w domku na Langholm Crescent mogła się natknąć na silnie toksyczny gaz?

— W dzisiejszych czasach tyle się słyszy o wyrzucanych wszędzie, trujących odpadach chemicznych, że taki wypadek nie powinien nas właściwie zbytnio dziwić — powiedział Neef.

— Smutne, ale prawdziwe — przyznał Lennon, wstając z miejsca. — No cóż. Moim obowiązkiem jest znaleźć to cholerne źródło skażenia i ustalić, co to jest, zanim ucierpi ktoś jeszcze.

— Pracuje pan sam?

— Będzie nas trzech. Moi koledzy przesłuchują w tej chwili rodziców Melanie. Na podstawie ich zeznań spróbujemy odtworzyć, co działo się z dziewczynką w czasie ostatnich kilku tygodni i gdzie mogła ulec zatruciu.

— Z całego serca życzę panu powodzenia — zapewnił Neef.

— Dziękuję. Będę się z panem kontaktował — obiecał Lennon.

Zjawiała się Kate Morse i przyniosła pierwsze wydanie „Evening Citizen”.

— Bardzo źle to wygląda? — spytał Neef.

— Opublikowali tę historię, ale mogło być gorzej. Ona rzeczywiście zrobiła wszystko, żeby to nie wypadło tak strasznie.

— To dobrze.

— Zamieścili również wywiad z dyrektorem Kliniki Randolfa. Stwierdził, że istnieje mniej więcej jedna szansa na milion, żeby uratować Tracy. Ale gazeta nie omieszczała podkreślić, że oczywiście nawet z tak nikłej szansy trzeba skorzystać, gdy stawką jest życie dziecka. Ciekawe, na ile oceniają jego wartość? — zakończyła Kate celowo napuszonym tonem.

— Pewnie moglibyśmy im to wyliczyć co do pensa — odrzekł ironicznie Neef.

— W każdym razie, pielęgniarki chyba nie zlinczują panny Sayers, jeśli pozwolisz jej przyjść w odwiedziny do Neila — zapewniła Kate. — Mogło być na prawdę o wiele gorzej. — Położyła przed Neefem gazetę.

— Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji — odparł. — Ale dziękuję ci za to zapewnienie. Jutro spotykam się z ludźmi z Menogen Research, więc będę miał więcej wiadomości na temat tej próby. Umówiliśmy się rano.

— To dobrze — ucieszyła się Kate. — Wczoraj wieczorem mówiłam mojemu Charlie'emu jak wspaniale byśmy się poczuli, gdyby wszystko się powiodło.

— A nie czujesz się lepiej? — uśmiechnął się Neef.

Kiedy Kate wyszła, przeczytał artykuł i zgodził się z jej interpretacją: mogło być gorzej. Pojechał do domu w lepszym nastroju niż poprzedniego dnia.

Kiedy wszedł do domku nie zauważył nigdzie Dolly, ale nie zdziwił się, gdyż miała kilka ulubionych kryjówek. Zaglądał do nich po kolei. Za trzecim razem trafił. Leżała zwinięta na najwyższej półce bielizniarki i patrzyła na niego z góry.

— Cześć, Dols. Jak się miewasz? — zapytał. Odwrócił się i odszedł, zostawiając ją w spokoju. Wtedy usłyszał za sobą cichy odgłos miękkiego lądowania kocich łap na podłodze. Skoczyła z wysokości sześciu stóp niemal bezdźwięcznie. Napełnił jej miskę, nalał sobie drinka i odgrzał kolację w kuchence mikrofalowej. Włączył telewizor z przyjemną świadomością, że dzisiejszego wieczoru nie zobaczy w wiadomościach nikogo znajomego.

— Dużo lepszy dzień, Dols — stwierdził, gdy opróżnił szklankę i otworzył teczkę. Miał mnóstwo papierkowej roboty.



Następnego ranka Neef wcześniej przyjechał na spotkanie z przedstawicielami Menogenu. Ostatnio trzykrotnie spóźnił się na zebrania z dyrekcją i nie chciał całkiem zepsuć sobie reputacji. Zaraz po nim zjawił się Andrew D'Arcy, a później, nieskazitelny jak zwykle, Tim Heaton, którego po drodze atakowała Carol Martin, żądająca zwiększenia budżetu dla swego działu.

— Porozmawiaj z Phillipem — doradził Heaton i pozbywszy się zgrabnie szefowej personelu pielęgniarskiego przywitał się ze wszystkimi. Przybył rzecznik prasowy szpitala w towarzystwie dwóch obcych mężczyzn. Jednego z nich przedstawił jako Stevena Thomasa, dyrektora Menogen Research. Drugim był doktor Max Pereira, szef działu badawczego.

Thomas wyglądał jak biznesmen: miał na sobie garnitur i krawat i mówił z angielskim akcentem. Ale Pereira nosił dżinsy, pasiasty T-shirt, skórzaną kurtkę i берет. Ostatni zjawiał się Phillip Danziger i przeprosił za spóźnienie.

Tim Heaton, jako przewodniczący spotkania, powitał przedstawicieli Menogenu i ucieszył się, że ich wybór padł na św. Jerzego. Wyraził też nadzieję, że współpraca przyniesie obopólne korzyści. Neef zachował obojętny wyraz twarzy. Myślał o tym, że Heaton byłby doskonałym dyplomata, nawet ambasadorem. Wyobraził go sobie mówiącego: „Więzi łączące nasze dwa wielkie kraje... Valdovia zawsze zajmowała w naszych sercach szczególne miejsce...”

— To doktor Michael Neef, konsultant oddziału onkologii dziecięcej — wyrwał go z zamyślenia głos Heatona. — Z nim będziecie panowie współpracować.

Neef uśmiechnął się, a Pereira skinął mu głową. Thomas zachował się mniej powściągliwie.

Kiedy dokonano prezentacji, Heaton oznajmił:

— Proponuję następujący porządek naszego zebrania. Najpierw pan Thomas nakreśli w ogólnych zarysach, jak wyobraża sobie zasady współpracy i czego od nas oczekuje. Darujemy sobie terminologię fachową, jako że przynajmniej połowa z nas nie jest ani lekarzami, ani naukowcami. Potem doktorzy Neef i Pereira przedyskutują sprawy medyczne, a panowie Thomas i Danziger porozmawiają o liczbach. Następnie możemy odpocząć przy lunchu. Jeśli osiągniemy porozumienie, spotkamy się z komisją bezpieczeństwa i etyki. Jej członkowie zostali uprzedzeni i jeśli sprawa pozostanie aktualna, gotowi są zebrać się dziś po południu. — Spojrzał na Thomasa i Pereirę, po czym wyjaśnił: — Nasze wnioski rozpatruje miejscowa komisja etyczna czuwająca nad działalnością obu szpitali, św. Jerzego i Uniwersyteckiego. Składa się zarówno z laików, jak i wybranych przedstawicieli personelu medycznego z obydwu placówek. Zostaną panowie poproszeni o przedstawienie pozytywnych opinii dotyczących waszego projektu, a wydanych przez odpowiednie ciała nadzorcze.

— Mam wszystko tutaj — powiedział Thomas dotykając teczki.

— Dobrze.

— Czy mogę wiedzieć, kto będzie zasiadał w komisji z ramienia personelu medycznego Szpitala Uniwersyteckiego? — zapytał Neef.

Heaton zajrzał do leżących przed nim papierów.

— Dziekan tamtejszego wydziału medycyny, doktor Alan Brooks i kierownik zakładu biologii molekularnej, doktor Farro-Jones.

— David Farro-Jones? — upewnił się Pereira.

— Tak. Zna go pan? — zainteresował się Heaton.

— Po zrobieniu doktoratów obaj wylądowaliśmy w Johns Hopkins University w Baltimore — odparł Pereira z nowojorskim akcentem.

Neef od razu to poznał.

— Więc mówicie tym samym językiem — stwierdził Heaton.

Pozornie miał na myśli język fachowy, ale Neef zastanawiał się, czy Heaton nie powiedział tego dla żartu wiedząc, że zrozumieją go tylko ci z obecnych, którzy znają Davida Farro-Jonesa. Choć obaj posługiwali się angielskim, brytyjski akcent Farro-Jonesa różnił się znacznie od nowojorskiej wymowy Pereiry. Neefa zdziwił również wyraz twarzy Pereiry, gdy padło nazwisko Farro-Jonesa. Może było to tylko zaskoczenie, a może... coś więcej.

— A zatem, wszystkim odpowiada moja propozycja? — Heaton spojrzał kolejno na każdego z mężczyzn siedzących wokół stołu. — W takim razie, proszę, panie Thomas.

Steven Thomas przedstawił pokrótce historię Menogen Research. Fakty zgadzały się z relacją, którą dwa dni wcześniej przekazał Heatonowi i Neefowi Andrew D'Arcy.

— Mieliśmy szczęście mogąc trzy lata temu zatrudnić Maxa Pereirę i jego kolegów z kręgów naukowych. Ci błyskotliwi uczeni opracowali wiele strategii i wektorów rokujących nadzieję na pomyślne dostarczenie funkcjonalnego materiału genetycznego tym częściom ludzkiego ciała, gdzie jest on najbardziej pożądanym. Testy laboratoryjne na zwierzętach dały zachęcające wyniki i nadszedł wreszcie czas, by zastosować tę technologię w praktyce. Uzyskaliśmy wszystkie wymagane certyfikaty bezpieczeństwa i zgodę komisji etycznych szczebla państwowego. Teraz zależy nam na współpracy z tak liczącym się szpitalem jak Szpital św. Jerzego i z jego personelem, szczególnie z doktorem Neefem i oddziałem onkologii dziecięcej. Uważam, że razem jesteśmy w stanie dać miłowy krok na drodze rozwoju medycyny.

— Dziękuję, panie Thomas — powiedział Tim Heaton wstając z miejsca. Natomiast Thomas usiadł przy uprzejmym aplauzie zebranych. — Myślę, że wszyscy mamy to samo odczucie.

Neef uśmiechnął się do Pereiry.

— Proszę ze mną, doktorze. Oprowadzę pana po oddziale. Pozna pan pacjentów.

4

— Może najpierw porozmawiamy, zanim zaprowadzę pana na oddział — zaproponował Neef.

— Jak pan sobie życzy — zgodził się Pereira.

Był prawie stopę niższy od Neefa, mimo że nosił kowbojskie buty na wysokich obcasach. Kiedy przemierzali podwórze, ledwo mógł dotrzymać Neefowi kroku. Poza tym Pereira dźwigał wielką sfatygowaną teczkę z pozostałościami wielu nalepek lotniczych na wierzchu.

Neef przedstawił go Ann Miles i zapytał, czy mogłaby zrobić kawę.

— Oczywiście! — odrzekła. — Jaką pan lubi, doktorze Pereira?

— Z mlekiem i dużą ilością cukru — odpowiedział nie odwracając się do niej twarzą. Zdjął skórzaną kurtkę, ale pozostał w berecie.

Zanim Ann Miles zamknęła za sobą drzwi wymieniła z Neefem rozbawione spojrzenia.

— Ma pan kwalifikacje medyczne? — zapytał Neef.

Pereira zaprzeczył ruchem głowy.

— Pierwszy stopień naukowy otrzymałem z mikrobiologii, potem zrobiłem doktorat na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, następnie miałem wykłady na Harvardzie i Johns Hopkins University, wreszcie podjąłem pracę w Menogenie.

— Jest pan biologiem molekularnym?

— Owszem, ale do tej specjalności trafiają ludzie z różnych dziedzin nauki. Początkowo byłem wirusologiem, natomiast David Farro-Jones jest doktorem medycyny, jeśli się nie mylę.

— Nie myli się pan — potwierdził Neef. — Choć on wciąż powtarza, że biologia molekularna jest nauką przyszłości.

— Ma rację — odparł Pereira.

— Ale bez kwalifikacji lekarskich, nie będzie pan mógł się samodzielnie zajmować pacjentami.

Pereira roześmiał się głośno.

— To rozumiąłem. Nie potrafię nawet przykleić plastra na skaleczony palec. Z drugiej strony, wiem o wirusach znacznie więcej, niż przeciętny medyk.

Teraz z kolei Neef się uśmiechnął.

— Zatem działamy jako zespół.

— Absolutnie!

— Niech mi pan wobec tego dokładnie wyjaśni, o co chodzi. Chcę poznać całą teorię i zrozumieć wszystko, zanim zgodzę się na cokolwiek.

— A co pan wie o terapii genowej?

— Że polega ona na wprowadzeniu nowych genów do komórek pacjenta, a to przedstawia pewien problem. Poza tym niewiele.

Pereira skinął głową.

— Skonstruowanie działającego genu w warunkach laboratoryjnych nie jest trudne. Jak pan słusznie zauważył, problemy stwarza nam dostarczenie go do komórek pacjenta. Nie możemy po prostu wszczepić kopii tego genu do poszczególnych komórek. Musielibyśmy robić to sto milionów razy, by chociaż zacząć oddziaływać na nowotwór. Dlatego musi to za nas zrobić natura. Jako wektorów transportujących używamy wirusów.

— Żywych wirusów? — zapytał Neef.

— Tak. Tyle że unieszkodliwionych — wyjaśnił Pereira. — Uszkodzamy taki wirus genetycznie, żeby nie był zdolny do replikacji w ciele pacjenta, potem wprowadzamy do niego nowy gen w laboratorium, a następnie pozwalamy mu wykonać resztę za nas. Wirus dostarcza gen do komórek pacjenta.

— Rodzaj miejscowej infekcji?

— Jesteśmy w domu.

— Brzmi to dość prosto — stwierdził Neef. — Gdzie zatem czyhają pułapki?

— Jest ich mnóstwo — przyznał Pereira. — Wirusy pozostaną zawsze wirusami, obojętnie czy unieszkodliwione, czy nie. Jeśli użyjemy zbyt dużo cząsteczek wirusa, pacjent może źle reagować na wprowadzenie nowych, obcych protein. Zwłaszcza, gdybyśmy musieli powtarzać kurację.

— Wstrząs anafilaktyczny?

— Istnieje takie niebezpieczeństwo. Z drugiej strony, jeśli weźmiemy za mało cząsteczek, całe przedsięwzięcie może się nie udać. Jest jeszcze kilka innych rzeczy, o których powinienem pana uprzedzić, jeśli pan o nich nie wie.

— Proszę mi powiedzieć o wszystkim.

— Chociaż używamy wirusów uszkodzonych, czyli pozbawionych mechanizmu replikującego, niektórzy naukowcy sugerują, że mogą się one uaktywnić w ciele pacjenta przez odzyskanie brakujących elementów.

— Chyba nie rozumiem? Jak?

— Jako wektorów przenoszenia genów używamy wielu pospolitych wirusów. Większość z nas była już nimi zakażona podczas kataru albo grypy. Niepokój wzbudza to, że w organizmie niejednego z nas wciąż czają się pojedyncze cząsteczki żywych wirusów. Jeśli okaleczony wirus, służący jako wektor, natrafi na jedną z nich, może się reaktywować poprzez rekombinację DNA.

— Ma pan na myśli to, że odzyska dawną sprawność i wywoła infekcję na pełną skalę.

— Właśnie. Ale znając problem jest się w połowie drogi do jego rozwiązania, jak mawiała moja babcia. W Menogenie wykorzystujemy retrowirusy, które nie powodują tego zagrożenia, za to stwarzają inne.

— Powinienem je znać?

— Owszem — odrzekł Pereira. — Zaletą stosowania retrowirusów jest to, że integrują się one z chromosomami komórki gospodarza. Wadą zaś, że według niektórych wywołują raka.

— Czytałem o tym — przyznał Neef.

— Ale w wypadku pańskich pacjentów to nie stanowiłoby problemu. Już go mają.

Pereira otworzył teczkę i zaczął przerzucać jej zawartość. Neef przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Nie mógł wyrobić sobie zdania na temat tego człowieka. Na pewno bardzo się różnili. W końcu spojrzał mu prosto w oczy.

— Jakie właściwie są szanse na to, że terapia genowa rzeczywiście pomoże moim pacjentom?

— Nie jest pan pewien, czy warto próbować?

— Nie jestem pewien, czy nie chodzi panu tylko o zebranie większej ilości danych na temat pańskich wirusowych wektorów.

— Mam nadzieję, że uda się jedno i drugie — odparł Pereira.

— Muszę znać prawdę — nie ustępował Neef.

Pereira wyczuł, że ważą się losy wielkiego przedsięwzięcia. Przestał grzebać w teczce i powiedział:

— No dobrze. Przyznaję, że chętnie przeprowadziłbym dodatkowe eksperymenty z użyciem neomycyny, żeby się przekonać, jak rozprowadzane są w ciele wektory.

— Nie — odpowiedział kategorycznie Neef.

— Dlaczego?

— Dorośli pacjenci chorzy na raka są w stanie sami zdecydować, czy mają pomóc w rozwoju medycyny nic na tym nie zyskując. Dzieci nie.

— Ale ich rodzice...

— Chwycą się każdej szansy, nie zdając sobie w pełni sprawy z konsekwencji. Dlatego to ja muszę podjąć ostateczną decyzję. I moja odpowiedź brzmi: „nie”. Żadnych eksperymentów mających na celu uzyskanie nowych danych.

Pereira westchnął i na chwilę spuścił głowę.

— Więc jak się umawiamy?

— Umawiamy się, że jeśli poddamy moich pacjentów terapii genowej i wszczepimy im wektory, to muszą one dostarczyć do organizmu zdolne do życia geny, stwarzające realną szansę na poprawę stanu zdrowia chorych dzieci. Ma pan takie wektory?

— Tak, chyba tak... — odrzekł Pereira. — Powinny być skuteczne. Uważam, że jeśli wybierzemy właściwych pacjentów i stworzymy im odpowiednie warunki, to nam się powiedzie. Myślę, że w końcu uda się nam chwycić raka za gardło.

— Naprawdę pan w to wierzy?

— Naprawdę.

Neef nie był o tym do końca przekonany. Skinął głową.

— W porządku. Niech pan mi teraz opowie o efektach ubocznych tej terapii.

— Właściwie nie powinno być żadnych. Na pewno nie wystąpią takie, jak przy standardowej chemioterapii.

— To dobrze. Możemy teraz przejść do szczegółów? Jaki gen zamierza pan wprowadzić i dlaczego?

Pereira wyciągnął spośród sterty papierów kilka diagramów i podsunął je Neefowi.

— W odpowiednich przypadkach użylibyśmy unieszkodliwionego wirusa białaczki ze zmienionymi proteinami osłonki, przenoszącego gen kinazy tymidynowej, w skrócie gen KT. Wstrzyknęlibyśmy go bezpośrednio do nowotworu. Wirus zakaża tylko komórki ulegające podziałowi, więc w wypadku nowotworu mózgu jedynie komórki nowotworowe przyjąłby gen KT. Potem leczylibyśmy pacjenta podając gancyclovir. Lek ten zabija tylko komórki zawierające funkcjonujący gen KT.

— Brzmi to dość prosto. Jest pan pewien, że zostaną zabite tylko komórki nowotworowe?

— Tak mówi teoria.

Neef zastanawiał się, czy odpowiedź Pereiry nie była czasem wymijająca, ale chwilowo nie naciskał go dalej.

— A w innych wypadkach? — spytał.

— Menogenowi udało się stworzyć wiele pseudotypowych wirusów bazujących na tym, o którym wspomniałem. Wszystkie mają zmienione proteiny osłonki, co powoduje zróżnicowanie ich pokrewieństwa. To tylko kwestia doboru właściwego wektora do właściwego nowotworu.

— No dobra — powiedział Neef po chwili namysłu. — Dosyc tych naukowych wywodów. Chodźmy.



Spotkanie z Pereirą nieco zaskoczyło siostry oddziałowe i wprawiło je w nieme zakłopotanie. Neef zastanawiał się, jak na jego widok zareagują pacjenci. Dzieci potraktowały go z taką samą rezerwą jak pielęgniarki. Zdawały się wyczuwać, że jego uśmiech nie jest szczery, a niezgrabne próby rozbawienia ich spełzły na niczym.

— Mam nadzieję, że się do niego przyzwyczaję — zwierzyła się Kate Morse stojąc obok Neefa i obserwując Pereirę przez szybę.

— Ja też — uśmiechnął się Neef. — Ale Bóg raczy wiedzieć, jakie wrażenie wywrze na komisji etycznej.

— Był tu Beavis. Oglądał Thomasa Downy — poinformowała go Kate. — Ma zamiar porozmawiać z tobą sam, ale...

— Operacja jest niemożliwa?

— Obawiam się, że nie.

— Cholera. Myślałem, że może jednak Beavis spróbuje.

— O czwartej przyjdą rodzice Thomasa. Zobaczysz się z nimi, czy Lawrence ma im to powiedzieć?

— Ja to zrobię — Neef westchnął z rezygnacją. — Do tego czasu powinienem wrócić.

Pereira wciąż przebywał z dziećmi, więc Neef zadzwonił ze swego gabinetu do Tima Heatona.

— Jak na razie, jestem za tym, żeby spróbować — zakomunikował. — Pereirę trochę trudno strawić, ale chyba wie, co mówi.

— Dobrze — odrzekł Heaton. — Andrew i Phillip dogadali się w sprawach finansowych. Spróbuję zwołać komisję etyczną na drugą trzydzieści. Może zjemy wszyscy razem wczesny lunch? Powiedzmy, o dwunastej trzydzieści?

— Świetnie.

Po bezowocnych usiłowaniach, aby nawiązać kontakt z pacjentami, Pereira wrócił do biura Neefa.

— Trudno — oświadczył rozkładając ręce. — Nie jestem Michaeliem Jacksonem, tylko naukowcem.

— Nie każdy potrafi znaleźć z dziećmi wspólny język — pocieszył go Neef, uśmiechając się pobłaźliwie.

— Nie czuję do nich niechęci — wyjaśnił Pereira. — Tylko nie umiem udawać. Co w tym złego?

— Chyba nic, ale lubię znać motywy kierujące ludźmi, z którymi mam pracować.

— To musi być trudne, skoro większość ludzi w tej branży nie mówi prawdy.

— Cyniczne spojrzenie.

— Realistyczne. Z doświadczenia wiem, że ludzie zostają lekarzami, bo wyobrażają sobie, iż to zapewni im wygodne życie, pozycję społeczną, dobry samochód, członkostwo w klubie golfowym i tak dalej. Najmniej liczy się to, że mogą pomóc chorym. Ale cieszą się dobrą opinią, to muszą im oddać. Większość ludzi wierzy, że przejmują się swoją rolą.

Neef był zaskoczony i jednocześnie zdziwiony. Słowa Pereiry brzmiały tak, jakby żywił do kogoś urazę. Ale wcale nie mówił tego z zawziętością, lecz zupełnie beznamiętnie.

— Więc z jakich pobudek działa naukowiec zajmujący się medycyną? — spytał.

Pereira uśmiechnął się.

— Ludzie lubią wierzyć w niezachwianą wolę leczenia chorób i niesienia ulgi w bólu i cierpieniu, ale tak nie jest. O nie! Naukowcy to tacy sami ludzie, jak inni. Też dręczą ich sny o zrobieniu kariery i osiągnięciu wysokiego statusu w świecie nauki, o sławie i majątku.

— Brzmi to dość przerażająco.

— Ale tylko tak brzmi — odparł Pereira. — W praktyce, z punktu widzenia pacjenta ten cały system działa bardzo dobrze.

— Jak to?

— Naukowcy urabiają sobie ręce po łokcie nie dlatego, że chcą pomóc chorym, ale dlatego, że każdy pragnie być najlepszy. Za drugie miejsce na mecie nie przyznają w tym wyścigu nagród. Wszyscy oni wiedzą doskonale, że oprócz nich cała banda innych facetów robi dokładnie to samo, przeprowadza takie same eksperymenty. To znaczy, że trzeba się śpieszyć, wykonać robotę możliwie jak najszybciej. Ale jednocześnie, jak najdokładniej i rzetelnie, bo konkurenci tylko czekają na to, żeby wziąć pod lupę opublikowane wyniki badań i znaleźć w nich błędy. A kiedy wyłapią pomyłkę lub nie uzasadniony wniosek, ukrzyżują autora. Nie da się więc iść na skróty. Zyskują na tym pacjenci.

— Odmalowuje pan prawdziwy, choć nieco przygnębiający obraz rzeczywistości — stwierdził Neef z gorzkim uśmiechem.

— Takie są fakty — odparł Pereira. — To leży w ludzkiej naturze. Ja to akceptuję. Wielu ludzi jednak nie potrafi, muszą ubierać motywy swego działania w całą masę szlachetnie brzmiących bzdur.

— A tak między nami, Max... — doradził Neef — nie wychylałbym się z tym przed komisją etyczną. Jej członkowie mogliby to wziąć do siebie.

— Dzięki za ostrzeżenie.



Mniej więcej w połowie lunchu odezwał się pager. Neef przeprosił wszystkich i poszedł zadzwonić na oddział.

— Właśnie mieliśmy przeniesienie ze Szpitala Ogólnego na East Side — usłyszał głos Lawrence’a Fieldinga. — Powinieneś tu przyjść.

Neef szybko wrócił na oddział i znalazł Fieldinga w pracowni obok dyżurki. Cała jedna ściana długiego, wąskiego pomieszczenia wykonana była z półprzezroczystego plastyku, a za nią znajdowało się źródło fluorescencyjnego światła. Umożliwiało to dokładne badanie rozwieszonych scyntygramów i zdjęć rentgenowskich.

— Co tam masz? — zapytał Neef zauważwszy, że Fielding ogląda przez lupę trzy zdjęcia.

— Jane Lees, lat czternaście — odrzekł Fielding. — Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, zwłaszcza u dziecka. Ma wielokrotne nowotwory na obu płucach.

Neefa ogarnęło nagle złe przeczucie. Fielding powiedział mniej więcej to samo, co poprzednio Frank MacSween o Melanie Simpson.

— Ja widziałem... — powiedział, gdy wziął od Fieldinga lupę i przyjrzał się bliżej zdjęciom rentgenowskim. — Widziałem dokładnie to samo na patologii w poniedziałek. Frank MacSween robił sekcję zwłok pacjentki Szpitala Uniwersyteckiego, trzynastoletniej dziewczynki. Została przyjęta z obustronnym zapaleniem płuc, ale laboratorium nie znalazło żadnych bakterii. Zmarła i uznano, że to był wirus.

— I nie zdawali sobie sprawy, że miała również raka?

— Nie, dopóki Frank nie otworzył ciała. Musieliśmy wezwać Wydział Zdrowia ze względu na rozległość nowotworu złośliwego. A to wygląda na przypadek numer dwa.

— I to bardziej, niż myślisz.

— Nie rozumiem...

— Jane przyjęto do Szpitala Ogólnego na East Side również z obustronnym zapaleniem płuc, wyobrażasz sobie?! — wyjaśnił Fielding. — I też nazwali to zapaleniem wirusowym, bo nie mogli znaleźć żadnej bakterii! Tylko w przeciwieństwie do tamtej dziewczynki, Jane wyleczyła się z ostrego zapalenia płuc. Ale ponieważ zdjęcia wykazały obecność nowotworów, przeniesiono ją tutaj. Wcześniejsze zdjęcia rentgenowskie były nieostre z powodu nadmiaru śluzu i stanu zapalnego. Przypuszczam, że tak musiało być również w przypadku pierwszej dziewczynki.

— Zapewne — zgodził się zamyślony Neef. — Zadzwonź do Wydziału Zdrowia. Poproś doktora Lennona i wyjaśnij mu, co się stało. Im wcześniej zacznie szukać przyczyny, tym lepiej.

— Załatwione — odrzekł Fielding.

— Jaki jest stan tej małej?

— Teraz nie cierpi, ale kiedy te nowotwory naprawdę dadzą o sobie znać, nie będziemy w stanie wiele jej pomóc.

— Zrobimy, co się tylko da — Neef położył rękę na ramieniu Fieldinga. — Jak zawsze.



Zanim Neef wrócił do bloku administracyjnego, było po lunchu. Chciał sam zobaczyć Jane Lees przed opuszczeniem oddziału, a to zajęło mu dobre trzydzieści minut. Choć dziewczynka ciężko chorowała, pozostawała przytomna i Neef miał nadzieję, że może będzie w stanie choć częściowo wyjaśnić, gdzie, kiedy i w jaki sposób zetknęła się z czynnikiem rakotwórczym, na którego działanie musiała się narazić ona i Melanie Simpson.

Ale nie dowiedział się niczego. Jane Lees mieszkała bowiem w innej części miasta niż Melanie, i dziewczynki się nie znały. Neef zastanawiał się nad tym, wbiegając po schodach bloku administracyjnego na spotkanie z komisją etyczną.

— Jakies problemy? — zapytał Tim Heaton, który właśnie zamierzał wyjść razem z Phillipem Danzigerem. Ich obecność przed komisją nie była konieczna.

— Nie ma dnia, żeby ich nie było — odparł Neef. Nie chciał wdawać się w rozmowę z Heatonem na temat dwóch dziewczynek, dopóki sam wszystkiego spokojnie nie przemyśli.

— Życie nie jest łatwe — stwierdził z uśmiechem Heaton, spojrzął na zegarek i oddalił się, niemal zapominając o podążającym za nim Danzigerze.



W komisji etyki i bezpieczeństwa zasiadali dwaj duchowni, rzymskokatolicki kapelan Szpitala Uniwersyteckiego i kapelan kościoła anglikańskiego Szpitala św. Jerzego, dziekan wydziału medycyny na Uniwersytecie — Alan Brooks, major Ronald Jackson — miejscowy sędzia, doktor David Farro-Jones — wykładowca biologii molekularnej na wydziale medycyny Uniwersytetu i panna Emma Taylor — organizatorka lokalnego koła Wolontariuszek Królewskich. Komisji przewodniczył major Jackson. Przez cały czas obecni byli Steven Thomas, Max Pereira i Neef, Andrew D’Arcy zaś pozostawał do dyspozycji pod telefonem. Każdy z członków komisji miał przed sobą kopię wniosku.

Na wstępie Jackson poprosił o przedstawienie pozytywnie zaopiniowanych podań, które Menogen skierował wcześniej do władz wydających stosowne zezwolenia na szczeblu państwowym.

Thomas wręczył mu kolejno kilka dokumentów wyjaśniając, czego dotyczą:

— Nasz formalny wniosek, który już państwo macie, jak sędzę; zgoda Agencji Kontroli Leków i świadectwo Krajowego Komitetu Doradczego do spraw Terapii Genowej.

— Dziękuję, panie Thomas. To niezbędna formalność, rozumie pan.

— Oczywiście.

— Zdążyłem się zorientować, że do proponowanej terapii nie zostanie wykorzystany żaden ludzki materiał genetyczny, prawda?

— Jak najbardziej — odpowiedział Max Pereira.

— To znacznie ułatwia nam zadanie — stwierdził Jackson. — Jaki zatem gen zamierza pan zastosować w przypadku naszych pacjentów?

— Kinazy tymidynowej, pobrany z wirusa opryszczki. W skrócie gen KT.

— Czy to nie jest niebezpieczne? — zapytała Emma Taylor.

Neef przestraszył się, że Pereira będzie w stosunku do niej niegrzeczny, ale jego obawy się nie sprawdziły.

— Nie, proszę pani — padła odpowiedź. — To tylko gen z wirusa opryszczki, nie sam wirus. Jego obecność sprawi, że komórki nowotworu staną się uczulone na lek zwany gancyclovir, więc kiedy podamy pacjentowi ten specyfik, zabije on nowotwór.

— Rozumiem... — powiedziała niezbyt pewnie Emma Taylor.

Major Jackson zwrócił się do duchownych:

— Czy są może jakieś pytania?

Obaj przecząco pokręcili głowami.

— Nie mamy zastrzeżeń — odrzekł ksiądz kościoła rzymskokatolickiego. — Oby to się powiodło.

— Może zatem oddani głos doktorowi Farro-Jonesowi, naszemu ekspertowi. Podobno znacie się, panowie?

— W istocie, majorze — przyznał Farro-Jones i spojrzał na Pereirę. — Jak się masz, Max? Nie widzieliśmy się spory kawałek czasu.

— U mnie wszystko w porządku. Cieszę się z naszego spotkania, Davidzie.

Neef mimo woli porównywał wygląd obu mężczyzn. Różnice były uderzające.

Farro-Jones miał sylwetkę sportowca, blond włosy i przewyższał dawnego kolegę wzrostem. Posiadał dużo uroku osobistego i mówił z akcentem zdradzającym absolwenta szkoły prywatnej i dobrej uczelni. Pereira przypominał smagłego żeglarza, był niski, a jego język bardziej pasowałby do nowojorskiego taksówkarza.

— Wiesz, Max, trochę niepokoi mnie wektor, którego chcesz użyć do transferu twojego genu. To renowirus wywołujący białaczkę, prawda?

Na dźwięk słowa „białaczka” wszyscy zebrani wokół stołu czujnie nastawili uszu.

— To standardowy wektor Moloney’a — wyjaśnił Pereira. — Używany już od jakiegoś czasu. W laboratorium nigdy nie stwarzał problemów, a my unieszkodliwiliśmy go jeszcze bardziej.

— Tak, widzę... — Farro-Jones zawahał się i zajął do leżących przed nim papierów.
— Jednak zmieniliście również proteiny osłonki.

— Dzięki naszym zabiegom stał się bardziej skuteczny, a ponieważ posiadamy cały zestaw, również bardziej specyficzny. Czyż nie chodzi nam o to, żeby mieć sprawnie działające wektory, które można skierować do ściśle określonych nowotworów?

— Zgoda — przyznał Farro-Jones. — To wygląda bardzo przekonująco na papierze, ale jednak obawiam się, czy jest bezpieczne.

Neef nie spodziewał się, że David Farro-Jones okaże się tak powściągliwy. Raczej oczekiwał jego poparcia, zwłaszcza, że Farro-Jones był biologiem molekularnym jak Pereira i sam zajmował się wdrażaniem terapii genowej w Szpitalu Uniwersyteckim. Postanowił zareagować.

— Czy wektor Menogenu tak znacznie różni się od tego, którego ty i twoi koledzy używaliście podczas prób leczenia mukowiscydozy?

— Owszem — odrzekł Farro-Jones. — Nasza metoda opierała się na wykorzystaniu liposomów, ponieważ uważaliśmy to za bezpieczniejsze od stosowania żywych wirusów.

— Ale nie wyszło, co? — zagadnął Pereira.

— Niestety — przyznał Farro-Jones. — Rozumiem, o co ci chodzi — dodał z uśmiechem. — My też musimy zwrócić się ku wektorom wirusowym, tyle że bezpieczniejszym.

Zapanowała chwila krępującej ciszy, zanim inicjatywę przejął Steven Thomas.

— Panie i panowie. Musi nadejść moment, kiedy wszelkie możliwe próby i testy bezpieczeństwa bez angażowania czynnika ludzkiego zostają zakończone. Uważam, że jeśli chodzi o wektory, to my w Menogenu znaleźliśmy się właśnie w takim momencie.

— Niepokoją mnie jedynie aspekty bezpieczeństwa — wyznał Farro-Jones. Odwrócił się do swoich kolegów z wymowną miną. — Przecież najważniejsze musi być dla nas dobro pacjentów. Jak to kiedyś ujęła Florence Nightingale: „Podstawowym obowiązkiem szpitala jest nie szkodzić swoim pacjentom”.

Wszyscy uśmiechnęli się uprzejmie.

— Na wniosku nie ma nazwisk pacjentów — zauważył Jackson. — Chcecie mieć w tym względzie swobodę, panowie?

— Doktor Pereira i ja uzgodnimy te nazwiska — odrzekł Neef.

— Jak rozumiem, prosicie o pozostawienie tej kwestii otwartej, gdyż dzieci, które będą poddane kuracji, są w ostatnim stadium choroby?

— Tak jest. Zrobiłem jednak zastrzeżenie, że żadne dziecko nie posłuży wyłącznie do zbierania danych naukowych. Każde poddane zostanie kuracji jedynie w celu uzyskania poprawy stanu jego zdrowia.

Jackson skinął głową i odwrócił się do kolegów.

— Jestem skłonny zgodzić się z panem Thomasem. Myślę, że czas nadszedł.

Wniosek został rozpatrzony pozytywnie. Członkowie komisji wstali, a David Farro-Jones podszedł do Pereiry i Neefa.

— Przepraszam Max, jeśli trochę się czepiałem. Po prostu nie jestem pewien, czy te nowe wektory są bezpieczne.

— Musiałeś powiedzieć to, co uważasz — Pereira wzruszył ramionami.

— Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu?

— Nie. Doceniam twoją troskę, ale my jesteśmy pewni, że one są bezpieczne i użyjemy ich.

— Pozwól więc, że pierwszy będę ci życzył powodzenia — powiedział Farro-Jones.

— A jeśli byś potrzebował jakiegokolwiek pomocy, sprzętu czy pomieszczenia laboratoryjnego, zadzwoń do mnie. Michael wie, jak mnie złapać.

— Oczywiście — potwierdził Neef.

— Wielkie dzięki, Davidzie. Doceniam to — podziękował Pereira.

— Musimy zjeść razem kolację i pogadać o starych czasach. Co ty na to?

— Chętnie.

— Miły facet — stwierdził Neef, gdy Farro-Jones ich pożegnał.

— Taaa... — westchnął Pereira. — To kiedy na poważnie zabieramy się do roboty?

— Może w poniedziałek?

— W porządku. Zaczę przenieść sprzęt podczas weekendu. A później zajrzałym na twój oddział, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Jasne, że nie. Powiem wszystkim, że przyjdiesz.

— I chciałbym wziąć do przejrzenia kopie papierów któregoś z pacjentów. Najlepiej tego, który twoim zdaniem najbardziej skorzystałby na tej terapii.

— Możemy to załatwić zaraz, jeśli chcesz. Zostało mi jeszcze trochę czasu przed spotkaniem z rodzicami pewnego chłopca.

— Masz im do przekazania złe wieści?

— Niestety. Ich syn ma nowotwór mózgu. Nie do zoperowania.

— A to ścierwo — orzekł Pereira. — Nie można do niego dotrzeć?

— Usadził się w mózdzku. Myślałem, że to trudny przypadek, ale nie beznadziejny. Tymczasem nasz neurochirurg wolał nie ryzykować.

— Bał się, że stanie przed sądem?

— Nie przypuszczam, by o to mu chodziło — odrzekł chłodno Neef. Nie spodobała mu się interpretacja Pereiry.

— W takim razie, przepraszam — wycofał się Pereira czując, że uraził Neefa. — Może w Anglii inaczej to wygląda.

Neef nie odpowiedział, ale dało mu to do myślenia. Może tutejsi chirurdzy nie obawiali się sądu w takim stopniu, jak ich amerykańscy koledzy, ale wszystko zmierzało w tym kierunku. I dotyczyło to nie tylko chirurgów. Jego własne ubezpieczenie od takiej ewentualności drastycznie wzrosło w ostatnich kilku latach.

— Jeżeli uważałeś, że nowotwór tego chłopca to tylko trudny przypadek, to może jednak jest do niego dostęp? — zasugerował Pereira.

— Może, tylko że nie ja wezmę do ręki skalpel. A dlaczego pytasz?

— Nie sądzisz, że udałoby się dotrzeć do niego igłą?

— Nie zastanawiałem się nad tym — przyznał Neef. — Myślisz o włączeniu tego chłopca do terapii?

— Wygląda mi na kandydata — odparł Pereira.

Neef nagle poczuł się lepiej. Zawsze był niespokojny przed spotkaniem z rodzicami, jeśli musiał im przekazać złe wiadomości, mimo że robił to już setki razy. Nieprzyjemnie ssało go w żołądku. Dzisiaj tym bardziej, bo nie zjadł lunchu. Pereira nieoczekiwanie dał mu promyk nadziei. Ale musiał pamiętać o tym, żeby bardzo uważać rozmawiając z matką i ojcem Thomasa Downy. Jeśli w niego samego wstąpiła otucha, to jak zareagowałiby rodzice chłopca usłyszawszy, że istnieje jednak szansa? Obiecywanie, nawet mgliste, że cokolwiek da się zrobić, byłoby niewybaczalne.

Neef i Pereira wertowali kartotekę pacjentów, gdy zajął do nich Fielding.

— Udało mi się złapać Lennona w Wydziale Zdrowia — oznajmił. — Był wstrząśnięty, gdy usłyszał, że zdarzył się drugi przypadek.

— Nie dziwię się — odrzekł Neef. — Posunął się naprzód w sprawie Melanie Simpson?

— Ani o krok — odpowiedział Fielding. — Ale uważa, że drugi przypadek mógłby mu pomóc, gdyby zdołał ustalić, co te dwie dziewczynki miały ze sobą wspólnego. Zamierzał porozmawiać dziś po południu z rodzicami Jane Lees i może z samą Jane, jeśli pozwolisz.

— Jeżeli dziewczynka będzie w stanie — zastrzegł Neef. — Widziałem się z nią w porze lunchu, ale nie dowiedziałem się niczego. Nigdy nie słyszała o Melanie Simpson.

— Jezu! — wykrzyknął Pereira, gdy natrafił na kartę choroby Jane Lees i zobaczył jej zdjęcia rentgenowskie. — Czy to jest dziecko, o którym właśnie mówicie?

— Tak. To już drugi taki przypadek w ciągu tygodnia. Dziewczynki najwyraźniej zostały wystawione na działanie silnego czynnika rakotwórczego. Ludzie z Wydziału Zdrowia usiłują go wytropić. Jane Lees chyba nie będziemy mogli poddać terapii genowej?

— Nie, stary — Pereira pokręcił głową. — Niezbyt wiele dokonano na polu laboratoryjnego zbadania raka płuc i fakt, że mamy do czynienia z wielokrotnymi nowotworami wyklucza taką możliwość. Poza tym, wydaje mi się, że temu dziecku nie pozostało już dużo czasu. Co za koszmar!



Pereira wyszedł za pięć czwarta, a Neef wrócił do swego gabinetu, by przygotować się do spotkania z rodzicami Thomasa Downy. Włożył czysty biały fartuch, poprawił krawat i upewnił się, czy ma na biurku pod ręką pudełko chusteczek higienicznych. Punktualnie o czwartej Ann Miles wprowadziła państwa Downy. Stanowili sympatyczną parę i dla dodania sobie otuchy trzymali się blisko siebie. Neef widział to już wiele razy. Kiedy usiedli, przysunęli się z krzesłami do siebie, by móc trzymać się za ręce. Z uwagą słuchali słów Neefa.

— Obawiam się, że nie mam dla państwa dobrych wiadomości — uprzedził i niemal poczuł, jak nadzieje tych dwojga ludzi rozwiewają się, a ich modlitwy ulatują w próżnię. — Nasz neurochirurg, pan Beavis badał Thomasa dziś rano i z przykrością stwierdził, że niestety tego nowotworu nie można usunąć.

— Och mój Boże! — szepnęła pani Downy.

Mąż otoczył ją ramieniem i mężnie wytrzymał spojrzenie Neefa.

— Rozumiem — powiedział. — Więc nic już dla niego nie można zrobić?

— Bardzo mi przykro, ale możemy jedynie sprawić, żeby nie cierpiał.

Pani Downy zaczęła łkać. Po policzkach jej męża spłynęły łzy, choć starał się zachować zewnętrzny spokój. Neef poczuł, jak coś ściska go za gardło.

— Jak długo to potrwa, doktorze?

— Trudno powiedzieć. Raczej tygodnie, niż miesiące — odrzekł Neef. — Naprawdę, strasznie mi przykro.

— Dziękuję — powiedział pan Downy.

Neef podsunął małżeństwu pudełko chusteczek.

— Niestety, taka jest rzeczywistość — wyjaśnił. — Przepraszam, że musiałem być tak brutalnie szczery. Chciałem, żeby państwo dobrze zrozumieli sytuację, zanim powiem to, co zamierzam.

— To znaczy?

— Mój oddział weźmie udział w wypróbowaniu nowego i nieznanego jeszcze szerzej sposobu leczenia raka. Nazywa się on terapią genową. Nie sprawdzono jeszcze tej metody. To kuracja eksperymentalna i może okazać się niebezpieczna, ale jeśli państwo się zgodzą, chciałbym poddać takiemu leczeniu Thomasa. Muszę zaznaczyć, że nie jestem w stanie obiecać, iż powróci do zdrowia. Nie wiemy, czego należy się spodziewać. Ale za państwa zgodą możemy przynajmniej spróbować.

Po twarzach Downy'ów przestały spływać łzy. Wyraz bólu ustąpił miejsca nadziei.

— Oczywiście, panie doktorze — oświadczył ojciec chłopca. Zapewne mówił również w imieniu żony.

— Jeszcze raz podkreślam — przypomniał Neef — że można mieć nadzieję, jednak rozsądniej będzie przygotować się z awansu na najgorsze.

5

Ann Miles trzymała na linii Ewę Sayers. Neef skrzywił się i klepnął dłonią w czoło, kiedy mu o tym powiedziała. Na śmierć zapomniał, że dziennikarka miała dzisiaj dzwonić. Skinął Ann głową i odebrał telefon.

— No więc? Mogę go odwiedzić? — zapytała Ewa z wyczuwalną obawą w głosie.

— Szczerze mówiąc, Ewo... — wyznał Neef — nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanowić. Właśnie mamy zacząć tę nową terapię, o której wspominałem. Dziś po południu dostaliśmy ostateczną zgodę.

— To brzmi podniecająco. A co do Neila... — Ewa nie zamierzała rezygnować.

— Pod pewnymi warunkami.

— Na przykład?

— Muszę mieć twoje zapewnienie, że złożysz tu wizytę jako osoba prywatna, nie jako dziennikarka.

— W porządku.

— I jeśli zaczniesz odwiedzać Neila, to nie przestaniesz.

— Nie rozumiem. Co masz na myśli?

— Nie ma niczego niezwykłego w tym, że ludzie chcą odwiedzać chore dzieci, zwłaszcza te nieuleczalnie chore. Ale zazwyczaj dyktują własne warunki. Przychodzą, kiedy im to odpowiada, a potem nie pojawiają się całymi tygodniami, kiedy nie mają ochoty.

— Nie należę do takich osób — wyjaśniła Ewa.

— Nie twierdzę, że należysz. Ale sądząc po pierwszym spotkaniu, przypadłaś Neilowi do gustu i jeśli przywiąże się do ciebie, będziesz musiała mieć to na względzie. Nawet, kiedy jego stan się pogorszy. Wymagam, abys pozostała przy nim, choćby nie wiem jak to było dla ciebie stresujące.

W słuchawce zapanowała długa cisza.

— Cieszę się, że nie śpieszysz się z podjęciem decyzji — przerwał milczenie Neef.

— Chyba nie przemyślałam tego dokładnie — odparła Ewa.

— Więc spokojnie się nad wszystkim zastanów — poradził Neef. — I zadzwoń do mnie jutro. A jeszcze lepiej... zabiorę cię w niedzielę na lunch.

— Na lunch?

Neef zaprosił ją pod wpływem chwili i nagle ogarnęły go wątpliwości, czy dobrze zrobił. Poczł się trochę zakłopotany. Tak łatwo było go zranić. Ale nie mógł się już wycofać.

— Jeden z moich kolegów, Frank MacSween i jego żona zaprosili mnie w niedzielę na lunch. Powiedzieli, żebym przyprowadził przyjaciółkę, jeśli jeszcze jakąś znajdę, kiedy ty i twoja gazeta rozprawicie się ze mną. Byliby pod wrażeniem, gdybym pojawił się w towarzystwie tej właśnie krwiożerczej dziennikarki.

— Rozumiem... Wymyślna intryga. Wszystko zagmatwane... No dobrze. Pójdę z tobą.

Neef zapisał adres Ewy i obiecał, że zabierze ją o dwunastej trzydzieści.

— A co robi twój kolega? — zainteresowała się Ewa, kiedy się zegnali.

— Jest patologiem — wyjaśnił Neef.

Odłożył słuchawkę i zaczął się zastanawiać, co właściwie zrobił. Już nie pamiętał, kiedy ostatni raz był gdzieś z kobietą. Od śmierci Elaine na wszystkie imprezy towarzyskie chodził sam. Cztery lata to długi okres. Ciekawe, kogo spotka u MacSweenów, i czy wezmą go na języki, czy nie. Ale czy to ważne? Chyba nie. W końcu zaprosił Ewę tylko po to, żeby utrzyć Frankowi nosa i pokazać, że jednak może mieć przyjaciółkę. Przynajmniej tak sobie wmawiał.



W piątek rano Neef spotkał się, jak co tydzień, z personelem medycznym i starszymi pielęgniarkami swojego oddziału. Mógł przekazać wszystkim dobrą wiadomość. Podkomisja farmaceutyczna ponownie rozpatrzyła jego podanie i zaakceptowała stosowanie najnowszego amerykańskiego leku przeciwrakowego o nazwie antivulon. Tim Heaton dotrzymał słowa i ich niepisana, a nawet nie wypowiedziana głośno umowa weszła w życie. Ta miła informacja dotarła z biura Heatona tuż przed zebraniem.

— Pozostaje pytanie, kogo będziemy leczyć antivulonem? — stwierdził Neef.
— Problem polega na tym, że Menogen rozpocznie w poniedziałek próby z własną kuracją i chciałbym znać wasze zdanie na temat ewentualnych kandydatów do leczenia za pomocą jednej i drugiej terapii.

— Proponuję, żeby Johna Martina jak najszybciej przestawić na antivulon — odezwał się młody lekarz dyżurny, Tony Samuels.

— Standardowa chemioterapia jednak mu nie służy — powiedział Neef. — Ciągłe źle ją znosi, tak?

— Tak. Miał okropny tydzień — odrzekł lekarz. — Nie widać też żadnej poprawy.

— I wciąż nie możemy wziąć go na radioterapię — dodał Lawrence Fielding.

— Więc wygląda na to, że mamy pierwszego pacjenta do leczenia antivulonem — podsumował Neef. — Dzwoniłem do naszego działu farmacji, kiedy tylko dostałem zgodę. Nie ma u nas lokalnego dystrybutora tego leku, więc będą musieli zamówić go bezpośrednio w Stanach. Wyślą dzisiaj faks.

— A co z Thomasem Downy, panie doktorze? — zapytał drugi młody lekarz, John Duncan. — Skoro pan Beavis uznał, że operacja jest niemożliwa?

— Zapisuję Thomasa na terapię genową — odpowiedział Neef. — Doktor Pereira uważa, że to odpowiedni kandydat. Zakłada, że dotrzemy do nowotworu za pomocą igły. Myślę, że ma rację. Rozmawiałem już z rodzicami chłopca. Wyrazili zgodę. Muszę jeszcze umówić się z zespołem chirurgicznym.

— Rozumiem.

— Niektóre z dzieci całkiem dobrze reagują na środki stosowane obecnie — zauważył Fielding. — Proponuję zostawić je w spokoju i skoncentrować się na tych, których sytuacja jest gorsza.

— W wypadku terapii genowej to wręcz konieczność — odparł Neef. — Otrzymaliśmy wprawdzie zezwolenie in blanco, ale uważam, że powinniśmy się ograniczyć do dzieci z najgorszymi prognozami. Dobrze rokujące przypadki należy zatem usunąć z listy naszych potencjalnych kandydatów.

Fielding odczytał nazwiska, których jego zdaniem nie powinno się brać pod uwagę. Kilkakrotnie pytał też o zdanie Kate Morse.

Po półgodzinnej dyskusji na temat ośmiorga dzieci przewidzianych do udziału albo w terapii genowej, albo do leczenia antivulonem, pozostały do rozpatrzenia tylko dwie kandydatury: Jane Lees i Neil Benson.

— Nie cierpię tak mówić o żadnym dziecku — westchnął Neef — ale obawiam się, że Jane to przegrana sprawa. Wskazuje na to stopień rozprzestrzenienia się nowotworów w jej płucach.

— Dosłownie niknie w oczach od chwili, gdy przyszła do nas — przyznała Kate Morse. — Może to zapalenie płuc tak ją osłabia, ale Jane chyba brak wewnętrznej woli walki. A to działa przeciw niej.

— Według Maxa Pereiry zupełnie nie nadaje się do leczenia terapią genową, ale jestem za tym, żeby spróbować antivulonem — oświadczył Neef.

— Nie ma nic do stracenia — odezwał się John Duncan.

— Za to wszystko do zyskania — dodał Tony Samuels.

— Zatem w tym wypadku jesteśmy zgodni?

Wszyscy potakująco skinęli głowami.

— Pozostaje Neil — powiedział Neef. — Najmężniejsze serce w najmniejszym ciele. Jego stan na razie się nie zmienia?

— Nowotwór nie rośnie — odrzekł Fielding. — Zastój.

- Więc chwilowo damy mu spokój — zdecydował Neef.
- A kiedy znów zacznie się powiększać? — spytał Fielding.
- Przekroczymy ten most, kiedy do niego dojdziemy.



Frank MacSween udał się na spotkanie patologów w Szpitalu Uniwersyteckim, pozostawiając na gospodarstwie szefa personelu laboratoryjnego, Charlie'ego Morse'a. Wiedząc, że prosektorium nie będzie używane przez kilka następnych godzin, Morse uznał tę przerwę za świetną okazję do naprawienia szwankującego wentylatora nad stołem numer cztery. Zadzwoił do szpitalnego działu technicznego i poprosił do telefonu kierownika warsztatu elektrotechnicznego, Douga Coopera.

— Jest szansa, żeby któryś z twoich chłopaków zreperował wiatrak w prosektorium?
— zapytał.

— A nikt tam teraz nie pracuje?

— Nie, przez jakiś czas będzie wolne. Mają jakieś zebranie na uniwerku.

— No to jeżeli ty o to prosisz, Charlie, pofatyguję się osobiście — odparł Cooper.

Jowialnie wyglądający, rudowłosy i piegowaty majster zjawił się w ciągu pięciu minut. Miał na sobie granatowy kombinezon rozpięty do pasa, spod którego wystawał dziurawy, wzorzysty sweter. W dłoni ścisnął rączkę metalowej, srebrzystej skrzynki z narzędziami. Przez chwilę gawędził z młodą laborantką, siedzącą w recepcji. Musiał poczekać na Morse'a. Kiedy ten wreszcie nadszedł, Cooper właśnie opowiadał dziewczynie o swojej córce, która miała wkrótce rozpocząć pracę jako pielęgniarka.

— Może kiedyś zostanie siostrą oddziałową, jak żona tego faceta — uśmiechnął się wskazując Morse'a.

— Dzięki, że tak szybko przyszedłeś, Doug — odezwał się Charlie Morse. — Chodź, pokażę ci, o co chodzi.

Otworzył prosektorium i zapalił światło. Lamy rozjarzyły się wolno, po czym rozbrzmiały szumiąc nieprzerwanie.

— To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórę — wyznał Cooper, niepewnie stawiając kroki.

— To tylko wyobraźnia — uspokoił go Morse.

— Pewnie masz rację, ale nie sposób przestać myśleć, co dzieje się na tych stołach. Dobrze mówię? — Cooper przystanął przy pierwszym z nich i przesunął palcami po jednym z kanałów odpływowych. Jego wzrok powędrował w kierunku rzędu drzwi zamkniętych ciężkimi klamrami, ciągnących się wzdłuż przeciwległej ściany. — To tam ich trzymacie? — zapytał, zniżając głos do szeptu.

— Zgadza się. Ale bez obaw. Nikt stamtąd nie wyskoczy — zażartował Morse.
— Obiecuję.

Podeszli do stołu numer cztery i Morse wskazał do góry na wentylator.

— To ten nawala — wyjaśnił. — Słysząc, jakby coś nie kontaktowało. Rusza i nagle się zatrzymuje. Szefa to wkurza, bo to jego ulubiony stół.

W oczach Coopera pojawiło się powątpiewanie, czy w ogóle można taki przedmiot zaliczyć do czyichś ulubionych.

— Masz tu jakąś drabinkę? — spytał.

— Tutaj nie, ale zaraz to załatwię. A nie chcesz stanąć na stole?

Cooper spojrział na metalową powierzchnię z wyraźnym niesmakiem.

— Jeżeli nie robi ci to różnicy, to wolałbym nie.

— Dobra — zachichotał Morse. — Zaraz wracam.

Elektryk wyglądał na zaniepokojonego faktem, że ma zostać sam, ale zdobył się na męzny uśmiech. Gdy tylko Morse zniknął mu z oczu, zaczął głośno pogwizdywać piosenkę Beatlesów.

Charlie Morse powrócił z aluminiową, składaną drabinką i rozstawił ją obok stołu.

— Proszę bardzo.

Cooper wyjął ze skrzynki z narzędziami śrubokręt, wdrapał się na drabinkę i zaczął odkręcać kratkę osłaniającą wiatrak. Szybko uporał się z czterema śrubami, ale osłona ani drgnęła. Próbował ją podważyć, nie mógł jednak wsunąć śrubokręta odpowiednio głęboko.

— Jakież problemy? — zapytał Morse.

— Nie mogę jej ruszyć — odparł Cooper.

— Może ja przytrzymam, a ty postukasz w śrubokręt młotkiem. Wtedy chyba wejdzie? — podsunął Morse.

— Warto spróbować — stęknął Cooper. Ciężko mu było pracować z wyciągniętymi do góry rękami.

Morse wygrzebał ze skrzynki Coopera mały młotek i wszedł na stół, by mu go podać. Potem uniósł ramiona i przytrzymał kratkę. Nie chciał, żeby spadła na blat. Cooper zaczął uderzać w śrubokręt wbijając go coraz głębiej w szczelinę, wreszcie spróbował użyć go w charakterze dźwigni. Nie potrzebował już młotka, więc oddał go Morse'owi. Ten pochylił się i położył go na stole. Gdy znów się wyprostował chcąc podeprzeć kratkę, było za późno. Oblepiona kurzem osłona ustąpiła i opadła w dół obsypując obu mężczyzn brudnym pyłem. Mieli uniesione do góry głowy, więc najbardziej ucierpiały ich twarze. Zaczęli natychmiast pluć i kaszleć. Morse'owi dostało się do oczu tyle brudu, że musiał po omacku przyklęknąć i poszukać dłońmi krawędzi blatu, aby móc zejść na podłogę.

— Przepraszam, Charlie — odezwał się Cooper, gdy w końcu przestał kaszleć i zszedł z drabinki. — Tej cholernej osłony nikt nie zdejmował od lat. — Nagle wybuchnął śmiechem. — Obaj wyglądamy jak farbowani Murzyni!

Morse skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Strasznie śmieszne. Lepiej chodźmy się umyć i zabieraj się do roboty.

Ruszył przodem do szatni obok prosektorium i odkręcił kran. Pozwolił Cooperowi pierwszemu skorzystać z wody. Wycierając twarz i ręce elektryk rozejrzał się wokół. Rząd plastikowych fartuchów i gumowych butów znów podziałał na jego wyobrażenie. Spojrzał na czarną tablicę, na której widniały dwa nazwiska, wypisane bladoniebieską kredą.

— To następni klienci? — zapytał.

— Tak — odrzekł Morse.

— Nie kapuję, jak ktoś może w ten sposób zarabiać na życie — Cooper pokręcił głową. — Żeby cały czas krajać trupy...

— Ci, którzy to robią, nie tak to widzą — wyjaśnił Morse.

— Ale tak jest, no nie?

— Ważne jak się na to patrzy. To się liczy. Słyszałeś kiedyś historyjkę o trzech kamieniarzach?

Cooper przecząco pokręcił głową.

— Kiedy ich zapytano, co robią, pierwszy odpowiedział: „Zarabiam na życie”. Drugi odparł: „Stawiam ścianę”. Ale trzeci odrzekł: „Buduję katedrę”. Wszyscy trzej wykonywali tę samą robotę, tylko inaczej na nią patrzyli. Patolodzy tropią przyczyny zgonów, badają skutki chorób i obrażeń ciała z pożytkiem dla medycyny, która rozwija się dzięki temu dla dobra nas wszystkich.

— Skoro tak twierdzisz, Charlie... — westchnął Cooper. — Wracajmy do wentylatora. Im szybciej wyniosę się stąd, tym lepiej.



W niedzielę Neef obudził się wcześniej, zanim jeszcze Dolly zdążyła zrobić mu pobudkę, swoim zwyczajem kładąc łapę na jego twarzy. Leżał i zastanawiał się, czy zaproszenie Ewy Sayers do MacSweenów było dobrym pomysłem. W końcu stwierdził, że skoro już to zrobił, nie ma sensu roztrząsać tego teraz. Wstał, nalał wody do czajnika i wyruszył na poszukiwanie Dolly. Miała zwyczaj sypiać w różnych miejscach. Znalazł ją zwiniętą w kłębek na sofie. Swego czasu Neef próbował odzwyczaić kotkę od sypiania na meblach, ale potem dał temu spokój. Dolly mogła kłaść się, gdzie chciała. W ciągu ostatnich kilku lat Neef zgromadził całą kolekcję przyborów do usuwania kociej sierści z ubrań.

Dolly otworzyła jedno oko, gdy ją pogłaskał, ale widząc, że to tylko on, zamknęła je ponownie. Neef uśmiechnął się i poszedł napęłnić jej miskę. Zrobił sobie kawę i usiadł w ulubionym fotelu, patrząc na ogród. Może powinien skosić trawę przed wyjściem?

Cieszył się, że ma ogród, ale nie lubił w nim pracować. Swe zajęcia na powietrzu ograniczał do utrzymywania w ogrodzie czystości i porządku. Na szczęście nie miał sąsiadów, przed którymi musiałby się wstydzić, że trawa urosła zbyt wysoka. I mógł hałasować do woli. Nawet uruchomić spalinową kosiarkę w niedzielę o ósmej rano, jeśli miał ochotę. Tak też zrobił.

Wystrzygł trawę, a miejsca, gdzie nie sięgnęła kosiarka poprawił mechanicznymi nożycami. W końcu ręcznym sekatorem przyciął rozrastające się krzewy. Wrócił do domu zły z powodu. Nie śpiesząc się wziął prysznic. Zjadł dwa tosty, dwa jajka na miękko i popił wszystko kawą. Następnie wziął się do sprzątanego domu. Zawsze robił to w niedzielę rano.

Ubrał się w wygodne spodnie, dżinsową koszulę i kremowy sweter, by czuć się swobodnie. O dwunastej trzydzieści zajechał po Ewę. Mieszkała w ładnie urządzonej mieszkanie na trzecim piętrze nowoczesnego bloku przy Durham Road. Na białych ścianach wisiały reprodukcje obrazów współczesnych malarzy. Neef nie przepadał za taką sztuką i nie potrafił określić, co przedstawiają różnobarwne plamy. Po obu stronach gazowego kominka stały naprzeciw siebie dwie czarne, skórzane sofy i dwa małe stoliki z identycznymi, ceramicznymi lampami. Oprócz kremowego dywanu na podłodze leżały trzy północnoafrykańskie kilimy. Neef przypuszczał, że pochodzą z Tunezji, gdyż widniały na nich niebieskie wzory. Oszklone drzwi prowadziły na balkon wyłożony terakotą. Ozdabiała go cztery donice z małymi, iglastymi drzewkami.

— Chcesz się czegoś napić, zanim pojedziemy zrobić im kawę? — zapytała z uśmiechem Ewa, ale w jej głosie wyczuwało się zdenerwowanie.

— Przepraszam — powiedział Neef. — Nie powinienem przedstawiać tego w taki sposób. Nieźle się wygłupiłem. Wcale nie dlatego cię zaprosiłem, żeby... — urwał i dodał po chwili. — Głupio wyszło...

Na twarzy Ewy pojawił się wyraz rozbawienia.

— Na twoim miejscu dałabym już temu spokój.

Neef skinął głową.

— Masz rację, przepraszam.

— W dalszym ciągu chcesz, żebym z tobą pojechała?

— Oczywiście — odrzekł myśląc o tym, jak atrakcyjną kobietę ma przed sobą.

— A co z drinkiem?

— Poczekam.



MacSweenowie zajmowali parter domu z czerwonego piaskowca na Collingbourne Crescent. Mieszkali tu od dnia ślubu, czyli od dwudziestu trzech lat. Rodzinne zdjęcia, niczym kronika wypełniały większość płaskich powierzchni w wygodnym salonie,

do którego zostali wprowadzeni Neef i Ewa. Neef lubił ten pokój. Znał go dobrze. Od chwili podjęcia pracy w Szpitalu św. Jerzego spędził tu wiele miłych wieczorów. Darzył Franka i Betty ogromną sympatią. Byli dla niego wyjątkowo serdeczni, gdy zaczynał nowy rozdział w swym życiu i nie znał w szpitalu żywej duszy.

— Jesteś czarnym koniem, stary — stwierdził Frank MacSween, gdy Neef przedstawił mu Ewę.

— Witaj, moja droga — powiedziała z uśmiechem Betty biorąc Ewę za rękę. — Tak się cieszę, że przyszłaś.

Cała Betty, pomyślał Neef. Zawsze dostrzega tych, którymi należy się zaopiekować i robi wszystko, by czuli się swobodnie. Chodząca uprzejmość w najlepszym wydaniu.

— Ewa jest dziennikarką — wyjaśnił Neef. — Tą dziennikarką — dodał z naciśkiem.

Frank MacSween wyglądał na zaskoczonego.

— Chyba nie masz na myśli sprawy Torrance'ów?!

— Niestety — przyznała Ewa. — To ja.

— W takim razie, mamy ze sobą wiele wspólnego — oświadczył Frank, gdy ochłonał z wrażenia.

— Jak to? — zdziwiła się Ewa. — Myślałam, że jest pan patologiem.

— Oboje przeprowadzamy autopsje, tylko ja ograniczam się do zmarłych.

— Dosyć tego, Franku MacSween — skarciła go Betty. — Ta młoda dama jest naszym gościem i przyszła z Michaeliem, a jego przyjaciele są tu zawsze mile widziani.

— Dziękuję — odrzekła Ewa.

Mimo że dwie kobiety wydawały się mieć zupełnie różne osobowości, natychmiast znalazły wspólny język. Neef był z tego zadowolony.

Na lunch przyszła jeszcze czwórka innych gości, Kate i Charlie Morse'owie oraz córka MacSweenów, Clare z mężem Keithem. Zabrali ze sobą niemowlę — synka, Nigela. Dziecko spało w koszu ustawionym na ławeczce w wykuszowym oknie. Kate Morse posłała Neefowi porozumiewawcze spojrzenie, gdy zobaczyła, z kim przyszedł, ale na tym się skończyło. Była w stosunku do Ewy bardzo uprzejma, może nawet zbyt przyjacielska.

Po lunchu Kate i Charlie zaczęli rozmawiać z Clare i Keithem o ich ogrodzie. Dowiedzieli się bowiem, że Keith prowadzi w Yorkshire firmę zajmującą się urządzeniem ogrodów. Teraz dyskutowali, czy lepszy jest ozdobny basen z plastyku, czy też z włókna szklanego. Ewa i Betty zniknęły w kuchni, pozostawiając Franka i Neefa własnemu losowi.

— Przejdziemy się po ogrodzie? — zaproponował Frank.

— Jeśli masz ochotę.

MacSweenowie mieli duży, dobrze utrzymany ogród. O staranne przycięcie trawników i krzewów dbała Betty. Ogrodnictwo było jedną z jej pasji. Frank spełniał rolę siły

robotycznej, ale nie brał udziału w planowaniu. Stworzył jednak coś, co napawało go szczególną dumą. Pokazał Neefowi tunel wycięty w gęstym, bukowym żywopłocie, biegnący do okrągłej polanki ukrytej głęboko w gąszczu drzew.

— Wiesz, co to jest? — zapytał.

— Nie mam pojęcia — odrzekł Neef kręcąc głową.

— Tu będzie szalas dla mojego wnuka i jego kolegów.

Neef uśmiechnął się.

— Wspaniały — przyznał.

— Nie mogę się doczekać dnia, w którym go odkryje — zwierzył się Frank. — Nigdy mu nie powiem, że specjalnie go zrobiłem. Zbuduję mu również dom na drzewie. Na tamtym kasztanie — wskazał okazałe drzewo w głębi ogrodu. Miało mnóstwo rozłożystych, poziomych gałęzi. — Zacząłem już gromadzić deski i udało mi się zdobyć drabinkę sznurową.

— Wygląda na to, że wszystko już sobie zaplanowałeś — odrzekł Neef.

— Owszem. Wychowując dzieci, dostajesz szansę cofnięcia wskazówek zegara i przeżycia części życia jeszcze raz. Zaczynasz patrzeć na świat ich oczami, przypominasz sobie dawno zapomniane rzeczy. A kiedy masz wnuki, możesz zrobić to znowu, tylko już bardziej spokojnie. Nie mogę się tego doczekać.

Neef pokiwał głową. Myślał o Elaine.

— Przyprowadziłeś bardzo ładną, młodą damę — zauważył MacSween, gdy ruszyli dalej. — Jak to się stało, że spotykasz się z wrogiem?

— Nie całkiem tak bym to ujął — odparł Neef i opowiedział mu po kolei, co się wydarzyło.

— To dlatego artykuł w gazecie nie był tak straszny, jak się spodziewałem — domyślił się Frank. — Panna Sayers nie chciała nas za mocno uderzyć.

— Myślę, że gdyby nie upór wydawcy, udałoby się jej w ogóle wstrzymać druk tej historii — powiedział Neef.

— Więc masz zamiar pozwolić jej odwiedzać tego chłopca na twoim oddziale?

— Chyba tak. Neil ją polubił. Nie ma nikogo bliskiego.

MacSween wydał z siebie podejrzanym pomruk.

— Uważasz, że to niezbyt dobry pomysł, prawda? — zapytał Neef.

— Decyzja nie należy do mnie. Ale czy pomyślałeś o tym, że panna Sayers mogła poświęcić jedną rozziewającą serce historię, łagodząc jej wymowę po to, by w zamian napisać serię innych artykułów? Zakulisową relację z dziecięcego oddziału onkologicznego w odcinkach. To byłby dla niej łakomy kąsek. Wzruszająca opowieść wyciskająca łzy. Morze łez.

— Kate wyraziła podobne obawy — przyznał Neef. — Ale Ewa obiecała mi, że przebywając na oddziale zapomni o swojej pracy. Nowotwór Neila przestał rosnać. Uważam,

że nawiązanie przyjaźni z Ewą może mu pomóc. Nie potrafimy określić ilościowo znaczenia stanu psychicznego pacjenta w profilaktyce, ale obaj wiemy, że to się liczy. Rak nie lubi szczęśliwych ludzi. Woli raczej przegranych. Szybciej ich zabija.

— Słyszałem, że w przyszłym tygodniu zaczniesz stosowanie terapii genowej.

— Od jutra — potwierdził Neef. — Jestem pełen optymizmu. Współpracujemy z firmą o nazwie Menogen Research. Jej dyrektor do spraw badań naukowych, Max Pereira przekonał mnie, że to może się udać.

— Wszyscy w to wierzyliśmy, kiedy zeszłego roku w Szpitalu Uniwersyteckim Farro-Jones próbował leczyć tą metodą mukowiscydozę — odparł MacSween. — Ale wyniki były bardzo mizerne. A szkoda. Myślę, że mógłby otrzymać własną katedrę na uniwersytecie, gdyby poszło mu lepiej. Tymczasem miarodajne czynniki były nieco poirytowane. Za wcześnie nagłośniono całą sprawę, a potem okazało się, że to niewypał.

— To show-biznes, stary — stwierdził Neef i nagle jego własny komentarz przypomniał mu o Maxie Pereirze. On tak by to ujął. — Menogen ma całkiem inną strategię — ciągnął. — Tam nie próbują wymieniać wadliwego genu, jak Farro-Jones. Wprowadzają obcy, który sprawi, że komórki nowotworu staną się podatne na leczenie gancyclovirem.

— Na twoim miejscu zobowiązałbym naszego rzecznika prasowego... Jak on się nazywa?

— John Marshall.

— A tak! Marshall. Zobowiązałbym go do zachowania milczenia, dopóki nie będziesz mógł się czymś pochwalić. W przeciwnym razie, jeśli przegrasz, prasa nie zostawi cię w spokoju. Przykleją ci etykietkę „doktora Mengele ze św. Jerzego”, potwora wykorzystującego do eksperymentów małe, chore dzieci, jak króliki doświadczalne.

— Zdaję sobie sprawę z groźących niebezpieczeństw — odrzekł Neef.

— Nie miałeś żadnych problemów z komisją etyczną?

— O dziwo, bardzo niewiele. Przypuszczam, iż pomógł mi fakt, że nie będziemy wymieniać żadnego ludzkiego materiału genetycznego. „Brygada Frankensteina” nie miała się do czego przyczepić. Kościół też widocznie uważa, że nie jest to wbrew woli Boga. Przewodniczący był przychylnie nastawiony. Przedstawicielka organizacji Wolontariuszek Królewskich obawiała się przez moment, że chcemy wszystkich zarażać opryszczką, ale Pereira zdołał wyprowadzić ją z błędu. Tylko David Farro-Jones zachował ostrożność, tłumacząc swój sprzeciw troską o bezpieczeństwo pacjentów. Chyba jest trochę przewrażliwiony po własnych próbach.

— To nowość — powiedział MacSween. — Nikt nie wie, czego należy się spodziewać, a to wystarczający powód do zaniepokojenia. Bohaterem zostaniesz tylko wtedy, jeśli ci się powiedzie. Przypomnij sobie Jennera i rozważ wszystko.

Neef spojrzał na niego zaskoczony.

— Jennera? Wynalazcę szczepionki przeciw ospie?

— Właśnie — przytaknął MacSween. — Pamiętasz, jak to było? Wierzył, że zaszczepienie małemu chłopcu wirusa krowiej ospy pobranego od dójki uodporni malca na ospę prawdziwą. Udało się i został legendarną postacią w medycynie, bohaterem narodowym.

— Tak... — przyznał wciąż zaskoczony Neef. — Znam tę historię z krowią ospą, ale...

— Pomyśl, czego on w istocie dokonał! Żeby udowodnić, że ma rację, musiał wszczepić dziecku ospę. A gdyby się mylił? Jak wówczas zareagowałoby społeczeństwo?

— Wszyscy uznaliby to za zbrodnię.

— I niektórzy z nas nadal tak uważają. A jednak szczepionka uwolniła świat od ospy. Można by rzec, mały dylemat moralny, prawda?

— W medycynie mamy ich pełno — odparł Neef.

— Po prostu pamiętaj o tym Mike, że przez kilka następnych tygodni, gdy będziesz przeprowadzał próby, na twoim oddziale zdomowić się dziennikarka. Ale cóż. Bywają tacy, którzy trzymają piranie w charakterze zwierzątek domowych.

Płacz malutkiego Nigela przerwał tę konwersację. Obaj mężczyźni zawrócili w kierunku domu. Kiedy weszli do środka, Charlie Morse spacerował tam i z powrotem z dzieckiem w ramionach. Nigel przestał płakać i wtulił się w szyję Charlie'ego, który szeptał mu coś do ucha.

— Zawsze umiał sobie dobrze radzić z naszą dwójką — stwierdziła Kate Morse. — To on wstawał do nich w nocy.

— Słyszałeś? — Clare spojrzała na męża z żartobliwym wyrzutem.

Keith wołał pominąć uwagę żony milczeniem.

Neef uśmiechnął się do Ewy. Uświadomił sobie, że rozmowa o dzieciach nie dotyczy tylko ich dwojga. Byli w tym otoczeniu wyizolowani. Patrzył na nią, a ona przez dłuższą chwilę nie odwracała oczu. Nagle poczuł się zakłopotany. Uciekł spojrzeniem w bok, zastanawiając się, dlaczego. Doszedł do wniosku, że czuje się wobec niej dziwnie bezbronny. Im bardziej go przyciągała, tym większy ogarniał go niepokój. Ale nie mógłby zaprzeczyć, że to mu się podoba.

Nigel zasnął na dobre w objęciach Charlie'ego. Morse delikatnie ułożył go w koszu. Wciąż szeptał coś do dziecka przykrywając je kołderką. Zaczął się prostować i wtedy nagle głośno kichnął. Hałas obudził malca obracając wniwecz wszystkie starania Charlie'ego.

— Na zdrowie — mruknęła Betty. — Coś mi się zdaje, że złapałeś katar.

Sama uniosła dziecko, poklepała leciutko w plecy i zaczęła usypiać.

— No, no... Babcia jest przy tobie.

— Czas się zbierać — oświadczyła Clare. Wstała i odebrała od Betty synka. — Szkoda. To był taki przyjemny weekend.

Wszyscy uznali to za sygnał, że pora do domu i z niekłamanym entuzjazmem dziękowali gospodarzom za gościnność. Pożegnalne śmiechy i okrzyki wkrótce ustąpiły miejsca odgłosom zatrząskiwanych drzwiczek samochodowych.

— Podobało ci się? — zwrócił się do Ewy Neef, gdy wyjechali na główną ulicę.

— Było wspaniale — odrzekła. — To bardzo miła para, zwłaszcza Betty.

— Zauważyłem, że szybko się dogadałyście. Chyba tylko dzięki Betty nie umarłem z głodu, kiedy przyjechałem do św. Jerzego.

— Skąd przyjechałeś?

— Ze Stanów.

— Wróciłeś stamtąd? — zdziwiła się Ewa. — Myślałam, że wy, lekarze, niedługo wszyscy tam wyjedziecie na znak protestu przeciw kiepskim warunkom w państwowej służbie zdrowia.

— Zazwyczaj ludzie wyjeżdżają z tego powodu — zgodził się Neef. — Ale ja nie lubię Ameryki. Nie podobała mi się.

— Dlaczego? Pewnie zarabiałeś tam trzy razy więcej niż tu.

— Owszem — przyznał Neef. — I miałem najlepsze na świecie warunki pracy.

— Więc dlaczego?

Neef zastanawiał się przez chwilę.

— Gdy tylko zacząłem tam pracować, zostałem wysłany na kurs zorganizowany przez szpital. Nazywał się „Metody maksymalizacji zwrotu kosztów”.

— Nie brzmi to jak termin medyczny — zauważyła Ewa.

— Bo to nie był kurs medyczny. Uczono na nim lekarzy szpitalnych, jak wyciągnąć możliwie najwięcej pieniędzy z polis ubezpieczeniowych pacjentów. Instruowano nas, że mamy stosować jedną kurację za drugą tak długo, aż wszystkie środki zgromadzone na koncie ubezpieczeniowym pacjenta wyczerpią się, a potem leczyć go dalej, dopóki rodzina będzie płacić.

— To okropne.

— Jestem specjalistą leczącym dzieci z nowotworami. W wypadku wielu moich pacjentów wiadomo było, że ich stan nigdy nie ulegnie poprawie. Ale leczenie trwało — wiele rodzin w ten sposób bankrutowało. Czy wiesz, że główną przyczyną bankructwa ludzi w Stanach Zjednoczonych są właśnie wysokie rachunki za opiekę lekarską?

— Nie wiedziałam — wyznała Ewa.

— Tak to wygląda i dlatego miałem wszystkiego dosyć. Medycyna jest w Stanach drugą co do wielkości gałęzią przemysłu. To olbrzymi interes i gdzieś po drodze ludzie zapomnieli, że w tej branży nie można myśleć wyłącznie o robieniu pieniędzy.

Ewa skinęła głową. Nie odpowiedziała.

— Wróciłem więc do domu — zakończył Neef. — Po to, by się przekonać, że zaczynamy kroczyć tą samą drogą.

— Rząd temu zaprzecza.

Neef parsknął i zatrzymał land rovera przed blokiem Ewy. Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej.

— Przepraszam, że cię tym zanudzałem. Cieszę się, że przyjechałaś moje zaproszenie i byliśmy tam razem.

— Ja też — odrzekła Ewa. — Jestem zadowolona, że usłyszałam od ciebie tyle ciekawych rzeczy. Lubię słuchać fachowców, znających temat od podszewki.

Neef miał cichą nadzieję, że Ewa zaprosi go na górę. Ale nie zrobiła tego. Szkoda, pomyślał. Właściwie nie miał dziś okazji porozmawiać z nią tak, jak to sobie wyobrażał. Wsiadając z samochodu zapytała.

— Czy pozwolisz mi odwiedzać Neila?

— Przemyślałaś warunki, o których rozmawialiśmy?

— Tak. Przyjmuję je.

— Więc przyjdź jutro po południu.

— Co on najbardziej lubi?

— Wyłącznie samochody strażackie.

— I nic więcej?! — wykrzyknęła Ewa.

— To jedyna zabawka, którą udało się nam go zainteresować.

Ewa uśmiechnęła się przelotnie.

— Zobaczę, co da się zrobić.

6

Neef nakarmił Dolly i zasiadł do czytania niedzielnych gazet, które kupił w drodze powrotnej do domu. Lekturę przerwał mu telefon. Dzwonił David Farro-Jones.

— Cześć Mike. Pomyślałem sobie, że zadzwonię, żeby życzyć ci powodzenia. Jutro zaczynasz.

— Tak. Bardzo ci dziękuję. To miłe — odrzekł Neef.

— Chciałem też powtórzyć ofertę. Jeśli będziesz potrzebował jakiegokolwiek pomocy, jestem do dyspozycji.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, Davidzie. Na pewno Max również.

— Co do Maxa... Wiesz Mike... — Farro-Jones zawahał się chwilę.

— Tak? O co chodzi?

— Boże! Trudno to...

— Ale co?

— Ty i ja trochę się znamy, Mike. Chciałbym ci coś powiedzieć w zaufaniu.

— Więc powiedz — zachęcił Neef.

— Znam Maxa Pereirę.

— Wiem, że znasz.

— Mam na myśli to, że ja go dobrze znam. Przez dwa lata pracowaliśmy razem w Stacjach. Jest ambitny, bezwzględny i zdecydowany dojść na sam szczyt. Nic go nie powstrzyma. Ten eksperyment z terapią genową jest dla niego i dla Menogenu ważniejszy, niż są gotowi przyznać. Jeśli się powiedzie, zostaną milionerami.

— A niech im będzie na zdrowie! — wykrzyknął Neef. — Jeżeli potrafili opracować taką terapię, która zniszczy nowotwory, zasługują na to.

— Zgoda, ale pomyślałem, że powinieneś wiedzieć, pod jak wielką presją pracują. Jeśli ich nowe wektory okażą się skuteczne, będą na szczycie. Zdobędą sławę i majątek, o jakich marzą. Ale jeżeli nie uda im się, mogą stracić wszystko. Menogen zapewne znajdzie się w poważnych tarapatach. Zaryzykowali tak wiele, stawiając na wektory retrowirusowe, że jeśli przegrają, wątpliwy jest ich powrót do tej konkurencji z jakąś nową strategią. Ktoś inny na pewno zdoła ich ubiec.

— Więc co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? — zapytał Neef.

— Chciałem ci tylko uświadomić pewne sprawy — odrzekł Farro-Jones. — Silne dążenie do osiągnięcia jak największych zysków raczej nie idzie w parze z prawdziwą troską o pacjentów, która dla ciebie i dla mnie jest najważniejsza. Uważam, że przez cały czas powinieneś okazywać czujność. Kwestionuj wszystko, co mówi Max. Nie pozwól mu iść na skróty, a jeśli czegoś nie będziesz pewien, dzwoń do mnie. Może potrafię ci coś doradzić. W tym całym interesie tkwi prosta zasada: im bardziej skuteczny wektor, tym większe potencjalne niebezpieczeństwo grozi pacjentom.

— Dzięki, Davidzie. Doceniam twoją chęć ostrzeżenia mnie. Ale myślę, że porozumiemy się z Maxem. W pewnym momencie przyznał, iż chciałby przeprowadzić dodatkowe eksperymenty na dzieciach, aby sprawdzić, jak rozchodzą się wektory. Nie wyraziłem jednak na to zgody. Wszyscy pacjenci mają być poddani tylko terapii. Poza tym, jedynie ja lub mój personel medyczny będzie dokonywał zabiegów. Max nie ma prawa zbliżać się do chorych.

— Jednak uzależnisz się od niego. To Max będzie ci mówił, co daje ci do ręki i co masz wstrzymać swoim pacjentom — zauważył Farro-Jones.

— Różne komisje badały już zarówno same wirusy, jak i całą strategię pod względem bezpieczeństwa i zatwierdziły ją.

— Badały to, co miały na papierze i to, co przedstawił im do badania Menogen — nie ustępował Farro-Jones.

— Chyba nie sugerujesz, że...

— Nie, nie przypuszczam — przyznał Farro-Jones. — Może za bardzo się przejmuję i robię to niepotrzebnie. Ale gdyby coś cię zaniepokoiło, z przyjemnością wykonam dla ciebie analizę molekularną, żeby sprawdzić to, czego nie będziesz pewien.

— Dziękuję ci. Nie powiem, żebyś mnie uspokoił, jednak doceniam twoją troskę.

— Powodzenia, Mike.

— Dzięki.

Neef odłożył telefon. Dobry nastrój zupełnie go opuścił. Przypomniał sobie wyraz twarzy Maxa Pereiry, gdy okazało się, że jednym z członków komisji etycznej będzie David Farro-Jones. Pereira nie był tym zachwycony. Neef domyślił się teraz, dlaczego Farro-Jones tak się wtedy zachowywał. Nie ufał Pereirze.

— Tylko tego mi jeszcze potrzeba, Dolly — westchnął wstając z fotela.



Następnego ranka Neef wcześniej przyjechał do szpitala. Zapoznał się z raportem nocnej pielęgniarki i porozmawiał z lekarzem dyżurnym, Tony Samuelsem. Nie wystąpiły żadne nowe problemy. O ósmej trzydzieści zjawił się Max Pereira. Zmienił T-shirt, ale znów miał na sobie dzinsy, skórzaną kurtkę i kowbojskie buty. Z hukiem opuścił teczkę na biurko Neefa i położył na niej beret.

— Jest szansa na kawę? — zapytał.

— Zobaczę — odrzekł Neef. — Sam bym się napił.

Zajrzał do dyżurki, ale zastał tam jeszcze nocną pielęgniarkę.

— Nie ma Kate? — zdziwił się.

— Na razie nie. To do niej niepodobne.

Neef zmarszczył czoło.

— To pewnie nie dostanę kawy?

Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego.

— To wbrew moim zasadom, ale zrobię kawę czekając na siostrę przełożoną.

Rzeczywiście to bardzo dziwne, pomyślał Neef. Kate Morse nigdy się nie spóźniała. Miał nadzieję, że nie przytrafił się jej wypadek samochodowy. Niestety, nie była najlepszym kierowcą. Kiedy ostatni raz z nią jechał, zaciskał do białości palce jak w wesołym miasteczku na plaży w Blackpool. Przeżycie było niezapomniane. Jej mąż Charlie dawno zrezygnował z prób ostudzenia temperamentu Kate za kierownicą. „Stworzona do życia na swobodzie” — mówił ironicznie.

— Gdzie są wirusy? — spytał Pereirę Neef po powrocie do gabinetu.

— W lodówce na oddziale. Przyniosłem je wczoraj. Zapasową porcję zostawiłem w waszym dziale farmacji.

— Powiniennem jeszcze coś wiedzieć?

— Wszystko zostało przygotowane w naszym laboratorium — odrzekł Pereira.

— Teraz musisz tylko zaszczepić wektory, odczekać siedem dni, a potem zacząć podawać pacjentom gancyclovir.

— Zrobiłem prowizoryczną listę pięciu pacjentów. Uważam ich za odpowiednich kandydatów — poinformował go Neef.

— Twój lekarz dyżurny, Samuels, pokazał mi ją wczoraj.

— I co sądzisz? Nie widzisz żadnych problemów?

— Nie, chyba nie — odparł Pereira. Otworzył teczkę i wyjął kilka szkiców, wykonanych na materiale przypominającym płócienną kalkę. Wydawał się on jednak dużo bardziej giętki.

— To dokładne kopie nowotworów — wyjaśnił podsuwając rysunki Neefowi.

— Zrobiłem je ze wszystkich możliwych kątów widocznych na skanerze. Na tej podstawie obliczyłem ich objętość i oceniłem ilość zawiesiny wektorowej potrzebnej do wstrzyknięcia.

— Dobrze. Ja zaś wykalkulowałem sobie najlepszy kąt podejścia do czterech z nich.

— Pozostaje tylko dzieciak z guzem mózgu, czyli... Downy — stwierdził Pereira.

— Thomas Downy — uściślił Neef. Nie cierpiał, gdy ktoś mówił o dzieciach używając tylko ich nazwisk.

— Zgadza się. Thomas Downy — wyrecytował Pereira cedząc słowa. — Umówiłeś dla niego zespół chirurgiczny?

— Norman Beavis będzie gotowy w sali operacyjnej o drugiej trzydzieści.

— W porządku. Bardzo ważna jest dokładność wykonania zabiegu. Musimy trafić w środek nowotworu.

— Mówiłeś, zdaje się, że twój wektor zainfekuje jedynie dzielące się komórki — przypomniał Neef.

— Może się zdarzyć, że ucierpią sąsiedzi — skrzywił się Pereira.

— Ucierpią sąsiedzi? — powtórzył Neef lodowatym tonem. Jego rysy stwardniały.

— Co to ma znaczyć, doktorze Pereira?

— Nie sposób wykluczyć zniszczenia normalnych komórek usytuowanych tuż przy nowotworze.

— Więc jednak Thomasowi Downy zagraża niebezpieczeństwo uszkodzenia mózgu?

Pereira schował głowę w ramiona i rozpostarł dłonie, jakby miał trudności ze znalezieniem odpowiedzi na zadane pytanie.

— Właściwie nie, jeśli zabieg przebiegnie prawidłowo i wirus dotrze do jądra nowotworu. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, Mike. Nawet gdyby coś się stało, to przecież sam nowotwór też dobrze nie oddziałuje na mózg dzieciaka, prawda?

— A ty możesz go zabić, ale w zamian chłopiec stanie się idiotą z defektem mózgu, tak?

Neef starał się zapanować nad sobą, ale nie było to łatwe. W głowie dzwięczały mu słowa Davida Farro-Jonesa.

— Na początku twierdziłeś, że nie istnieje ryzyko zniszczenia zdrowych komórek mózgowych!

— Bo teoretycznie nie istnieje — zaczął go uspokajać Pereira. — Normalne komórki mózgu nie dzielą się, więc nie mogą zostać zaatakowane przez retrowirus. Nasz system dostarczania genu bazuje na retrowirusach, więc zdrowym komórkom nic nie grozi.

— Ale?

— W praktyce, to może się zdarzyć... przypadkowo. Jako wyjątek. To wszystko. Neef wpatrywał się w Pereirę, jakby chciał go przewiercić wzrokiem.

— O ilu jeszcze „wyjątkach” mi nie powiedziałeś?

— Nie ma ich już więcej. Naprawdę Mike. — Pereira uniósł ręce i przechylił na bok głowę.

Neef usiłował odgadnąć, czy Pereira byłby zdolny do zastosowania metody, która zabiłaby nowotwór, ale spowodowała u pacjenta uszkodzenie mózgu, by potem stwierdzić, że zdarzył się „wybryk natury technicznej”. Przypomniał mu się stary dowcip chirurgów: „Operacja się udała, tylko pacjent zmarł”.

— Czy wszystkie wektory wirusowe Menogenu zostały dopuszczone przez Agencję Kontroli Leków do stosowania? — zapytał.

— Nie, nie wszystkie.

— Ale te, które mają być wykorzystane przy tej terapii przeszły?

— Oczywiście. Taki był warunek postawiony przez Krajowy Komitet Doradczy do spraw Terapii Genowej.

— Mówiłeś, że wirusy są w lodówce na oddziale?

— Tak.

— Zamierzam poprosić Davida Farro-Jonesa, żeby tu przyszedł i pobrał próbki ze wszystkich fiolek. Chcę mieć pewność, że są tymi, o których mówisz i że ich stężenie jest odpowiednie!

Pereira zrobił groźną miną. W jego oczach błysnął gniew. Nie wybuchnął jednak.

— A jeśli odmówię? — spytał spokojnie.

— Zakończymy współpracę, zanim zdąży się zacząć na dobre.

— W takim razie, nie mam wyboru — skapitulował Pereira. — Proszę bardzo. Rób co musisz.

Neef zadzwonił do Farro-Jonesa powołując się na złożoną mu ofertę pomocy. David obiecał zjawić się w ciągu dziesięciu minut.

Do gabinetu zapukała i weszła Kate Morse. Poprawiając pielęgniarski strój i włosy zobaczyła Pereirę. Wyczuła, że w pokoju panuje napięcie i chciała się wycofać.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie wiedziałam, że...

— Wszystko w porządku, Kate. Na razie skończyliśmy.

— Przyszłam przeprosić za spóźnienie. Charlie rozłożył się na grype, a wiesz, jacy są mężczyźni. Musiałam zadbać, żeby miał pod ręką wszystko, czego mu potrzeba.

— Nie ma problemu — zapewnił ją Neef.



Z uniwersytetu przyjechał Farro-Jones. Wyglądał na zakłopotanego.

— Dzień dobry, Max... Cześć, Mike... No więc... Co właściwie mam zrobić? — zakręcił się niespokojnie.

— Chciałbym, żebyś wziął do analizy... dla formalności, próbki preparatów z wektorami wirusowymi, które doktor Pereira przygotował dla moich pacjentów — wyjaśnił Neef. — Możesz to zrobić?

— Oczywiście. Przecież wam mówiłem, że chętnie pomogę, jeśli czegoś będziecie potrzebowali. — Farro-Jones uśmiechnął się do Pereiry, ale twarz Maxa pozostała niewzruszona.

— Posłuchaj Max — zaczął tłumaczyć Farro-Jones. — Mam nadzieję, że się o to nie poróżnimy, co? Taka kontrola to naprawdę sensowny pomysł, nie uważasz?

Pereira uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami.

— Skoro tak twierdzisz...

— Nie ma powodu, dla którego wy dwaj mielibyście się poróżnić między sobą — wtrącił Neef. — To jest moja prośba skierowana do Davida.

— Więc gdzie te wirusy? — spytał Farro-Jones.

Pereira poszedł przynieść je z lodówki. Wrócił z drucianym pojemnikiem zawierającym pięć fiolek i wolno postawił go na biurku Neefa.

— Tutaj nie mogę ich otworzyć — uprzedził Farro-Jones. — Mogłyby ulec skażeniu bakteriami z atmosfery. Muszę zabrać je do siebie, na wydział medycyny. Mamy tam wysterylizowaną komorę z filtrami powietrza. Będziemy mogli zachować wszelkie środki ostrożności. — Odwrócił się do Pereiry. — W porządku, Max?

— Musiałbym być stuknięty, żeby pozwolić ci otworzyć je tutaj — odparł Pereira. — Zabieraj je.

— Pomyślałem tylko, że może chciałbyś patrzeć, kiedy będę je otwierał — wytłumaczył Farro-Jones.

— To nie jest konieczne, Davidzie — uśmiechnął się Pereira. — Mam do ciebie zaufanie.

Neef domyślił się, że komentarz był skierowany również pod jego adresem, ale nie przejął się tym. Kiedy Farro-Jones wyszedł, zwrócił się do Pereiry:

— Rozpoczniemy próby, gdy David potwierdzi zawartość fiolek.

— Jak sobie życzysz. — Pereira wstał i zaproponował znużonym głosem: — Więc może do mnie zadzwonisz, kiedy już będziesz coś wiedział.

— Oczywiście. I jeszcze jedno, Max.

— Tak?

— Ty i ja nie znamy się jeszcze, więc nie mamy podstaw, by sobie ufać. I nie udawajmy, że jest inaczej. Ponieważ jednak musimy razem pracować, powinniśmy ustalić pewne zasady.

— Na przykład?

— Jeśli będę musiał wybierać między dobrem moich pacjentów, a tym, że mogę cię urazić, na pewno wybiorę to pierwsze. Czy to jasne?

— O rany! Nie słyszałem takiego tekstu od czasów „Doktora Kildare’a”! — Pereira ruszył ku drzwiom. W progu potrącił Kate Morse.

— Powiedziałaś coś nie tak? — mruknęła pod nosem, zdziwiona. Neef nie odezwał się, więc wyjaśniła, po co przyszła. — Chyba powinienes zająrzeć do Jane Lees. Oddycha z wielkim trudem i ma straszne bóle.

— Zaraz tam będę. — Neef wstał i włożył biały fartuch.

— Nie mówiłaś jeszcze, jak mam przygotować pacjentów, których poddamy próbie.

— Próba się opóźni — odrzekł Neef. — Problemy techniczne.

— O! — Kate pomyślała o zderzeniu z Pereirą w drzwiach. — Rozumiem.



Neef zbadał Jane Lees i zmienił leki, by zmniejszyć ból. Zauważył, że Lawrence Fielding przepisał jej antybiotyk. Osłuchiwał pierś dziewczynki, gdy wszedł Fielding.

— Badałeś ją dziś rano? — zapytał Neef.

— Jak tylko przyszedłem — odrzekł Lawrence. — Pomyślałem, że może mieć nawrót zapalenia płuc.

— Owszem — przyznał Neef. — Na to wygląda. Ale nie jestem przekonany, czy to zapalenie płuc.

— Z tego właśnie powodu przyjęli ją do Ogólnego na East Side.

— Zapalenie wirusowe — stwierdził Neef. — Antybiotyk jej nie pomoże.

— Wiem o tym — odparł Fielding wyjątkowo szorstkim tonem. — Przepisałem antybiotyk jako osłonę przeciw wtórnemu zakażeniu bakteryjnemu.

Neef uniósł głowę i spojrzał na niego.

— Przepraszam, Lawrence. Od samego rana mam zły dzień. Co do tego zapalenia płuc...

— Tak?

— Przypuśćmy, że to w ogóle nie jest zapalenie płuc. Może to być stan zapalny, wywołany działaniem czynnika rakotwórczego, z którym się zetknęła i tylko wygląda jak zapalenie płuc. Co o tym sądzisz?

— Myślę, że to możliwe — zgodził się Fielding. — To by tłumaczyło brak reakcji na antybiotyki.

— Właśnie. Spróbujmy sterydu. Zobaczymy, czy nastąpi przełom. Nie mamy nic do stracenia.



Ewa Sayers zjawiła się o drugiej trzydzieści. Dźwigała paczkę. Neef gotów był się założyć o miesięczną pensję, że jest w niej samochód strażacki.

— Jednak go kupiłaś? — zapytał.

— Kupiłam — odrzekła Ewa z uśmiechem. — Co nie było łatwe. Sprzedawca w sklepie z zabawkami powiedział mi, że nie są już tak popularne, jak kiedyś, ale jeden jeszcze miał.

Neef zauważył nagle, że jest zdenerwowana i poczuł zadowolenie. Uznał to za oznakę, że zależy jej na Neilu.

— Idź do niego — zachęcił ją.

— Jeśli mogę...

— Oczywiście. Pamiętasz drogę?

— Tak.

Neef poszedł jednak z nią. Obserwował z boku, jak wchodzi i wita się z Neilem. Chłopiec podniósł na nią wzrok znad dużej książki z obrazkami zwierząt, którą dostał od pielęgniarek. Neef myślał przez moment, że Neil nie poznał Ewy, ale oczy malca nagle zalsniły, a z jego ust wydobył się dźwięk wyrażający radość. Odłożył książkę i rozejrzał się za swoim samochodem strażackim. Podniósł go z podłogi i pokazał Ewie. Skinęła głową z wyrazem ulgi i zadowolenia, że ją pamięta. Kiedy zaczęli się bawić, Neef wycofał się dyskretnie.

Godzinę później do jego gabinetu zajrzała Kate Morse z informacją, że chcą się z nim widzieć rodzice Jane Lees. Poprosił, by ich wprowadziła.

— Chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje, do cholery?! — zawołał od progu mały, wojowniczo nastawiony człowieczek w blezerze i flanelowych spodniach, który pierwszy wkroczył do pokoju.

Bojaźliwie wyglądająca żona dreptała za nim z przeproszającym wyrazem twarzy. Nerwowo bawiła się zapięciem torebki przewieszanej przez ramię.

Neef poprosił gestem, żeby usiedli.

Lees usadowił się na krześle nie spuszczając Neefa z oka.

— Najpierw w jednym szpitalu mówią nam, że Jane ma zapalenie płuc, potem twierdzą, że to rak, a teraz nachodzą nas ludzie z Wydziału Zdrowia i zadają dziwne pytania! Co się dzieje?!

Neef poczuł złość. Dlaczego Lennon nie wytłumaczył temu facetowi wszystkiego jak należy, do diabła?! Po chwili pomyślał, że może jednak wyjaśnił o co chodzi.

— Jak zapewne mówił pan doktor Lennon, panie Lees — zaczął, ale mężczyzna mu przerwał.

— Jaki znowu Lennon?! Nie widziałem żadnego doktora! Żona powiedziała mi, że przyszedł jakiś pajac z Wydziału Zdrowia, kręcił się, oglądał mieszkanie! A przecież u nas w domu jest wszystko w porządku! Kto go przysłał, do cholery?! Żona się wystraszyła!

Neef spojrzał na potulną kobietę, która najwyraźniej nie zrozumiała, o co Lennonowi chodziło. Teraz siedziała ze wzrokiem utkwionym w podłodze. Zapewne w mniemaniu pani Lees wizyta kogoś z Wydziału Zdrowia oznaczała, że nie dba należycie o dom i jest złą matką.

— Myślę, że zaszło nieporozumienie — odezwał się Neef.

— Jasne, że nieporozumienie! Jak cholera! — wyrzucił z siebie Lees.

Przygotowywał się do następnego ataku, ale Neef powstrzymał go gestem uniesionych dłoni.

— Panie Lees, bardzo proszę... Niech pan da mi dojść do słowa.

Mężczyzna zamilkł i westchnął. Kilkakrotnie poruszył ramionami i rozmasował sobie kark.

— Wizyta doktora Lennona nie miała nic wspólnego z żadnymi niedociągnięciami z państwa strony. Nikt wam nic takiego nie zarzuca — przemówił Neef stanowczym tonem, kładąc nacisk na każde słowo.

Odniosło to widoczny skutek. Lees zaczął się uspokajać.

— Nareszcie wszystko jasne — powiedział.

— Niestety, Jane rzeczywiście ma raka — ciągnął Neef. — Doktor Lennon i jego koledzy starają się dociec, z jakiej przyczyny.

— Co to znaczy, z jakiej przyczyny?

— Uważamy, że Jane była narażona na działanie silnej substancji rakotwórczej i dlatego zachorowała. Wydział Zdrowia próbuje ustalić, co to było, zanim zdarzą się następne takie wypadki.

Oczy Leesa zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Spojrzał na żonę, potem znów na Neefa.

— Niech pan to powie wprost. Pan myśli, że Jane zachorowała na raka z czyjejs winy? To nie taki zwykły przypadek, o jakich się słyszy?

Neef zorientował się nagle, że niepotrzebnie wpakował się w tę dyskusję, ale było już za późno.

— Sądzimy, że Jane zetknęła się z jakimś gazem lub środkiem chemicznym, który spowodował chorobę.

— Gaz albo środek chemiczny? — powtórzył Lees. — Jasna cholera!

— Ale w dzisiejszych czasach można dużo zrobić, żeby wyleczyć raka, prawda, panie doktorze? To nie to, co kiedyś — zapytała nieśmiało pani Lees.

— Jasne, że można — wtrącił się jej mąż. — Mają te różne lekarstwa.

Neef patrzył na nich oboje ze ściśniętym sercem. Znów nadchodziła ta cholerna, straszna chwila.

— Niestety, Jane ma raka płuc — powiedział. — Nastąpiły rozległe zmiany chorobowe na obu płucach. Prognozy są bardzo złe.

— Chce pan nam powiedzieć, że nasza Jane umrze? — zapytał Lees, jakby sam nie wierzył we własne słowa.

— Obawiam się, że tak.

Lees w milczeniu potrząsnął głową. Otwierał i zamykał usta nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Starł się coś powiedzieć, ale zaniemówił. Jego żona wyciągnęła z torebki chusteczkę i ukryła w niej twarz. Nagle Lees odzyskał głos i wybuchnął wściekle.

— Jeżeli to, co pan powiedział jest prawdą, dlaczego policja nie szuka tego choleronego gazu, chemikaliów czy cokolwiek to jest?! Ukrywają to, tak?! To umieją dobrze robić, cholera jasna! — Poderwał się z krzesła, oparł o biurko i pochylił nad Neefem.

— Nie ma mowy, żeby ktokolwiek coś ukrywał — odrzekł ze spokojem Neef.

— Więc dlaczego tego nie szukają, co?! Wszyscy to powinni robić, a nie jeden zafajdany inspektor sanitarny! Sam gównem zdziała!

— Doktor Lennon jest epidemiologiem, nie inspektorem sanitarnym, panie Lees. To ekspert od wykrywania źródeł chorób. Policjanci nimi nie są. Doktor Lennon przyszedł do pańskiej żony i zadawał jej wiele pytań, by ustalić, czy Jane miała coś wspólnego z pierwszą dziewczynką.

— Z pierwszą dziewczynką?! — wykrzyknął Lees. — To znaczy, że jest jeszcze jedna?!

— Jane stała się drugą ofiarą — przyznał Neef czując, że grzęźnie coraz bardziej.

Lees ujął żonę za ramię i poprowadził w kierunku drzwi. W progu się odwrócił.

— Wie pan, co zamierzam zrobić, doktorze?

— Nie. Proszę mi powiedzieć.

— Idę prosto do tych cholernych gazet, ot co. One się tym zajmą. To skandal, że dzieci dostają raka od jakiegoś cholernego gazu i nikt nic nie robi!

Państwo Lees wyszli, mijając czekającą za drzwiami Ewę Sayers.

— Mogę wejść? — zapytała stukając lekko we framugę.

Neef zdał sobie sprawę, że musiała słyszeć, co mówił Lees.

— Oczywiście — odrzekł.

— O nic nie będę pytać — zapewniła Ewa.

— Całe szczęście — uśmiechnął się Neef. — Jak poszło z Neilem?

— Doskonale. Świetnie się rozumiemy.

— Miło mi to słyszeć. Podobał mu się nowy samochód strażacki?

— Bardzo. Mogę przyjść jutro?

— Naturalnie.

Przy drzwiach Ewa się zawahała.

— Mówiłeś, że w tym tygodniu zaczynacie próby z nową terapią genową.

— Musieliśmy to odłożyć — odrzekł Neef.

— Czy Neil będzie jednym z pacjentów?

— Nie. Choroba Neila chwilowo nie postępuje naprzód. Nowotwór przestał rosnąć. Na razie zostawimy go w spokoju. Poza tym, mam pewne wątpliwości, czy ten rodzaj terapii byłby dla niego odpowiedni.

— Rozumiem. Tak tylko zapytałam.

Neef zauważył wyraz rozczarowania na jej twarzy.

— Obecnie pewnie ty jesteś dla niego najlepszym lekarstwem — powiedział.

— Ja?

— Stan psychiczny pacjenta często może mieć duże znaczenie przy prognozowaniu jego szans w walce z rakiem — wyjaśnił Neef. — Weseli, zadowoleni z życia ludzie rokują większe nadzieje.

— Ale chyba raczej trudno być wesołym i zadowolonym z życia wiedząc, że ma się raka — wyraziła wątpliwości Ewa.

- Neil jest za mały, by wiedzieć, co się z nim dzieje. Na swoje szczęście.
- Zrobię dla niego, co będę mogła.



We środę o czwartej po południu w gabinecie Neefa zjawił się David Farro-Jones. Miał ze sobą malutką lodówkę z wirusami Menogenu.

- No i? — zapytał Neef.
- Wszystko w porządku. Są dokładnie takie, jak mówił Max.
- Rozumiem... — Neef poczuł się trochę głupio.

Farro-Jones odgadł jego myśli.

— Nie przejmuj się. Postąpiłeś słusznie prosząc mnie o sprawdzenie tego. Działales w najlepiej pojętym interesie twoich pacjentów.

— Dzięki za pocieszenie — odpowiedział Neef. — Ale niestety wcale nie czuję się przez to mniej zakłopotany.

— Właściwa droga jest czasami najtrudniejsza — stwierdził Farro-Jones. — Nie winienes tracić czujności tylko dlatego, że tym razem wszystko było w porządku. Niech lepiej Max wie, że masz go na oku. — Zaczął się zbierać i znowu powtórzył: — Jeśli będziesz czegoś potrzebował, dzwoń do mnie.

— Dzięki, Davidzie.

Neef umieścił wirusy w oddziałowej lodówce i poszukał w notesie telefonu Maxa Pereiry. Nikt się nie zgłaszał, więc zadzwonił na numer telefonu komórkowego.

- Pereira.
- Cześć Max. Tu Michael Neef. Twoje wirusy wróciły. Są w porządku.
- Nie żartuj! — odparł ironicznie Pereira.

Neef miał zamiar przeprosić go, ale się powstrzymał. Czuł, że jednak postąpił słusznie i biorąc pod uwagę okoliczności zrobił to, co powinien. A Farro-Jones miał rację. Niech Max wie, że jest kontrolowany.

— Moglibyśmy zacząć jutro, jeśli uda mi się załatwić salę operacyjną — zaproponował.

— Zgoda — odparł Pereira.

— Być może jest już za późno, żeby umówić się z Beavisem w sprawie Thomasa Downy, ale zobaczę, co da się zrobić.

— Zawsze do usług — zapewnił go Pereira oschłym tonem.

Neef odłożył słuchawkę i poszedł poszukać Kate Morse. Była z Thomasem Downy.

— Chciałbym jutro rozpocząć kurację genową. Myślisz, że zdążymy się przygotować? — spytał.

— Naturalnie! — uspokoiła go Kate. — A co z salą operacyjną?

— Właśnie idę to załatwić. Pomyślałem, że najpierw porozumiem się z tobą. — Neef przyjrzał się dyskretnie Kate i stwierdził, że jest blada i wygląda na wyczerpaną. Wziął ją delikatnie na bok. — Wszystko w porządku?

Kate nerwowym ruchem ręki dotknęła policzka.

— Przepraszam. To z powodu Charlie'ego. Ciągle źle się czuje. Wczoraj był lekarz. Stwierdził grype, ale boję się, że to może być coś poważniejszego.

— Rozumiem... A dlaczego tak przypuszczasz?

— Charlie nigdy nie chorował. Czasem się przeziębiał i to wszystko. Ale nigdy nie był naprawdę ciężko chory.

— Więc może właśnie na tym polega problem — domyślił się Neef. — Tym razem mógł złapać porządną gripę. Między tym, co ludzie potocznie nazywają gripą, a prawdziwą gripą jest kolosalna różnica. Nie należy jej lekceważyć, bo potrafi mieć naprawdę ciężki przebieg.

— Pewnie masz rację — przyznała Kate.

— Zaczekaj do rana. Jeśli nic się nie zmieni, wezwij kolejny raz waszego rejonowego internistę. Powiedz mu, że jesteś pielęgniarką, jeśli jeszcze się nie domyślił. Znasz się na tych sprawach.



Neefowi udało się zarezerwować na następny dzień dwie sale operacyjne, na czas wystarczająco długi, by rozpocząć terapię genową z trójką pacjentów. Postanowił, że pierwsi w kolejności będą Rebeka Daley z rakiem wątroby i Martin Liddle, pacjent z nowotworem trzustki. Dla nich wystarczyła mała sala zabiegowa. Duża sala operacyjna dostępna była po południu. Zamówił ją w nadziei, że Norman Beavis znajdzie czas na zajęcie się Thomasem Downy. Sekretarka neurochirurga powiedziała mu przez telefon, że Beavis przeprowadza operację w Szpitalu Uniwersyteckim rano, popołudnie zaś ma wolne. Pozostała dwójka pacjentów została zapisana na zabieg w małej sali na piątek rano.

Wykorzystując dobrą passę, Neef zadzwonił do działu farmacji.

— Czy mój antivulon już nadszedł? — zapytał.

— Pół godziny temu, doktorze Neef. Jest w drodze do pana.

Neef odszukał Lawrence'a Fieldinga i przekazał mu dobrą wiadomość. Fielding nie mógł się doczekać, kiedy przyślą lek.

Neef nie czuł się tak dobrze od kilku dni. Zadowolony wracał do gabinetu, gdy wpadł na Ewę Sayers. Była u Neila i właśnie od niego wyszła.

— Wszystko gra? — zapytał Neef.

— Tak, ale mam problem — odrzekła Ewa. — Liczyłam na to, że może cię spotkam.

Neef zabrał Ewę do siebie, zamknął drzwi i zapytał, o co chodzi.

— Facet nazwiskiem Lees zadzwonił wczoraj do mojej gazety. Naczelny polecił mi sprawdzić to, co opowiadał. Przypuszczam, że to ten mężczyzna, na które go się natknęłam wczoraj, kiedy wchodziłam do ciebie.

Neef potwierdził to skinieniem głowy.

— Jego córka ma raka. Był bardzo zdenerwowany.

— Uprzedziłam naczelnego, że mam z tobą umowę, której nie mogę złamać. Odrzekł, że to rozumie, ale jeśli historia Leesa jest prawdziwa, należy ją opublikować w interesie publicznym. Jeśli ja się tym nie zajmę, zleci to innemu reporterowi. Przepraszam.

— Rozumiem... — odrzekł Neef. — No, trudno. Skoro pan Lees zwrócił się o interwencję do twojej gazety, to dlaczego nie ty miałabyś się zająć tą historią. Ktoś przecież musi. Co chcesz wiedzieć?

Ewa powtórzyła mu relację Leesa, którą знаła od naczelnego.

— Czy to się zgadza? — spytała.

— To prawda, że Jane Lees ma raka i uważamy, iż musiała być narażona na działanie silnie rakotwórczego gazu lub środka chemicznego. To drugi taki przypadek w ciągu tygodnia.

— Mój Boże — szepnęła Ewa.

— Pan Lees sądzi, że nie podjęto odpowiednich kroków, aby odnaleźć przyczyny zachorowań, ale ja jestem innego zdania. Zajmują się tym eksperci z Wydziału Zdrowia. Lees wolałby, żeby ulice przeczesywały oddziały policjantów.

— A czy to by nie pomogło? Bo jeżeli ktoś wylał gdzieś nielegalnie trujące środki chemiczne lub wyrzucił odpady?

— Nie sądzę — odparł Neef. — To szukanie igły w stogu siana. To praca dla inteligentnego detektywa. Jeżeli ludziom z Wydziału Zdrowia dopisze szczęście, uporają się z tym do końca tygodnia.

Ewa pokiwała głową.

— Rozumiem. W takim razie zrobię wszystko, by opóźnić druk tej historii o kilka dni. Trzeba dać im szansę.

— Dzięki.

Ewa wstała szykując się do wyjścia. Neef odprowadził ją do drzwi. Gdy przekręcał klamkę, zapytała go nagle:

— Zjesz dziś ze mną kolację?

Neef był tak zaskoczony, że przez moment zaniemówił.

— Eee... dobrze — powiedział w końcu.

— To przyjdź do mnie około ósmej.

Kiedy został sam, siedział przez kilka chwil za biurkiem gryzmołąc coś machinalnie w notesie z numerami telefonów. Rozmyślał o zaproszeniu, które otrzymał tak nie-

spodziewanie. W pierwszej chwili dopatrywał się w nim jakiegoś ukrytego celu, gdy nie udało mu się nic wymyślić, dał sobie spokój. Stwierdził w duchu, że powinien wreszcie przestać być paranoikiem i cieszyć się, że spędzi miły wieczór z Ewą. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Wydziału Zdrowia. Na szczęście Lennon był u siebie.

— Jak tam dochodzenie? — zapytał Neef.

— Na razie stoimy w miejscu — odrzekł Lennon. — Miałem nadzieję, że ten drugi przypadek nam pomoże, ale okazało się, że nie. Nie znaleźliśmy niczego, co łączyłoby te dwie dziewczynki. Mimo to, powinniśmy się cieszyć, że nie mamy więcej ofiar. Oznacza to, że ten czynnik rakotwórczy niełatwo będzie znaleźć.

— Pojawił się jednak pewien problem — uprzedził Neef.

— A mianowicie?

— Ojciec Jane Lees skontaktował się z prasą. Domaga się podjęcia zdecydowanych działań uważając, że ktoś coś ukrywa. Gazeta, do której się udał wstrzyma się z publikacją tej historii jeszcze przez kilka dni, ale nie dłużej.

— Cholera... — westchnął Lennon. — Dzięki za ostrzeżenie. A jak się czuje ta dziewczynka?

— Jej stan nie jest dobry — odrzekł Neef. — Niestety. I jeśli umrze, nie tylko jej rodzice zażądadają odpowiedzi na kilka pytań.

7

Jadąc do Ewy Neef wstąpił do sklepu monopolowego Threshera i kupił butelkę schłodzonego już, australijskiego chardonnay. Polecił mu je sprzedawca twierdząc, że wina z Australii i Nowej Zelandii są ostatnio bardzo modne. Neef słabo się na tym znał. Nagle zaniepokoił się, że białe może być nieodpowiednie i dokupił więc jeszcze Côtes du Rhone. Zjawił się u Ewy tuż przed ósmą.

Miała na sobie kremową jedwabną bluzkę i czarne sztruksowe spodnie podkreślające jej zgrabną figurę. Otwierając Neefowi drzwi odrzuciła do tyłu rozpuszczone włosy. Podziękowała za wino i oznajmiła:

— Jestem prawie gotowa. Zrób sobie drinka, a ja dokończę to, co mam jeszcze do zrobienia w kuchni.

Neef został sam w pokoju, który już znał z poprzedniej wizyty w ostatnią niedzielę. Tym razem zasłony były zaciągnięte, ze stereofonicznych głośników dochodziła przyciszona muzyka jazzowa, a w powietrzu unosił się wonny zapach kadzidła palącego się w małej kadzielnicy z mosiądzu, ustawionej na obramowaniu kominka. Neef domyślał się, że kadzielnica pochodzi z Tunezji, podobnie jak kilimy w niebieskie wzory. Pomyślał, że gdyby zabrakło tematów do konwersacji, zawsze może o to zapytać. Na srebrnej tacy stały różne alkohole i napoje chłodzące, a z czerwonego, plastikowego kubek do lodu z odsuniętą pokrywką wystawały szczypczyki w tym samym kolorze. Neef przyrządził sobie dżin z tonikiem i zawołał:

— Czy mam ci zrobić coś do picia?

— Poproszę o dżin — odpowiedziała.

Po chwili wróciła z kuchni i zakomunikowała:

— Jeszcze dziesięć minut. — Wzięła swojego drinka i spojrzała na Neefa. — Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że cię o coś zapytam?

— Pytaj.

— Mówiłeś, że ten środek chemiczny, czy cokolwiek to jest, spowodował dwa przypadki zachorowań na raka, prawda?

— Tak.

— Czy obie ofiary pochodzą z tej samej części miasta?

— Nie — odrzekł Neef. — Ale wygląda na to, że ich drogi musiały się w pewnym momencie skrzyżować. To między innymi próbuje ustalić Wydział Zdrowia. Jak na ironię, pojawienie się drugiego przypadku może im ułatwić zadanie.

— Jak to?

— Ludzie prowadzący dochodzenie, usiłują na podstawie rozmów z rodzicami odtworzyć kroki obu dziewczynek i porównać je. Powinni znaleźć jakieś miejsce, w którym bywała jedna i druga. Na przykład park, lasek, czy nawet budynek. Znając jego lokalizację można rozpocząć poszukiwania na szeroką skalę korzystając z pomocy policji, jeśli okaże się konieczna.

— Rozumiem. W twoich ustach brzmi to dość prosto — stwierdziła Ewa.

— Bo to powinno być proste — odparł Neef. Dyskretnie przemilczał fakt, że dotychczasowe wysiłki Wydziału Zdrowia spęły na niczym. — Miałaś trudności ze wstrzymaniem druku tej historii?

— Nie. Przekonałam naczelnego, że Lees jest pod działaniem silnego stresu i powinniśmy dobrze sprawdzić wszystkie fakty, zanim cokolwiek opublikujemy.

— To dobrze. Jestem ci wdzięczny. Takie historie łatwo wywołują niepokój wśród społeczeństwa.

— A co w tym złego? — zdziwiła się Ewa. — To jedyna rzecz zdolna pobudzić niektóre instytucje publiczne do działania.

— Może masz rację — przyznał Neef. — Jednak byłoby lepiej, gdyby ludziom z Wydziału Zdrowia udało się załatwić tę sprawę, zanim trafi ona na pierwsze strony gazet.



Kolacja udała się bardzo. Neef pochwalił kulinarne talenty Ewy. Westchnął z zadowoleniem i stwierdził:

— Od wieków nie jadłem czegoś tak dobrego.

— Jeśli przyjdiesz do mnie więcej niż trzy razy, zaczniesz dostawać w kółko to samo — odpowiedziała.

— Daj spokój. Jesteś zbyt skromna.

— Może napijesz się likieru? Drambuie? Amaretto?

— Nie, dziękuję. Muszę mieć jutro jasną głowę. Zaczynamy próby z terapią genową.

— To musi być bardzo ekscytujące, gdy zaczyna się coś zupełnie nowego.

— I równie niepokojące — odparł Neef. — Każda nowość oznacza nieprzewidziane problemy. „Kłopoty wieku niemowlęcego” jak to lubią nazywać niektórzy. Terapia genowa nigdy nie była wyjątkiem.

— Nie wiedziałam, że już ją kiedyś wykorzystywano.

— Na świecie przeprowadzono ze zmiennym szczęściem kilka prób. Szpital Uniwersytecki też usiłował w zeszłym roku leczyć w ten sposób — pacjentów ze zwłóknieniem torbielowatym, ale bez znaczących sukcesów.

— Czy to ta choroba, podczas której dzieci muszą być cały czas poddawane fizjoterapii, by pozbyły się z płuc śluzu? — spytała Ewa.

Neef skinął głową.

— Ten stan powoduje wada dziedziczna w genie, który naukowcy potrafią już zidentyfikować. Teraz chodzi o to, by do komórek płucnych pacjenta wprowadzić normalnie funkcjonującą kopię genu, żeby zaczęły one wytwarzać brakującą substancję.

— I same się uzdrowiły?

— Mniej więcej tak to można ująć. Mukowiscydoza uszkadza nie tylko płuca, ale właśnie zmiany w płucach są najgorszym aspektem tej choroby i ten problem powinna rozwiązać skuteczna kuracja.

— Ale skąd wziąć prawidłowo funkcjonującą kopię genu? — zapytała Ewa, wyraźnie zafascynowana tym tematem.

— To ta łatwiejsza połowa zadania, skoro już się go zidentyfikowało — wyjaśnił Neef. — Trudniej wprowadzić ten sprawny gen do komórek pacjenta. Do tego potrzebny jest jakiś pośrednik, czyli przenoszący go wektor, zazwyczaj wirus.

— Wirus?! — wykrzyknęła ze zgrozą Ewa. — Rozmyślnie zaraża się pacjenta wirusem?

— To tylko brzmi tak przerażająco — uspokoił ją Neef. — Najpierw wirus zostaje unieszkodliwiony, więc nie może spowodować infekcji.

— Ale mówiłeś, że na Uniwersytecie to się nie udało?

— Oni nie używali wektora wirusowego. Wybrali liposomy. Ta metoda jest bezpieczniejsza, niż używanie żywego wirusa, ale nie tak skuteczna jeśli chodzi o dostarczenie nowego genu do komórek pacjenta.

— Więc im się nie powiodło?

— Niestety. Ale podobno niedługo zamierzają wypróbować nowy wektor.

— Tym razem wirus? — spytała Ewa.

— Niemal na pewno.

— Czyli bardziej ryzykowny sposób?

— Jak to mówi David Farro-Jones, im skuteczniejszy wektor, tym większe ryzyko.

— Kto to jest David Farro-Jones?

— Biolog molekularny odpowiedzialny za terapię genową na Uniwersytecie.

— Ale nie w Szpitalu św. Jerzego?

— Nie — zaprzeczył Neef. — Św. Jerzy jest w innym szpitalnym truście, ale w praktyce nadal współpracujemy ze sobą. Tylko że my korzystamy przy wdrażaniu terapii genowej z usług specjalistycznej firmy o nazwie Menogen Research i jej naukowego dyrektora Maxa Pereiry.

— Kto będzie pierwszym pacjentem? — zapytała Ewa.

— Jedenastoletnia Rebeka Daley. Ma raka wątroby. Przeprowadzimy zabieg jutro rano.

- Zatem, za Rebeke — powiedziała Ewa podnosząc do góry kieliszek. Neef skinął głową. Ewa napełniła kawą jego filiżankę i zmieniła temat:
- Czy twoi pacjenci w ogóle wychodzą?
- Co masz na myśli?
- Wycieczki, wizyty w domu... O to mi chodzi.
- Tak, to normalne.
- Ale nie Neil?
- Neil przyszedł do nas z domu dziecka. Sytuacja byłaby niezręczna. Zakłóciłaby panujący tam porządek.
- Czy pozwoliłbyś, żebym go dokądś zabrała?
- Przypuszczam, że...
- Może do zoo?
- Jeśli będzie się dobrze czuł, nie widzę przeszkód. To mogłoby mu nawet pomóc.
- To świetnie — ucieszyła się Ewa. — Dziś wydawał się bardzo żwawy. Przydałoby mu się wyjście na zewnątrz, oderwanie się od szpitalnej codzienności.
- Tylko pamiętaj, że ludzie będą mu się przyglądać. Jego twarz nie stanowi pięknego widoku, choć ty już się pewnie przyzwyczaiłaś.
- Masz rację, przyzwyczaiłam się — odrzekła Ewa, jakby dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. — Już nie dostrzegam jego guza.
- Ale może tak zatłoczone miejsce jak zoo, to nie jest najlepszy pomysł — zauważył Neef.
- To może zabiorę go na przejażdżkę samochodem, albo na piknik za miasto?
- W porządku.



Lało jak z cebra, kiedy o jedenastej trzydzieści Neef wyszedł od Ewy. Wielkie opony land rovera toczyły się po zalanej wodą jezdni z takim hałasem, że wyłączył kasetę z Vivaldim, którą wsunął do odtwarzacza i zamiast muzyki słuchał szumu deszczu. Odgłos angielskiego lata — pomyślał, gdy skręcił z głównej drogi i zmienił bieg na stromym zjeździe prowadzącym do domku. Przez przednią szybę widział już zamazane częściowo światła, ale bynajmniej nie poczuł ciepła czekającego nań domowego ogniska. W trzech pokojach zainstalował czasowe wyłączniki oświetlenia, by domek zawsze wyglądał na zamieszkaną, gdyby zainteresował się nim włamywacz.

Neef nalał sobie whisky i z westchnieniem usiadł na sofie. Dolly usadowiła się u jego stóp. Myśłami wciąż był z Ewą. Gdyby zamknął oczy i odchylił do tyłu głowę, miałby przed sobą jej uśmiechniętą twarz. Śmiała się wdzięcznie, przechylając na bok głowę. Bardzo to lubił. Nagle poczuł się winny wobec Elaine, ale nie mógłby zaprzeczyć, że wieczór spędzony z Ewą sprawił mu dużą przyjemność. Żałował, że się już skończył. Ale był pewien, że czekają go następne.



Neef zerwał się natychmiast, gdy zadzwieczał telefon. Włączył nocną lampkę i spoj-
rzał na zegarek. Dochodziła druga trzydzieści rano.

— Mike? Tu Kate Morse. Przepraszam, że dzwonię o tej porze...

— Co się stało? — przerwał jej Neef, przecierając oczy. Usiłował sobie przytomnieć,
czy Kate ma dziś nocny dyżur. Był pewien, że nie.

— Chodzi o Charlie'ego — wyjaśniła. — Jestem przerażona.

— O Charlie'ego? — powtórzył Neef.

— Jego stan bardzo się pogorszył. Ponownie wezwałam lekarza, jak mi radziłeś,
ale powiedział, że nie ma się czym przejmować. Że to tylko silna grypa i za kilka dni
Charlie będzie zdrow jak ryba. Na razie powinien zostać w łóżku i brać aspirynę. Wiesz,
jak to jest. On nie wyzdrowieje, ja to wiem, Mike! Jest naprawdę ciężko chory, a ja nie
mam pojęcia co robić.

Neef poznał po głosie Kate, że sytuacja musi być rzeczywiście poważna. Jako bardzo
doświadczona pielęgniarka potrafiła panować nad sobą w najbardziej krytycznych mo-
mentach, ale teraz nie wytrzymała.

— Już jadę, Kate. Będę za piętnaście minut.

— Dziękuję ci, Mike. Jestem wdzięczna.



Neef wyciągnął džinsy, T-shirt i ciepły sweter. Dolly otworzyła jedno oko i patrzyła,
jak Neef przygotowuje się do wyjścia.

— Grzej łóżko, Dols — powiedział, wkładając nieprzemakalną kurtkę i wyciągając
spod tapczanu walizeczkę lekarską.

Dolly zamknęła oko. Nie poruszyła się nawet.

Jazda do małego bungalowu Morse'ów trwała dwanaście minut. W dzień zajęłoby to
pół godziny, ale o trzeciej nad ranem ulice były puste. Ulewa nagle zamieniła jezdnie
w rwące rzeki. Neef spotkał po drodze tylko wóz policyjny i kilka taksówek.

— Dzięki, że przyjechałeś, Mike — powitała go szeptem Kate. — Jest tam.

Charlie Morse nawet nie odwrócił głowy, gdy Neef wszedł do pokoju. Patrzył w sufit,
łapiąc małe, szybkie hausty powietrza. Kołdra okrywała go do pasa. Na jego bladej skó-
rze błyszczała warstewka potu. Wokół unosił się nieprzyjemny, słodkawy zapach. Nic
specjalnego, po prostu charakterystyczna woń choroby, pomyślał Neef.

— Nie będę pytał, jak się czujesz — powiedział — bo sam to widzę, Charlie.

Wyjął stetoskop, ogrzał go w dłoni i przyłożył do piersi Charlie'ego. Kiedy skończył,
do łóżka podeszła Kate, by pomóc podnieść męża do pozycji siedzącej. Neef osłuchał
chorego od strony pleców.

— W porządku.

Kate ułożyła Charlie'ego z powrotem. Próbowwała podciągnąć wyżej kołdrę, ale powstrzymała ją słabym gestem.

Neef cofnął się od łóżka. Kate stanęła obok, wpatrując się w niego z niepokojem.

— Musimy umieścić go w szpitalu — stwierdził Neef. — Ma silne, obustronne zapalenie płuc.

— Telefon jest tam — pokazała Kate.

Neef poszedł za nią do przedpokoju i wykręcił 999.

— Aż tak źle? — zapytała.

— Im szybciej, tym lepiej — wyjaśnił. — I jeśli chcesz posłuchać dobrej rady, Kate...

— Tak?

— Zmień lekarza. To idiota.

Skinęła głową. Już miała następny problem do rozwiązania.

— Mike, czy mogłabym cię prosić, żebyś został tu przez kilka chwil na wypadek, gdyby dzieci się obudziły? Pójdę do sąsiadki i zapytam, czy może przyjść i zająć się nimi. Chciałabym pojechać z Charlie'em do szpitala.

— Oczywiście — zgodził się Neef.

Kate narzuciła na ramiona płaszcz i zniknęła za drzwiami. Neef wrócił do pokoju i powiedział Charlie'emu, że karetka jest w drodze. Chory lekko skinął głową. Oddychał jeszcze szybciej niż przedtem. Gdzieś w oddali odezwał się jęk syreny.

Gdy karetka zatrzymała się przed domem, na ścieżce pojawiła się wracająca biegiem Kate.

— Pani Redpath zaraz tu przyjdzie — wysapała. — Mógłbyś na nią poczekać, Mike?

— Naturalnie.



Neef obserwował, jak dwaj ubrani na zielono sanitariusze wsuwają nosze z Charlie'em do karetki. Kate stała obok drzwi, zasłaniając się przed deszczem narzuconym na ramiona płaszczem. Podniosła na Neefa wzrok i wtedy zobaczył, że się boi. Światło sodowych, ulicznych lamp było bezlitosne. Postarzała się o dziesięć lat.

— Pani Redpath za chwilę tu będzie — powtórzyła.

— Dobrze. O nic się nie martw — uspokoił ją Neef.

Kate wdrapała się do karetki, drzwi zatrzasnęły się i ambulans odjechał w noc, bezgłośnie migając niebieskimi światłami.

— Dokąd go zabierają? — odezwał się za plecami Neefa starannie modulowany kobiecy głos.

Neef się odwrócił. Miał przed sobą niską, tęgą kobietę o jasnej cerze i twarzy okolonej aureolą zupełnie siwych włosów. Na szlafrok włożyła płaszcz, ale nie zmieniła rannych pantofli. Zauważył, że bambosze zdążyły już przemoknąć.

— Pani Redpath? — zapytał.

— Tak. A pan musi być doktorem Neefem. Kate powiedziała, że pan na mnie czeka.

— Do Szpitala Uniwersyteckiego — powiedział Neef, przypominając sobie nagle, że pani Redpath pytała go, dokąd zabrali Charlie'ego.

— Tam dobrze o niego zadbają — stwierdziła kobieta.

Neef zostawił dom i dzieci Morse'ów pod jej opieką i pojechał z powrotem do siebie. Stracił wszelką nadzieję na to, że jeszcze zaśnie.



Neef spał w rzeczywistości trzy godziny, ale gdy zadzwonił budzik, wydawało mu się, że ledwo przyłożył głowę do poduszki. Wstał i długo brał gorący prysznic. Potem wypił morze mocnej kawy i zjadł dwa tosty. O siódmej czterdzieści pięć wyruszył do szpitala, by zacząć dzień od porannej odprawy dla personelu. Miała się odbyć w małej sali seminaryjnej obok sal operacyjnych. Zjawił się tam ostatni. Wziął ze stosu papierowy kubek i nalał sobie kawy z termosu.

— Dzień dobry wszystkim — przemówił głośno, by uciszyć gwar rozmów i uśmiechnął się uprzejmie. Chciał podkreślić, że nie zwraca się jedynie do milczącego Maxa Pereiry. — Uważam, że powinienem powiedzieć kilka słów na temat rozpoczynającej się dziś próbnej terapii genowej. Będziemy mieli pięciu pacjentów. Sposób postępowania podczas zabiegów nie odbiega zasadniczo od standardowych procedur, toteż nie stawia przed nami nowych wymagań. Dlatego nie było potrzeby zorganizowania tego spotkania wcześniej. Dziś rano pierwszą naszą pacjentką będzie Rebeka Daley, dziewczynka z rakiem wątroby. Wstrzykniemy do jej nowotworu preparat dostarczony przez obecnego wśród nas doktora Pereirę. Zawiera wirus będący nosicielem genu. Należy mieć na dzieję, że zgodnie z założeniem wywoła on wrażliwość nowotworu na gancyclovir, który zaczniemy podawać Rebecce za siedem dni. Pierwszy zabieg, nie powinien być skomplikowany. Wykonam go sam, korzystając z pomocy ultrasonografu. Drugą z trzech dzisiejszych operacji przeprowadzi jeden z zespołu chirurgicznych pana Louradisa. Niestety, nie wiem jeszcze, kto to będzie. Zabiegowi poddany zostanie Martin Liddle, pacjent z nowotworem trzustki. W jego wypadku, wirus doktora Pereiry wprowadzimy metodą CPWE. Gdyby ktoś nie pamiętał, przypomnę, że chodzi o cholangiopankreatografię wsteczną endoskopową. Rzecz jasna, tym razem nie wykorzystamy tej techniki do wycięcia próbki tkanki, lecz do wszczępienia wirusa.

Neef zwrócił się do Pereiry, który tego ranka miał na sobie T-shirt reklamujący kursy nurkowania na Krecie.

— Do gardła pacjenta wprowadzimy rurkę wziernika wyposażoną w źródło światła i kamerę wideo i poprzez żołądek oraz dwunastnicę dotrzemy do trzustki. Przez cały czas będziemy mogli obserwować jej ruch na ekranie monitora.

— Bułka z masłem — stwierdził Pereira.

Gdyby powiedział to ktoś inny, pewnie wszyscy roześmialiby się głośno. Ale zebrani nie znali Pereiry. Tylko kilka osób uśmiechnęło się niepewnie.

— Nie ma powodu, dla którego miałyby być inaczej — odrzekł Neef. — Są jakieś pytania?

— Chciałabym zapytać, co dokładnie spowoduje wirus doktora Pereiry — odezwała się jedna z pielęgniarek zabiegowych.

Rozległ się ogólny pomruk aprobaty.

Pereira przestał dłużyć paznokciem w zębach, rozejrzył się leniwie i podrapał w głowę.

— Sam wirus, nic — odrzekł. — Użyjemy go tylko do dostarczenia nowego genu do komórek nowotworowych pacjenta. Gen nazywany jest genem kinazy tymidynowej, w skrócie genem KT. Gdy znajdzie się we wnętrzu komórek, zacznie wytwarzać kinazę tymidynową i spowoduje, że tym samym każda komórka ją wytwarzająca zostanie zabita przez lek o nazwie gancyclovir. Po upływie tygodnia podamy pacjentowi ten lek i zwalczymy nowotwór. Proste, co?

— Bułka z masłem — stwierdziła pielęgniarka.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Naszym trzecim pacjentem będzie dziś Thomas Downy. Zabieg przeprowadzi w głównej sali operacyjnej pan Beavis i jego zespół neurochirurgiczny. Thomas ma nowotwór mózgu, którego nie można zoperować. Wstrzyknięcie wirusa do nowotworu już raczej nie będzie „bułką z masłem”. Oczywiście wideo i ultradźwięki nie wchodzi w rachubę. Przesuwanie się igły będzie monitorowane przy użyciu tomografii komputerowej. Mózg, jak wielu z nas wie, to trochę jak pole minowe. Wystarczy jakiegokolwiek uszkodzenie sąsiednich komórek i można całkowicie pozbawić pacjenta zmysłu równowagi i koordynacji ruchowej. Macie jeszcze jakieś pytania?

— A co powstrzyma wirus doktora Pereiry, aby nie przedostał się do krwiobiegu i aby kinaza nie przeniknęła do wszystkich komórek pacjenta? — zapytał ktoś z oddziału radiologii. — Na pewno istnieje niebezpieczeństwo pozbawienia wszystkich komórek odporności na gancyclovir.

— Dobre pytanie — przyznał Pereira. — Po pierwsze, wirus został unieszkodliwiony. Nie jest zdolny do replikacji, więc nie ma mowy, by spowodował ogólną infekcję wirusową. Po drugie, konstruujemy gen kinazy w ten sposób, że jest odpowiednio dobrany

do tkanki, w którą zostaje wszczepiony. Dlatego dysponujemy kilkoma odmianami wirusów. I dziś je wykorzystamy. Na przykład, w wypadku dziecka z nowotworem wątroby użyjemy wersji z promotorem-sekwencją fetoprotein alfa przed genem kinazy. Jej działanie mogą uruchomić tylko komórki wątroby.

— Czyż nauka nie jest cudowna? — powiedziała jedna z pielęgniarek.

— O tym się wkrótce przekonamy — odrzekł Neef. — Czy ktoś chce jeszcze o coś zapytać?

Nikt się nie odezwał.



Ciało Rebeki Daley wydawało się małe i wątłe, gdy Neef patrzył na nie przygotowując się do wstrzyknięcia ośmiu mililitrów zawiesiny wirusowej Pereiry w samo jądro nowotworu. Pereira chciał być obecny przy wszystkich zabiegach, więc Neef wyjaśniał mu kolejno, co robi.

— Nałożymy jeszcze trochę żelu na jej podbrzusze, żeby próbnik ultrasonografu miał dobry kontakt z podłożem — powiedział. Rozsmarował preparat przez wodzący po odsłoniętej części brzucha dziewczynki i kilkakrotnie przesunął po nim głowicą próbniaka, by upewnić się, że ma na monitorze wyraźny obraz. — W porządku — stwierdził. — Widzisz wątrobę?

— Przepraszam, ale to wszystko wydaje mi się jakieś zamazane — wyznał Pereira.

— My jesteśmy do tego przyzwyczajeni — odrzekł Neef i wyciągnął rękę w kierunku ekranu. — Tu jest wątroba... — przesunął nieco próbnik i dodał — a to nowotwór.

Pereira pochylił się w stronę monitora, by lepiej się przyjrzeć.

— Teraz widzę. Jak się domyślam, w dzisiejszych czasach często korzystacie z tego sprzętu.

— Zgadza się — przyznał Neef. — Pod wieloma względami zrewolucjonizował on medycynę. Jak to dobrze móc zajrzeć do wnętrza pacjenta bez uciekania się do metod inwazyjnych.

Neef ustalił najlepszy kąt pod jakim można wprowadzić igłę aby wszczepić wirusa.

— Ustawię próbnik tak, że igła przetnie jego wiązki i ukaże się na ekranie. Będziemy widzieli jej drogę w głąb.

Zapanowała chwila ciszy, gdy wbijał igłę w ściankę podbrzusza dziewczynki i wsuwał ją do środka bardzo powoli.

— Widzę ją! — wykrzyknął nagle Pereira, gdy na ekranie ukazała się ciągła, biała linia.

Neef nieprzerwanie wciskał igłę, sunącą w kierunku nowotworu. Nie patrzył na pacjentkę, przez cały czas śledził obraz na monitorze.

— Jest prawie na miejscu — oznajmił, kiedy koniec igły zetknął się z zewnętrzną powłoką nowotworu. — A teraz wejdziemy do wnętrza.

Wielkość nowotworu obliczono korzystając z tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego i Neef wiedział, że aby dotrzeć do jego środka, musi wsunąć igłę centymetr głębiej. Zrobił to śledząc jej lumen z umieszczoną wzdłuż niego skalą.

— Jesteśmy — powiedział.

— Teraz możesz nacisnąć spust — włączył się Pereira.

Neef wstrzyknął wirusa i operacja była skończona. Wyciągnął powoli igłę i odechnął z ulgą.

— Nasz pierwszy pacjent. Powodzenia, Rebeko.



Do następnej operacji pozostało półtorej godziny. Pereira postanowił się przejść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Neef był ciekaw, czy ma dość. Jeśli Pereira źle znosił widok zwykłej igły, to podczas popołudniowej operacji mogły z nim być poważne kłopoty. Neef zapytał w dyżurce, czy odzywała się Kate Morse, ale starsza pielęgniarka nazwiskiem Collins pokręciła głową.

— Siostra Morse ma dyżur od drugiej.

— Jej męża zabrano w nocy do szpitala — wyjaśnił Neef. — Myślałem, że może dzwoniła i mówiła, co się z nim dzieje.

— Niestety, nie odzywała się — odrzekła pielęgniarka. — Ale próbował się z panem skontaktować pan Louradis. Centrala nie powiedziała panu?

Neef zaprzeczył ruchem głowy i pielęgniarka wzniosła oczy ku niebu. — Więc może powinien pan do niego zadzwonić.

Neef wrócił do swego gabinetu i wykręcił numer Marka Louradisa. Miał nadzieję, że nie będzie żadnych problemów z przeprowadzeniem zabiegu Martinowi Liddle.

— Mark? Tu Michael Neef. Chyba nic się nie stało?

— Ależ nie, absolutnie nic. Chciałem ci tylko powiedzieć, że zamierzam sam wykonać Martinowi Liddle planowany zabieg.

Neef czuł się kompletnie zaskoczony.

— Będziemy zaszczyceni. Ale czy to nie jest zbyt banalna operacja dla chirurga z twoją pozycją.

— Pomyślałem sobie, że chciałbym wnieść swój skromny wkład w tworzenie historii Szpitala św. Jerzego. To nasza pierwsza próba z terapią genową i tak dalej... Nie masz chyba nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie! — zapewnił wciąż zdumiony Neef. — Mam nadzieję, że ty z kolei nie będziesz się sprzeciwiał obecności doktora Pereiry i mojej w roli obserwatorów.

— Naturalnie, że nie.

Neef odłożył słuchawkę. Mark Louradis miał dobry nastrój, a to nieczęsto się zdarzało. Neef zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym spojrzął na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze mnóstwo czasu. Zadzwoił do izby przyjęć Szpitala Uniwersyteckiego.

— Pielęgniarka dyżurna Mellor. Czym mogę służyć?

— Dzień dobry, sostro. Tu doktor Neef ze św. Jerzego. W nocy przyjęliście nagły wypadek. Chciałbym się dowiedzieć o stan pacjenta.

— Mielśmy takie dwa, doktorze. Który pana interesuje?

— Charles Morse, nasz główny laborant z patologii.

— Niestety, stan pana Morse'a nie jest dobry. Miał ciężką noc.

— Czy są już jakieś wyniki z laboratorium?

— Może lepiej porozmawia pan z doktorem Clellandem.

— Zgodnie z zasadami... — mruknął pod nosem Neef czekając na połączenie. Nie trwało to długo.

— Doktor Neef?

— Dzień dobry, doktorze. To ja skierowałem do was Charlesa Morse'a. Czy coś już wiadomo?

— Jeszcze nie. Wystąpiło kilka nietypowych objawów, ale wstępna diagnoza wskazuje, że to pneumonia wywołana przez Klebsiellę, co można wnioskować z ciężkiego stanu pacjenta. Dostaje ampicylinę.

— Pewnie jeszcze za wcześnie, by stwierdzić jak reaguje? — zapytał ostrożnie Neef.

— Jak na razie, nie zaobserwowaliśmy pozytywnej reakcji. Ciężko choruje, ale jak pan sam powiedział, to dopiero pierwsze godziny kuracji — zgodził się z nim Clelland.

— Dziękuję, doktorze.

Neef odłożył słuchawkę. Zaczęło go ogarniać złe przeczucie. Może był tylko przewrażliwiony, bo w ostatnich dniach zapalenie płuc źle mu się kojarzyło, ale wzmianka Clellanda o „nietypowych objawach” wzmagala jego niepokój. Przypomniał sobie diagnozę lekarza, który stwierdził u Charlie'ego grypę, a potem zatelefonował do Kate do domu.

— Kate? Dowiedziałem się, że z Charlie'em nie jest dobrze.

— Och, Mike. To miło, że dzwonisz. On jest naprawdę ciężko chory. Myślę, że gdybyś nie przyjechał i w porę nie wezwał karetki, nie przetrzymałby nocy. W drodze do szpitala podawali mu tlen. Dziś od rana też.

— W Uniwersyteckim uważają, że to ostre zapalenie płuc. Klebsiella. To wyjaśniałoby jego ciężki stan. Ale ampicylina powinna pomóc. Niedługo pewnie poczuje się lepiej.

— O Boże, mam nadzieję. Mike, ja się naprawdę przestraszyłam.

— Wierzę.

— Zobaczymy się o drugiej, jak przyjdę do pracy.

— Posłuchaj, Kate. Jeśli nie czujesz się na siłach, poradzimy sobie.

— Będę na pewno — obiecała. — Siedzenie w domu i zamartwianie się nie pomoże nikomu, a najmniej Charlie'emu.

— Jak uważasz — odrzekł Neef. — Pewnie spotkamy się dopiero po operacji Thomasa Downy. Zaczynamy o drugiej trzydzieści.

— Zupełnie o tym zapomniałam — wyznała Kate. — Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. To taki miły chłopiec.

Kiedy Pereira wrócił ze spaceru, Neef zapytał go, czy nadal chce być obecny przy następnej operacji.

— Jasne — usłyszał w odpowiedzi.

Neef nie był o tym do końca przekonany, ale tylko wzruszył ramionami i zaproponował, żeby już zeszli do sali. W umywalni zastali Marka Louradisa. Neef przedstawił go Pereirze.

— Pan Louradis to nasz naczelny chirurg. On wszczepi twojego wirusa Martinowi Liddle.

— Dobrze wiedzieć, że zrobi to najlepszy — stwierdził Pereira szorując mydłem owłosione ramiona.

Louradis zerknął na niego z ukosa, jakby podejrzewając sarkazm, ale nie znalazł żadnych oznak kpiny. Pereira wygłosił tę uwagę w dobrej wierze i z przekonaniem. Ale Louradis mógł w to wątpić — pomyślał Neef. Mimo że jako chirurg cieszył się doskonałą reputacją, cierpiał na straszny kompleks niższości z powodu swego śródziemnomorskiego pochodzenia. Neef żałował czasem, że nie może dostać pięciu funtów za każdym razem, gdy widzi, jak twarz Louradisa pochmurnieje i przybiera podejrzliwy wyraz w sytuacji, którą wszyscy inni uważają za zupełnie niewinną.

— Co to za kolor! — szepnęła Pereira do Neefa, gdy zobaczył żółtą skórę Martina Liddle.

— To z powodu nowotworu — wyjaśnił Neef. — Nowotwory trzustki są znane z tego, że rozwijają się, zanim zostaną zdiagnozowane. W drogach żółciowych następuje zastój, kiedy nowotwór się rozprzestrzeni.

— To nie jest ultrasonograf, mam rację? — Pereira wskazał monitor umieszczony obok stołu operacyjnego.

— Tym razem to prawdziwy obraz wideo. Na samym końcu wziernika zainstalowana jest mała kamera.

Louradis wsunął rurkę endoskopu do przewodu pokarmowego pacjenta i wszyscy zaczęli śledzić jej drogę.

— Zaczynają się schody — szepnęła do Pereiry Neef. — Doszedł do dwunastnicy.

Louradis poruszał teraz delikatnie dźwigienkami na głowicy rurki, dopóki nie pokonał niewygodnego zagięcia i nie uzyskał na ekranie zadowalającej jakości obrazu.

— Jesteśmy prawie na miejscu, doktorze Pereira — powiedział. — Tutaj, jak pan sądzi?

Neef wyczuł, że pytanie wprawiło Pereirę w zakłopotanie. Nie spodziewał się, że ktoś będzie chciał znać jego opinię.

— A co ty uważasz, Mike? — Pereira zwrócił się do Neefa.

Neef uśmiechnął się pod maską.

— Może jeszcze pół cala — zaproponował.

— Tu?

— Świetnie.

Louradis wstrzyknął wirusa i zaczął wycofywać rurkę.



— Muszę zapalić — powiedział z przejęciem Pereira, gdy razem z Neefem opuścił salę operacyjną. — To na razie tyle, aż do drugiej trzydzieści, tak?

— Zgadza się — przytaknął Neef. — Dwie z głowy, została jeszcze jedna.

Zdjęli fartuchy i rękawiczki, po czym Pereira wyszedł na zewnątrz na papierosa, a Neef wrócił samotnie na oddział. Gdy przemierzał podwórze i mijał grupki gawędzących pielęgniarek, jego uwagę zwrócił pojazd zaparkowany po przeciwległej stronie placu. Na szybie miał nalepkę prasową. Dwaj mężczyźni z notesami stali obok w pogotowiu i rozmawiali z trzecim, z którego ramienia zwieszała się kamera.

O co tu chodzi? — pomyślał Neef, czując niepokój.

Po wejściu do gabinetu zadzwonił do rzecznika prasowego szpitala, Johna Marshalla.

— Pamiętasz o naszej umowie, żeby nie udzielać żadnych informacji na temat prób z terapią genową? — bardziej stwierdził niż zapytał.

Gdy tylko Marshall otworzył usta i niepewnie wymówił pierwszą sylabę, Neef wiedział, że stało się coś złego. Zamknął oczy czekając na nieprzyjemną wiadomość.

— To nie wyszło z mojego biura, Michael, przysięgam. Ale prasa jakoś się dowiedziała. Louradis właśnie w tej chwili udziela wywiadu na temat przypadku Martina Liddle.

— Jasna cholera! — zaklął Neef i odłożył słuchawkę.

Więc to dlatego Louradis tak się palił, by wykonać zwykły, rutynowy zabieg. Chciał zwrócić na siebie uwagę mediów. Musiał to sobie dokładnie zaplanować i wykorzystał nadarzącą się okazję. Znalazł się w świetle reflektorów, bo zazdrościł innym. Swego czasu strasznie się oburzał, że prasa poświęca tyle miejsca zespołom chirurgicznym ze Szpitala Uniwersyteckiego.

W pierwszej chwili Neef miał ochotę rozprawić się z Louradisem. Pójść i wygarnąć mu, co o tym myśli. Wyrzucić z siebie wszystkie epitety, które przychodziły mu do głowy. Ale w końcu pomyślał, że co się stało, to się nie odstanie. Wyglądało na to, że teraz będą musieli wypróbować terapię genową pod okiem prasy tak, jak rok wcześniej Szpital Uniwersytecki. Nic już nie mogło tego zmienić. Postanowił dać Louradisowi spokój.

Tymczasem dwadzieścia minut później Louradis sam do niego zadzwonił.

— Posłuchaj, Michael. Chciałem cię zapewnić, że nie miałem nic wspólnego z przyjazdem prasy. Byłem tak samo zaskoczony jak każdy.

— Oczywiście, Mark.

— Po skończonej operacji czekało na mnie dwóch reporterów. Nie mam pojęcia, jak wywęszyli, że coś się dzieje, ale czułem się w obowiązku powiedzieć im cokolwiek. Wiesz, jak to jest.

— Naturalnie.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że nie chciałeś, żeby prasa dowiedziała się zbyt wczesnie o próbie, ale tak wyszło. Przepraszam. Nie wypadało mi być w stosunku do nich niegrzecznym. Starłem się rozegrać to jak najlepiej umiałem. Mam nadzieję, że nie czujesz do mnie żalu?

— Jasne, że nie.

— To dobrze. Z niecierpliwością będę czekał na wiadomość o stanie naszego młodego pacjenta.

— Dopilnuję, żebyś otrzymywał wszystkie informacje na bieżąco.

Neef usłyszał odgłos odkładanej słuchawki, po czym wyrzucił z siebie kilka epitetów.

Kto inny mógł zawiadomić prasę?

8

Neef zauważył niezbyt tęgą minę Pereiry, gdy obaj wchodzili do głównej sali operacyjnej, gdzie Norman Beavis miał poddać Thomasa Downy zabiegowi neurochirurgicznemu.

— Jesteś pewien, że chcesz się temu przyglądać? — zapytał. — To widok dla odpornych.

— Wszystko w porządku — zapewnił go Pereira i zwilżył językiem suche wargi.

Sala była dwukrotnie większa niż pomieszczenia zabiegowe, z których korzystali rano i mieściła dużo więcej ludzi i sprzętu technicznego. Beavis, wysoki, poważny mężczyzna w okularach bez oprawek, uczesany z przedziałkiem, przypominał Neefowi oficera gestapo. Sprawiał wrażenie groźnego szefa. W jego zespole nikt nie zwracał się do niego po imieniu. Nie pozwalał na takie poufałości. W sali rozbrzmiewały szybkie odpowiedzi: „Tak, panie Beavis”, lub „Nie, panie Beavis”, gdy rzucał swemu personelowi krótkie pytania.

Thomas leżał na stole operacyjnym twarzą w dół. Jego drobne ciało przykryte było prześcieradłem chirurgicznym. Podstawę czaszki miał pomalowaną żółtym roztworem antyseptycznym w miejscu, gdzie miało nastąpić nacięcie. Dwaj technicy dokonywali ostatnich regulacji tomografu komputerowego.

— Czy wszyscy są gotowi? — zapytał Beavis.

Rozległy się potakujące głosy.

— Czy ktoś nie jest gotowy?

Odpowiedziała mu cisza.

— Mamy wirusa pod ręką?

Asystująca pielęgniarka wskazała szklaną fiolkę tkwiącą w kubelku z lodem obok tacy z instrumentami.

— Tak jest, sir.

— Więc zaczynamy.

Beavis naciął tył czaszki Thomasa Downy. Neef nachylił się do Pereiry.

— Wycina kawałek skóry, żeby odsłonić tkankę kostną.

Pereira w milczeniu skinął głową.

Beavis zamienił skalpel na wiertarkę elektryczną. Uniósł ją do góry i włączył na chwilę, żeby sprawdzić jak działa, po czym przyłożył do podstawy czaszki Thomasa i zaczął nawiercać kość. Zanim skończył, powietrze wypełnił swąd spalenizny. Wyciągnął wycięty czop kostny i wrzucił do czekającej obok miski. Neef usłyszał, jak Pereira głośno przełyka ślinę.

— Czy on to włoży z powrotem? — zapytał Max ochrypłym szeptem.

— Nie — odrzekł Neef. — Zasłoni otwór naciętym płatem skóry i po jakimś czasie ubytek sam się wypełni i zarośnie.

Beavis delikatnie wsunął długą igłę w otwór w czaszce i przerwał zabieg.

— Pierwszy obraz! — rozkazał.

Do akcji wkroczyła obsługa tomografu i po chwili na ekranie ukazał się obraz. Beavis wsunął igłę głębiej i powtórzył polecenie. Na monitorze widać było położenie igły.

— Co się dzieje? — spytał Pereira.

— W chirurgii mózgu nie możemy użyć ultrasonografu. Nie możemy również wprowadzić kamery do wnętrza głowy pacjenta. Podczas operacji musimy korzystać z szeregu następujących po sobie obrazów.

— Otrzymujecie je dopiero po wykonaniu kolejnego ruchu?!

— Tak musi być — wyjaśnił Neef.

— Jezu! — szepnął Pereira.

Igła posuwała się w kierunku nowotworu, aż wreszcie Beavis powiedział:

— Jesteśmy. Czy mogę prosić o wirusa?

Pielęgniarka sięgnęła do kubelka z lodem po fiolkę. Na nieszczęście powierzchnia szklanej rurki zwilgotniała i fiołka wysliznęła się z jej dłoni osłoniętej gumową rękawiczką. Odbiła się od krawędzi tacy z instrumentami, spadła na podłogę i roztrzaskała się. Wokół rozprysły się kawałeczki szkła, a preparat zawierający wirusa zamienił się w bezkształtną, mokrą plamę. Siostra uniosła ręce do twarzy. Jej oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia. Beavis nie mógł się odwrócić i zobaczyć, co się stało. Jego dłoń pewnie trzymała igłę zagłębianą w czaszce pacjenta.

— O co chodzi? — zapytał poirytowany.

— Straciliśmy wirusa — odpowiedział mu Neef. — Spadł na podłogę. — Podeszedł do nieszczęsnej siostry i lekko położył dłoń na jej ramieniu. Nikt inny się nie poruszył. Wszyscy stali sparaliżowani strachem.

— Czy stwarza to jakieś zagrożenie? — zapytał Beavis.

Neef spojrział na Pereirę, ale ten przecząco potrząsnął głową.

— Nie ma niebezpieczeństwa — odrzekł Neef. — Wirus był nieszkodliwy. Ale lepiej to zdezynfekujmy.

Jeden z techników zalał kałużę roztworem antyseptycznym, a potem zebrał płyn z podłogi za pomocą tamponów waty. Szkło znalazło się w małej, metalowej misce.

— A zatem, teraz nie mamy do wstrzyknięcia żadnego wirusa, czy tak? — spytał Beavis.

Ton jego głosu wydawał się opanowany, ale każdy wiedział, co myśli. Operacja okazała się stratą czasu. Czekać na odpowiedź neurochirurg wciąż nieruchomo trzymał igłę w czaszce Thomasa.

— Mam zapas — odezwał się Pereira. — Zostawiłem w dziale farmacji rezerwowę fiolki.

— Więc proszę, żeby ktoś je przyniósł — polecił Beavis. — Szybko! — W jego głosie zabrzmiał wyraźny niepokój. Nie było mowy, by mógł wyciągnąć igłę, a potem wprowadzić ją jeszcze raz. Stanowiło to zbyt wielkie ryzyko uszkodzenia mózgu pacjenta. Musiał utrzymać igłę w niezmienionej pozycji, dopóki nie dostanie nowego wirusa.

Po kilku minutach Beavis powiedział:

— Czuję, że zaczyna mi drżeć ręka. Czy ktoś mógłby się przygotować do zastąpienia mnie? — Zabrzmiało to całkiem naturalnie, ale każdy zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Przekazanie komuś innemu igły było niebezpieczne, lecz jeszcze większe zagrożenie stwarzało mimowolne drżenie ręki, niemożliwe do opanowania. Asystent Beavisa przysunął się do niego gotów do działania.

— Proszę powiedzieć kiedy, sir.

— Jest wirus — rozległ się głos jednej z pielęgniarek stojącej z tyłu.

— Już dobrze, dam sobie radę — odezwał się Beavis.

Kiedy czekał, podłożył sobie pod rękę stos tamponów chirurgicznych, by mieć oparcie. Asystent wycofał się i zajął swoje stanowisko po drugiej stronie stołu.

Gdy przez drzwi podano tacę ze szklanymi fiolkami, pielęgniarka umieściła ją przy stole.

— Która? — zapytała asystująca siostra.

Pereira podszedł bliżej i wybrał jedną z nich.

— To ta — pokazał. — Pięć mililitrów.

Dokładnie odmierzona ilość zawiesiny wirusowej znalazła się w strzykawce. Beavis połączył ją z igłą tkwiącą w czaszce Thomasa Downy. Wolno wciskał tłok, dopóki z cylindra strzykawki nie zniknęła cała zawartość. Potem odetchnął z ulgą. Ostrożnie wyciągnął igłę z czaszki i wrzucił ją do stalowego naczynia na odpadki.

Odpooczywał przez chwilę gimnastykując zeszywniałe od długiego bezruchu palce. W końcu skinął na asystenta. Ten delikatnie zaszył płat skóry zasłaniający otwór w czaszce Thomasa Downy.

— Gotowe — oznajmił.

— Było gorąco — szepnął do Neefa Pereira przewracając ponad maską oczami.

— Mogło się to odbyć mniej dramatycznie — przyznał Neef.

Siostra, która upuściła fiolkę wciąż wyglądała na przestraszoną i zakłopotaną. Kiedy Beavis ściągał rękawiczki, podeszła do niego.

— Bardzo przepraszam — powiedziała. — Strasznie mi przykro z powodu...

Chirurg przerwał jej w pół zdania:

— Proszę się tym nie przejmować, siostro. To się mogło zdarzyć każdemu. Nic się nie stało.

Neef uznał, że Beavis przestał mu przypominać oficera gestapo.

Wszyscy zauważyli, jaka ulga odmalowała się na twarzy pielęgniarki. Jedna z koleżanek otoczyła ją ramieniem i gdy Thomasa Downy wywieziono do pokoju pozabiegowego, w sali operacyjnej nagle dało się wyczuć ogólne odprężenie. Napięcie zniknęło.



Neef wrócił na oddział w towarzystwie Pereiry, który cały dzień był przygaszony, ale teraz odzyskał animusz.

— Nie wiedziałem, że to tak wygląda — wyznał Max. — Myślałem, że po prostu można wbić igłę i po wszystkim.

Neef uśmiechnął się do niego.

— Więc jednak my, medycy, mamy swoją rolę do odegrania, co?

— Słowo daję, rzeczywiście jesteście mi potrzebni do wszczęcia wirusa — odparł Pereira bez cienia żartu. — Jutro dwa następne?

— Dwa następne — przytaknął Neef. — A potem jesteśmy wolni i swobodni.

Poszedł prosto do dyżurki, by zobaczyć się z Kate Morse.

— Co z Charlie'em? — zapytał.

— Niedobrze — odrzekła Kate. — Laboratorium nie znalazło potwierdzenia, że to Klebsiella, a on nie reaguje na ampicylinę.

— Jasna cholera! — mruknął Neef. — W co oni grają? — Odwrócił wzrok od Kate, żeby nie zauważyła, że w jego głowie odzywają się dzwonki alarmowe. Nietypowa pneumonia nie dająca się wyleczyć? Bardzo przypominało mu to po wtórne przeżywanie koszmarnego snu. Z ukosa zerknął na twarz Kate. Przygnębienie wryło wokół jej oczu głębokie bruzdy.

— Jak poszła operacja Thomasa? — spytała chcąc mężnie zmienić temat.

— Wszystko w porządku. Sam zabieg nie potoczył się wprawdzie całkiem gładko, ale przeszedł bez problemu. Teraz musimy mieć nadzieję, że im wszystkim wyjdzie to na dobre.

— Tracy Torrance zmarła dziś w Klinice Randolfa — powiedziała nagle Kate. — Kiedy byłeś w sali operacyjnej.

Neef ze smutkiem pokiwał głową.

— Mój Boże, mam nadzieję, że jej matka nie uważa wciąż, że tego chciałem.



Neef ucieszył się widząc, że przeciek do prasy nie zaowocował zbyt sensacyjnymi doniesieniami na temat terapii genowej stosowanej w Szpitalu św. Jerzego. W przeciwieństwie do nagłówka, który obiecywał: NOWA NADZIEJA DLA DZIECI Z RAKIEM. Chociaż nadal uważał, że Mark Louradis szukał rozgłosu, wyglądało na to, że dobrze odegrał rolę powściągliwego naukowca, atakowanego przez natarczywą prasę. Podczas wywiadu wygłaszał zwyczajowe banały w stylu: „to dopiero wstępny etap” i „za wcześnie, by mówić...”. Nazywał siebie skromnie „członkiem zespołu” podkreślając „zaangażowanie oddanych sprawie osób”. Zaznaczył, że upłynie jakiś czas, zanim terapia stanie się ogólnie dostępna.

Zwykle ogólniki, które przedstawiciele mediów i opinia publiczna słyszeli już wcześniej tyle razy... — pomyślał Neef. Aczkolwiek prasa wiedziała teraz, że coś się dzieje i należało oczekiwać jej dalszego zainteresowania tą sprawą.

Następnego wieczoru „Citizen” zamieścił artykuł Ewy o dwóch dziewczynkach chorych na raka, oparty na skardze pana Leesa i zebranych przez nią samą materiałach. Oczekwała dwa dni, tak jak obiecała, by dać szansę ludziom Lennona. Ci jednak nie doszli do niczego i przyznali to w wywiadzie. Tytuł na pierwszej stronie brzmiał: ZABÓJCZY RAK ZAGRAŻA MIASTU — SPECJALIŚCI BEZRADNIE ROZKŁADAJĄ RĘCE.

Neef podejrzewał, że ludzie z Wydziału Zdrowia bez zbytniego entuzjazmu przyjęli tych „behradnych specjalistów”, ale słowa Lennona przytoczone zostały rzetelnie. Lennon po prostu powiedział Ewie to samo, co Neefowi podczas ostatniej rozmowy. Niestety, prawda była taka, że dochodzenie utknęło w martwym punkcie.

Neef pomyślał, że treść publikacji odzwierciedla stan faktyczny. Zastanawiał się, co będzie dalej. Przypuszczał, że wielu rodziców poczuje się zaniepokojonych. Oczywiście istniała szansa, że nie przybędzie zachorowań i wszystko się uspokoi, jak zazwyczaj w takich sytuacjach.

Gdyby jednak pojawił się kolejny przypadek, ziarno paniki zasiane przez artykuł mogło zacząć kiełkować.



W następny poniedziałek Lawrence Fielding zakomunikował Neefowi, że Jane Lees dobrze reaguje na steroidy i jej „pneumonia” jest pod kontrolą.

— Dlaczego podejrzewałeś, że to jednak odpowiedź immunologiczna? — zapytał.

— Początkowa diagnoza stwierdzająca u Melanie Simpson wirusowe zapalenie płuc nie była dla mnie całkowicie zadowolająca — wyjaśnił Neef. — W swoim czasie rozmawiałem na ten temat z Frankiem MacSweenem. Myślałem, że może ukryta obecność raka stwarza pozory wirusowej pneumonii, podczas gdy w rzeczywistości to rodzaj reakcji odpornościowej na nowotwory w postaci stanu zapalnego. Frank uważał po sekcji, że objawy są typowo wirusowe i przyjąłem to do wiadomości. Ale później u Jane Lees wystąpiły te same symptomy, co u Melanie Simpson i znów nabrałem podejrzeń. Uznałem, że warto spróbować steroidów.

— I miałaś rację — przyznał Fielding. — Steroidy sprawiły, że te symptomy zapalenia płuc ustąpiły.

— Co jej, niestety, wiele nie pomoże — zauważył Neef. — Obawiam się, że ma zbyt zaawansowanego raka.

— Ale przynajmniej na razie o wiele mniej cierpi na antivulonie i steroidach. A przecież, jeśli wolno mi zacytować źródło wcale nie znajdujące się o milion mil od nas, lecz pod ręką: „Jeżeli to najlepsze, co jesteś w stanie zrobić... niech tak będzie”.

Neef uśmiechnął się słysząc swoje własne słowa w obcych ustach.



Kiedy minęła środa i nadal nie było żadnych reperkusji wywiadu udzielonego przez Louradisa, Neef poczuł się bardzo zadowolony. Prasa wciąż śledziła z zainteresowaniem poczynania ludzi Wydziału Zdrowia, ale tego dnia na czoło wysunął się pogrzeb Tracy Torrance. „Citizen” zamieścił relację i kolorowe zdjęcia z przebiegu mszy żałobnej i opatrzył publikację tytułem: DZIELNA MAŁA TRACY PRZEGRAŁA SWĄ OSTATNIĄ BITWĘ. Sfotografowano wieńce i wzruszające napisy na szarfach, by móc chwycić za serce czytelników.

— Muszą wycofać zainwestowane środki — podsumował to Tim Heaton, gdy zadzwonił do Neefa z zapytaniem, jak postępują próby z terapią genową.

— Na razie dobrze — odrzekł Neef. — Jutro zaczynamy podawać pacjentom gancyclovir. Potem to już tylko kwestia czasu.

— Trzymam kciuki — powiedział Heaton. — To naprawdę może zapewnić nam miejsce w pierwszej lidze.

Neef chrząknął z rezerwą.

— Dostałeś swój amerykański lek? — spytał Heaton.

— Tak, antivulon. Już go stosujemy. Trochę za wcześnie na ocenę jego skuteczności, ale jeden z naszych pacjentów, John Martin, znosi to dużo lepiej, niż poprzednią chemioterapię. Dzięki za pomoc w zdobyciu go, doceniam to.

— Nie ma o czym mówić — zapewnił Heaton. — Stanowimy przecież jeden zgrany zespół.

Neef nagle zrobił się czujny. Heatonowi musiało o coś chodzić.

— Wiem od Johna Marshalla, że nie chcesz mieć na głowie prasy, zanim próby z terapią genową nie zakończą się, prawda? — spytał Heaton.

— Zgadza się — odparł Neef. — Wolę przedwcześnie nie robić rodzicom fałszywych nadziei. Ci ludzie są bardzo wrażliwi, łatwo mogą się załamać.

— Ależ naturalnie! — zgodził się z tym Heaton, ale Neef pomyślał, że zabrzmiało to nieprzekonująco. — Jednakże, w zeszłym tygodniu cośkolwiek przedostało się do prasy i zastanawiałem się, czy mimo wszystko nie byłoby dobrze zaspokoić ciekawości gazet podając im kilka szczegółów w bardziej oficjalnej formie. Może John i ty przygotowalibyście jakiś komunikat? Może jakieś zdjęcie lub dwa? Żeby postawić sprawę jasno, że tak się wyrażę.

— Wolałbym w tej chwili uniknąć kontaktu z prasą, jeśli to możliwe.

— W tym sęk... — powiedział z wahaniem Heaton — że nie jestem pewien, czy to możliwe. Jako że prasa wie już o próbie od Marka Louradisa, naprawdę powinniśmy udzielić odpowiedzi na kilka pytań, bo inaczej mogą zacząć podejrzewać najgorsze. A chyba nie o to nam chodzi, prawda?

— W porządku — ustąpił Neef. — Dostarczę Marshallowi niezbędnych informacji i niech je przekaże prasie, ale nie chcę żadnych dziennikarzy, kręcących się w pobliżu mojego oddziału.

— Dobrze — westchnął Heaton. — Jestem pewien, że John potrafi utrzymać ich na dystans, przedstawiając jednocześnie sprawy w pozytywnym świetle. W każdym razie, cieszę się, że dostałeś ten swój amerykański lek.

Neef odłożył słuchawkę i zaklął pod nosem. Ten facet potrafił po mistrzowsku wzbudzać w nim poczucie winy.

Jane Lees zmarła w piątek wczesnym wieczorem. Nie cierpiała, miała spokojną śmierć. Byli przy niej rodzice i szpitalny kapelan, Geoffrey Keys. Państwo Lees nie chodzili do kościoła, ale zgodzili się na obecność duchownego i jego słowa przyniosły im ulgę w rozpacz.

Potem rozmawiał z nimi w swoim gabinecie Neef. Nastrój tego spotkania całkowicie różnił się od atmosfery poprzedniego. Gniew pana Leesa zupełnie zniknął. Zastąpił go smutek i żałosa zaduma, dlaczego to musiało spotkać właśnie jego córkę.

— Dlaczego? — pytał ze łzami w oczach. — Dlaczego nasza Jane?

— Żałuję, że nie potrafię na to odpowiedzieć — odrzekł miękko Neef. — Choć w wypadku Jane zapewne znajdziemy jakieś wyjaśnienie. To tylko kwestia czasu. Ludzie z Wydziału Zdrowia prowadzący dochodzenie na pewno ustalą, z jakiego powodu córka państwa nabawiła się tej choroby. Bardzo mi przykro.

Lees w milczeniu potrząsał głową. Jego żona łkała przyciskając do twarzy jedwabną chusteczkę. Neef podsunął jej pudełko papierowych. Do pokoju weszła pielęgniarka i odpowiedziała skinieniem głowy na pytające spojrzenie Neefa.

— Siostra Lawrie przygotowała państwu herbatę. Myślę, że przyłączy się również kapelan, żeby porozmawiać o Jane. Sądzę, że to państwu pomoże. Proszę nie zamykać się w sobie, lecz powspominać wspólne dobre chwile. Rodzinne wakacje, święta Bożego Narodzenia, zabawy, figle, które płałała wam Jane. Rozmawiajcie o tym. W ten sposób zachowacie ją w waszych sercach na zawsze, jakby wciąż była z wami.

Kiedy rodzice zmarłej dziewczynki wstali, by udać się za pielęgniarką, pan Lees głośno wydmuchał nos i zwrócił się do Neefa:

— Chciałbym panu podziękować za wszystko, co pan zrobił dla Jane, doktorze. Chyba nie byłem w porządku ostatnim razem. Pan w niczym nie zawinił, a ja w zderzeniu nie umiałem panu odpowiednio podziękować. Byłem zły i roztrzęsiony. Nie wiedziałem, co mówię. Oboje jesteśmy panu wdzięczni, Martha i ja.

— Szkoda, że nie mogłem zrobić więcej — odrzekł Neef.

Przez kilka chwil wpatrywał się w drzwi, które zamknęły się za Leesami. Był zadowolony, że w pokoju zaległa cisza. Zastanawiał się, co ma jeszcze do zrobienia przed wyjściem do domu, gdy rozległo się pukanie. Do gabinetu zajrzała Ewa Sayers.

— Mogę wejść?

Neef skinął głową.

— Przyszłam do Neila. Wcześniej nie mogłam. Widziałam na zewnątrz państwa Lees. Czy stało się to, co podejrzewam?

— Niedawno zmarła Jane Lees — wyjaśnił Neef.

— Druga ofiara — stwierdziła Ewa.

Neef spojrzał na nią krytycznie, jakby chciał zakwestionować trafność użytego przez nią zwrotu, ale ostatecznie uznał to za usprawiedliwione.

— Tak, druga ofiara — potwierdził.

— Wiesz, co mnie naprawdę niepokoi? Coś zabija te dzieci, a wszystkie bardzo ważne osoby siedzą na tyłkach i sprawiają wrażenie, jakby czekały, aż zdarzy się trzeci taki przypadek.

— Jestem pewien, że to nieprawda — zaprzeczył Neef.

— Więc co właściwie robi Wydział Zdrowia? — natarła Ewa.

Neef patrzył na nią beznamiętnym wzrokiem i wzruszył ramionami. Nie miał ochoty na kłótnie. Wciąż myślał o Jane Lees.

Ewa nagle zdała sobie sprawę z tego, że jej zachowanie przypomina kopanie leżącego. Spojrzała w sufit, jakby szukając tam boskiego przewodnictwa.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie zastanowiłam się nad tym, co mówię. Cały dzień biegałam po Wydziale Zdrowia i nie mogę przestać o tym myśleć. Ale przecież ty też miałeś zły dzień, pewnie dużo gorszy niż ja.

Neef znów wzruszył ramionami i odrzekł z filozoficznym spokojem:

— Miewałem lepsze.

— Wypróbowałeś dopiero jeden z moich kulinarnych przepisów, a przypominam, że mam trzy. Chcesz poznać numer dwa?

Neef odprężył się trochę i lekko uśmiechnął.

— Teraz moja kolej. Chciałbym zaprosić cię na kolację, ale musimy zjeść ją na mieście. Ja nie gotuję.

— Coś mi się zdaje, że tak naprawdę żadne z nas nie ma ochoty na kolację na mieście — odparła Ewa. — Pojedziesz do mnie?

Neef w pierwszej chwili chciał zaprotestować, w końcu jednak zgodził się.

— Dobrze. Dziękuję za zaproszenie.

Gdy wyszli na parking, Ewa zaproponowała:

— Zostaw tu swój samochód. Potem odwiozę cię do domu.

Neef nie sprzeciwiał się, odczuwał bowiem dziwną obojętność na to, co dzieje się wokół niego. Jakby przesunął jakiś wewnętrzny przełącznik emocjonalnego przeciążenia, by występować tylko w roli widza, a nie uczestnika zdarzeń.



Po drodze nie rozmawiali ze sobą. Ewa z wprawą prowadziła swego golfa gti przez ruchliwe ulice, wykorzystując dobre przyspieszenie samochodu do wciskania się w małe luki między pojazdami. Nadal nie odzywali się do siebie, gdy stali pod przeciwnymi ścianami windy wiozącej ich na górę, do mieszkania Ewy. Ale częściej patrzyli sobie w oczy, niż przyglądali się własnym stopom, lub wyświetlającym się numerom pięter. Nie czuli się skrępowani. W spojrzeniu Ewy była pewność i spokój. Neef domyślał się, że w jego oczach czai się lekkie zakłopotanie.

Ewa otworzyła drzwi mieszkania, kopnęła na bok leżącą na podłodze korespondencję i poprowadziła Neefa prosto do tacy z alkoholami. Naląła mu dużą porcję dżinu z tonikiem i powiedziała:

— Wypij to.

Neef bez słowa opróżnił szklanekę.

— Chodź.

Skierowała go w stronę sofy i popchnęła lekko. Kiedy opadł na miękkie poduszki, zdjęła mu buty.

— Odpręż się — szepnęła. — Nie stanie ci się nic strasznego. Przyglądałam ci się, Michaelu Neef. Prawdę mówiąc, jesteś oszustem. Zrobiłeś mi wykład na temat tego, jak radzić sobie w przykrych momentach, które są nieodłączną częścią twojej pracy, podczas gdy w rzeczywistości sam nie umiesz się z tym uporać. Tylko udawałeś. Bo to, co

się zdarzyło, naprawdę cię dotknęło. Mam rację? Zobaczyłam wszystko nagle w twoich oczach, jeszcze w szpitalu. Nie możesz bez końca dusić tego w sobie. Wykończysz się psychicznie. Musisz wreszcie to z siebie wyrzucić, wygadać się przed kimś. Sam nie wytrzymasz z takim ciężarem.

Neef przez kilka chwil patrzył w sufit.

— Kiedyś miałem Elaine. Mogłem jej o wszystkim powiedzieć, kiedy było mi ciężko.

— Elaine?

— To była moja żona. Zmarła cztery lata temu.

— Bardzo mi przykro.

— Wciąż za nią tęsknię — wyznał Neef. Pomyślał, że te cztery krótkie słowa zabrzmiały żałośnie, niewystarczająco w stosunku do całej samotności i przepęlniającego go bólu, który chciał wyrazić. — Zawsze była przy mnie, gdy jej potrzebowałem. A potem, nagle jej zabrakło. Nauczyłem się radzić sobie w większości sytuacji, ale czasami, tylko czasami, okazuje się, że...

— Jednak sobie nie radzisz.

— Jednak sobie nie radzę — przyznał wolno Neef.

Zamknął oczy i oparł głowę na krawędzi sofy.

— No, cóż... Nie jestem Elaine — powiedziała cicho Ewa. — Ale jesteś fajnym facetem, Michaelu Neef i jeśli potrzebujesz czyjegoś ramienia, żeby się na nim wyplakać, to się nie krępuj.

Neef otworzył oczy i skinął głową z lekkim uśmiechem.

— Dzięki. Doceniam to.

— Nie doceniaj, tylko z tego skorzystaj — zachęciła go łagodnie. — Porozmawiaj ze mną. Chodzi o Jane Lees, prawda?

— To nie... — zaczął z wahaniem. — Wiem, co czeka te dzieci i daję sobie z tym radę. Jestem na to przygotowany. Natomiast ich rodzice tak na mnie czasem działają. Nie mogę się pogodzić z ich rozpaczą.

— Mów dalej.

— To się wydaje zaraźliwe. W większości są zwyczajnymi, miłymi ludźmi, którzy nie mogą zrozumieć, dlaczego to przytrafiło się akurat ich dziecku. Czuję ich ból i sam nie wiem, z jakiej przyczyny, staje się on również moim bólem. Zdaję sobie sprawę z tego, że powinienem umieć zwalczyć go w sobie, odgrodzić się od tego wewnętrzną barierą. A jednak czasami nie potrafię. Przesiąkam czyjaś rozpaczą jak gąbka i ona pozbawia mnie całej energii, optymizmu, nadziei...

Neef spojrzał na Ewę.

— No i co, doradco? Co mi odpowiesz?

Ewa przez chwilę zastanawiała się w milczeniu nad tym pytaniem. W końcu wzięła głęboki oddech i oświadczyła:

- Chyba powinieneś uciec i wstąpić do cyrku.
- Neef się roześmiał. Ewa również.
- Nie ma łatwych odpowiedzi na takie pytania — stwierdziła.
- Przynajmniej w tej kwestii jesteśmy zgodni.
- Więc co z moim przepisem numer dwa? — spytała.
- Brzmi obiecująco.



Ewa odwiozła Neefa do domu zaraz po północy. W pełni wykorzystał to, że nie musi prowadzić samochodu i sporo wypił. Nie był wprawdzie kompletnie pijany, a tylko „przyjemnie rozluźniony”, jak to określił.

— Masz klucze? — upewniła się Ewa.

Neef pogrzebał w obu kieszeniach marynarki i z tryumfalną miną uniósł do góry to, czego szukał.

— O której musisz być rano w szpitalu? — zapytała.

— Nie przejmuj się, zadzwonię po taksówkę.

— Mogę cię zabrać w drodze do redakcji — zaproponowała Ewa. — Odpowiada ci ósma trzydzieści?

— Wezwę taksówkę.

— Nonsens. To wszystko moja wina.

— Wina?! — wykrzyknął Neef. — Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz czułem się tak dobrze. Jestem twoim dłużnikiem.

— Cieszę się, że jesteś zadowolony — powiedziała Ewa. Pochyliła się i pocałowała go lekko w policzek.

Neef niezdecydowanie odwrócił się do niej.

— Wiesz... Jesteś bardzo ładna.

— Dziękuję — odparła z uśmiechem. — Powiedz mi to jeszcze raz, kiedy będziesz trzeźwy.

— Nie jestem pija...

Ewa delikatnie położyła palec na jego ustach.

— Pssst — odezwała się łagodnym tonem. — Musisz też coś zrobić z nawiedzającym cię duchem. Wysiadaj. Nie wiem, co powie Dolly, kiedy zobaczy cię w ta kim stanie.

Neef nie bez trudności wygramolił się z samochodu, ponownie zapewniając, że nie jest pijany.

— Przepraszam — poprawiła się Ewa. — „Przyjemnie rozluźniony”.

- Właśnie tak! — Neef odwrócił się i zajrzał do wnętrza auta.
- Do zobaczenia o ósmej trzydzieści.
- Mogę wezwać...
- O ósmej trzydzieści.



Ewa dotrzymała słowa. Zabrała Neefa dokładnie o ósmej trzydzieści i zawiozła do szpitala. Po drodze rozmawiali o Neilu.

— Chciałabym pójść z nim gdzieś w tę niedzielę, jeśli to możliwe — zaproponowała.

— Doskonale — zgodził się Neef. — Na szczęście choroba nie postępuje i wyraźnie twoje towarzystwo dobrze mu robi.

— Oby to była prawda — westchnęła. — Łatwo się do niego przywiązać.

Neef lekko odwrócił głowę chcąc coś odpowiedzieć, ale Ewa go ubiegła.

— Wiem, wiem... Naprawdę nie musisz mnie ostrzegać.

— Przepraszam — wycofał się Neef. — Zastanawiałaś się już, jak spędzicie razem czas?

— Na weekend zapowiadają ładną pogodę. Może pojechać na piknik nad rzekę?

— Dobry pomysł.

— Nie miałbyś ochoty przyłączyć się do nas?

— Ja?! — wykrzyknął Neef.

— A dlaczego nie?

Neef zaczął wymyślać odpowiedź, ale nagle zrezygnował i odrzekł:

— Miałem zamiar powiedzieć coś pompatycznego na temat tego, jak niewskazane jest osobiste angażowanie się lekarza w sprawy swoich pacjentów. Zmieniłem jednak zdanie.

— To dobrze. W takim razie jedziesz z nami.

— Z przyjemnością — wyznał szczerze. — Co mam zabrać?

— Tylko siebie. Ja wszystko przygotuję. I zabiorę Neila ze szpitala. Potem możemy się gdzieś spotkać. A jeszcze lepiej, oboje po ciebie przyjedziemy. Zaczekasz w domu?

— Bardzo chętnie.

— Jeśli nie będziemy mieli okazji zobaczyć się wcześniej, to spotykamy się w niedzielę o dziesiątej trzydzieści rano. Powiesz pielęgniarkom?

— Uprzedzę Kate, kiedy tylko przyjdę.

— Siostrę Morse?

— Tak.

— Chyba mnie nie lubi.

— Jest podejrzliwa i niezbyt przekonana co do motywów twojego działania. To dlatego, że jesteś dziennikarką.

— Pewnie nie jest w tym odosobniona — domyśliła się Ewa.

Neef wzruszył ramionami.

Ewa wysadziła go przed główną bramą. Pomachał jej, kiedy odjeżdżała.

Neef powiesił marynarkę w swoim gabinecie i zajrzał do dyżurki, żeby uprzedzić Kate w sprawie niedzieli. Nie było jej. Pielęgniarka, która miała nocny dyżur poinformowała go, że siostra Morse dzwoniła. Stan jej męża pogorszył się i pojechała do Szpitala Uniwersyteckiego.

Neef zatelefonował tam, prosząc o rozmowę z dyżurnym lekarzem na oddziale, gdzie leżał Charlie Morse.

— Pan Morse został przeniesiony na oddział intensywnej terapii — usłyszał.

— Ostatniej nocy miał poważne problemy z oddychaniem.

Neefowi pociemniało w oczach. Poprosił do telefonu Clellanda, lekarza, z którym rozmawiał ostatnim razem.

— Powiem centrali, żeby go wywołała — obiecał lekarz dyżurny.

Po trzydziestu sekundach odezwała się telefonistka.

— Wciąż wywołuję doktora Clellanda. Proszę czekać.

Minęło następne pół minuty i w słuchawce ozwał się znajomy głos.

— Tu Michael Neef, doktorze. Jak rozumiem, stan Charlie'ego Morse'a po gorszył się znacznie.

— To prawda — przyznał Clelland. — Nie reaguje na antybiotyki.

— Czy laboratorium potwierdziło pańską diagnozę, że to Klebsiella?

— Niestety, nie. Nie znaleźli w ogóle dowodu na to, że to zapalenie bakteryjne.

Neef zamknął oczy i potarł dłonią czoło. Koszmarny sen stawał się jawą.

— I co pan zamierza? — spytał cicho.

— Niewiele możemy zrobić — wyznał Clelland. — Jeśli to nie jest zapalenie bakteryjne, to musi być wirusowe. Pozostaje ulżyć mu, żeby możliwie jak najmniej cierpiał i czekać z nadzieją, że nastąpi przełom. Naturalnie, nadal będziemy podawać antybiotyki, by nie wdało się wtórne zakażenie.

— Wątpię, czy to w ogóle zapalenie płuc — powiedział Neef.

— Przepraszam, ale chyba nie rozumiem...

— Ja też nie. Ale u Charlie'ego Morse'a występują te same objawy, co u dwóch dziewczynek, które ostatnio zmarły na raka, spowodowanego działaniem nieznanego środka kancerogennego. U obu wyglądało to na pneumonię, ale nie wyizolowano żadnej bakterii i nie reagowały na antybiotyki.

— To ta historia opisywana w gazetach?

— Tak.

— Czy ja dobrze zrozumiałem? Pana zdaniem, Charlie Morse ma raka?

— Modlę się o to, żebyśmy byli w błędzie, ale tak uważam. Myślę, że objawy zapalenia płuc ustąpią, kiedy zamiast antybiotyków poda pan steroidy. A po zmniejszeniu się stanu zapalnego zobaczy pan na zdjęciach rentgenowskich nowotwory.

— Niech pan posłucha — powiedział Clelland. — Jest tu jego żona. Nie chciałbym jej tego mówić, zanim nie dowiem się czegoś więcej. To bardzo niezręczna sytuacja, rozumie pan.

— Rozumiem — odrzekł Neef. — Ja też nie chciałbym na razie mówić Kate czegokolwiek. Mogę się mylić, ale takie same symptomy o czymś przecież świadczą.

— Jeżeli ma pan rację, to by znaczyło, że Morse był wystawiony na działanie tego samego czynnika, co tamte dwie dziewczynki — podsumował Clelland.

— Tak przypuszczam. Jeszcze jeden przypadek do rozważenia dla Wydziału Zdrowia.

— Może ułatwi im zadanie.

— Może — odparł Neef niechętnym tonem, nie widząc nic pożytecznego w nie-szczęściu Charlie'ego Morse'a. — Spróbuje pan steroidów?

— Nie mam nic do stracenia.

— Dobrze. Wstrzymam się z informowaniem Kate o czymkolwiek, dopóki pan ich nie wypróbuje. Jeśli się nie powiedzie, będziemy wiedzieli, że się myliłem. Jeżeli zadziałają, powiem jej.

— Lepiej, żeby to wyszło od pana.

Gdzie ja to już słyszałem? — zastanowił się Neef.

9

Frank MacSween zadzwonił do Neefa tuż po jedenastej z informacją, że przeprowadza sekcję zwłok Jane Lees.

— Pomyślałem, że może będziesz chciał się przyłączyć?

— Sądziłem, że wstrzymasz się do poniedziałku — odrzekł Neef.

— Ludzie z Wydziału Zdrowia nie mogą się doczekać raportu. Obiecałem im, że zrobię to dziś.

— Zejdę do ciebie — zapowiedział Neef.

Właśnie miał opuścić oddział, gdy zjawiła się Kate Morse. Miała na sobie uniform pielęgniarki.

— Nie powinnaś dziś przychodzić — powiedział Neef.

— Nie miałam po co siedzieć w Uniwersyteckim — odparła. — Obiecali, że do mnie zadzwonią, jeśli stan Charlie'ego ulegnie zmianie. Nie rozumiem tego. On w ogóle nie reaguje na leki. Wiem, że to niedorzeczne, ale wciąż myślę o Jane Lees. Przyjęto ją z rozpoznaniem zapalenia płuc. Też nie reagowała na antybiotyki, a ta druga dziewczynka... Mary... Marlene...

— Melanie — podpowiedział jej Neef, czując się paskudnie, że musi coś ukrywać przed Kate. — Melanie Simpson.

— Tak, Melanie. Obie miały ciężką pneumonię i nie reagowały na leki. Mike, nawet nie wiesz, jak się boję.

Neef nie mógł jej oszukiwać wygłaszając nieprawdziwe zapewnienia, że wszystko będzie dobrze. Z drugiej strony, nie chciał dzielić się z Kate swymi obawami, bo mogły okazać się bezpodstawne.

— Może dziś kryzys minie — powiedział bez przekonania. — Gdyby ktoś mnie szukał, będę przez jakiś czas na patologii.

— To samo, co poprzednio — oświadczył MacSween, gdy Neef wszedł do prosektorium zapinając fartuch. — Rak jest oczywiście bardziej zaawansowany, ale tu również występuje wielokrotność ognisk pierwotnych, jak u Melanie Simpson, i poza płucami nie został zaatakowany żaden inny organ. Stan zapalny jest dużo mniejszy, ale to z powodu steroidów, które jej przepisałeś, jak widzę.

— Nadal jesteś skłonny uważać, że i w tym przypadku to zapalenie wirusowe? — zapytał Neef.

— Mam zgryz — wyznał MacSween. — Byłem tego raczej pewien u Melanie, ale wa-
hałbym się tak twierdzić w wypadku Jane Lees. Niewątpliwie steroidy odniosły skutek,
ale z drugiej strony mamy tu jednak objawy zapalenia wirusowego.

— Więc na którą wersję się zdecydujesz?

— Na żadną — odparł MacSween.

— Na żadną? — zdziwił się Neef.

— Moim zdaniem, taki stan płuc dziewczynki spowodowały jednocześnie dwie cho-
roby. Wirusowa pneumonia i rak.

— Uparty z ciebie facet — pokręcił głową Neef. — Za nic nie zrezygnujesz ze stwier-
dzenia, że to wirusowe zapalenie płuc.

— Mówię tylko to, co widzę! — obruszył się MacSween. — To właśnie jest zadaniem
patologa. Stwierdzanie suchych faktów. Jak uważasz, że to bzdury, spytaj o zdanie psy-
chiatry!

— Ale obie te dziewczynki były narażone na działanie silnego czynnika rakotwór-
czego. Każdy się z tym zgadza, prawda?

— Prawda — przyznał MacSween.

— Musiały coś wdychać, skoro stan chorobowy wystąpił tylko w płucach, a na skór-
rze nie było widocznych śladów oparzeń popromiennych.

— To prawda.

— Więc chyba uzasadnione jest twierdzenie, że to raczej zapalenie płuc spowodo-
wane reakcją odpornościową na raka, niż wirusowa pneumonia — powie dział Neef.

— Jak najbardziej — zgodził się MacSween.

— To dlaczego upierasz się ciągle przy wirusowej pneumonii? — zapytał zdumiony
Neef.

— Ponieważ to właśnie widzę. Logika i rozum nie mają tu nic do rzeczy. Po prostu
przekazuję moje spostrzeżenia.

— Wiesz, co mnie niepokoi? — spytał Neef.

— Co?

— To nie jest ani logiczne, ani rozsądne, ale taką opinię wygłosił najlepszy patolog,
jakiego znam.

— Wielkie dzięki — odrzekł MacSween.

— Dopóki nie nadejdzie raport z pracowni wirusologicznej i nie znajdą żadnych wi-
rusów — dodał z uśmiechem Neef.

— Raport dotyczący Melanie Simpson dostałem dziś rano — wyjawiał MacSween.

— I co?

— Stwierdzili obecność trzech czy czterech wirusów, tak jak podejrzewaliśmy.
Spotykane na co dzień, pospolite odmiany. Rhinowirus, adenowirus i tak dalej. Nic
nadzwyczajnego. Żadnego groźnego, zabójczego organizmu.

— A zatem?

— To niczego nie zmienia — wzruszył ramionami MacSween. — Widzę to, co widzę.

— A co byś powiedział, gdybym ci zdradził moje podejrzenie, że Charlie Morse jest przypadkiem numer trzy? — zapytał Neef.

MacSween podniósł wzrok znad stołu i skrzywił się.

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Istnieje zbyt wiele podobieństw jak na zwykły zbieg okoliczności. Zasugerowałem jego lekarzowi, żeby wypróbował steroidy.

— Mój Boże! — szepnął MacSween. — Czy Kate wie o twoich podejrzeniach?

— Jeszcze nie. Czekam, jak Charlie zareaguje na nową terapię. Mam nadzieję, że się mylę.

— Ja też mam nadzieję. Wspominałeś o tym Lennonowi?

— Jeszcze nie. Z tych samych powodów.

— Może jednak powinienes. Ci faceci potrzebują każdej możliwej pomocy. Wciąż stoją w miejscu.

— Jeśli Charlie zareaguje na steroidy, powinniśmy zaobserwować poprawę dziś po południu. A jeżeli to nastąpi, będzie można zrobić zdjęcia jego płuc. Gdyby się okazało, że ma rzeczywiście raka oskrzelowego, natychmiast zawiadomię Lennona. Około szesnastej dowiem się, jak sprawy stoją. Zadzwonię do Uniwersyteckiego. Potem mogę zatelefonować do ciebie do domu, jeśli chcesz.

— Nie będzie mnie — odrzekł MacSween. — Spędzam weekend z córką i zięciem w Yorkshire. Zamierzaliśmy tam pojechać dopiero w przyszłym miesiącu, ale mały Nigel przez cały tydzień nie czuł się dobrze i Betty chce ich odwiedzić.

— W takim razie, złapię cię w poniedziałek. Baw się dobrze, jeśli będziesz w stanie.

— Twoje przypuszczenia co do Charlie'ego raczej nie poprawiły mi nastroju — odpowiedział MacSween. — Może dałbym ci telefon córki i zawiadomiłbyś mnie, gdybyś coś wiedział?

— Oczywiście, proszę bardzo.

Neef wrócił wolno na oddział onkologii. Właśnie miał wejść do budynku, gdy przed drzwiami zatrzymał się samochód Davida Farro-Jonesa.

— Przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć — powiedział Farro-Jones wysiadając z auta. — Jak tam twoi pacjenci, przechodzący terapię genową.

— Chodź, napijemy się kawy — zaprosił go Neef.

— Wydaje się, że tego ci właśnie potrzeba — stwierdził Farro-Jones. — Chyba masz jeden z takich dni, kiedy nic się nie układa?

— Wszystkie są ostatnio takie — westchnął Neef. — Jeden cholerny problem za drugim.

— Coś mi się zdaje, że wybrałem złą porę na wizytę. Może powinienem...

— Daj spokój, wszystko w porządku — zapewnił Neef. — Pacjenci dostają już gan-cyclovir i według Maxa lada dzień powinniśmy zobaczyć efekty.

— Próbowałem go wczoraj złapać telefonicznie. Nie było go.

— Wrócił do pracy w laboratorium. Stwierdził, że na razie nic tu po nim. Pojawi się dopiero, gdy zaobserwujemy rezultaty terapii. Poza tym, stosunki między nami nie układały się najlepiej od czasu, gdy poprosiłem cię o sprawdzenie jego wirusów.

Farro-Jones skrzywił się.

— Domyślałem się tego, ale jestem przekonany, że postąpiłeś słusznie. Ostrożności nigdy za wiele. Nie przejmuj się Maxem, znów tu przyjdzie. To już taki typ. Mógłbym rzucić okiem na twoich pacjentów?

— Naturalnie — zgodził się Neef. W jego oczach musiało pojawić się jednak zdziwienie, bo Farro-Jones uśmiechnął się i wyjaśnił: — Jako biolog molekularny jestem ciekaw postępów w mojej dziedzinie nauki, nawet jeśli sam nie zaangażowałem się w te próby.

Neef zabrał go na zaimprovizowany obchód i przedstawił dzieciom leczonym za pomocą terapii genowej. Wycieczka po oddziale okazała się wielkim sukcesem. Małym pacjentom natychmiast spodobał się wysoki blondyn, przypominający księcia z bajki. Miał wiele osobistego uroku i potrafił wywołać uśmiechy na twarzach dzieci, które ze zrozumiałych względów nie były w najlepszych humorach. Neef wymienił porozumiewawczy uśmiech z pielęgniarką, opiekującą się Thomasem Downy, gdy chłopiec zachichotał słysząc, co Farro-Jones szepce mu do ucha.

— Będziemy musieli zapraszać cię tu częściej — stwierdził Neef, gdy Farro-Jones zbierał się do wyjścia. — Dobrze działasz na pacjentów.

— Równie łatwo potrafię się porozumieć z psami i pijanymi — roześmiał się Farro-Jones. — Ale chętnie wpadnę tu znowu, żeby zobaczyć, jak się miewają. Jeśli pozwolisz.

— Oczywiście. Przychodź, kiedy zechcesz.

— Pozdrów ode mnie Maxa, jak tylko się pojawi. Powiedz mu, że Jane i ja chętnie zjedlibyśmy z nim kolację, gdyby znalazł trochę czasu.

— Przekażę mu — obiecał Neef. — Choć Pereira wygląda na takiego, który pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę.



Neef odszukał Kate Morse chcąc ją uprzedzić, że Ewa zamierza w niedzielę zabrać Neila Bensona na piknik, ale zobaczył ją zajętą rozmową z Lawrence Fieldingiem. Nie słyszał, o czym rozmawiają, lecz wyczuł, że zanoszą się na coś niedobrego. Gdy go spostrzegli, oboje zamilkli. Kate ruszyła w jego kierunku.

— Mogę zamienić z tobą słowo? — spytała. — Na osobności.

— Oczywiście.

Ruszając za Kate do gabinetu Neef się obejrzał. Wydało mu się, że dostrzegł na twarzy Fieldinga wyraz zakłopotania.

— Właśnie dzwoniłam do Uniwersyteckiego — oznajmiła Kate wpatrując się oskarżycielsko w oczy Neefa. — Dowiedziałam się, że Charlie jest na steroidach. Wspomniałam o tym Lawrence'owi, a on powiedział, że to był zapewne twój pomysł. Czy to prawda?

— Niestety, tak — przyznał cicho Neef.

— Uważasz, że z Charlie'em dzieje się to samo, co z tamtymi dwiema dziewczynkami, tak?

— Nie wiem, Kate — odrzekł Neef przeproszającym tonem. — Dlatego nic ci wcześniej nie mówiłem. Czekałem na efekty zastosowania steroidów. Nie chciałem cię niepotrzebnie niepokoić.

— Miałam rację — stwierdziła Kate. — Wypadek Charlie'ego jest taki sam, jak Jane Lees i tej drugiej dziewczynki. Zgadza się?

— Tak. Dlatego rozmawiałem z Clellandem. Nie zamierzam udawać, że rozumiem, jak to się stało, ale we wszystkich trzech przypadkach występują zdecydowane podobieństwa.

Kate osunęła się na krzesło na wprost biurka Neefa i nerwowym ruchem potarła czoło:

— Mój Boże. Charlie umrze, prawda?

— Wciąż istnieje szansa, że się mylę.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Ale ty się nie mylisz — powiedziała. — Czuję to. Mój Charlie umiera.

Neef stał kompletnie bezradny. Kate wiedziała tyle o szansach Charlie'ego na wyjście obronną ręką z rozległego raka płuc, co on sam. Te szansę były praktycznie zerowe.

— Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Kate — wyznał szczerze. — Nie chcę cię okłamywać. Zbyt dobrze znasz się na tym.

— Kiedy będą pewni?

Zadzwoń do Clellanda około czwartej. Kate skinęła głową i wstała. — Powiesz mi? Neef zobaczył na jej twarzy wyraz całkowitej rezygnacji i poczuł ucisk w krtani.

— Oczywiście.

Ledwo Kate wyszła, w gabinecie zjawił się Fielding. Miał zakłopotaną minę.

— Obawiam się, że palnąłem głupstwo.

— To nie twoja wina — pocieszył go Neef. — Próby ukrywania czegoś przed przyjaciółmi, nawet w najlepszej wierze, zazwyczaj skazane są na niepowodzenie.

— Naprawdę myślisz, że z Charlie'em dzieje się to samo, co z Jane Lees?

Neef skinął głową.

— Niestety tak. Choć oddałbym wszystko, żeby się mylić.

— Oby tak było. Teoretycznie powinienes się mylić.

— Nie rozumiem...

— Jeśli u Charlie'ego Morse'a wystąpiły te same objawy, co u Jane Lees i Melanie Simpson to znaczy, że był narażony na działanie tego samego czynnika rakotwórczego, co one, tak?

— Tak.

— Więc czy to nie przedziwny zbieg okoliczności, że trzecią osobą z takimi objawami jest członek personelu szpitalnego, podczas gdy teoretycznie powinien to być ktoś z miasta?

Neef pokiwał głową.

— Właśnie poruszyłeś sprawę, która nie daje mi spokoju. Coś tu jest nie w po rząd-ku, jeśli to Charlie ma być tym trzecim przypadkiem.

— Gdyby rak był chorobą zakaźną, to co innego. Ale nie jest.

— No właśnie — zgodził się Neef. — Wszystko wyglądałoby dużo prościej, gdybym się jednak mylił.

— Zgoda — odrzekł Fielding.

— Dowiemy się po południu. Jak nasi pacjenci?

— Oglądałem przed chwilą wyniki skaningu. Uważam, że jeszcze za wcześnie na wy-ciąganie pewnych wniosków, ale powiedziałbym, że u czwórki z nich nie widać popra-wy. Natomiast jeden rokuje nadzieje.

— Który — zapytał Neef.

— Thomas Downy — odparł Fielding. — Chyba można nawet mówić o niewielkim zmniejszeniu się nowotworu.

— To pierwsza dobra wiadomość od dłuższego czasu. Mogę zobaczyć te wyniki?

— Przyniosę je — powiedział Fielding i wyszedł z gabinetu. Po chwili wrócił z dwoma wydrukami tomografii komputerowej i przezroczystą, plastikową linijką. Gdy Neef zrobił miejsce, rozłożył wszystko na biurku.

— Jeśli zmierzysz nowotwór Thomasa wzdłuż tej osi — zaczął Fielding przykładając linijkę do wydruku — okaże się, że ma trzynaście milimetrów. Tak było przed zabiegiem wprowadzenia wirusa Menogenu. Teraz, jeżeli zmierzysz go wzdłuż tej samej osi na wy-druku zrobionym dziś rano, przekonasz się, że jest nieco mniejszy.

Neef umieścił linijkę na obrazie nowotworu.

— Jedenaście i pół, może dwanaście milimetrów. Zgadza się? — spojrzał pytająco na Fieldinga.

Ten skinął głową.

— W każdym razie, na pewno nie trzynaście.

— Na pewno nie — zgodził się Neef. — Cofa się!

Był wyraźnie uradowany.

— Na to wygląda — przyznał Fielding. — Choć może to być pewne przesunięcie obrazu. Przekonamy się, kiedy we wtorek zrobimy następne badanie.

— Uważam, że nowotwór jednak naprawdę się cofa. Wierzę w to. W końcu musi się zdarzyć coś dobrego. Potrzebuję tego bardzo w tej chwili. Szkoda, że u pozostałych nie nastąpiła poprawa, ale jak sam powiedziałaś, mamy jeszcze czas, by to stwierdzić z całą pewnością.

— Powiesz Maxowi?

— Kiedy się z nim zobaczę — odparł Neef. — Może nie powinniśmy tego rozgłaszać, bo Tim Heaton zwietrzy sensację i poda do niedzielnych gazet.

— Słusznie — przyznał Fielding. — Gotów to rzeczywiście zrobić, pomijając fakt, że mamy jeszcze czwórkę innych pacjentów, u których nie nastąpiła żadna poprawa.

— Otóż to. Możemy zawiadomić prasę, gdy u całej piątki nowotwory zaczną się cofać.

— Tak byłoby w sam raz — stwierdził Fielding z takim przekonaniem, że wywołało to uśmiech na twarzy Neefa.

— No właśnie — zgodził się.



Neef stawał się coraz bardziej niespokojny. Zbliżała się czwarta. Już miał chwycić za telefon, gdy rozległo się pukanie i do pokoju zajrzał Max Pereira.

— Mogę wejść?

Neef spojrział z wahaniem na aparat i postanowił odłożyć to na chwilę.

— Oczywiście — odrzekł. — Już zacząłem się zastanawiać, kiedy znów cię zobaczę.

— Wróciłem do pracy w laboratorium. Odwaliłem trochę roboty. Miałem ochotę usunąć się w cień.

— Nad czym pracujesz? — zapytał Neef.

— Nad następną generacją wektorów wirusowych.

— A z tej nie jesteś zadowolony?

— To nie to — odparł Pereira kręcąc głową. — Jeśli trzeba otwierać podstawę czaszki dziecka, żeby wprowadzić wektor, to znaczy, że zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Należy to usprawnić.

— Przypuszczam, że masz rację... — zgodził się Neef. — Skoro uważasz...

— Prawdziwym celem jest taki etap, na którym będzie można sprowadzić terapię genową do wykonania jednego zastrzyku w ramię pacjenta. To krwiobiegi powinien dostarczyć gen dokładnie tam, gdzie chcesz. Do właściwej komórki. Nowy gen oddziaływałby tylko na nią, zgodnie z tym, co zostało zaplanowane i zapewniłby jej prawidłowe funkcjonowanie do końca życia pacjenta.

— Jak daleko jesteś od tego etapu? — spytał Neef.

— Przy tak zawziętym współzawodnictwie jak teraz i tak wielkiej nagrodzie u celu, myślę że uda się to osiągnąć za trzy do pięciu lat.

— Tak szybko?

— Przypuszczam. Zbyt wielu facetów zapaliło się do tego.

— Z samych niewłaściwych przyczyn — stwierdził kwaśno Neef.

— Jak ci już przedtem mówiłem, to nieważne. Jeśli jesteś pacjentem, to co cię obchodzi czyjeś motywacje? Przestań walczyć z ludzką naturą, Mike. Łatwiej płynąć z prądem. Nie oczekuj zbyt wiele od swoich bliźnich, a nie rozczarujesz się. No... przynajmniej niezbyt często.

— Postaram się to zapamiętać — odparł Neef.

— A jak tam nasze świnki morskie?

— U jednej zaobserwowaliśmy już cofanie się nowotworu. U pozostałych, na razie bez zmian.

— Który to nowotwór?

— Mózdzka. U Thomasa Downy.

— No proszę! — wykrzyknął Pereira. — Nie myślałem, że on będzie pierwszy. Sądziłem, że raczej rak wątroby. Masz jakieś zdjęcia?

Neef wskazał wydruki leżące na biurku.

— Niewiele, ale myślę, że to pewne. Pereira, który wciąż miał na głowie beret zsunął go lekko do tyłu, by móc zaczepić za uszy okulary. Wziął do rąk linijkę i lupę.

— Około półtora milimetra różnicy, zgadza się?

— Tak oceniamy — przyznał Neef.

— Oczko! — ucieszył się Pereira.

— Oczko! — powtórzył z uśmiechem Neef.

— To dziecko czuje się dobrze? Chodzi mi o to czy nie ma jakichś negatywnych skutków zabiegu chirurgicznego lub zastrzyku?

— Wszystko w porządku. Był tu Farro-Jones. Chciał zobaczyć, jak się, miewają nasi pacjenci. Thomas śmiał się i żartował z nim. David przesyła ci pozdrowienia. On i jego żona chcą cię zaprosić na kolację.

— To miło z ich strony — odrzekł Pereira.

Neef spojrzął na zegar ścienny. Było pięć po czwartej. Pereira zauważył to i wstał.

— Znikam stąd — powiedział. — Zabieram ci czas.

— Muszę tylko zadzwonić w parę miejsc — wyjaśnił Neef. — Poczekaj w pobliżu. Może wpadlibyśmy na drinka, żeby uczcić sukces?

— Dobra, może być.

Neef zadzwonił do Szpitala Uniwersyteckiego i połączył się z Clellandem.

— Tu Michael Neef. Jak tam Charlie Morse?

— Stan jego płuc zauważalnie się poprawił — odpowiedział Clelland. — Zapalenie znacznie się zmniejszyło. Byliśmy w stanie wykonać zdjęcia rentgenowskie.

— I co?

— Właśnie mam jedno przed sobą. Obawiam się, że miał pan rację, doktorze — westchnął Clelland.

— Ma raka płuc?

— Jego płuca to sito.

Neef wydał z siebie długie westchnienie.

— Wiem, że wolałby pan usłyszeć co innego — powiedział przepraszającym tonem Clelland.

— Niewątpliwie ma pan rację — przyznał Neef, czując się tak, jakby został znokautowany i nie mógł podnieść się z ringu.

— Powie pan to jego żonie?

— Powiem.



Gdy Neef poszedł do Kate, stała tyłem do niego i rozmawiała z jedną z pielęgniarek. Chciał poczekać aż skończy, ale pielęgniarka spojrzała w jego kierunku ponad ramieniem Kate, która szybko się odwróciła. Neef natychmiast wyczytał w jej oczach, że wie, co zamierza jej powiedzieć. Dokończyła rozmowę i poszła za Neefem do jego gabinetu.

— Miałeś rację? Charlie jest chory na raka?

— Niestety — przyznał cicho Neef. — Bardzo mi przykro.

Kate zasłoniła ręką usta, jakby bała się cokolwiek powiedzieć. Po chwili odezwała się jednak z wahaniem.

— Chyba... wiedziałam o tym przez cały dzień... Ale trzymałam się kurczowo nadziei, że to jakaś straszna pomyłka, że Charlie wyzdrowieje i wszystko wróci do normy... Tyle razy widziałam ludzi w takich sytuacjach, a kiedy spadło to na mnie, nie potrafię zachować się inaczej niż oni.

— Nikt z nas nie potrafi — powiedział Neef kręcąc głową.

— Chciałabym pojechać teraz do Charlie'ego, zobaczyć go. Mogę?

— Ależ oczywiście — zapewnił ją Neef. — Jeśli mógłbym coś dla ciebie zrobić... Zresztą, przecież sama wiesz.

Kate skinęła głową.

— Wiem.

Patrzył, jak wychodzi z pokoju i żałował, że nie może jej pomóc. Ale wiedział, że naprawdę jest bezsilny. Zadzwoił do Lennona i zawiadomił go, że Charlie Morse to trzeci przypadek z rzędu.

— Mówi pan, że to jeden z członków personelu?! — wykrzyknął Lennon.

— Szef laborantów z patologii — wyjaśnił Neef. — W wieku około trzydziestu pięciu lat. Jego żona jest u mnie pielęgniarką oddziałową.

— Mój Boże! To mógł być każdy człowiek z miasta, a tymczasem trzecim przypadkiem okazał się członek personelu szpitala.

— Nie pan pierwszy to zauważył — powiedział Neef. — Mój zastępca, doktor Lawrence Fielding, skomentował to tak samo. I co pan o tym sądzi?

— Przypuszczam, że to zwykły przypadek. Ale może okazać się tropem, którego potrzebujemy. Trzydziestopięcioletniego mężczyzny i dwóch kilkunastoletnich dziewczynek chyba nie powinno łączyć zbyt wiele wspólnych przyzwyczajzeń i miejsc, gdzie bywali. Musimy koniecznie ustalić w jaki sposób skrzyżowały się ich ścieżki. Zakładając, że będziemy mogli porozmawiać z tym mężczyzną.

— Może raczej nie dziś — zasugerował Neef. — Właśnie pojechała do niego żona. Lepiej jutro, kiedy już oboje dojdą trochę do siebie.

— Dobrze. W takim razie, wybiorę się do Szpitala Uniwersyteckiego jutro rano — odrzekł Lennon. — Daj Boże, żeby tym razem udało nam się znaleźć źródło choroby. Mamy już serdecznie dosyć tej całej sprawy.

— Wyobrażam sobie — powiedział Neef.

— Czy prasa już wie?

— Ode mnie nic nie wyszło i nie sądzę, by również w Uniwersyteckim ktoś chciał udzielać jakichś informacji. Prawdę mówiąc, sami dowiedzieliśmy się o tym w ciągu ostatniej godziny.

— To dobrze — Lennon był wyraźnie zadowolony. — Będziemy mogli swobodniej oddychać po tym zainteresowaniu, jakie wzbudziliśmy w zeszłym tygodniu.

— Domyślam się, że nie mieliście łatwego życia. Nas też prasa nie zostawiła w spokoju.

— Nie uwierzyłby pan, jakie telefony otrzymywaliśmy po tej historii w gazecie. Meldowano nam, że na miejskich błoniach wylądowali Marsjanie i że to spaliny z rur wydechowych ich statku kosmicznego wywołały raka.

— Tego nie brałem pod uwagę — wyznał Neef ironicznym tonem.

— Pewna kobieta twierdziła, że rząd celowo zatrzuwa wodę. Inna uważała, że problem tkwi w rosnącej ilości psich odchodów. Upierała się, że w słoneczne dni śmierdzą aż tak, że dzieci dostają raka.

— Nie spodziewałem się telefonów od czubków — powiedział Neef.

— To jeszcze nic. Nie usłyszał pan nawet połowy.

— I martwi się pan, co będzie dalej — domyślił się Neef.

— Zgadł pan — przyznał Lennon. — Bóg raczy wiedzieć, co się stanie, jeśli prasa wywoła panikę z powodu pojawienia się trzeciego przypadku.

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— Może jeszcze mamy szansę.

— Niech mnie pan zawiadomi, co udało się panu ustalić. Jutro mam wolne, ale będę w szpitalu w poniedziałek.

— Szczęściarz z pana — westchnął Lennon. — Ja nie miałem wolnego dnia od początku tej sprawy.

Neef poszukał karteczki z numerem telefonu córki Franka MacSweena. Znalazł ją w drugiej kieszeni, w której grzebał i wystukał cyfry na klawiaturze aparatu. Nikt się nie zgłaszał. Złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni koszuli. Postanowił spróbować później. Nadszedł czas, by poszukać Maxa Pereiry, zakładając, że jeszcze na niego czekał. Zastał go w dyżurce przy lekturze jednego z magazynów pielęgniarskich.

— Przepraszam, że to tak długo trwało. Masz jeszcze ochotę na tego drinka?

— Tylko dlatego wciąż tu jestem — odparł Pereira.

Kiedy wyszli ze szpitala i skierowali się do pubu na rogu ulicy, zapytał:

— Co jest z siostrą Morse? Wyglądała na zdenerwowaną jak wychodziła.

— Właśnie się okazało, że jej mąż ma raka — odrzekł Neef przestępując próg lokalu „U Dwóch Dragonów” uczęszczanego przez personel szpitala.

— O cholera! Raka czego?

— Płuc.

— Jasny gwint! Dużo palił?

— Przez trzydzieści pięć lat życia nie miał w ustach papierosa.

— Parszywy pech.

— Pech nie ma tu nic do rzeczy — odrzekł Neef. — Ma to samo, co Jane Lees. Pamiętasz? Widziałeś zdjęcia.

— To dziecko na twoim oddziale? Jasne, że pamiętam — przytaknął Pereira.

— Koszmar.

— Byłbym wdzięczny, gdybyś na razie zachował to dla siebie. Ludzie z Wydziału Zdrowia i tak mają ciężki okres.

— Nikomu nie pisnę słowa — obiecał Pereira i pociągnął łyk bourbona. Neef wy-czuł, o czym myśli. — Wiesz — usłyszał po chwili z ust Pereiry — to jakiś niesamowity zbieg okoliczności.

— Nie uszło to naszej uwagi — zapewnił go Neef. — Ale nic z tego nie rozumiemy. A ty?

Pereira zastanawiał się przez chwilę, bawiąc się skórzaną tasiemką beretu.

— Chyba też nie — odpowiedział. — Czego właściwie szukają faceci z Wydziału Zdrowia?

— Czegoś, co wydziela gaz. We wszystkich trzech przypadkach rak zaatakował tylko płuca i brak śladów oparzeń po promieniowaniu — wyjaśnił Neef.

— A azbest? — zasugerował Pereira.

— W płucach nie było włókien. Dlatego Wydział Zdrowia uważa, że to gaz lub jakieś opary. Szukają nielegalnego składowiska odpadów chemicznych.

— Czyli igły w stogu siana — stwierdził Pereira.

— Mają nadzieję, że mąż Kate Morse pomoże im zawęzić zakres poszukiwań.

— Życzę szczęścia. Jeszcze po jednym?

— Chętnie, dzięki. Jeszcze jeden dzin.

Pereira wrócił z baru niosąc drinki.

— Jak zamierzasz spędzić niedzielę? — spytał Neef.

— W laboratorium — odparł Max.

Neef uśmiechnął się.

— To kiedy znajdziesz czas na nurkowanie? — zapytał wskazując motyw na koszulce Pereiry reklamujący jeszcze inną szkołę płetwonurków. Tym razem izraelską, na Morzu Czerwonym.

— Co roku w lutym. Dwa tygodnie.

— A co z letnimi wakacjami?

— W lecie nie mam wakacji.

— Ale musisz jeździć na spotkania i konferencje naukowe. Z reguły organizują je w atrakcyjnych miejscach.

— Nie biorę w tym udziału — odrzekł Pereira. — Jeśli ktokolwiek ma do powiedzenia coś godnego uwagi, można to znaleźć w fachowych publikacjach. Niektórzy faceci lubią po prostu słuchać swojego głosu. Spędzają pół życia, włócząc się po świecie i spotykając w małym gronie, by rozprawiać o pracach, których w rzeczywistości nie prowadzą. Ja do takich nie należę. Całe to gówniane towarzystwo jest dobre na uniwersytetach, ale nie w biznesie. Wiesz, że ilekroć opublikuję coś o wektorach, zaraz pół tuzina tych gości przysyła mi propozycję nawiązania „współpracy”?

— A ty odmawiasz — powiedział Neef stwierdzając rzecz oczywistą.

— Jasne, że tak. Przecież oni szukają okazji uczenia się pociągu, którym już podróżują inni. Ale to nie ze mną.

— Twoja egzystencja przypomina żywot zakonnika — zauważył Neef.

— Mnie to odpowiada.

— Jeszcze jednego?

— Nie, muszę sprawdzić kilka pożywek. Lepiej już pójdę.

— Widzimy się w poniedziałek?

— Tak, tak, na pewno. Skoro nowotwór mózgu już zareagował, niedługo przyjdzie kolej na pozostałe.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — westchnął Neef.

— Zaufaj mi — uśmiechnął się Pereira wstając z miejsca i zarzucając skórzaną kurtkę na ramię.

Neef nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zabrzmiała w tym nuta ironii.



Neef pojechał do domu, nakarmił Dolly i ponownie zadzwonił do córki Franka MacSweena. Znów nikt się nie zgłaszał. Wzruszył ramionami i poszedł zrobić sobie coś do jedzenia. To oznaczało, że musi pobuszować w zamrażarce wśród gotowych paczkowanych potraw. Neef kupował je na zapas, raz na miesiąc robiąc wyprawę do supermarketu. Wygrzebał coś z kurczaka i popijając zimne piwo z lodówki przeczytał sposób przyrządzania.

Zdumiony, stwierdził, że Dolly łaskawie zauważyła jego obecność i wskoczyła na sofę, by mu towarzyszyć tego wieczoru. Ułożyła się wzdłuż z głową opartą na jego udzie.

— No, no, no... — mruknął z podziwem Neef. — Jestem zaszczycony, księżniczko. — Podrapał Dolly za uszami i po chwili rozległo się jej zadowolone mruczenie.

— Pewnie miałaś lepszy tydzień niż ja, moja mała przyjaciółko — westchnął Neef.

Zastanawiał się, czy nie odsunąć kotki, by nastawić muzykę, lub wyłączyć telewizor, ale zrezygnował. Dolly niezbyt łatwo i często okazywała mu swoje przywiązanie. Musiał uszanować ten doniosły moment. Położył głowę na oparciu sofy i zamknął oczy. Usiłował nie myśleć o niczym, ale wydarzenia minionego tygodnia nie dawały mu spokoju. Zwłaszcza Charlie Morse. Próbował nie wyobrażać sobie, co Kate i Charlie teraz przeżywają, ale nie mógł pozbyć się tego obrazu. Ewa Sayers miała rację. Za dużo dźwięgał na swoich barkach. Musiał znaleźć sposób na uporanie się z tym. Inaczej groziła mu choroba psychiczna, jeśli nie nauczy się uwalniać od stresów.

Rozważał, jakie ma możliwości. Pomyślał, że najprościej jest sięgnąć po alkohol, ale wiedział, że to jedna z najbardziej niebezpiecznych metod. Znał lekarzy, którzy pili, by sobie ulżyć. Najlepszym przykładem był patolog ze Szpitala Uniwersyteckiego, Eddie Miller. Medytacje transcendentalne? Religia Wschodu? A może wakacje? Gdzieś daleko, gdzie pod błękitnym niebem ciągną się bezkresne plaże, gdzie można cały dzień siedzieć na kamieniu i łowić ryby, a potem pociągać rum patrząc na purpurowe, zachodzące słońce.

Minęło dużo czasu od chwili, gdy po raz ostatni miał porządny urlop i dobrze wiedział dlaczego. Nie wyobrażał sobie samotnego wyjazdu. A wtedy był z Elaine w Meksyku. Spędzili trzy cudowne tygodnie z dala od trosk tego świata, ciesząc się sobą nawzajem. Na zawsze zachował w pamięci wspomnienia z tego rajy na ziemi i strzegł ich, jak najdrogocenniejszego skarbu. Nikt nie miał do nich dostępu. Nic nie mogło ich zmącić.

Ale może nadszedł czas, by się z nich trochę otrząsnąć. Gdy o tym pomyślał, ból i poczucie winy złagodziła tym razem żelazna logika. Elaine umarła dawno temu i nigdy nie wróci. Kiedyś trzeba się z tym pogodzić.

Ten tok rozumowania przypomniał mu o Ewie Sayers. Z pewnością pociągała go, ale nie chciał zastanawiać się, czy nie jest to aby coś więcej. Może z powodu Elaine, a może nie tylko, jeśli już miał być szczery z samym sobą. Ewa była o wiele bardziej niezależną kobietą niż Elaine. Kobieta samodzielną, mającą własne zdanie, inteligentną i lubiącą wyzwania. Elaine wystarczała rola pani domu. Grała w ich małżeństwie drugie skrzypce. Neef nie był pewien, czy potrafiłby ułożyć sobie życie z taką kobietą jak Ewa. Może nawet się tego trochę bał.

O dziesiątej trzydzięci, zanim położył się spać, Neef postanowił po raz ostami zadzwonić do córki Franka MacSweena. Nareszcie mu się powiodło, choć telefon odebrała nie córka Franka, lecz jego żona, Betty.

— Betty? Tu Michael Neef. Frank prosił, żebym zadzwonił. Próbuję połączyć się z wami od piątej po południu.

— Przepraszam, Mike. Nie było nas.

Neef natychmiast wiedział, że coś się stało. W głosie Betty usłyszał łkanie.

— Macie jakieś zmartwienia? — zapytał.

— Chodzi o naszego wnuka, Nigela — wyjaśniła Betty. — W zeszłym tygodniu zachorował. Głównie z tego powodu przyjechaliśmy do Yorkshire, mimo że Clare niedawno nas przecież odwiedzała. Dziś po południu mały poczuł się gorzej i zabrano go do szpitala.

— Bardzo mi przykro — powiedział Neef.

— Zmarł godzinę temu — dodała Betty.

— Och, mój Boże! To straszne. Współczuję wam, Betty. To jakiś potworny tydzień. Same złe wiadomości. Czy wiedzą, co to było?

— Jeszcze nie. Oczywiście zrobią mu sekcję zwłok, ale wciąż nie mogę w to uwierzyć. To było takie cudowne dziecko. Wszyscy go uwielbialiśmy.

— Nie będę dłużej przeszkadzał.

— Chcesz, żebym przekazała Frankowi wiadomość? Nie sądzę, żeby teraz był w stanie rozmawiać z kimkolwiek.

— To może poczekać — odparł Neef.

10

Następnego ranka o dziesiątej trzydzieści Ewa Sayers z Neilem w samochodzie podjechała do drzwi domu Neefa. Chłopiec przyciskał twarz do szyby auta i gdy pojawił się Neef, uśmiechnął się krzywo. Ewa zdradziła mu wcześniej, kogo mają stąd zabrać.

— Cześć Tygrysie — powitał go Neef sadowiąc się obok i mierzwiąc włosy chłopca.
— Pewnie dawno żaden z nas nie był na pikniku.

— Powiedz raczej żadne z nas trojga — poprawiła go Ewa. — Ja nie usłyszę od ciebie „cześć”?

— Cześć, Ewo — Neef nachylił się do niej i musnął wargami jej policzek.

Neil zachichotał i dzień zaczął się wesoło.

— Pomyślałam, że moglibyśmy pojechać do Floxton Mill — zaproponowała Ewa.
— Chyba że wolałbyś gdzie indziej.

— Dokądkolwiek pojedziemy, będę zadowolony — odrzekł Neef. — Chyba nie znam tego miejsca.

— Na pewno ci się spodoba. — Ewa nie wyjawiała nic więcej, koncentrując się na prowadzeniu samochodu.

Miała rozpuszczone włosy, a ubrała się w białą koszulkę i dżinsy. Roztaczała wokół siebie atmosferę spokoju, która dobrze działała na Neefa. Bardzo potrzebował dnia bez stresów, bez wzmianek o szpitalu, a zwłaszcza nie chciał słyszeć o trzeciej ofierze raka.

Droga do Floxton Mill zajęła niewiele ponad godzinę. Gdy Neef zobaczył to miejsce, zaparło mu dech w piersiach. Było tak malownicze, jak chyba żaden zakątek na świecie. Co więcej, słońce prażyło mocno, a wokół nie było żywej duszy.

— Skąd wiedziałas, że coś takiego istnieje?! — wykrzyknął zdumiony i zachwycony.

— Przyjeżdżam tu, odkąd sięgnę pamięcią — wyjaśniła Ewa. — Widzisz ten biały domek? — wskazała ukrytą wśród wierzb pobielaną chatę krytą strzechą.

— Tak.

— Moi rodzice zabierali mnie tu na wakacje, gdy byłam małą dziewczynką i młyn jeszcze działał. Spędzaliśmy tu zawsze dwa tygodnie lipca. Młyn przestał pracować dziesięć lat temu i został sprzedany wraz z przyległym terenem prywatnej osobie.

Przerobiono go na dom mieszkalny. Skontaktowałam się z nowymi właścicielami i wytłumaczyłam im, ile to miejsce dla mnie znaczy. Zgodzili się, bym przyjeżdżała tu na piknik, kiedy tylko zechcę. Ale ostatni raz byłam tutaj cztery lata temu.

— Miejmy nadzieję, że ci ludzie jeszcze cię pamiętają — powiedział Neef.

— Dzwoniłam do nich wczoraj — odrzekła Ewa.

Neef uświadomił sobie, że powinien się tego domyślić.

— Kto jest głodny? — zapytała Ewa.

Neil i Neef wzniesli chóralny okrzyk: „Ja!” Ewa wybuchnęła śmiechem. Po raz pierwszy Neef usłyszał ją śmiejącą się na cały głos. Podobało mu się to.

Jeśli chodzi o jedzenie, Ewa przeszła samą siebie wybierając to, co lubią mali chłopcy. Hot dogów i chrupków było pod dostatkiem, nie mówiąc o mnóstwie kolorowych paczuszek i torebek czekających tylko, aby otworzyły je niecierpliwe palce. Neef entuzjastycznie wziął w tym udział. Kiedy obaj z Neilem zjedli wszystko, co tylko byli w stanie pochłonąć, Neef opadł plecami na ziemię trzymając się za brzuch, jakby miał za chwilę pęknąć. Neil poszedł w jego ślady i obydwaj tarzali się po trawie udając, że jęczą i nie mogą wstać z przejedzenia. Z kolei Ewa udawała wielce zagniewaną, co tylko prowokowało ich do jeszcze większych wygłupów, zakończonych wybuchami śmiechu.

— Powinniśmy się zdrzemnąć na słońcu — zaproponowała Ewa. — Niech nasze brzuchy dojdą do siebie po tym obżarstwie.

— Dobry pomysł — zgodził się Neef i ułożył się płasko, dotykając głową głowy Neila.

Malec uznał to za zabawę i położył się tak samo. Ewa przyłączyła się do nich. Leżeli we trójkę na ziemi, tworząc trójramienną gwiazdę. Czuli na twarzach słoneczny żar, lejący się z bezchmurnego nieba. Próbowali gawędzić, ale rozmowa nie kleiła się i wkrótce zapadła cisza. Neef patrzył prosto w słońce, musiał więc mocno zaciskać powieki. To wyostrzyło inne jego zmysły. Słyszał dokładnie brzęczenie latających w pobliżu owadów, a do jego nozdrzy docierał intensywny zapach świeżo skoszonej wokół młyna trawy.

— Neil — szepnęła Ewa.

Nie było odpowiedzi.

— Neil. Śpisz?

Cisza.

— Szybko zasnął — zaniepokoiła się. — Ale chyba wszystko w porządku, prawda?

Neef przekręcił się na brzuch i podpierając głowę na łokciach przyjrzał się twarzy Neila.

— W porządku — uspokoił Ewę. — Po prostu przejadł się, tak jak ja. Wspaniały piknik.

— Cieszę się, że ci się podoba i że zdecydowałaś się z nami przyjechać. Jest doskonale, nie uważasz?

— Jak najbardziej — przytaknął Neef.

— Więc co cię dręczy? — zapytała.

Neef był zaskoczony.

— Ależ nic! Dlaczego tak sądzisz?

— Zdradzają cię twoje oczy — odparła.

Chciał zaprzeczyć, ale Ewa wpatrywała się w niego tak stanowczo, że zrezygnował z kłamstwa.

— Pamiętasz ten dzień, kiedy pojechaliśmy na lunch do MacSweenów? Było tam dziecko. Wnuk Franka imieniem Nigel.

— Oczywiście, że pamiętam — odrzekła Ewa.

— Ten chłopczyk wczoraj zmarł.

— Mój Boże, co się stało?! — wykrzyknęła Ewa.

— Jeszcze nie wiedzą. Frank i Betty pojechali na weekend do Yorkshire, żeby odwiedzić Clare i Keitha. Rozmawiałem z Betty ostatniej nocy. Chłopca zabrano do szpitala po południu. Zdaje się, że po kilku godzinach zmarł.

— Co za straszne nieszczęście. Jego rodzice muszą być załamani.

Neef skinął głową.

— Dla Franka to też wielki cios. Uwielbiał wnuka. Zbudował mu już szałas w ogrodzie.

— Biedny Frank — westchnęła Ewa. — Biedna Betty... To urocza kobieta.

Neef pokiwał głową.

— Jaka choroba tak szybko zabija dzieci? — zapytała Ewa.

— Nie chciałbym zgadywać, ale małe dzieci czasem bardzo szybko umierają z powodu infekcji. To może być właśnie taki przypadek.

— Zrobią sekcję zwłok?

— Tak. Muszą ustalić przyczynę śmierci, żeby wystawić akt zgonu.

Ewa wzdrygnęła się.

— Nie zniosłabym tego, gdyby ktoś otworzył ciało mojego dziecka. Sam pomysł wydaje się makabryczny.

Obudził się Neil i Ewa natychmiast zaczęła się z nim bawić. Dokuczała mu żartobliwie, nazywając go obzartuchem i udając, że czuje każdy kęs jedzenia w jego brzuchu.

— Tu jest hot dog... — mówiła — tu jeszcze jeden... i jeszcze jeden! Ile ich zjadłeś?

Neil chichotał próbując wymknąć się łaskoczącym go palcom Ewy.

— Pomóż mi! — zawołał do Neefa.

— Chyba będziesz musiał uciekać, Neil. Szybko! — Neef wyciągnął rękę.

Chłopiec chwycił się jej i podskoczył do góry. Razem pobiegli w kierunku rzeki, wciąż trzymając się za ręce. Ewa udawała, że ich ściga.

— Już ja was złapię! — pomrukiwała groźnie.

Neil i Neef dotarli nad wodę, położyli się na brzuchach tuż przy brzegu i przez chwilę patrzyli w milczeniu na wolno płynący w dole nurt.

— Co widzisz? — zapytał Neef.

Neil przyjrzał się rzece uważnie, a potem nagle pokazał coś palcem.

— Ryba! — wykrzyknął podekscytowany.

Neef też zauważył trzy czy cztery cierniki śmigające tam i z powrotem pod powierzchnią.

— Jesteś spostrzegawczy — pochwalił malca. — Masz bardzo dobry wzrok.

Rzucił okiem na Neila. Chłopiec dalej wypatrywał ryb. Neef przyglądał się przez chwilę narośli na jego twarzy. Coś go niepokoiło. Guz jakby się zmienił. Modlił się do Boga, by pozwolił mu się mylić, ale wydawało się, że nowotwór się powiększył. Neil zorientował się, że Neef wpatruje się w niego. Podniósł pytająco wzrok.

— Może urządzimy wyścigi łodzi? Co ty na to? — zaproponował Neef bojąc się, by nie zepsuć nastroju tego wyjątkowego dnia.

Oczy chłopca rozjaśniły się, bo pomysł bardzo mu się spodobał.

— W porządku. Najpierw musimy wybrać sobie łodzie. — Neef wyciągnął rękę i ułamał długą trzcinę rosnącą na brzegu. Potem skrócił ją do długości około sześciu cali. — Moja łódź gotowa — powiedział. — A gdzie twoja?

Neil zrobił to samo, co Neef. Też zerwał trzcinę i przygotował ją w ten sam sposób, po czym skinął głową.

— A teraz, uwaga! — zapowiedział Neef. — Kiedy krzyknę, obaj rzucamy łodzie do wody i idziemy za nimi do mostku. Która dopłynie tam pierwsza, ta wygrywa. Zgoda?

Neil z zapalem zaczął potakiwać głową.

— A więc... Do biegu... gotowi... start!

Obie trzciny wylądowały w rzece i poczęły wolno dryfować z prądem, zachęcane okrzykami Neila i Neefa. Na brzegu pojawiła się Ewa, zaintrygowana hałasem.

— Ja ogłoszę, kto jest zwycięzcą — oznajmiła i pobiegła na mostek.

Zajęła stanowisko na środku, pochyliła się i oparła łokcie na poręczy. Z brodą wspartą na dłoniach obserwowała zbliżające się kawałki trzciny.

— Wyścig wygrywa... Neil! — wykrzyknęła.

Neef udał, że jest bardzo zawiedziony. Uradowany malec podskakiwał wśród wiwatów Ewy.

Kiedy wracali do miejsca, gdzie zostawili koc i koszyk z prowiantem, Neil wyrwał się do przodu. Ewa odezwała się do Neefa:

— Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam tak dobry humor.

— Ani ja — przyznał Neef otaczając Ewę ramieniem. Ten gest wydał mu się w tym momencie całkiem naturalny.

I byłaby to wspaniała chwila, gdyby nie nurtujące go straszne podejrzenie, że u Neila zaczyna się nawrót choroby.



We wtorek najgorsze obawy Neefa potwierdziły się — nowotwór Neila ponownie zaczął rosnąć. Gdy Neef podzielił się swymi podejrzeniami z Lawrence Fieldingiem, ten przeprowadził dokładne badania chłopca i teraz nie było już wątpliwości: remisja u Neila skończyła się, i nie należało się spodziewać, że nastąpi powtórna.

Oczywiście Neef był przez cały czas przygotowany na to, że prędzej czy później nadejdzie taki moment. Ogarnęło go jednak wielkie przygnębienie, gdy uzmysłowił sobie, że zbliża się nieuchronnie to, co musi się stać, a on może najwyżej sprawić, by Neil na razie nie cierpiał.

Z niechęcią myślał, że musi poinformować Ewę. Wiedział, że ciężko to przeżyje. Mimo ostrzeżeń, bardzo przywiązała się do Neila. Ale w wypadku tak miłego dziecka nietrudno to było przewidzieć. Neef przez moment zastanawiał się, czy dobrze zrobił pozwalając Ewie na pierwszą wizytę u chłopca. Od niej wszystko się zaczęło. Ale szybko pozbył się tych wątpliwości przypominając sobie, jak ta dwójka świetnie czuła się razem na pikniku. Był pewien, że jednak postąpił słusznie.

Przed południem Neef dowiedział się, że Frank MacSween wrócił do pracy. Tuż po lunchu poszedł do pracowni patologicznej z kondolencjami. Frank siedział w swoim gabinecie obok prosektorium. Usytuowany w podziemiach pokój pozbawiony był okien, toteż oświetlały go jarzeniówki, podobnie jak samo pomieszczenie do wykonywania sekcji zwłok. W jasnym blasku twarz MacSweena wydawała się papierowo biała i widniały na niej szare, siwiejące ślady nieogolonego zarostu. Wyglądał, jakby błądził myślami gdzie indziej.

— Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że strasznie ci współczuję z powodu śmierci wnuka — odezwał się Neef. — To wielka tragedia.

MacSween skinął głową i Neef zauważył, że jego oczy są zupełnie bez wyrazu. Poczuł duże zaniepokojenie. Frank nie powinien tak szybko wracać do pracy. Potrzebował opieki lekarskiej, by przetrzymać kryzys.

— Dobrze się czujesz, Frank? — zapytał łagodnie.

MacSween podniósł na niego wzrok z takim wyrazem twarzy, że Neef podejrzewał, iż nie usłyszał pytania.

— Ten malutki chłopczyk stanowił dla mnie wszystko — odrzekł po chwili Frank. — Wiem, że był niemowlęciem, ale symbolizował dla mnie w pewnym sensie przyszłość.

Neef przypomniał sobie kryjówkę w ogrodowym żywopłocie i plany budowy domku na drzewie, które snuł MacSween.

— Kiedy brałem go na ręce, czułem że trzymam samą siłę życia. Wibrowała w nim, tętniła w jego ramionkach i nóżkach. Możesz sobie wyobrazić, co to znaczy dla kogoś, kto przez większość życia dotyka martwych ciał?

Neef niepewnie pokręcił głową. Wiedział, że Frank będzie strasznie przeżywał śmierć wnuka, ale nie spodziewał się takiej rozpacz.

— I jego oddech... Czułeś kiedyś zapach oddechu małego dziecka, Mike? Jest wspaniały. Absolutnie cudowny. I wiesz co?

— Co? — spytał cicho Neef.

— To ja go zabiłem.

— Ty... co?! — wykrzyknął Neef nie wierząc własnym uszom.

— Ja go zabiłem — powtórzył MacSween. — Nie wiem jak i nie wiem dokładnie kiedy, ale wiem, że to ja.

— Frank! Naprawdę nie powinieneś być w pracy. Przeżyłeś ogromny wstrząs i potrzebujesz czasu, żeby...

MacSween uniósł do góry dłonie i spojrzał Neefowi prosto w oczy.

— Ja nie postradałem zmysłów, Mike. Po prostu wiem, co zrobiłem. Widzisz, tuż przed twoim przyjściem miałem telefon.

— Jaki telefon? — zapytał Neef, gdy Frank zamilkł na chwilę i jego oczy się zaszkliły.

— Ze szpitala w Yorkshire. Z tego, do którego zabrali Nigela. Mają wyniki sekcji zwłok.

— No i...? — przynaglił go Neef.

— Obustronne zapalenie płuc... przesłaniające rozległego raka oskrzeli.

— Jezu Chryste! — wykrzyknął Neef. — Co się, u diabła, dzieje?!

— Nie wiem — odrzekł w zamyśleniu MacSween. — Ale to niemożliwe, żeby małe dziecko zostało przypadkowo narażone na działanie czynnika rakotwórczego, jak Melanie Simpson czy Jane Lees. Ten środek musiał wciąż być obecny w ich ciałach i ja go w jakiś sposób wchłonąłem, a potem przeniosłem na Nigela.

— To nie ma sensu, Frank — zaprzeczył Neef. — Wszystko wskazuje na to, że winne były wdychane opary.

— Więc ta teoria jest błędna — odrzekł z uporem MacSween.

— Ale gdyby chodziło o ciało stałe, twoi ludzie znaleźliby je podczas mikroskopowych badań wycinków pochodzących z sekcji. A tymczasem nie natrafili na nic szczególnego. Ani na cząsteczki, ani na włókna.

— To nie jest zbieg okoliczności. Przeczy temu po prostu zdrowy rozsądek! — obstawał przy swoim MacSween.

— Masz rację — zgodził się spokojnie Neef. — Ale nie możesz winić siebie. — Pomyślał o Charlie'em Morse. MacSween jeszcze nie wiedział, że potwierdziło się podejrzenie, iż Charlie ma raka. Zastanawiał się, czy nie powinien oszczędzić Frankowi tej wiadomości. Był już wystarczająco zdruzgotany. W końcu uznał, że jednak musi mu powiedzieć. — Jeszcze nie miałem okazji wspomnieć ci o Charlie'em Morse.

MacSween spojrział na niego dziwnie, jakby nie rozumiał.

— Mój Boże, zapomniałem o Charlie'em! — przypomniał sobie nagle. — Też to ma? Neef pokiwał głową.

— Niestety. Jego płuca to sito, jak się wyrazili.

— O co tu chodzi, do jasnej cholery?! — w głosie MacSweena odbiła się wściekłość pomieszana z rozpaczą.

— Lepiej wezwijmy tu zaraz kogoś z Wydziału Zdrowia, zanim staniemy w obliczu wybuchu epidemii — zaproponował Neef.

— Epidemii czego? — MacSween spojrział na niego zaskoczony.

Neef zdał sobie sprawę, że użył niewłaściwego określenia. Wypowiedział je bez zastanowienia. Może wybuchnąć epidemia z powodu zatrucia żywności, ale nie epidemia raka. Takiej nie ma.

— Szczerze mówiąc, nie mam bladego pojęcia — odrzekł bezradnie.



Neef wrócił do gabinetu i zadzwonił do Wydziału Zdrowia, ale nie zastał Lennona. Jednak dowiedziawszy się, kto dzwoni, jego współpracownicy podali Neefowi numer jego telefonu komórkowego. Lennon zgłosił się podczas jazdy samochodem. Neef słyszał w tle odgłosy ruchu ulicznego.

— Powinniśmy spotkać się jak najszybciej — powiedział Neef. — Sprawa zatacza coraz szersze kręgi.

— Następny przypadek?!

— Tak. Tym razem to małe dziecko z Yorkshire.

— Może pan powtórzyć?

— Dobrze pan usłyszał. Wnuk naszego patologa, Franka MacSweena.

— Niech to szlag trafi — westchnął Lennon. — Mogę przyjechać około piątej.

— Dobrze. Koniecznie musimy porozmawiać.

Neef spojrział na zegarek. Była trzecia trzydzieści. Jeśli Ewa odwiedzała dzisiejszego popołudnia Neila zamierzał jej powiedzieć o stanie chłopca. Rano Neil nie czuł się dobrze. Ewa pewnie zauważyła, że coś jest nie w porządku, ale wolał powiedzieć jej to wprost. Połączył się przez telefon wewnętrzny z dyżurką i zapytał, czy widziano Ewę na oddziale.

— Panna Sayers przyszła około trzeciej — odpowiedziała pielęgniarka dyżurna.

Neef powędrował do sali Neila i zatrzymał się na zewnątrz, gdy zobaczył Ewę przez szybę. Czytała malcowi bajkę. Chłopiec nie zachowywał się tak jak zwykle. Leżał bez ruchu pod kocem z oczami utkwionymi w Ewie. Neef cicho wszedł do środka i podszedł do łóżka.

— Cześć wam — odezwał się półgłosem i przykucnął obok Ewy siedzącej na krześle z książką na kolanach. — Pewnie przeszkadzam, jak zwykle.

— No pewnie! — odrzekła Ewa. — Właśnie dochodzimy do momentu, w którym wilk zacznie sapać ze złości.

Neef spojrzął na Ewę i wyczytał w jej oczach, że czegoś się domyśla. Tylko udawała, że wszystko jest w porządku.

— W takim razie, nie będę wam przerywał — oznajmił. — Chciałbym z tobą porozmawiać, zanim wyjdiesz — zwrócił się do Ewy.

— Oczywiście. — Skinęła głową, a w jej wzroku pojawił się cień podejrzliwości.

— Do zobaczenia, Neily — powiedział Neef do chłopca, który w odpowiedzi mru-gnął oczami.

Mając trochę wolnego czasu Neef postanowił poinformować Lawrence'a Fieldinga o śmierci wnuczka Franka MacSweena.

— Przerazające jest to, że coś się tu nie zgadza — powiedział mocno zaniepokojony Fielding. — Przypadek Charlie'ego Morse'a jeszcze jakoś z trudem mieści się w granicach prawdopodobieństwa występowania zbieżności między tymi zachorowaniami, ale śmierć wnuczka Franka, malutkiego dziecka... Można pomyśleć, że wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo... Ze strony czegoś zupełnie dla nas niezrozumiałego...

Neef pokiwał głową.

— Jeśli to cię pocieszy, jestem tego samego zdania. — Zdradził Fieldingowi, że umówił się z Lennonem na piątą. — Chciałbym, żebyś też uczestniczył w tym spotkaniu. Ale nikomu ani słowa. Jeszcze tylko tego brakuje, żeby cały personel wpadł w panikę.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Neef domyślił się, że to Ewa.

— Proszę — powiedział cicho.

Podeszła do biurka Neefa tak ostrożnie, jakby stąpała po rozżarzonych węglach.

— Remisja u Neila skończyła się, prawda? — zapytała niemal szeptem.

— Obawiam się, że tak — odrzekł Neef. — Podejrzywałem to już w niedzielę, kiedy przyglądałem się z boku jego twarzy, gdy byliśmy nad rzeką. Lawrence Fielding potwierdza to. Nowotwór znów zaczyna rosnąć.

— Dlaczego Bóg pozwala, by to spotykało takie dziecko jak Neil? Przecież to bez sensu — powiedziała Ewa. — Człowiek zaczyna się zastanawiać, po co w ogóle żyje.

Neef skinął głową.

— Wiem. Rozumiem, co czujesz. Przeżywałem to już ze sto razy.

Ewa przyjrzała mu się i potrząsnęła głową.

— Już to przedtem mówiłam, ale powtórzę jeszcze raz. Nie pojmuję, jak możesz to znosić na co dzień.

— Neil potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek — uprzedził ją Neef.
— Wytrzymasz?

— Chyba pęknie mi serce, ale obiecuję, że będę z nim do końca — przyrzekła Ewa.

— Cieszę się i nie zostawię cię samej.

Ewa wyciągnęła rękę i przykryła nią dłoń Neefa spoczywającą na biurku.

— Na pewno będziesz mi potrzebny. Obiecałam, że wytrzymam, ale prawdę mówiąc, nie jestem tego taka pewna. Czy naprawdę nic już nie możesz dla niego zrobić?

— Możemy sprawić, żeby nie czuł bólu, ale nie zdołamy go wyleczyć.

— Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak, jak teraz — wyznała Ewa. — Przepelnia mnie gniew i poczucie zawodu, ale nie wiem, kogo winić. Chciałabym się wyładować, ale nie wiem na kim. Mam ochotę walić pięściami kogoś lub coś, ale nikogo ani niczego takiego nie znajduję. A ty?

Neef wzruszył ramionami.

— Każdy musi sam znaleźć sposób na uporanie się z tym. Przepraszam, ale nie potrafię ci pomóc.

— Może porozmawiam z wydawcą mojej gazety? Namówię go na szeroko zakrojoną kampanię zbierania środków na utworzenie fundacji imienia Neila? Nie chcę, żeby został zapomniany. To nie byłoby w porządku.

Neef skinął głową. Wiedział, jak Ewa cierpi.

— Widziałeś się z Frankiem MacSweenem? — zapytała.

— Tak, dzisiaj.

— Jak znosi tę tragedię?

— Źle.

— Biedny człowiek. Czy ustalili już co było przyczyną śmierci tego dziecka?

— Jeszcze nie — skłamał Neef.

Nie mógł tego uniknąć. Po raz pierwszy świadomie ją okłamał i miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale nie chciał, by wiedziała, że sprawa zatacza coraz szersze kręgi. Odwrócił wzrok czując na sobie badawcze spojrzenie Ewy. A może tylko mu się zdawało, że wpatruje się w niego pytająco, bo czuł się winny?

— Lepiej już pójde — powiedziała. — Ty też niedługo wychodzisz?

— Mam zebranie. Obecnie z każdym dniem jest ich coraz więcej — odrzekł Neef, ale jego odpowiedź nie zabrzmiała przekonująco.

— A zatem, dobrej nocy. Pewnie zobaczymy się jutro.



Lennon spóźnił się dziesięć minut. Frank MacSween zaproponował, by zebranie odbyło się w sali wykładowej na patologii. W ten sposób jego uczestnicy mieli nadzieję nie wzbudzać zbytniego zainteresowania wśród personelu szpitalnego. Spotkanie w podziemiach nie rzucało się w oczy. Półokrągłe pomieszczenie znajdowało się w najstarszej części budynku. Rzędy drewnianych ław wznosiły się niemal do sufitu, a ich siedzenia wypolerowały już liczne pokolenia zasiadających tu od lat studentów medycyny. Na poziomie podłogi stał na podium długi stół ze ścienną tablicą w tle. Oświetlenie było marne — na drugich kablach wisiały pojedyncze żarówki. Jedyne nowoczesne elementy wyposażenia stanowił rzutnik.

— Cholerne korki! — zaklął Lennon wchodząc do sali. — Przepraszam za spóźnienie.

Neef przedstawił go Lawrence'owi Fieldingowi i powiedział:

— Będzie nas tylko czterech. Nie starczyło czasu, żeby zebrać liczniejsze grono.

— To może poczekać — odrzekł Lennon. — Na razie najważniejsze jest, żebyśmy wymienili się spostrzeżeniami i informacjami. Może wypiszę, co już wiemy?

— Dobry pomysł — zgodził się Neef.

Lennon położył płaszcz i teczkę na stole, po czym przesunął dłonią wzdłuż rowka u dołu tablicy szukając kredy. Po chwili trzymał ją w palcach.

— Mamy cztery przypadki: Melanie Simpson, Jane Lees, Charlie Morse i...?

Neef spojrział na MacSweena, który powiedział:

— Nigel Barnes.

Lennon wypisał nazwiska na tablicy.

— Cztery osoby narażone zostały na działanie silnego czynnika rakotwórczego. Nie wiemy, co to było ani gdzie go szukać, ale zakładaliśmy, że to jakiegoś rodzaju gaz. Teraz są co do tego pewne wątpliwości.

— Zgadza się — odezwał się MacSween. — Nie ma mowy, żeby mój wnuk został wystawiony na działanie oparów chemicznych. To ja go musiałem zarazić. Przyniosłem coś do domu na ubraniu.

— To mógł być Charlie Morse — powiedział Neef przypominając sobie nagle coś, o czym nikt nie pomyślał wcześniej.

MacSween popatrzył na niego nie bardzo rozumiejąc.

— Nigel miał bezpośredni kontakt z Charlie'em podczas lunchu u was kilka tygodni temu. Pamiętam, że Charlie próbował uspić małego. Nosił go na rękach. Przypominasz sobie?

MacSween zastanawiał się nad tym w milczeniu.

— Panowie, muszę zwrócić wam uwagę, że rozmawiacie o raku. To nie jest choroba zakaźna. Nie można się nią zarazić poprzez kontakt z drugą osobą. Nie przenosi się jej w ten sposób. Wszystkie cztery osoby musiały zetknąć się bezpośrednio z rakotwórczą substancją.

— Właśnie dlatego mówimy, że to nie mógł być żaden gaz — odparł MacSween.
— To musiało być coś, co przenosiliśmy na sobie lub na naszych ubraniach.

— Przyznaję, że teraz to nie wygląda na gaz — zgodził się Lennon. — W takim razie, co sugerujecie?

— To ja przeprowadzałem sekcje zwłok obu dziewczynek, Melanie Simpson i Jane Lees — przypomniał MacSween.

— No i...?

— Musiałem ulec skażeniu czynnikiem rakotwórczym. Zapewne pozostał w płucach dziewczynek.

— Ale przecież nic pan w nich nie znalazł — uświadomił mu Lennon. — Badanie mikroskopowe nie wykazało obecności obcych ciał.

MacSween westchnął z rezygnacją i pokręcił głową.

— Coś jednak musiało być.

— Uważam, że powinniśmy umieścić Charlie'ego Morse'a w izolatce. Na wszelki wypadek — zaproponował Neef.

— Podejrzewamy, że może mieć w organizmie niewidzialny czynnik rakotwórczy, który spowodował u niego chorobę? — zapytał Lennon.

— Bo nie mamy lepszego wytłumaczenia — odpowiedział Neef.

— Zgadzam się z tym — odezwał się Fielding. — Nie możemy ryzykować.

— Cokolwiek to jest dodał Neef.

— I w tym tkwi sedno — podsumował MacSween — że nie mamy pojęcia, prawda? Ciska, która zapadła w sali, była tego wymownym świadectwem.

— Jestem pewien, że wkrótce zgłębimy tę tajemnicę — przerwał milczenie Lennon.
— Nie wolno się poddawać.

Neef pokiwał głową bardziej z nadzieją, niż z przekonaniem. Frank MacSween uparcie wpatrywał się w podłogę.

— Co mam powiedzieć prasie? — spytał Lennon.

— Chyba będzie pan musiał zwodzić ich, jak długo się da — podsunął Neef.
— Udzielać wymijających odpowiedzi.

— Pewnie tak... — zgodził się z nim Lennon. — Życzyłbym sobie, żeby nastąpił jakiś przełom w sprawie, zanim uczepią się tego tematu.

— A spodziewa się pan, że taki przełom może nastąpić? — zainteresował się Fielding.

Lennon zastanowił się.

— Załóżmy, że to, co mówił doktor MacSween okazałoby się prawdą. Że to on lub Charles Morse zarazili dziecko substancją rakotwórczą, którą zostali skażeni, bo znajdowała się w ciałach Melanie Simpson i Jane Lees. Wówczas, po bardziej wnikliwych badaniach i analizach powinniśmy być w stanie znaleźć tę substancję, prawda? Czy odbył się już pogrzeb Jane Lees?

— Nie — odrzekł MacSween. — Jej ciało wciąż leży w kostnicy.

— To dobrze. — Lennon był zadowolony. — A Charles Morse jeszcze żyje, rzecz jasna. Więc mamy dwie szanse na zidentyfikowanie tego czynnika rakotwórczego. Zorganizuję zespół specjalistów z zakresu medycyny sądowej, żeby panu pomogli, doktorze. Zjawią się tu jutro. Proponuję, żebyśmy znów spotkali się w piątek.

— Będziemy musieli zawiadomić Szpital Uniwersytecki — uprzedził Neef. — To tam leżą Charlie'ego Morse'a.

— Oczywiście — zgodził się Lennon. — Musimy nawiązać ścisłą współpracę. Skontaktuję się z nimi, jak tylko zakończymy nasze spotkanie. A na następne ze branie powinniśmy zaprosić szersze grono zainteresowanych z obu szpitali.



Kiedy Neef wrócił na oddział zastał w dyżurce Kate Morse. Zaskoczyło go to, nie miała bowiem na sobie uniformu i siedziała za biurkiem.

Początkowo chciał powiedzieć jej to, co zwykle się mówić w takich sytuacjach, ale zrezygnował. Za dobrze znał Kate. Oboje wiedzieli, że nie powinno jej tu być, więc rozmowa na ten temat okazała się zbędna. Rozumieli się bez słów.

— Cześć, Kate — powiedział po prostu. — Chcesz pogadać?

Skinęła głową z lekkim uśmiechem.

— Wydawałoby się, że z racji mojego doświadczenia zawodowego powinnam znosić to lepiej. Ale tak nie jest. Wcale sobie nie radzę.

— Wszystko wygląda inaczej, kiedy zaczyna dotyczyć nas samych — pocieszył ją Neef.

— W jednej chwili wszystko potrafi się zmienić. Życie toczy się normalnie, jak co dzień. Nagle Charlie trafia do szpitala i jest umierający. Nie byłam na to przygotowana. I nadal nie jestem. — Kate potarła dłonią czoło, jakby próbując uporządkować myśli. — Najgorsze jest to, że nie potrafię tego zrozumieć. W porządku, wiem, że rak może pojawić się u każdego w dowolnej chwili, ale coś mi mówi, że w wypadku Charlie'ego tak nie jest. To coś więcej, coś się za tym kryje. Fakt, że ma te same objawy, co Melanie Simpson i Jane Lees sugeruje, że... nabawił się tego od nich? — Kate spojrzała na Neefa z takim wyrazem twarzy, jakby nagle odkryła coś, co przedtem nie przyszło jej do głowy. — Wiem, że to niemożliwe, ale się boję. Powiedz, że to niemożliwe...

— Rozważaliśmy to. Rakotwórcza substancja mogła pozostać w ciałach Melanie i Jane, zapewne w płucach, po autopsji i Charlie uległ skażeniu pracując w laboratorium.

— Rozumiem... — odrzekła Kate.

— Umieszczą Charlie'ego w izolatce i przeprowadzą szczegółowe analizy próbek pobranych z ciała Jane Lees.

— Jak długo to potrwa?

— Przyślą tu pomoc. W piątek powinniśmy coś wiedzieć. Mamy się znów spotkać.

Kate skinęła głową.

— Ale Charlie'emu nic już nie pomoże — powiedziała w zamyśleniu.

— Niestety, obawiam się, że nie — odparł Neef. — Nie wiem, czy ci wiadomo, że Charlie nie jest jedynym, który nabawił się tego „z drugiej ręki”.

— Co masz na myśli?

— Drugim przypadkiem był wnuczek Franka MacSweena.

— Nigel? O nie!

— Zmarł w czasie ostatniego weekendu.

— Och, Mike... — westchnęła Kate. — Boże, jakie to straszne. Co się dzieje?!

— Sam chciałbym to wiedzieć.

Neef zdjął z półki nad zlewem słoik, napełnił kawą pojemnik ekspresu, nalał do dzbanka wody i włączył go do prądu.

— Widzę, że u Neila skończyła się remisja — Kate spojrzała na leżącą przed nią kartę choroby.

— Niestety.

— Bardzo mi przykro. Masz do niego szczególny stosunek. — Neef nie zaprzeczył.

— I u pacjentów poddanych terapii genowej też nie następuje poprawa.

— Z wyjątkiem Thomasa Downy — odrzekł Neef. — W jego wypadku wszystko idzie zadziwiająco dobrze. Nowotwór ciągle maleje.

— Czy to znaczy, że ta próba to sukces, czy porażka? — spytała Kate.

— Jeden pacjent na pięciu, to nie brzmi zachęcająco, ale lepsze to, niż nic. A przed tą kuracją szansę Thomasa były zerowe — odpowiedział Neef.

— A co sądzi o tym doktor Pereira? — dopytywała się Kate.

— Nie widziałem go od kilku dni. Zdaje się, że cały czas spędza w laboratorium, pracując nad nowymi wektorami wirusowymi.

— Poświęca się dla ciebie — stwierdziła Kate.

— Poświęca się dla siebie — sprostował Neef. — Chce być sławny i bogaty.

— Przynajmniej nie udaje, że jest inaczej. To świadczy na jego korzyść. A skoro robi coś dla dobra pacjentów, czy pobudki naprawdę mają znaczenie.

— Mówisz dokładnie to samo, co on, Kate — uśmiechnął się Neef.

— On stanowi jakąś odmianę na tle tradycyjnej brytyjskiej hipokryzji.

— Brzmi to tak, jakbyś miała na pieńku z władzą — zażartował Neef.

— Wczoraj wieczorem widziałam w telewizji naszego ministra zdrowia — po wiedziała Kate. — Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby politycy uczciwie stawiali sprawę, kiedy o czymś mówią. To ciągłe zaciemnianie prawdziwych motywów ich działań przez wygłaszanie górnolotnych haseł cholernie mnie drażni. Ciebie nie?

— Przestałem się nad tym zastanawiać — wyznał Neef. — Szkoda mi energii, by się złościć. To strata czasu. Obchodzi mnie mój oddział i to wszystko. Mój świat zaczyna się i kończy za tymi drzwiami. Tu są ci, którzy mnie obchodzą. — Neef wskazał ręką sale chorych dzieci.

— To niedobrze, Mike — stwierdziła Kate. — Powinien cię interesować świat na zewnątrz. Musisz się nim interesować.

— Nie jesteś jedyną osobą, która mi to w ostatnich czasach wytknęła.

— Niech zgadnę... Ewa Sayers?

Neef z uśmiechem skinął głową.

— Więc jesteście razem?

— Tak mi się zdaje.

— Tylko ci się zdaje? — zdziwiła się Kate.

— Jeszcze nie jestem pewien — usprawiedliwił się Neef. — Dużą rolę w naszych wzajemnych stosunkach odgrywa osoba Neila. Na razie trudno określić, jak dużą.

— Zmieniłam zdanie na temat panny Sayers — zwierzyła się Kate. — Wątpiłam w jej szczerze zaangażowanie, jeśli chodzi o Neila. Myliłam się jednak. Podobno nie przepuszcza żadnej okazji, żeby go odwiedzić, a on ją uwielbia.

— Bardzo się do niego przywiązała — przyznał Neef.

— Więc była głucha na wszelkie ostrzeżenia... — powiedziała wolno Kate.

— Do takiego dziecka jak Neil łatwo się przywiązać. To było do przewidzenia.

— A teraz ty zacznasz się czuć za to odpowiedzialny?

— Nie — zaprzeczył zdecydowanie Neef. — Zastanawiałem się nad tym, ale niczego nie żałuję. Im obojgu dobrze zrobiła ta znajomość.

— Pewnie masz rację — przyznała Kate.

— Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? — spytał Neef.

— Nie sądzę, Mike, ale dziękuję. Lepiej pójdę do domu. Zostawiłam dzieci z panią Redpath.

11

W ciągu tygodnia Max Pereira kilkakrotnie dzwonił na oddział i pytał o stan dzieci poddanych terapii genowej, ale zjawił się dopiero w piątek rano, wcześniej telefonicznie umówił się z Neefem i Fieldingiem. David Farro-Jones, który również interesował się małymi pacjentami też został zaproszony.

— Nie rozumiem tego — wyznał Max Pereira po obejrzeniu zdjęć i wyników testów biochemicznych. — Wszystko wygląda doskonale w wypadku nowotworu, który uważałem za najtrudniejszy przypadek, gdy tymczasem u pozostałych pacjentów nie widać żadnej poprawy.

— A na który najbardziej liczyłeś? — zapytał Neef.

— Na nowotwór Rebeki Daley — odparł Pereira bez najmniejszego wahania. — Gotów byłem postawić na to własny tyłek, że dopadniemy najpierw raka wątroby.

— Bo to najlepiej sprawdzony schemat u myszy i ludzi, co Max? — zauważył Farro-Jones.

Pereira spojrział na niego zaintrygowany.

— Teraz trzeba zadać sobie pytanie, jak długo będziemy ciągnąć tę terapię w wypadku czwórki dzieci, które jak dotychczas... nic z niej nie mają — odezwał się Neef.

— Uważam, że to nic nie da — orzekł Fielding. — Chyba lepiej dać sobie spokój, a raczej im dać spokój i przejść na antivulon. John Martin i inne dzieci dobrze znoszą ten lek. Okazał się o wiele mniej toksyczny od konwencjonalnych środków, dlatego czują się lepiej.

— Co o tym sądzisz, Davidzie? — zapytał Neef.

— Jestem zaszczycony, że chcesz poznać moje zdanie — odrzekł Farro-Jones. — Muszę powiedzieć, że zgodziłbym się z Lawrence'em. Gdyby terapia genowa okazała się skuteczna, mielibyśmy już oznaki poprawy u tej czwórki. A tymczasem... Przykro mi, Max.

— Mówisz to, co widzisz — Pereira wzruszył ramionami. — Nie mogę się z tobą nie zgodzić. Nie rozumiem dlaczego, ale przynajmniej Thomas coś z tego ma.

— Szkoda, że niepowodzenie w czterech przypadkach przyćmi sukces, jakim niewątpliwie jest postęp u Thomasa Downy — westchnął Neef.

- Niestety, on będzie uważany za odosobniony przypadek — stwierdził Farro-Jones.
- Statystycznie rzecz ujmując, to niedobrze.
- Chyba nie bardzo cię rozumiem — odezwał się Neef.
- Chodzi mi tylko o to, że w sytuacji, gdy zdarza się pozytywny wyjątek, nie sposób udowodnić skuteczności jakiejś terapii. Tu nie można stwierdzić, że to na pewno zasługa terapii genowej. Wiesz, jak na to patrzy środowisko lekarskie. Przeważająca będzie opinia, że to mógł być zbieg okoliczności. Pewnie na prawdziwy przełom przyjdzie nam jeszcze poczekać, Max.
- Pewnie tak — zgodził się Pereira.
- Wątpię, by rodziców Thomasa Downy zbyt obchodziła statystyka — od rzekł Neef. — Moim zdaniem, będą szczęśliwi, że u ich syna następuje poprawa. I słusznie, bo jest się z czego cieszyć. Nikt mnie nie przekona, że to zbieg okoliczności. Dokonała tego terapia genowa. Dobra robota, Max. Gratuluję.
- Dzięki, Mike. Lepiej już wróć do laboratorium. Mam kupę roboty.
- Wciąż gonisz za milionami, Max? — uśmiechnął się Farro-Jones.
- Mam nadzieję, że na nie zapracuję — odparł Pereira i odwrócił się do Neefa:
- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że wychodząc rzucę okiem na Thomasa Downy?
- Oczywiście, że nie — zapewnił go Neef. — Przecież to dzięki tobie nadal żyje.
- Gdy Pereira wyszedł z pokoju, Farro-Jones zapytał:
- Będziecie dziś na zebraniu z tymi guru z Wydziału Zdrowia?
- Owszem, przyjdziemy — odrzekł Neef.



Pereira stanął w nogach łóżka Thomasa Downy czekając, aż chłopiec zwróci na niego uwagę. Thomas dopasowywał do siebie fragmenty układanki. Pokrywka pudełka leżąca obok niego na łóżku wskazywała, że powstanie z nich obrazek przedstawiający zwierzęta przy wodopoju.

— Kim pan jest? — zapytał niepewnie Thomas, gdy wreszcie podniósł wzrok na nieoczekiwanego gościa. Pereira jak zwykle był w dżinsach i T-shircie. Przez ramię przesuwał skórzaną kurtkę, a w dłoni ścisnął beret.

- Nikim szczególnym, chłopcze. Chciałem tylko zobaczyć, jak się czujesz.
- Jest pan doktorem?
- Nie takim, jakiego zapewne masz na myśli.
- Czuję się bardzo dobrze, dziękuję panu — powiedział chłopiec wracając do swego zajęcia.

— Miło mi to słyszeć, mały — zapewnił go Pereira i wzruszył ramionami odwracając się w stronę drzwi. W progu stała pielęgniarka. — Śpij spokojnie, gdy czuwa anioł stróż — mruknął przechodząc obok niej.

Gdy wychodził z budynku, natknął się na schodach na wchodzącą właśnie Ewę Sayers. Uśmiechnął się przelotnie, jak zwykli to czynić ludzie, kiedy spotykają kogoś, kogo znają z widzenia. Ewa odwzajemniła uśmiech.

— Doktor Pereira? — zapytała.

— We własnej osobie.

— Czy mógłby mi pan poświęcić kilka minut?

— Przepraszam, ale chyba nie...

— Jestem Ewa Sayers.

— Oczywiście! — wykrzyknął Pereira. — Dziennikarka i przyjaciółka Michaela Neefa.

— Może napijemy się kawy?

— Dlaczego nie... — Pereira wzruszył ramionami.

Poszli razem do szpitalnego barku kawowego.

— Jak przebiega próba? — spytała Ewa, kiedy usiedli.

— Pyta pani jako dziennikarka?

Przecząco pokręciła głową.

— Mike i ja mamy umowę. Kiedy przychodzę na jego oddział, jestem wyłącznie osobą prywatną.

— To miłe, że wzajemnie sobie ufacie. Terapia pomogła jednemu dziecku. Innym nie za bardzo.

— Widzę, że jest pan zawiedziony.

— Spodziewałem się, że pomoże wszystkim, ale widocznie byłem zbyt dużym optymistą. To moja wada.

— Może jest jeszcze czas — powiedziała Ewa, bawiąc się łyżeczką leżącą na spodeczku.

Pereira przyjrzał się jej badawczo.

— Ma pani zamiar wreszcie przejść do rzeczy, panno Sayers?

Ewa z westchnieniem wzruszyła ramionami.

— Wiem, że nie powinnam tego mówić. Gdyby Michael się dowiedział, byłby na mnie wściekły. Ale kiedy pana zobaczyłam, czułam, że muszę o to zapytać sama.

— Zapytać o co?

Ewa spojrzała Pereirze prosto w oczy i wyrzuciła z siebie:

— Czy dla Neila Bensaona absolutnie nic nie można zrobić?

— To ten chłopiec z czerniakiem, tak? — Ewa przytaknęła. — Obecnie nic. Pracujemy dopiero nad wektorami dla tego typu nowotworów, ale nie jesteśmy jeszcze gotowi. Przykro mi.

— Przypuszczałam, że tak mi pan odpowie. Po prostu musiałam pana sama o to zapytać. Żeby się upewnić, że zrobiłam absolutnie wszystko, co mogłam.

— Neil Benson jest dla pani kimś szczególnym?

— Tak, to prawda.

— To przykre, co powiem, ale chyba ostrzegano panią, czego należy się spodziewać.

— O, tak — przyznała Ewa. — Ostrzegano mnie. — Otworzyła torebkę i zaczęła szukać chusteczki. — Michael mnie uprzedzał i siostra Morse... A teraz siedzę tu i becę jak uczennica... — Przycisnęła do oczu chusteczkę.

— Siostra Morse też ma w tej chwili powody do płaczu — zauważył Pereira.

— Nie rozumiem...

— Jej mąż jest umierający. Ma raka.

— Michael nic mi o tym nie wspominał. — Ewa wyglądała na kompletnie zaskoczoną. — To dziwne... — mruknęła po chwili.

We wzroku Pereiry pojawił się niepokój. Dopiero teraz przypomniał sobie, że Neef prosił go, by nikomu nie mówić ani słowa o przypadku Charlie'ego Morse'a.



Neef nie spodziewał się, że wieczorne piątkowe zebranie odbędzie się w tak licznym gronie. Kiedy wszedł do sali wykładowej, w środku siedziało już około dwudziestu osób, ale nigdzie nie zauważył Lennona. Skinął głową Timowi Heatonowi oraz Frankowi MacSweenowi i minawszy siedzących w małych grupkach ludzi, zajął wolne miejsce. Po chwili dołączył do niego David Farro-Jones i szepnął mu do ucha:

— Podobno nie mają nic nowego. Nie posunęli się ani o krok.

— Kim są ci wszyscy ludzie? — spytał Neef.

— Głównie to zamiejscowi naukowcy. Przypuszczam, że jest również ktoś z Ministerstwa Zdrowia.

— O! To poważna sprawa! — wykrzyknął Neef.

— Na to wygląda. Chyba wszyscy czekamy na pocziwego doktora Lennona... — Farro-Jones spojrział na zegarek. — Spóźnia się już piętnaście minut. Miejmy nadzieję, że może coś odkrył. Później pogadamy.

Zostawił Neefa samego i wrócił do grupki lekarzy ze Szpitala Uniwersyteckiego, z którymi przyszedł. Neef rozpoznał wśród nich tego, który leczył Charlie'ego Morse'a, doktora Marka Clellanda. Skinął mu głową. Do Neefa przysiadł się teraz Frank MacSween żywo dyskutujący z Eddie'em Millerem. Nagle ktoś oznajmił:

— Przyjechał Lennon!

Rzeczywiście w kilka chwil później do sali wkroczył oczekiwany przez wszystkich epidemiolog. Wyglądał na przygnębionego. Zrzucił płaszcz i poprosił, by wszyscy usiedli.

— Panie i panowie — oznajmił. — Zatrzymała mnie prasa. Prawda wyszła na jaw. Mają już tę historię. Ewa Sayers czekała na mnie, kiedy popołudniu wróciłem do biura.

Neef poczuł zakłopotanie. Miał ochotę zapewnić zebranych na sali, że nie ma nic wspólnego z przeciekami do prasy. Czuł na sobie podejrzliwe spojrzenie Franka MacSweena.

— Panna Sayers wie, że trzecią ofiarą rakotwórczego czynnika jest Charles Morse. Nie widziałem powodu, by temu zaprzeczać. To nie miałyby sensu. Przyznałem wprost, że w rzeczywistości były już cztery przypadki zachorowań. Powiedziałem jej o tym małym dziecku. Musiałem też wyjawić, że nasze wysiłki zmierzające do znalezienia źródła raka spełzły na niczym.

Przez salę przebiegł pomruk niezadowolenia.

— Niestety, taka jest prawda — wyznał Lennon. — Zespołowi specjalistów od patologii nie udało się znaleźć żadnego śladu mogącego powiedzieć nam cokolwiek o naturze tego rakotwórczego czynnika. W rezultacie, potwierdzili oni tylko wcześniejsze ustalenia pracowni doktora MacSweena.

— Słaba pociecha — mruknął MacSween.

— Powstaje pytanie, co dalej? — powiedział Lennon.

— Chyba wszyscy mieliśmy nadzieję, że pan nam to powie — odezwał się Tim Heaton. — Zła prasa bardzo nam zaszkodzi.

— Miałem na myśli raka — odparł Lennon.

— No... oczywiście — Heaton wydawał się zbity z tropu tą uwagą. — Ale jeśli ta cholerna baba rozdmucha tę historię, jak to oni potrafią, ludzie mogą wpaść w panikę. Uważam, że nasi spece od kontaktów z prasą powinni przygotować jakieś uspokajające komunikaty.

— Jak możemy uspokajać ludzi, skoro sami nie wiemy, z czym mamy do czynienia — wtrącił się Neef wściekły na Heatona za „tę cholerną babę”.

— Nie o to chodzi — odparł Heaton, ale zamilkł czując, że wszyscy obecni uważają akurat odwrotnie.

Głos zabrał Lennon.

— Przygotowałem uaktualnione podsumowanie faktów. Jeśli ktoś zechciałby mi pomóc przy projektorze...

Sprawę wziął w swoje ręce jeden z laborantów MacSweena. Ustawił aparat i zajął się połączeniami elektrycznymi. Lennon umieścił w rzutniku pierwszy diapozytyw i wziął do ręki wskaźnik.

— Nasz pierwszy przypadek to Melanie Simpson. Trzynastoletnia uczennica szkoły średniej Longhill. Przyjęto ją do Szpitala Uniwersyteckiego z ciężkim, obustronnym zapaleniem płuc. Resztę znacie.

Lennon zmienił diapozytyw, ale początkowo umieścił go do góry nogami, więc pośpiesznie odwrócił go tak, by obraz był prawidłowy.

— Nasz drugi przypadek to Jane Lees, również trzynastoletnia uczennica szkoły średniej, tym razem Forest Green. Mieszkała przy Polton Court, czyli, jak za chwilę sami się przekonacie... — Lennon zaprezentował następny diapozytyw przedstawiający ręcznie odrysowaną mapkę — ...dość daleko od domu Melanie na Langholm Crescent. Nie udało się nam znaleźć terenu, na którym mogłyby się krzyżować drogi obu dziewczynek, nie byliśmy zatem w stanie określić miejsca, gdzie prawdopodobnie natknęły się na czynnik rakotwórczy.

— Nasz trzeci przypadek to oczywiście Charles Morse, główny laborant w pracowni patologii tutejszego szpitala, a więc św. Jerzego. Dzięki Bogu, jeszcze żyje. A czwarty przypadek to Nigel Barnes, wnuk doktora MacSweena, patologa tutejszego szpitala. To malutkie dziecko zmarło w czasie ostatniego weekendu. Przyjeliśmy założenie, że dwa ostatnie przypadki to wtórne ofiary raka, a chorobę spowodowały pozostałości czynnika rakotwórczego znajdującego się wciąż w płucach obu dziewczynek podczas badań patologicznych. Jednakże rozległe badania płuc nie potwierdziły tego. Nasuwa się więc pytanie, jak można ulec skażeniu substancją, której nie ma?

— Czy poszukiwania ograniczyły się do próbek pobranych z ciała Jane Lees, czy też pobrano je również od Charlie'ego Morse'a? — zapytał Neef.

— Za pomocą bronchoskopu pobraliśmy próbki również od pana Morse'a — odrzekł Lennon.

— Nie znaleźliście niczego?

— Niestety, nie. — W sali zaległa cisza. — Przygotowałem kopie wyników badań patologicznych zawierające wszystkie szczegóły, gdyby ktoś z państwa chciał się z nimi bliżej zapoznać. — Lennon podniósł do góry plik dokumentów w przezroczystych plastikowych okładkach. — Proszę to sobie wziąć przy wyjściu.

— A zatem, mamy do czynienia z niewidzialnym, niewykrywalnym czynnikiem rakotwórczym, z którym nikt się dotychczas nie spotkał, czy tak? — zapytał Alan Brooks, dziekan wydziału medycyny na uniwersytecie.

— Najkrócej mówiąc, tak — przyznał Lennon. — Chyba, że ktoś ma lepszy pomysł.

— Nie — odezwał się Neef. — Ale jestem przekonany, że taki istnieje.

— Zgadzam się z tym — powiedział Brooks. — Pewnie mamy go przed nosem, tylko że w lesie wszystkie drzewa wydają się nam jednakowe.

— Więc jak ktoś zobaczy inne, niech da mi znać — skwitował Lennon, ale niewiele osób się roześmiało.

Gdy zebranie dobiegło końca, Neef postanowił dowiedzieć się, jak Ewa odkryła, że Charlie Morse ma raka. Czyżby rozpytywała ludzi na oddziale przy okazji odwiedzin u Neila? Grzebała w jego papierach, kiedy tego nie widział? Neef oparł łokcie na biurku i wsparł głowę na dłoniach. Obawiał się, że zbyt ponosi go wyobraźnia.

Prawda była taka, że wciąż prześladowały go oskarżycielskie spojrzenia niektórych osób, które zauważył podczas zebrania, gdy Lennon ujawnił, iż prasa o wszystkim już wie. Ewa zawarła z nim umowę, że przebywając na oddziale nie będzie „w pracy”. Nie miał powodu, by jej nie ufać.

Na pewno?

Czuł, że musi ją zapytać. Musiał wiedzieć, być pewien. Wykręcił jej numer domowy i po chwili oczekiwania już miał odłożyć słuchawkę, gdy usłyszał:

— Ewa Sayers.

— Cześć, Ewo. Tu Michael. Już myślałem, że cię nie ma.

— Brałam prysznic — wyjaśniła Ewa.

— Właśnie miałem zebranie z udziałem ludzi z Wydziału Zdrowia. Powiedzieli, że dowiedziałaś się o Charlie'm Morse i zamierzasz opublikować tę historię.

— Zgadza, się.

Neef poczuł, jak coś ściska go za gardło. A więc ich drogi miały się rozejść. Usłyszał to w głosie Ewy.

— Mieliśmy umowę — przypomniał. — Obiecałaś, że wszystko, co usłyszysz na oddziale lub od personelu będziesz traktowała jako rzeczy poufne.

— Nadal mamy umowę — odrzekła Ewa.

— Jak się dowiedziałaś?

— Nie widzę potrzeby mówienia ci o tym. Przecież to nie wyszło od ciebie, prawda? Skłamałaś na temat śmierci Nigela. Doskonale wiedziałaś, dlaczego umarł, kiedy cię o to zapytałam.

— Byłem w trudnej sytuacji — zaczął niezgrabnie tłumaczyć Neef. — Nie chciałem, żebyś i ty się w takiej znalazła.

— Doprawdy? No cóż... Bardzo dziękuję, choć nie ma za co.

— Więc mi nie powiesz?

W słuchawce zapanowała długa cisza, po czym Ewa westchnęła i powiedziała:

— Prawda jest taka, że sama do tego doszłam. Maxowi Pereirze wymknęło się, że Charles Morse umiera na raka, więc zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej. Dodałam dwa do dwóch i sprawdziłam moją hipotezę u doktora Lennona. Powiedziałam mu, że wiem, iż trzecim przypadkiem jest Charles Morse, a on to potwierdził. Wyjawiał mi również, że był czwarty przypadek, czyli wnuczek Franka, Nigel.

— Max Pereira powiedział ci, że Charlie ma raka? — zdziwił się Neef. — Nie wiedziałem, że się znacie.

— Znaliśmy się trochę z widzenia. Dziś po południu zaprosiłam go na kawę.

— Żeby wyciągnąć od niego informacje.

— Nie, do cholery! — wykrzyknęła Ewa. — Nie po to! Jeśli już musisz wiedzieć, to chciałam go zapytać, czy byłby w stanie zrobić cokolwiek dla Neila. Czułam się zrozpaczona. Byłam gotowa błagać go na kolanach, jeśli chcesz wiedzieć. Podczas rozmowy jakoś tak przypadkowo padło zdanie, że mąż Kate Morse ma raka i nagle uświadomiłam sobie, dlaczego mi o tym nie powiedziałeś. Nie ufałeś mi na tyle, żeby...

— Nie chciałem stawiać cię w trudnym położeniu — powtórzył Neef.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jaki jesteś pompatyczny? — zapytała Ewa.

— Uważam, że to, co zrobiłeś było wbrew naszej umowie — oświadczył Neef.

— Gdybyście wszyscy wkładali tyle wysiłku w szukanie tego cholernego źródła raka, ile wkładacie w utrzymanie tej całej sprawy w tajemnicy, to może już byśmy wiedzieli, co się, u diabła, dzieje! — wyrzuciła z siebie Ewa i trzasnęła słuchawką.

Neef wolno odłożył słuchawkę i wyciągnął się w fotelu. Zamknął oczy żałując, że w ogóle dzwonił do Ewy. Próbował sobie wytłumaczyć, że miał pełne prawo być oburzony, ale niewielką mu to dało pociechę. W duchu przyznawał nawet Ewie rację, że sprawę próbuje się wyciszyć. Uchylenie się od ujawniania prawdy czy unikanie rozgłosu to typowy sposób postępowania w brytyjskim społeczeństwie i nie miał wątpliwości, że jest on często wykorzystywany, aby ukryć własną niekompetencję. Przynajmniej połowa kopert trafiających na jego biurko miała nadruk „Ścisłe poufne”, gdy w rzeczywistości nie było ku temu powodu. Po prostu ludzie kierujący służbą zdrowia uważali, że im mniej osób wie, jak jest prowadzony ten resort, tym lepiej.

Ale przecież pozostawienie w spokoju ludzi z Wydziału Zdrowia prowadzących dochodzenie i pozwolenie im, aby wykonywali swe czynności poza zasięgiem kamer i reflektorów to chyba zupełnie co innego. Czyż nie? Neef nie potrafił zająć w tej sprawie jednoznacznego stanowiska. Na razie śledztwo tkwiło w martwym punkcie i nic nie wskazywało na to, by najbliższa przyszłość miała coś zmienić. Zebrał z biurka różne drobiazgi i wrzucił je do teczki wraz z kopią wyników badań patologicznych, którą wziął wychodząc z zebrania. Zamierzał przeczytać ją później. Czuł się kompletnie rozbity. Chciał jak najszybciej pojechać do domu, zwierzyć się Dolly ze swoich kłopotów, wypić kilka whisky i wcześniej pójść spać.



Neef trwał w swym postanowieniu, dopóki nie podszedł do samochodu. Gdy zasiadł za kierownicą, zmienił zamiar. Nie dawało mu spokoju jedno zdanie Ewy, które padło podczas ich rozmowy przez telefon. A mianowicie, jej twierdzenie, że sama doszła do tego, że Charlie Morse jest trzecią ofiarą raka. Czy było tak w istocie, czy może kryła Maxa Pereirę? Istniała szansa, że Pereira jest jeszcze w laboratorium Menogenu. Mógłby tam zajrzeć, jadąc do domu i pogadać z nim. Neef otworzył teczkę leżącą na

siedzeniu pasażera i zaczął przerzucać papiery w poszukiwaniu czegoś z nagłówkiem Menogenu. W końcu znalazł adres firmy. Menogen Research miała swą siedzibę przy Langholm Road 14.

Neef zaparkował samochód w bocznej uliczce odchodzącej od Langholm Road, w odległości około dwustu jardów od budynku Menogenu. Zabrał z siedzenia teczkę, zamknął land rovera i ruszył przed siebie. Niską, nowoczesną budowlę otaczała drucziana siatka, a jedyne oznakowanie firmy stanowiła wisząca na niej zielona tablica z napisem: MENOGEN RESEARCH. Te same słowa widniały na mosiężnej tabliczce umieszczonej na ścianie obok domofonu. W budynku paliło się światło. Neef nacisnął dzwonek i czekał. Musiał zrobić to powtórnie, zanim usłyszał znajomy głos Pereiry dochodzący z głośnika:

— Tak?

— Max, tu Michael Neef.

— Tak?

— Mogę wejść?

Elektronicznie sterowany zamek odblokował wejście i Neef wkroczył do przedsionka, gdzie zastał następną zamkniętą drzwi. Głos Pereiry płynący tym razem z głośnika w suficie poinformował go, że ma stanąć na zagłębionej w podłodze płycie ze środkiem dezynfekującym, by odkazić buty. Neef wykonał polecenie, drzwi otworzyły się i wszedł do niewielkiej przebieralni.

— Włóż fartuch i gumowce, Mike — usłyszał znów Pereirę. — Taki jest przepis. Jestem w pracowni numer pięć.

Neef zostawił w szatni buty i płaszcz, włożył białe, wysokie gumowce i zielony fartuch, wziął do ręki teczkę i ruszył korytarzem do pracowni numer pięć. Gdy ją znalazł, zapukał i wszedł do środka. Pereira siedział na stołku przed przezroczystą komorą wyposażoną w filtry przepływu powietrza. Właśnie wstrzykiwał różowy płyn do buteleczki z podłożem komórkowym.

— Za momencik skończę — odezwał się zza maski chirurgicznej.

Neef rozejrzał się po półkach pełnych przeróżnych probówek i buteleczek. Pracownia nie różniła się od innych, tyle że była bardzo nowoczesna i czysta.

Pereira wrzucił zużytą strzykawkę do specjalnego pojemnika i ściągnął rękawiczki. Nacisnął nogą pedał kosza na śmieci i cisnął je tam wystudowanym gestem.

— Czym mogę ci służyć, Mike? — zapytał, gdy opuścił maskę.

— Prasa już wie o trzecim przypadku nowotworu wywołanego działaniem tajemniczego czynnika rakotwórczego i że pacjentem jest Charlie Morse. Ewa Sayers zamierza opublikować tę informację.

— Ach tak... — Pereira spuścił wzrok udając, że ogląda własne stopy.

Neef uznał to za przyznanie się do winy.

— Przecież prosiłem cię, żebyś nikomu o tym nie mówił, Max. To było tylko do twojej wiadomości.

— Przepraszam cię, Mike. Spotkałem Ewę dziś po południu i wymknęło mi się, że Charlie Morse ma raka. Nie zastanowiłem się, co mówię. Tak było, przysięgam. Resztę musiała sobie dośpiewać. Wspomniała, że to dziwne, że jej nie powiedziałaś. Podobno macie jakąś umowę, że będziecie wobec siebie szczerzy.

Neef uśmiechnął się kwaśno, słysząc tę uwagę Pereiry. Potem westchnął i wyrecytował:

— Ach, jak splątana tkamy sieć, kiedy kłamiemy pierwszy raz...

— To Szekspir, nie?

— Nie. Walter Scott.

— Przepraszam, jeśli to moja wina — powiedział Pereira. — Nie zrobiłem tego umyślnie.

Neef znów westchnął.

— Nie twoja wina... Gdybym to ja jej powiedział prawdopodobnie nie wykorzystaby tego, mając na względzie warunki naszej umowy. A naprawdę mamy już cztery przypadki. Ludzie ze służby zdrowia nie kryli tego przed nią.

— Cztery?! — wykrzyknął Pereira. — I ci faceci wciąż nie mogą wpaść na trop tego świństwa?!

Neef przecząco pokręcił głową.

— Jest niewidzialne i niewykrywalne.

— Nie wierzę — odparł Pereira.

— Ja też nie — Neef wzruszył ramionami.

— Przecież coś musi łączyć te cztery przypadki, na litość Boską!

Neef otworzył teczkę i wyciągnął kopię wyników badań przygotowaną przez Lennona.

— Spójrz na to. Może coś zauważysz.

Pereira włożył na nos okulary bez oprawki, które miał zatknięte za T-shirt. Oparł łokcie o pulpit stołu i zaczął czytać.

— Jezu! — powiedział, kiedy skończył. — Wy cały czas szukacie jakiegoś środka chemicznego?!

— O co ci chodzi? — zdziwił się Neef.

— O to, że szukacie nie tego, co trzeba.

— Co masz na myśli? — Neef zauważył, że Pereira jest przerażony.

— To przecież jasne jak słońce! To wirus! Powinniście szukać pieprzonego wirusa!

Neefowi nie trafiło to do przekonania. Myślał racjonalnie i nie był skłonny uwierzyć w tę rewelację, choć stwierdzenie Pereiry zaintrygowało go.

— Wirusy nie powodują raka — odparł. — Nie można go złapać, bo nie jest chorobą, przenoszoną z jednej osoby na drugą.

— Teraz już jest — wyjaśnił Pereira. — Szukajcie wirusa, człowieku! To on jest winien i macie go przed nosem. Tu wszystko jest. Wniosek MacSweena, że to obustronne zapalenie płuc w obu wypadkach, kiedy przeprowadzał sekcję...

— Ja uważałem, że to odpowiedź immunologiczna na raka — powiedział Neef.

— Myliłeś się, Mike. To po trosze jedno i drugie.

Teraz Neef poczuł się zaniepokojony. Patrząc na Pereirę przypomniał sobie jak niechętnie Frank MacSween zrezygnował z teorii obustronnego zapalenia płuc, i jego ostateczną diagnozę, że to zarówno pneumonia, jak i rak.

— Ale przecież nie ma takiego wirusa — powiedział.

— Nie ma znanego wirusa — poprawił go Pereira. — Ten jest nowy.

— Wirus powodujący raka płuc... — Neef wymówił te słowa tak wolno, jakby sprawiały mu ból. — Musisz się mylić — szepnął. — To niemożliwe.

— Spójrz na to z jaśniejszej strony — zachęcił go Pereira. — To nie jest choroba zakaźna, której łatwo się nabawić, bo inaczej byłoby o wiele więcej przypadków. Moim zdaniem, trzeba się nawdychać sporej ilości cząsteczek wirusa, by zachorować. Być może, odgrywa tu również rolę indywidualna odporność organizmu.

— Ale wirusolodzy szukali u Melanie Simpson i Jane Lees wirusów zarówno przed ich śmiercią, jak i po. Nie znaleźli żadnego nowego wirusa.

— Bo nie szukali nowego wirusa — odparł na to Pereira. — Oni szukali przeciwciał wytworzonych na skutek obecności w organizmie znanych wirusów. Na tym polega praca w dziedzinie wirusologii diagnostycznej.

— Ale ty byś...

— Niekoniecznie — przerwał Pereira. — Ludzie, nawet doświadczeni naukowcy, niechętnie zauważają nowe rzeczy, choć często mają je przed oczami. Nieznane choroby mogą występować przez kilka lat, zanim laboratoria zaczną w końcu wymieniać spostrzeżenia i ktoś wreszcie przyzna, że kiedyś doszedł do jakichś wyników badań, których nie potrafił wytłumaczyć. Potem ktoś inny powie to samo i sprawa ruszy z miejsca dopiero wtedy.

— Ale skąd mógł się wziąć ten nowy wirus? — zapytał Neef.

— Nowe wirusy powstają przez cały czas, Mike. Przecież o tym wiesz. AIDS, gorączka Lassa, choroba marburska, Ebola. Bez przerwy wyskakuje coś nowego.

— Myślałem, że jest inaczej. Według znanej mi teorii one nie są nowe. Istniały zawsze w niedostępnych rejonach afrykańskiej dżungli. Ale wraz z rozwojem nowoczesnego transportu i otwieraniem się tych dzikich zakątków na świat przeniknęły do cywilizacji powodując epidemie.

— To tylko jedna z teorii — powiedział znacząco Pereira. — Są również inne. Jedno jest pewne.

— A mianowicie?

— W naszym wypadku nie możemy winić starej Afryki.

— Muszę to przemyśleć, Max. Nie mogę tak po prostu wygłosić twojej teorii na rutynowym zebraniu. Skoro już wcześniej obawialiśmy się paniki, to teraz może być tysiąc razy gorzej.

— Wprawdzie to tylko teoria, ale postawiłbym na nią całe pieniądze, jakie mam — zapewnił Pereira. — Warto by umieścić Charlie'ego Morse'a w izolatce.

— Już to zrobiono — poinformował go Neef. — Choć nie z tego powodu. Nie zechciałbyś wstąpić do drużyny, że się tak wyrażę? Myślę, że ludziom z Wydziału Zdrowia przydałaby się taka pomoc.

Pereira wzruszył ramionami.

— Nie sądzę, bym został przyjęty z otwartymi rękami. Ale jeśli będziecie chcieli o coś spytać, zawsze jestem do dyspozycji.

— Dlaczego stawiasz sprawę w ten sposób?

— Powiedzmy, że moje wcześniejsze doświadczenia wyniesione z kontaktów z brytyjskim środowiskiem medycznym nie były zbyt... pozytywne. Moja gęba tu nie pasuje.

— To musi ci utrudniać życie — zauważył Neef.

— Żebyś wiedział — zgodził się Pereira. — Nazwijmy to tak: Menogenu nikt tu nie rozpieszcza. Wszystko, co robimy musi być jak z książki. Dwa razy sprawdzone, zgłoszone, zarejestrowane, zatwierdzone i diabli wiedzą, co jeszcze. Wielu ludziom byłoby na rękę, żeby ta firma padła. Jedna z naszych sekretarek jest na całym etacie tylko po to, żeby wciąż pilnować, czy mamy w porządku wszystkie papiery. Odwiedza nas więcej kontroli co rok, niż którąkolwiek z waszych pracowni uniwersyteckich w ciągu dekady. I niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdybyśmy potknęli się z powodu nieprzestrzegania procedur bezpieczeństwa.

Neef pokiwał głową, a Pereira ciągnął:

— A jednocześnie obaj dobrze wiemy, że mógłbym bez trudu wejść chyba do każdej pracowni wirusologicznej w kraju i wynieść, co tylko bym chciał. No, może z wyjątkiem Birmingham, gdzie kilka lat temu zginął koń.

— Więc uważasz, że dzieje się wam krzywda — stwierdził Neef.

— Wręcz przeciwnie — zaprzeczył Pereira. — To jest słuszne. Ale niech dotyczy również instytutów akademickich. Tamci faceci robią, co im się żywnie podoba i nikt nie mówi. Niech ktoś tylko wspomni o zasadach i przepisach, a zaraz zaczynają wymachiwać rękami i wrzeszczeć o naruszaniu swobód akademickich. Gówno prawda! Ale zawsze się im udaje.

- Mogę cię zapytać, nad czym teraz pracujesz?
- Nad nowym wektorem. Myślę, że powinien być skuteczny w walce z czerniakiem. Próbuję również ustalić, dlaczego nie sprawdziły się te, których użyliśmy do leczenia czwórki dzieci na twoim oddziale. Wciąż tego nie rozumiem.
- Słowo „czerniak” natychmiast przykuło uwagę Neefa.
- Liczysz na to, że twój nowy wektor pomoże Neilowi Bensonowi?
- To właśnie chciała wiedzieć Ewa, kiedy zaczęła mnie dziś po południu — wyjaśnił Pereira. — Ja to dopiero opracowuję. Jeszcze nie mam zezwolenia.
- Ale czy to zadziała?
- Uważam, że są duże szanse.
- Neil umrze w ciągu miesiąca — powiedział Neef.
- Mam nadzieję, że nie prosisz mnie o to, co podejrzewam — odparł Pereira.
- Chyba nie po tym, co ci przed chwilą powiedziałem?
- Chyba nie. Tylko szkoda by było, gdyby... Kiedy mógłbyś otrzymać zezwolenie na wdrożenie tego wektora?
- To zupełna nowość — wyjaśnił cierpliwie Pereira.
- Więc nie ma szans na przyspieszenie procedury licencyjnej?
- Przyspieszenie?! Chyba żartujesz! To Menogen, zapomniałeś? Podejrzana firma nastawiona na zysk. Ci, od których wszystko zależy podwyższają nam poprzeczkę, a nie odwrotnie.
- Boże! Jakie to straszne uczucie wiedzieć, że istnieje coś, co mogłoby pomóc temu dziecku i być bez ruchu — westchnął Neef.
- To jeszcze nic pewnego, Mike — powiedział łagodnym tonem Pereira. — Mówiłem ci, że postawiłbym wszystkie pieniądze na to, że uda się pomóc dziecku z rakiem wątroby, a tymczasem nie wypaliło.
- Dzięki Max — odparł z westchnieniem Neef. — Lepiej już pójdę. Nie będę odrywał cię od pracy.
- Odprowadzę cię do drzwi.



Przechodząc przez ulicę Neef obejrzał się na budynek Menogenu. W oknie zobaczył sylwetkę Pereiry. Max z powrotem zakładał strój ochronny, by powrócić do przerwanej pracy.

Dwa dziny z tonikiem nie uspokoiły Neefa. Trudno mu było przestać myśleć o teorii Pereiry na temat wirusa. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wydawało mu się to prawdopodobne. Miał ochotę zadzwonić do Lennona, gdyby mógł gdzieś zdobyć jego domowy numer telefonu. Ale co by to pomogło. Charlie Morse przebywał już

w izolatce i był jedynym żyjącym pacjentem. Nie mogli podjąć żadnych innych kroków, poza szukaniem wirusa. Zamierzał zajrzeć rano do szpitalnego laboratorium i dowiedzieć się, czy u Melanie Simpson i Jane Lees nie stwierdzono niczego niezwykłego. Przypomniał sobie, że Frank MacSween powiedział mu w pewnym momencie, iż widział raport na temat Melanie. Według słów Franka wirusolodzy nie zamieścili w nim niczego nadzwyczajnego, ale Neef chciał sam rzucić na to okiem.

Kiedy tylko Neef zjawił się w pracy, szedł do pracowni patologicznej, by odszukać Franka MacSweena. Znalazł go przygotowującego się do przeprowadzenia pierwszej tego dnia sekcji zwłok.

— Dzień dobry — powitał go patolog. — Czym mogę ci służyć?

Neef nie mógł oprzeć się wrażeniu, że od śmierci wnuka Frank bardzo się zmienił. Był tak obojętny, jakby niewiele go już obchodziło. Stracił zapał do wszystkiego.

— Jestem ciekaw, czy masz jeszcze raport wirusologiczny dotyczący Melanie Simpson — powiedział Neef. — Chciałbym na niego spojrzeć.

— Powiniennem mieć — odrzekł MacSween. Przeszedł do biura i otworzył szafkę z dokumentami. Wyciągnął z niej różową, tekturową teczkę i odnalazł pojedynczą kartkę. Wręczył ją Neefowi.

— Mogę to na trochę wypożyczyć? — zapytał Neef.

— Proszę bardzo — odparł MacSween. Nie zainteresował się nawet, po co Neefowi raport. Neef też nie kwapił się z wyjaśnieniami. Chciał odezwać się do Franka po przyjacielsku, ale nie wiedział, jak zacząć. Spróbował jednak.

— Frank...

— Mhm...

Oczy MacSweena były bez wyrazu. Tępo patrzyły gdzieś w przestrzeń.

— Nie, nic... Zobaczymy się później.

Neef wrócił do swojego gabinetu i przeczytał raport. W płucach Melanie Simpson znaleziono trzy wirusy. Adenowirus, rinowirus i paraadenowirus. Żaden z nich nie występował w takich ilościach, by spowodować infekcję. Po prostu stwierdzono ich obecność, to wszystko. Nie było żadnej wzmianki o jakimś nie zidentyfikowanym wirusie. Neef nie potrzebował zaglądać do podręcznika o wirusach. Adenowirusy i rinowirusy są bardzo pospolite. Wywołują katar i dolegliwości grypopodobne, ale wiele osób jest ich nosicielami i nie występują u nich żadne objawy choroby. Neef nie dostrzegł w raporcie niczego, co mogłoby poprzeć teorię Pereiry o pojawieniu się nowego wirusa, a jednak nie dawała mu ona spokoju. Postanowił zadzwonić do Davida Farro-Jonesa, którego uważał za eksperta w takich sprawach. Żałował, że nie pomyślał o tym wcześniej.

— Dawid? Tu Michael Neef. Mogłbym do ciebie wpaść? Chciałbym o czymś pogadać.

— Oczywiście! Czy to może poczekać do jedenastej?

— Jasne. Do zobaczenia.

12

Lało jak z cebra, gdy Neef usiłował znaleźć miejsce, aby zaparkować samochód w pobliżu uniwersyteckiego wydziału medycyny. Trzy razy okrążył okolicę, zanim zauważył lukę. Ale wjechanie w nią tyłem nie było łatwe. Mokre i zaparowane szyby znacznie utrudniały manewrowanie. Niewielką przestrzeń zajmował przedtem mały fiat panda i land rover ledwo się tam zmieścił. Neefowi udało się zaparkować dopiero za drugim razem. Nie spodobało się to kierowcy nadjeżdżającemu z tyłu, który zaczął niecierpliwie trąbić. Neef wyjrzał przez boczną szybę i zobaczył kobietę. Kręcąc głową posłała mu zza kierownicy pełne dezaprobaty spojrzenie. Neef uśmiechnął się do niej uprzejmie.

Kuląc się w strumieniach deszczu przebiegł szybko ulicę i wpadł na dziedziniec. Na jego brukowanej nawierzchni wolał jednak zwolnić. Była zdradziecko śliska. Ponownie przyśpieszył na schodach wiodących do wysokiego wejścia o łukowym sklepieniu, pokonując po dwa stopnie naraz. Za progiem drzwi strząsnął wodę z włosów i ubrania, po czym rażno pomaszerował przez hall recepcyjny. Za ladą siedzieli dwaj mężczyźni, ale żaden nie zwrócił na niego uwagi. Minał ich i podszedł do windy.

Pracownia Davida Farro-Jonesa mieściła się na czwartym i ostatnim piętrze budynku, wzniesionego pod koniec dziewiętnastego wieku i wielokrotnie już modernizowanego. Zachowały się wprawdzie oryginalne, wysokie sufity wywołujące wrażenie, że znajdujący się w pomieszczeniach ludzie i sprzęty to miniatutki, ale ściany nosiły liczne ślady częstego kucia i malowania, gdyż ciągle przerabiano i dzielono wnętrza. Neef zastał Farro-Jonesa zatopionego w rozmowie z młodym człowiekiem o rzadkiej brodzie. Mężczyzna miał na sobie bluzę reklamującą browar w Devon, a na bosych nogach sandały. Okulary, które nosił sprawiały, że jego oczy wydawały się nienaturalnie wielkie. Neef czekał cierpliwie, aż dyskusja dobiegnie końca, zanim podszedł.

— Aaa... Michael! — wykrzyknął Farro-Jones. — Zaraz będę wolny, tylko odstawię to do lodówki — podniósł do góry drucziany pojemnik zawierający wiele próbek.

Neef stał w drzwiach oglądając zdjęcia przypięte do korkowej tablicy wiszącej na ścianie. Były to elektronowe mikrografy wirusów powiększone do olbrzymich rozmiarów. Jeden z nich przypominał statek kosmiczny.

— Przepraszam, że kazałem ci czekać — usłyszał w końcu głos Farro-Jonesa.
— Wejdźmy do mojego biura. Kawy?

— Chętnie. Bez mleka i cukru.

Farro-Jones wydał polecenie komuś niewidocznemu po drugiej stronie drzwi i kilka minut później kobieta w średnim wieku z siwymi włosami upiętymi z tyłu głowy w kok wniosła na tacy zamówienie.

— Dziękuję ci, Marge — powiedział Farro-Jones.

— Proszę uprzejmie, panie doktorze — odrzekła Marge z walijskim akcentem i uśmiechnęła się do Neefa.

— No więc... W czym mogę ci pomóc? — zapytał Farro-Jones, swobodnym ruchem kładąc nogi na rogu biurka. — Jakies problemy z Maxem?

— Niezupełnie — odrzekł Neef. — Chodzi o ten czynnik rakotwórczy. Wczoraj wieczorem rozmawiałem o tym z Maxem. Pokazałem mu te wyniki badań, które dostaliśmy na zebraniu z Wydziału Zdrowia. Max uważa... — Neef urwał, jakby wzdragał się przed nazwaniem rzeczy po imieniu.

— Co Max uważa? — zainteresował się Farro-Jones.

— Uważa, że mamy do czynienia z wirusem.

Uśmiech zniknął z twarzy Farro-Jonesa.

— Z wirusem?! — wykrzyknął. — Chyba żartujesz?

— Max mówił poważnie — odparł Neef.

— Ależ to czysty nonsens! Rak nie jest chorobą zakaźną. Więc jakim cudem to może być wirus?

— Wiem, wiem... Wczoraj już to wszystko wałkowaliśmy od początku do końca, ale Max prawie mnie przekonał. Twierdzi, że to nowy wirus, a faktem jest, że wie o wirusach o wiele więcej niż ja. Dlatego tu jestem. Ciebie również uważam za eksperta. Masz do tego kwalifikacje medyczne. Twoja opinia byłaby dla mnie bardzo cenna.

Farro-Jones usiadł prosto i zasłonił usta i nos złożonymi jak do modlitwy dłońmi.

— Cóż mogę powiedzieć? Uważam ten pomysł za niedorzeczny. Owszem, przypadki Charlie'ego Morse'a i wnuczka Franka MacSweena wyglądają tak, jakby ich chorobę spowodował jakiś czynnik zakaźny, bo to wtórne ofiary raka. Ale gdyby tak rzeczywiście było, mielibyśmy o wiele więcej takich samych zachorowań.

— Pereira sugeruje, że ten wirus może mieć niewielką zdolność wywoływania infekcji. Trzeba wchłonąć przez drogi oddechowe pokaźne jego ilości. Podkreślił również kwestię naturalnej odporności niektórych ludzi na to zakażenie.

— Z pewnością czegoś takiego trzeba by się dużo nawdychać — zgodził się Farro-Jones, ale jego głos zdradzał daleko posunięty sceptycyzm. — Jednak w raportach laboratoryjnych nie stwierdzono obecności żadnego nowego wirusa u zmarłych pacjentów.

— Ja też zwróciłem mu na to uwagę — przytaknął Neef. — Max odpowiedział mi, że laboratoria szpitalne badają próbki na obecność przeciwciał wytworzonych przeciw znanym wirusom, nie szukają zaś samych wirusów. Jego zdaniem właśnie dlatego mogły nie wyłapać czegoś nowego.

— Coś w tym jest — przyznał Farro-Jones. — Zadaniem testów jest wyodrębnienie przeciwciał wytworzonych na skutek obecności znanych wirusów. Inaczej mówiąc, pośrednie wskazanie infekcji.

— A zatem, nie można przeprowadzić testów na obecność przeciwciał przeciwko czemuś, co według naszej wiedzy nie istnieje, czy tak?

— Tak — zgodził się Farro-Jones.

— Więc w jaki sposób można zidentyfikować nowy wirus — zapytał Neef.

— Trzeba zbadać próbki bezpośrednio, korzystając z mikroskopu elektronowego. Po prostu zobaczyć, czy badana substancja nie zawiera czegoś, co przypomina wyglądem wirusa.

— Można by to zrobić?

— Oczywiście.

— Myślałem o pobraniu próbek od Charlie'ego Morse'a. Myślisz, że warto byłoby się im przyjrzeć?

— Jeśli ci na tym zależy... — Farro-Jones wzruszył ramionami bez zbytniego entuzjazmu. — Wspominałeś o tym ludziom z Wydziału Zdrowia?

— Jeszcze nie. Chciałem najpierw zasięgnąć twojej opinii.

Farro-Jones skinął głową.

— W porządku. Jeżeli ma cię to uspokoić, to może dyskretnie obejrzę sobie próbki pobrane od Charlie'ego Morse'a. Jeśli niczego nie znajdę, a podejrzewam, że tak się to skończy, nie będziemy zawracać głowy Wydziałowi Zdrowia zwariowaną teorią Maxa. Wyobrażasz sobie, jaką panikę mogłoby to wywołać? Wirus powodujący raka...

— Wolę o tym nie myśleć — przyznał Neef.



Artykuł Ewy na temat trzeciej i czwartej ofiary raka ukazał się w sobotę po południu i niemal natychmiast zaczął dzwonić telefon Neefa. Pierwszy odezwał się Tim Heaton. Był wściekły.

— Niech to szlag trafi! Miałem już na linii gazety o zasięgu krajowym, radio i telewizję! Wszyscy chcą wiedzieć, co w obecnej sytuacji zamierza zrobić Szpital św. Jerzego. A to jest przecież problem Wydziału Zdrowia! — wykrzyknął. — Ale ta kobieta przedstawia to tak, jakby winny był nasz szpital. Nie możesz tego jakoś z nią załatwić?

— Co masz na myśli, Tim? — zapytał chłodno Neef.

— Nie wiem. Ty coś wymyśl. Przecież to twoja przyjaciółka, mam rację? A ta cała historia nie wyjdzie nam na dobre. Nie potrzebujemy takiej „reklamy”.

— Ewa uważa, że po prostu wykonuje swoją pracę — odrzekł Neef. — Istnieje problem, którego nie potrafimy rozwiązać. Ona tylko relacjonuje przebieg tej sprawy, podaje jedynie fakty. — Czuł się niezręcznie broniąc Ewy, podczas gdy nie w pełni popierał jej działanie. Przypominało to postawę członka klubu dyskusyjnego toczącego bez przekonania spór tylko dlatego, że akurat wypadło na niego. Pomyślał, że adwokaci muszą być często w takiej sytuacji.

— Ale to nie jest nasz problem! — upierał się Heaton. — Załatwienie tej sprawy należy do Wydziału Zdrowia. Pisanie o bezradnych lekarzach ze św. Jerzego to zwyczajne działanie na naszą szkodę.

— Z całym szacunkiem, Tim, ale skoro jeden z członków naszego personelu jest o krok od śmierci, a wnuk drugiego już zmarł, to chyba jest nasz problem. To problem wszystkich.

— Musimy uzgodnić jakąś politykę.

— Skoro tak mówisz...

— Wydam instrukcję naszym specom od kontaktów z prasą, żeby z wszelkimi pytaniami odsyłali dziennikarzy bezpośrednio do Wydziału Zdrowia i stawiali sprawę jasno, że to jest dochodzenie tamtych, nie nasze. A wszystkim innym zabronię udzielania jakichkolwiek informacji.

W kontekście tej rozmowy Neef zrozumiał, że „wszyscy inni” to również on.

— Jak sobie życzysz — odrzekł.

— Domyślam się, że nie masz dla mnie żadnych dobrych wiadomości na temat terapii genowej, które moglibyśmy podać prasie dla odwrócenia uwagi?

Neef pomyślał kwaśno, że to jednostronne oddanie Heatona dla swojej pracy jest godne podziwu.

— W tej chwili mamy na koncie jeden sukces i cztery porażki — wyjaśnił.

Heaton westchnął.

— Chyba będę musiał wydać Louradisowi zgodę...

— Na co?! — zapytał zaniepokojony Neef, nie mając pojęcia, o co chodzi.

— Jedna z gazet zaproponowała mu napisanie czegoś w rodzaju przewodnika po terapii genowej dla laików.

— Czyli ogólnego wyjaśnienia, na czym to polega, tak? — domyślił się Neef.

— Niezupełnie — sprostował Heaton. — Gazeta chce, żeby dokładnie wytłumaczył, co właściwie ty i Menogen obecnie wypróbujecie.

— To może niech lepiej Louradis od razu wystąpi z tym na scenie i sprawa będzie z głowy! — parsknął Neef.

— Obawiałem się, że tak zareagujesz — powiedział Heaton niemal przeproszającym tonem. — Ale co to szkodzi? Żaden z lekarzy ani pacjentów nie zostanie wymieniony z nazwiska, a wizerunek szpitala może się bardzo poprawić.

— Ty tu jesteś szefem.

— Do diabła, Mike! Wiesz, co mnie w tym wszystkim najbardziej oburza? — ciągnął Heaton. — Szpitala Uniwersyteckiego nikt się nie czepia! Jedyne wzmianka to ta, że oni leczą naszego pracownika! Znow są górą. Gwiazda wśród szpitali. A my, to bezradne osły!

— Posłuchaj, Tim. Prawdopodobnie za kilka tygodni to już będzie historia. Uważam, że powinniśmy przejść przez to ze spokojem i godnością. Jeśli uwikłamy się w słowne utarczki, nikomu nie wyjdzie to na dobre.

— O, absolutnie! — zgodził się Heaton. — Ani mi się śni powtarzać komuś innemu to, co powiedziałem tobie. Sam rozumiesz... Jeszcze ktoś gotów pomyśleć, że jestem paranoikiem albo coś w tym rodzaju.

Neef uśmiechnął się szeroko. Wolał się nie odzywać, żeby Heaton nie usłyszał w jego głosie rozbawienia.

— Jeszcze jedno, Michael.

— Tak?

— Zastanawiałem się, czy nie byłoby dobrze zakazać pannie Sayers wstępu do szpitala. W końcu, tak naprawdę nie ma tu nic do roboty, nie uważasz?

Neef ugryzł się w język. Powiedzenie Heatonowi, dokąd może iść nie wydawało mu się akurat w tym momencie najszcześniejszym pomysłem.

— Nie sądzę, żeby to było mądre posunięcie, Tim — odpowiedział. — Ewa nic do nas nie ma. Uważa, że jedynie podaje fakty. Boję się pomyśleć, co by się mogło dziać, gdyby nagle zaczęła widzieć w nas wrogów.

— Mhm... O tym nie pomyślałem — wyznał Heaton. Zastanawiał się przez chwilę, po czym stwierdził: — Może masz rację.

— Poza tym, przywiązała się bardzo do pewnego chłopca, pacjenta mojego oddziału. Codziennie go odwiedza.

— Nie, nie... to w porządku. Tak tylko głośno myślałem.

Neef zamknął oczy i wydał z siebie westchnienie ulgi. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

— Zamierzam porozumieć się z Georgiem Lancingiem z Okręgowego Wydziału Zdrowia — oznajmił Heaton. — Spróbuję go zmusić, żeby tą sprawą zajęło się Ministerstwo. Powinien ją prowadzić ktoś na najwyższym szczeblu. Moim zdaniem, Lennon nie nadaje się do tej roboty.

— W tej chwili ta robota nikomu nie pójdzie łatwo — odparł Neef. — Nie ma się o co zahaczyć.

- Ale na pewno pomoc z zewnątrz się przyda. Samo orientowanie się w sytuacji nie wystarczy, tu trzeba działać.
- Jak chcesz — odrzekł Neef i rozmowa dobiegła końca.
- Następną w kolejce była Ewa Sayers.
- Czekam na połączenie całą wieczność — powiedziała z wyrzutem.
- Miałem na linii Tima Heatona. To nasz dyrektor.
- Pewnie niezbyt zadowolony, co?
- Można tak powiedzieć.
- Jesteś bardzo zły?
- Bardziej przybity, niż zły — odparł Neef.
- Ja tylko podałam fakty, Mike.
- Heaton uważa, że zrobiłeś z nas osłów.
- Nie miałam takiego zamiaru.
- Wiem.
- Chyba nie zabroni mi wstępu do szpitala?
- Nie, nic podobnego! — zapewnił Neef nie wdając się w szersze wyjaśnienia.
- Tylko nie licz na to, że przyśle ci na Gwiazdkę kartkę z życzeniami świątecznymi.
- A ty mi przyślesz?
- Być może.
- Przepraszam, że tak na ciebie wsiadłam, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy.
- Zdaje się, że oboje byliśmy wściekli.
- Zawrzemy pokój?
- Zawrzemy — zgodził się Neef.
- Masz ochotę przyjść do mnie?
- Jeśli nie zależy ci na zbyt wyszukanym jedzeniu, to może ty przyjdiesz do mnie i wyciągnę z zamrażarki jakieś pyszne, paczkowane danie.



- Co my tu mamy? — zapytała Ewa godzinę później, z uznaniem pociągając nosem.
- Coś z apetycznym obrazkiem na opakowaniu — odrzekł Neef.
- One wszystkie są takie.
- Na tym najbardziej podoba mi się wyraz zachwyty na twarzach ludzi — wyjął Neef.
- Ewa wzięła do ręki puste opakowanie.
- Rzeczywiście. Wprost trudno się oprzeć — przyznała. — Wyglądają, jakby właśnie skończyli uprawiać seks, a nie zjedli „Paszteciki z łososiem”.

Danie nie było może wyśmienite, ale okazało się całkiem smaczne, zwłaszcza z dobrym winem, które przyniosła Ewa.

— Byłaś dziś u Neila? — zapytał Neef.

Ewa potakująco skinęła głową.

— Nie czuł się zbyt dobrze. Chyba Lawrence zwiększył mu dawkę leków. Czytałam mu bajkę o strażaku, a on trzymał mnie za rękę i co jakiś czas zapadał w sen. To było miłe, jakbyśmy rozumieli się bez słów.

Neef pokiwał głową.

— Życie uchodzi z niego na moich oczach. To tak, jakbym obserwowała płomień, który zaczyna migotać, by w końcu zgasnąć. Boże! Oddałabym wszystko, żeby mu pomóc. Naprawdę.

Neef położył rękę na dłoni Ewy.

— Zostań przy nim — poprosił miękko. — On cię potrzebuje.

— Oczywiście, że zostanę. Przepraszam... — Ewa wyciągnęła z torebki papierową chusteczkę i wytarła nos. — Zmieńmy temat.

Jak na zawołanie, po raz pierwszy pojawiła się Dolly. Wejście miała udane. Przedefilowała przez pokój w kierunku drzwi balkonowych, by tam zająć swoje stałe miejsce.

— Myślisz, że jest o mnie zazdrosna? — spytała Ewa.

— Wątpię — odrzekł Neef. — Dolly jest zbyt pewna siebie i za dobrze zna swoją wartość, by w jej głowie mogła powstać myśl, że ma jakąkolwiek rywalkę.

— Cóż to musi być za komfort psychiczny — westchnęła Ewa. — Jak mogę nawiązać z nią znajomość?

— Za pośrednictwem pomarańczowej rybki.

— Słucham?!

— To jej nowa zabawka — wyjaśnił Neef. — Znajdziesz ją z tyłu za sofą.

Ewa wyciągnęła z ukrycia pomarańczową rybkę przywiązaną linką do trzciniowego kijka. Podeszła do Dolly i pomachała nią w powietrzu. Kotka zareagowała natychmiast, usiłując pochwycić dyndającą na lince rybkę, którą Ewa ciągnęła za sobą po podłodze, przemierzając cały pokój.

— No, dalej Dolly! — zachęcała ją Ewa poruszając rybką coraz szybciej. Wkrótce Dolly dała prawdziwy popis kociej zręczności i złapała zabawkę. — Rzeczywiście potrafi się ruszać.

— Jak to koty — stwierdził Neef i przyłączył się do Ewy siedzącej na sofie. — Ich zręczność może człowieka wprawić w zdumienie.

— Tak jak to? — Ewa wyprostowała się i mocno pocałowała Neefa w usta. Potem odsunęła się lekko, jakby nie była pewna jego reakcji.

W jej oczach zobaczył wyczekiwanie. Objął ją i zaczął całować długo i namiętnie, czując jak bardzo jej pragnie. Długo czekał na taki moment.

— Chcesz mnie dalej zdumiewać? — zapytał.

— Chcę — szepnęła.



Ewa przekręciła się na brzuch i uniosła na łokciach przyglądając się twarzy Neefa. Miał zamknięte oczy, ale na jego wargach błąkał się uśmiech, więc od razu poznała, że już nie śpi. Odgarnęła włosy z jego czoła i powiedziała:

— To oczywiście jeszcze jeden sposób na pozbycie się stresu i napięcia.

— Podoba mi się — mruknął Neef.

— Naprawdę? — zaczęła się z nim drażnić wodząc palcami po jego zamkniętych powiekach.

— O Boże! No pewnie!

Ewa spojrzała na szlak ciągnący się od drzwi sypialni, który wyznaczały porozrzucone ubrania i bielizna. Położyła głowę na piersi Neefa i stwierdziła:

— Muszę przyznać, że ja czuję się całkiem zrelaksowana.



Telefon zadzwonił tuż przed trzecią nad ranem. Zdezorientowana Ewa podniosła słuchawkę aparatu stojącego na nocnym stoliku i omal się nie odezwała. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że nie jest u siebie. Oddała ją Neefowi.

— Neef.

— Tu Lennon. Mamy następny przypadek.

— Kogo?

— Elektryka z pańskiego szpitala.

— Jeszcze jeden członek personelu — mruknął Neef. — Pereira ma rację.

— Pereira ma rację? — powtórzył Lennon nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Tak. Rozmawiałem z Maxem w piątek wieczorem. Max Pereira to naukowiec prowadzący próby z terapią genową w naszym szpitalu — wyjaśnił Neef. — Jest ekspertem od wirusów. Uważa, że wszystkiemu winien jest wirus, a nie środek chemiczny, którego szukamy.

— Wirus?! — wykrzyknął Lennon. — Ale jakim cudem?

— Wiem, co pan teraz myśli — westchnął Neef.

— Wspominał pan o tym komuś z uniwersytetu?

— Prosiłem o opinię Davida Farro-Jonesa.

— I co on na to?

— To samo, co pan. Pomysł nie wydał mu się sensowny, ale obiecał obejrzeć próbki pobrane od Charlie'ego Morse'a pod mikroskopem elektronowym. Spróbuje znaleźć ślad obecności nowego wirusa.

— Rozumiem — odrzekł Lennon.

Neef wyczuł w jego głosie chłodną rezerwę, więc szybko dodał:

— Miałem panu o tym powiedzieć, gdyby coś znalazł. Ten wirus wydawał mi się początkowo taką niedorzecznością, że nie chciałem zwracać panu głowy, dopóki nie będziemy mieli dowodów na poparcie tej tezy. Ale teraz, przy pięciu przypadkach...

— Kiedy doktor Farro-Jones będzie miał wyniki swoich badań?

— Mówił o poniedziałku, ale mógłbym zadzwonić do niego rano i zapytać, czy nie da się tego przyspieszyć.

— Jestem pewien, że od kiedy zaczęła się ta sprawa każdemu z nas przychodziło do głowy jakieś źródło zakażenia, ale odrzucaliśmy tę myśl, bo to po prostu niemożliwe — powiedział Lennon. — Rak nie przenosi się z osoby na osobę.

— Na pewno tak było dawniej — odparł Neef. Przypomniały mu się słowa Pereiry, że ludzie niechętnie biorą pod uwagę pojawienie się czegoś nowego. — Jednak naprawdę nie powinniśmy na tym etapie zamykać na nic oczu — dodał.

— Naturalnie — zgodził się Lennon.

— Ale miejmy nadzieję, że Max się myli.

— Jestem tego pewien.

— Co pan teraz zamierza? — zapytał Neef.

— Rozesłałem już ogólne ostrzeżenie do wszystkich szpitali. Mają bardzo uważać na każdy przypadek wirusowego zapalenia płuc.

— To dobrze.

— Chciałbym również zwołać na dzisiejsze popołudnie kolejne zebranie w pełnym składzie, żeby omówić implikacje pojawienia się nowego przypadku.

— A co z prasą? — zainteresował się Neef spoglądając na leżącą obok niego przedstawicielkę tej branży.

Przysłuchiwała się konwersacji z szeroko otwartymi oczami.

— Nie sądzę, by warto było nawet próbować zatajać ten ostatni przypadek — westchnął Lennon. — Ale uważam, że tej teorii o wirusie nie powinniśmy ujawniać. Jestem temu zdecydowanie przeciwny.

— Całkowicie się z panem zgadzam — powiedział Neef nie odrywając oczu od Ewy.

Życzył Lennonowi dobrej nocy, po czym podał Ewie słuchawkę, by ją odłożyła.

— Słyszałaś? — zapytał.

Skinęła głową. Neef czekał, co powie.

- Słyszałam. Nie wykorzystam tego, jeśli o to ci chodzi. Możesz się nie obawiać.
- Nie obawiam się artykułu w gazecie. Nie o to mi chodzi — wyjaśnił Neef.
- Obawiam się natomiast, że naprawdę pojawił się wirus zdolny do przenoszenia raka płuc jakby to była wietrzna ospa.
- Więc wierzysz w tę teorię?
- Przejmuję się nią na pewno o wiele bardziej od Lennona.
- Co można zrobić, jeśli to rzeczywiście wirus?
- Bardzo niewiele — przyznał Neef. — A w ogóle nic dla ludzi, którzy już go mają. Jedyna nadzieja, że uda nam się sprawić, aby się nie rozprzestrzenił. Będziemy musieli odizolować ofiary zakażenia, a ludzie z Wydziału Zdrowia zbadają wszystkie ich kontakty. Ale najważniejsze, to ustalić źródło epidemii i usunąć je. Tylko że to łatwiej powiedzieć niż zrobić. Według mojej wiedzy, nikomu jeszcze nie udało się nigdy odkryć, skąd wziął się jakiś nowy wirus.
- Och Mike... — Ewa przytuliła się do Neefa. — Mam takie złe przeczucia.
- Neef nie chciał się do tego przyznawać, ale myślał dokładnie to samo.
- Prześpijmy się — szepnął.



Neef zjawił się w szpitalu o ósmej rano. Jego wszystkie myśli o spędzeniu z Ewą miłej niedzieli pierzchły po nocnym telefonie Lennona. Nie miał konkretnego powodu, żeby jechać do pracy. Nie ułożył sobie żadnego planu działania. Po prostu czuł, że powinien tu być. To była nerwowa reakcja na to, czego się dowiedział. Lennon zadzwonił ponownie o dziewiątej trzydziści.

— Chyba wiem, w jaki sposób nabawił się tego elektryk — oznajmił. — W jego karcie pracy widnieje wpis mówiący o tym, że został wezwany do pracowni patologicznej. Charlie Morse zlecił mu naprawę uszkodzonego wentylatora wyciągowego.

— Dobra robota — pochwalił Neef.

— To nie wszystko — odrzekł Lennon. — Miałem trochę szczęścia.

— Od dawna było panu potrzebne.

— Zajrzałem dziś rano na patologię, żeby się trochę porozglądać. Zastała mnie tam dyżurna laborantka. Opowiedziała mi, że podczas naprawy wentylatora Morse i ten elektryk, Cooper, mieli niemiłą przygodę. Podobno spadła osłona wentylatora i obaj zostali obsypani nagromadzonym w przewodzie kurzem. Mieli mocno ubrudzone twarze i dziewczyna podejrzewa, że musieli nieźle nałykać się tego pyłu.

— Rozumiem...

— Wtedy śmiali się z tego, ale prowadząc dalsze poszukiwania w prosektorium odkryłem, że pechowy wentylator znajduje się dokładnie nad stołem numer cztery. A tam właśnie Frank MacSween przeprowadzał sekcję zwłok obu dziewczynek, Melanie Simpson i Jane Lees.

— To jego ulubiony stół — potwierdził Neef.

— Moim zdaniem, czynnik rakotwórczy zmieszał się z nagromadzonym w przewodzie kurzem na skutek wadliwego działania wyciągu. Czy podczas sekcji MacSween używa maski ochronnej? — zapytał Lennon.

— Zawsze wtedy, gdy styka się z chorobą zakaźną.

— Więc powinien mieć ją na twarzy, gdy zajmował się ciałami obu dziewczynek.

— Miał ją na pewno — stwierdził stanowczo Neef. — Przez krótki czas towarzyszyłem mu w obu wypadkach.

— Pan też miał maskę?

— Tak. Uważaliśmy, że mamy do czynienia z wirusowym zapaleniem płuc.

— Pobrałem do analizy próbki kurzu z przewodu wentylacyjnego. Badamy je teraz pod kątem obecności substancji rakotwórczej — oznajmił Lennon.

Albo wirusa, pomyślał Neef odkładając słuchawkę. Zastanawiając się nad tym, co usłyszał, doszedł do wniosku, że to prawdopodobnie nie Frank MacSween przeniósł chorobę na swojego wnuczka, lecz Charlie Morse.

— Prawie na pewno — stwierdził Pereira, gdy Neef zadzwonił do niego i wszystko mu opowiedział.

— Ale wciąż nie wiemy, jak Melanie Simpson zaraziła tym Jane Lees, skoro nigdy się nie spotkały. A najważniejsze jest to, skąd choroba wzięła się u Melanie, bo to ona pierwsza na nią zapadła.

— Czy Lennon zamierza szukać w tym kurzu wirusa? — zapytał Pereira.

— Mówił o badaniach na obecność substancji rakotwórczej — wyjaśnił Neef. — Ale przypuszczam, że da to również do laboratorium wirusologicznego.

— Skoro tak... — głos Pereiry nie brzmiał tak, jakby Max był o tym przekonany.

— Może wpadłbyś dziś po południu na nasze zebranie? — zasugerował Neef.

— Nie uda mi się uporać z moją robotą w pracowni wcześniej, niż o drugiej — zaznaczył Max. — To może potrwać nawet dłużej.

— Więc wpadnę po ciebie o trzeciej. Co ty na to?

— W porządku.

Neef spróbował złapać telefonicznie Farro-Jonesa. Kiedy zadzwonił do niego do domu, jego żona, Jane, powiedziała, że pojechał na wydział medycyny. Neef zastał go w pracowni.

— David? Tu Michael Neef. Dzwoniłem do ciebie do domu. Jane powiedziała, że pracujesz.

— Oglądałem te próbki pobrane od Charlie'ego Morse'a — wytłumaczył Farro-Jones.

— Pomyślałem, że im szybciej to zrobię, tym lepiej.

— Doskonale — ucieszył się Neef. — Właśnie dlatego zadzwoniłem. — Po czym opowiedział mu o ostatnim przypadku.

- To coraz bardziej przypomina jakiś koszmarny sen — powiedział Farro-Jones.
— Lennon chciał wiedzieć, czy będziesz miał wyniki przed zebraniem. Chyba zamierza złożyć prasie jakieś oświadczenie.
— Niczego nie mogę obiecać, ale oczywiście postaram się.



- Neef zabrał Maxa z Menogenu o trzeciej. Pereira był podekscytowany.
— Nowy wektor przeciw czerniakowi naprawdę powinien się sprawdzić — oznajmił. — Jak już mówiłem, nie mam sposobu na załatwienie formalności na tyle szybko, by pomóc temu twojemu chłopcu, ale może tobie by się to udało?
— Nie rozumiem... — zdziwił się Neef.
— Gdyby szpital wystąpił o szybsze wydanie licencji, bo to wyjątkowy przypadek, może poszliby nam na rękę. Jest taka szansa?
— Na pewno warto spróbować. Tylko musiałbyś mi wszystko powiedzieć. Gdzie to się załatwia, z kim i tak dalej.
— Po powrocie zadzwonię do pięknej Lillie do domu i poproszę ją, żeby do ciebie zatelefonowała. Ona ci wszystko wyjaśni.
— Kto to jest piękna Lillie? — zapytał Neef.
— To panna Langtry — odrzekł Pereira. — Ona zajmuje się składaniem naszych wniosków o wydanie licencji na wszystko, co robimy.
Miejsce zebrania zostało w ostatniej chwili zmienione. Przeniesiono je ze Szpitala św. Jerzego do siedziby Wydziału Zdrowia na Sutton Place. Nalegał na to Tim Heaton, gdyż zdążył się już dowiedzieć, że po zebraniu planowana jest konferencja prasowa. Nie zamierzał wpuszczać dziennikarzy do św. Jerzego. Stwierdził, że ciągłe kojarzenie szpitala z problemami Wydziału Zdrowia psuje dobrą jego reputację.
Na szczęście w niedzielę panował na ulicach mały ruch, więc Neef i Pereira dotarli na Sutton Place tylko z pięciominutowym opóźnieniem. Kiedy szli do budynku Wydziału Zdrowia, Neef zobaczył Ewę stojącą na chodniku wraz z grupką innych dziennikarzy. Uśmiechnęła się do niego. Neef pokazał na zegarek dając do zrozumienia, że są już spóźnieni i bezgłośnie wymówił słowa: „Zobaczymy się później”. Ewa w odpowiedzi skinęła głową.
— Na wstępie chciałbym przeprosić za to, że tak się tu tłoczmy — zaczął Lennon.
— Ale w ostatniej chwili mieliśmy pewne problemy, które musieliśmy rozwiązać.
Salka była stanowczo za mała dla dwudziestu osób. Neef stwierdził, że jest w niej nieprzyjemnie duszno.
— Niektórzy z państwa wiedzą już oczywiście o ostatnim przypadku raka — kontynuował Lennon — ale pewnie jeszcze nie wszyscy. Piątą ofiarą jest elektryk zatrud-

niony w Szpitalu św. Jerzego. Uważamy, że wiemy już, dlaczego ten człowiek zachorował i dlatego nie podtrzymujemy dalej teorii o wspólnym dla wszystkich ofiar pierwotnym źródle skażenia. Bierzymy natomiast pod uwagę możliwość, iż rakotwórczy związek chemiczny wciąż znajdował się na lub w ciałach pacjentek w momencie ich przyjęcia do szpitala. Wielce interesującą, lecz niestety również bardzo niepokojącą alternatywą może być teza wysunięta przez doktora Maxa Pereirę z Menogen Research, współpracującego obecnie z personelem medycznym Szpitala św. Jerzego przy wypróbowaniu terapii genowej, przeznaczonej dla pacjentów chorych na raka. Otóż doktor Pereira sugeruje pojawienie się zupełnie nowego wirusa, którego powinniśmy szukać jako sprawcy wszystkich zachorowań.

W małej salce nagle zapanowała wrzawa, gdy ci, którzy po raz pierwszy usłyszeli tą teorię zaczęli jednocześnie zgłaszać swoje zastrzeżenia, znane już ogólnie wcześniej. Lennon uniósł do góry ręce próbując uciszyć zebranych.

— Panie i panowie. Wiem, że to herezje. Jednak tę hipotezę przedstawił człowiek uważany, według moich informacji, za eksperta w takich sprawach. Więc chyba warto się nad nią zastanowić.

W odpowiedzi na te słowa znów wybuchła wrzawa.

— Wysłałem już ostrzeżenie do wszystkich szpitali — ciągnął niezrażony Lennon — prosząc, by izolowano każdy podejrzany przypadek wirusowego zapalenia płuc. W razie pojawienia się takiej choroby, szpitale mają zawiadamiać Wydział Zdrowia, byśmy mogli ustalić kontakty chorego i dotrzeć do zainteresowanych.

— Czy nie sądzi pan, że wszczynanie takiego alarmu jest nieco przedwczesne? — zapytał mężczyzna, w którym Neef rozpoznał przedstawiciela Okręgowego Wydziału Zdrowia. — Jeśli sugeruje pan istnienie nowego, nieznanego nikomu wirusa, to czy nie powinien pan poczekać, aż będzie pan w posiadaniu choćby strzępka dowodu mogącego poprzeć tę tezę?

Uwaga ta wywołała na sali pomruk ogólnej aprobaty.

— Na razie ma pan tylko słowne zapewnienie tego Pereiry — dodał mężczyzna.

— Zapewne doktor Pereira jest obecny na tej sali — Lennon rozejrzał się i dostrzegł Maxa stojącego obok Neefa.

— Jestem tutaj — odezwał się Pereira.

— Może zechciałby pan zabrać głos — podsunął Lennon.

— Czy wiecie państwo, ile czasu minęło, zanim środowisko medyczne zdecydowało się przyjąć do wiadomości, że istnieje wirus powodujący AIDS? — spytał Pereira.

— Chyba nie sugeruje pan, że to jest coś...

— A kto to wie? — przerwał Pereira. — Uważam, że po prostu zdrowy rozsądek nakazuje podjęcie pewnych środków ostrożności. A państwo nie?

— Jest ogromna różnica między podejmowaniem środków ostrożności z powodu istnienia znanego zagrożenia, a sianiem paniki w społeczeństwie, bo pan sobie coś wymyślił! — wyrzucił z siebie przedstawiciel Okręgowego Wydziału Zdrowia. Neef zauważył, że mężczyzna poczerwieniał na twarzy. Musiał przyznać, że Pereira ma wyjątkowy talent do wyprowadzania ludzi z równowagi. — Jestem przeciwny wszystkim krokom mogącym wywołać niepotrzebną panikę! — podkreślił przedstawiciel Wydziału Zdrowia.

Wśród zebranych przebiegł szmer wyrażający poparcie dla takiego stanowiska.

— Tak, tak... Łatwiej jest traktować ludzi jak pieczarki — skomentował to po swojemu Pereira.

— A co znowu pieczarki mają wspólnego z...

— Trzeba trzymać je w ciemności i karmić gównem.

— Panowie, bardzo proszę... — wtrącił się Lennon. — Przecież wszystkim nam zależy na jak najszybszym rozwiązaniu tego problemu. Utarczki słowne w tym gronie niczemu nie służą. Czy doktor Farro-Jones jest obecny? — zapytał. Odpowiedziała mu cisza. — Pytam dlatego, panie i panowie, że właśnie doktor Farro-Jones bada pod mikroskopem elektronowym wycinki tkanki płucnej pobrane od Charlesa Morse'a usiłując znaleźć ślady istnienia tego wirusa. Pracował nad tym cały dzień i miałem nadzieję, że może zdąży podzielić się z nami swoimi odkryciami, ale jak widać nie przybył. Zapoznam więc państwa ze szczegółami, dotyczącymi naszego ostatniego przypadku raka i powiem o jego związku z poprzednimi. Przepraszam za ten prowizoryczny ekran. Kopie podsumowania dostaniecie państwo przy wyjściu.

Gdy na ekranie pojawił się pierwszy obraz, Pereira szepnął do Neefa:

— Znikam stąd. Zobaczymy się jutro.

Neef skinął głową. Zauważył, że wychodząc Pereira minął się w drzwiach z Davidem Farro-Jonesem, który akurat przybył. Obaj mężczyźni w przelocie szepnęli coś do siebie, po czym Max zniknął, a David wśliznął się cicho do salki. Po chwili przysunął się do Neefa i wpatrzył w ekran, by śledzić zmieniające się diapozytywy.

Neef uważał, że zna je już na pamięć. Odwrócił na moment głowę. I wtedy nagle dostrzegł na twarzy Farro-Jonesa dziwny wyraz. Najwyraźniej musiał zobaczyć na ekranie coś, co wstrząsnęło nim do żywego.

13

Lennon zakończył prezentację ofiar raka i zapytał, czy są jakieś uwagi lub pytania.

— To rzeczywiście wygląda tak, jakby w grę wchodził jakiś tajemniczy czynnik przenoszący zakażenie — stwierdził Alan Brooks, dziekan wydziału medycyny.

Panująca w salce cisza świadczyła o tym, że jego komentarz nie spotkał się z życzliwym przyjęciem.

— Ale nie znaleźliśmy żadnego związku między pierwszą, a drugą ofiarą — odparł Lennon wyczuwając nastrój zebranych. — To było najważniejsze i proszę mi wierzyć, że staraliśmy się za wszelką cenę ustalić, co te dziewczynki mogły mieć ze sobą wspólnego. Jesteśmy pewni, że nigdy się nie spotkały.

Nikt inny nie wydawał się jednak zainteresowany lansowaniem tezy, która widocznie trafiła do przekonania dziekanowi.

— Przyjechał doktor Farro-Jones — odezwał się Neef.

Lennon ponownie włączył światło i odwrócił się od ekranu.

— Witam, doktorze. Ma pan jakieś wieści?

— Spędziłem cały dzień oglądając preparaty mikroskopowe wydzielin płucnej Charlesa Morse'a — odrzekł chłodnym tonem Farro-Jones. — Nie znalazłem żadnego dowodu obecności jakiegoś nowego wirusa.

Ogólny pomruk zadowolenia wskazywał, iż zebrani odetchnęli z wyraźną ulgą. Nastrój uczestników zebrania nie udzielił się Neefowi. Zastanawiał się, co Farro-Jones zobaczył wcześniej na ekranie, gdyż wciąż wydawał się tym zaabsorbowany.

— Myślę, że mogę to powiedzieć w imieniu nas wszystkich — przemówił Lennon. — To, co od pana usłyszałem, doktorze, przyjąłem z wielką ulgą. Po naszym zebraniu mam się spotkać z prasą. Bardzo się obawiałem, że będę musiał obwieścić dziennikarzom narodziny nowego wirusa, czyli kolejnego koszmaru, z którym będzie się musiała zmierzyć ludzkość.

W salce rozległy się śmiechy. Ludzie się odprężyli.

— Oczywiście nie należy traktować wyników moich badań jako absolutnie ostatecznych — zastrzegł się Farro-Jones. — Gdy szuka się czegoś nowego, zawsze istnieje moż-

liwość, że zabarwienie preparatu mikroskopowego nie było w stu procentach właściwe, lub że w którymś momencie przygotowań nie postąpiono w pełni tak, jak powinno się postąpić.

Neef uznał, że wypowiedź Farro-Jonesa jest intrygująca. To przecież on był najgorętszym przeciwnikiem tezy, że pojawił się nowy wirus. Więc dlaczego teraz tak ostrożnie formułował zdecydowanie jednoznaczne wnioski?

— Naturalnie, doktorze — zgodził się Lennon. — Ale jestem pewien, że wyniki pańskich badań są prawidłowe. Bardzo panu dziękujemy.

— Czy znalazłeś w tych próbkach coś innego? — zapytał Neef.

Drażniła go łatwość, z jaką zebrani gotowi byli zapomnieć o teorii pojawienia się nowego wirusa, powodującego zachorowania.

— Na przykład? — spytał Farro-Jones.

— Włókna albo cząsteczki stałe.

— To dobre pytanie — pochwalił Lennon kiwając głową.

— Nie. Niczego takiego nie zauważyłem — odrzekł Farro-Jones.

— Niczego, co mogłoby wyglądać na czynnik rakotwórczy?

— Nie.

— Więc nie posunęliśmy się ani o krok naprzód — stwierdził Neef.

— Obawiam się, że nie — przyznał Farro-Jones.

— Ma pan jakąś propozycję, doktorze Neef? — zapytał Lennon.

— Na pewno wszystkim nam ulżyło, że nie ma żadnego nowego wirusa, ale z drugiej strony w próbkach nie było również żadnej substancji rakotwórczej. Nie przybliżyło to nas do rozwiązania zagadki, w jaki sposób dwie dziewczynki nabawiły się raka. Nie możemy sobie zatem pozwolić na odrzucenie ani jednej, ani drugiej teorii. Powinniśmy nadal brać pod uwagę obie możliwości.

— Branie pod uwagę jakiejś możliwości nie oznacza konieczności opowiadania prasie przerażających historii! — zabrał głos przedstawiciel Okręgowego Wydziału Zdrowia, Peter Baroda, który wcześniej miał starcie z Pereirą. Wyglądało na to, że Baroda cieszy się poparciem większości zebranych.

— Musimy unikać wszczynania niepotrzebnego alarmu — odezwała się jakaś kobieta.

Neef nie rozpoznał, kto to powiedział, ale pomyślał ze złością, że chyba nikt jeszcze nigdy nie zdefiniował pojęcia potrzebnego alarmu. Odebrał komentarz kobiety jako część szumu w tle brytyjskiego życia publicznego. Jej uwaga przypominała mu wypowiedzi w stylu: „domagamy się pełnej jawności śledztwa” i „żądamy, żeby coś z tym zrobić”.

— Skoro już mowa o niepotrzebnym alarmie, panie i panowie... — powiedział Lennon — spotkam się z prasą po naszym zebraniu. Będę musiał poinformować dzien-

nikarzy, że zarejestrowaliśmy już pięć przypadków zachorowań i podać im szczegóły dotyczące ofiar raka. Ale nie widzę powodu, dla którego miałbym wspominać cokolwiek o teorii istnienia nowego wirusa, skoro doktor Farro-Jones nie znalazł niczego na jej poparcie, przynajmniej na razie. Z drugiej jednak strony, muszę zacisnąć zęby i przyznać, że jak do tej pory nie udało się nam zidentyfikować źródła zachorowań. Naturalnie mocno zaakcentuję, że nadal prowadzimy bardzo energiczne poszukiwania.



Neef wyszedł z zebrania przygnębiony i pełen obaw. Mimo jego apelu, by od razu nie odrzucać teorii mówiącej o istnieniu nowego wirusa, uczestnicy spotkania nie wydawali się tym zainteresowani. Po prostu nie chcieli przyjąć do wiadomości, że mogą stanąć oko w oko z czymś nieznanym. Nawet Lennon, który wcześniej sprawiał wrażenie, że gotów jest pójść tym tropem, zrezygnował, uznając negatywne wyniki badań Farro-Jonesa za wystarczający powód, by podzielać opinię pozostałych. Neef uważał, że wiele osób woli zwyczajnie schować głowę w piasek.

Gdy zmierzał w kierunku samochodu, dogonił go Farro-Jones.

— Musimy pogadać — powiedział. — Zmieniłem zdanie.

— Nie rozumiem...

— Uważam, że w tej teorii o wirusie jednak coś jest.

— A co wpłynęło na zmianę twojej opinii?

— Coś, co zobaczyłem na slajdzie Lennona.

— To znaczy?

Farro-Jones zawahał się.

— Chyba nie będziemy rozmawiać na ulicy...

— Więc w drodze powrotnej zatrzymaj się przy św. Jerzym. Możemy porozmawiać w moim gabinecie — zaproponował Neef.

Farro-Jones skinął głową.

— Zatem do zobaczenia u ciebie.

Pojechał za Neefem swoim samochodem i zaparkował go obok land rovera przed wejściem do szpitala. Neef ruszył przodem na oddział i wprowadził go do swojego pokoju.

— Dziś na zebraniu uświadomiłem sobie coś przerażającego — zaczął Farro-Jones.

— To całkowicie zmieniło moje zdanie na temat istnienia zupełnie nowego wirusa. Chyba nawet wiem, skąd się wziął.

— Co?! — wykrzyknął Neef.

— Kiedy Lennon pokazywał kolejno diapozytywy pacjentów, zauważyłem adres Melanie Simpson. Mieszkała przy Langholm Crescent.

— I co z tego? — spytał Neef czując, jak opada z niego podniecenie.

— Tuż za rogiem, na Langholm Road, mieszczą się laboratoria firmy Menogen Research.

Neef ze zdumienia otworzył usta.

— Mój Boże! Czyżbyś sugerował, że ta dziewczynka została skażona czymś, co wy-
dostało się z pracowni Maxa Pereiry?

— A kto tworzy nowe wirusy? Menogen — odparł Farro-Jones.

— Tak, ale to wektory do przenoszenia... To nie są...

— Już ci kiedyś mówiłem, że im sprawniejszy jest wektor, tym większe stwarza ryzyko. A to ryzyko polega na tym, że te wektory mogą powodować raka.

— Tak, ale...

— Owszem, to może być przypadek — przyznał Farro-Jones. — Jednak uważam, że na razie powinienem kontynuować polowanie na wirusa. Co o tym sądzisz?

— Oczywiście — zgodził się Neef. — Ale nie byłoby w porządku mówić o tym, dopóki nie znajdzie się żadnego dowodu. Cholera, to przecież Max Pereira wysunął tę teorię. Chyba nie zrobiłby tego, gdyby podejrzewał, że coś mogło wydostać się właśnie z jego pracowni. Poza tym, widziałem Menogen od wewnątrz. To dobrze prowadzona placówka badawcza. Poza tym są pod ciągłą kontrolą inspektorów.

— Zawsze można coś ukryć — odrzekł Farro-Jones. — A Menogenowi bardzo zależy na sukcesie za wszelką cenę.

— Jasna cholera! — zaklął Neef.

— Ale masz rację — stwierdził Farro-Jones. — Nie powinniśmy nic mówić, dopóki nie ma dowodów. Nie sądzę, by ktokolwiek poza mną zauważył tę zbieżność adresów, więc mamy trochę czasu. Zaprzągnę do roboty zespół laborantów.

Kiedy Farro-Jones wyszedł Neef znalazł w biurze Ann Miles plan miasta. Zabrał go do swojego gabinetu i odszukał Langholm Crescent. Następnie zrobił mały szkic, by porównać położenie tej ulicy w stosunku do Langholm Road. Potem sprawdził numer domu Melanie Simpson widniejący na kopii podsumowania otrzymanego od Lennona i oznaczył go krzyżykiem. Wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę.

Do pokoju zajrzała Ewa.

— Nie w porę? — zapytała.

— Ależ nie! Wejdz.

— Dziesięć minut temu skończyła się konferencja prasowa. Przyjechałam odwiedzić Neila.

Neef skinął głową.

— Jak było na konferencji?

— Lennon powiedział nam o nowym przypadku raka i chcąc nie chcąc przyznał, że nie posunęli się naprzód. Apelował do nas o zrozumienie i współpracę, ale ani słowem nie wspomniał o teorii Maxa na temat wirusa. Czy to oznacza, że okazała się niewypałem?

— Po prostu nie przypadła ludziom do gustu — wyjaśnił Neef. — Podobnie, jak Max, jeśli mam być szczerzy. David Farro-Jones zbadał kilka próbek pobranych od Charlie'ego Morse'a i nie znalazł żadnego dowodu na istnienie nowego wirusa.

— Rozumiem... — powiedziała Ewa. — Przynajmniej nie grozi nam ewakuacja całego miasta. Co robisz? — zapytała patrząc na szkic leżący na biurku.

— Eee... Tak tylko...

Ewa przyjrzała się Neefowi uważnie.

— Nie chcesz mi powiedzieć, prawda?

— To nie to, że nie chcę ci powiedzieć. Ale jesteś dziennikarką i to utrudnia mi sprawę.

— Nie można mi ufać, tak?

— Ależ nie to miałem na myśli. Tylko, że...

— Nie musisz się tłumaczyć. To zawsze nas poróżni, nie sądzisz?

Neef potrząsnął głową.

— Nie chcę, żeby tak było — powiedział cicho. — Naprawdę. David zauważył coś dzisiaj na zebraniu. Może to nic takiego, ale musimy rozważyć implikacje jego odkrycia.

Gdy Neef wyjaśnił Ewie, dlaczego narysował szkic, jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— Ależ to absolutna bomba! — wykrzyknęła z podnieceniem. — I absolutnie pofna sprawa.

— To oczywiste. Mój Boże! Mam nadzieję, że on się myli.

— Wierz mi, że ja też. Może Max Pereira nie jest najbardziej czarującym facetem na świecie, ale traktuje swoją pracę poważnie i z dużą odpowiedzialnością. Kiedy opowiadał mi, jakich zasad i przepisów musi przestrzegać, nie mówił tego w formie skargi. Chce tylko, żeby jednakowo traktowano wszystkich naukowców. Żeby inni też podlegali takim rygorom.

Zadzwonił telefon i Ewa uznała, że czas na nią. Zamykając za sobą drzwi pomachała Neefowi na pożegnanie.

— Neef, słucham.

— Doktor Neef? Mówi Jean Langtry. Doktor Pereira prosił, żebym do pana zatelefonowała. Podobno to bardzo pilne. Jak rozumiem, potrzebne są panu informacje na temat obowiązującej procedury licencyjnej.

— Tak, panno Langtry. Dziękuję, że pani zadzwoniła. Co musimy zrobić?

Jean Langtry mówiła, a Neef notował. Kiedy skończył, podziękował jej za pomoc.

— Powodzenia, doktorze.

Neef zadzwonił do gabinetu Tima Heatona, ale nikt nie odbierał telefonu. Znalazł w papierach na biurku jego numer domowy i spróbował jeszcze raz. Wreszcie się udało.

— Tim? Tu Michael Neef. Potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o jednego z moich pacjentów. Chciałbym, żeby nasz szpital w trybie pilnym wystąpił o natychmiastowe wydanie zezwolenia na stosowanie nowego wektora Menogenu. Mam wszystkie szczegóły niezbędne do złożenia wniosku. Podam ci je. Będziesz mógł tu przyjechać?

— Ależ jest niedzielny wieczór, Mike.

— Dla moich pacjentów niedziele uciekają jak wszystkie inne dni, Tim. A temu jednemu to może pomóc.

Heaton ugiął się pod presją moralnego szantażu, czego Neef się spodziewał.

— No... dobrze. Niech będzie — odrzekł. — Zajmę się tym, ale gdzie jest powiedziane, że ten wektor będzie skuteczniejszy od poprzednich?

— Nie mam takiej pewności — wyznał szczerze Neef.

— Przepraszam. Pytanie nie na miejscu — wycofał się Heaton.

Neef uporządkował pisane pod dyktando notatki tak, by były przejrzyste i przepisał je na maszynie Ann Miles dla Heatona. Dołączył szczegóły dotyczące Neila Bensona i wsunął dwie kartki papieru do dużej koperty. Poszedł do bloku administracyjnego i zostawił ją pod drzwiami gabinetu Heatona. Wiedział, że wniosek nie zostanie złożony w niedzielny wieczór, ale gdyby Heaton zapoznał się jeszcze dzisiaj z zakresem wymaganych formalności, mógłby nadać sprawie bieg od razu w poniedziałek rano.

Wrócił na oddział i odnalazł Ewę w sali Neila. Przyglądał się jej przez chwilę przez szybę. Była odwrócona do niego plecami. Zauważył, że postawiła jeden z samochodów strażackich malca na jego łóżku, i chyba opowiadała Neilowi bajkę o nim. Chłopiec słuchał, ale nie miał siły na nic więcej. Dni, gdy z zapalem bawił się swymi ukochanymi samochodami dobiegały końca. Lekarstwa nie tylko uśmierzały ból, lecz również przytępiały jego zmysły. Neef przełknął ślinę i wziął głęboki oddech, zanim zdecydował się wejść do sali.

— Cześć wam — powiedział wesoło. — Co porabiacie?

— Czytamy bajkę — odrzekła pogodnie Ewa dostosowując się do nastroju, jaki chciał wprowadzić Neef.

— Czy przypadkiem nie o strażaku?

— A o kimżby innym? — uśmiechnęła się Ewa. — Nazywa się Maxwell. Maxwell Gunn.

— A co Maxwell dzisiaj robił?

— Ratował kotkę imieniem Dolly, która wlaźła na wysokie drzewo, rosnące tuż nad rzeką.

— Moją Dolly?! — wykrzyknął Neef.

— Tak, ale się nie martw. Już wszystko w porządku. Maxwell bezpiecznie zniósł ją na dół po obrotowej drabinie.

— Dzięki Bogu! — odetchnął Neef. — Nie wiedziałem, że Neil słyszał o mojej kotce Dolly.

Neil wolno pokiwał głową.

— Słyszał — potwierdziła Ewa. — Opowiadałam mu o niej. Dolly często występuje w naszych historyjkach.

— W takim razie, nadszedł czas, by Neil poznał prawdziwą Dolly — oświadczył Neef.

— Co ty na to, Neil?

Chłopiec znów wolno pokiwał głową.

— Jak tylko poczujesz się troszkę lepiej, Tygrysie, zabiorę... zabierzemy cię do niej. A teraz odpocznij. Zobaczymy się rano.

Ewa wyszła za Neefem z sali i udała się z nim do gabinetu.

— On niknie w oczach — powiedziała.

— Częściowo to вина lekarstw — wyjaśnił Neef. — Usypiają go.

— Jak długo to jeszcze potrwa?

— Zostało mu najwyżej kilka tygodni.

— Czy wiesz, co zrobiłam, kiedy rano pojechałeś do szpitala?

— Nie.

— Poszłam do kościoła.

Neef poczuł się zakłopotany. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

— Nie licząc ślubów i pogrzebów, byłam tam chyba po raz pierwszy od czasu skończenia szkoły. Modliłam się za Neila. Jesteś praktykujący?

— Nie — odparł Neef.

— Ja też nie. Ale dziś rano uznałam, że pójście do kościoła to dobry pomysł. Kiedy czegoś bardzo się pragnie, robi się różne dziwne rzeczy, próbuje się wszystkiego, prawda?

— Chyba tak — odrzekł Neef.

Szybko zmienił temat, bo nie chciał na razie jeszcze nic mówić o nowym wektorze Pereiry. Wolał nie wzbudzać w Ewie fałszywych nadziei.

— Jestem głodny, a ty?

— Trochę.

— Na Ayton Road jest dobra chińska restauracja. Co ty na to?

— Zaryzykuję.

W niedzielny wieczór w lokalu było spokojnie. W sali siedziała tylko jedna para. Wokół przyjemnie dźwięczała przyciszona chińska muzyka. Przeglądając jadłospis Neef pociągał dzin z tonikiem, a Ewa popijała campari.

— Co polecasz? — zapytała.

— Wszystko, co jest w sosie z czarnej fasoli.

— Spróbuję — zgodziła się Ewa, ale zerknęła na zegarek.

Neef zauważył to.

— Przepraszam — powiedział. — Czyżbyś uważała, że zwabiłem cię tutaj podstępem?

— Ależ nic podobnego — zapewniła. — Tylko muszę jeszcze napisać artykuł i to nie dla „Citizena”.

Neef spojrział na nią zdziwiony.

— Jednej z gazet o zasięgu ogólnokrajowym spodobał się mój pierwszy artykuł na temat strachu przed rakiem, więc zaproponowała mi napisanie następnego. Zależy mi na tym, żeby był dobry. To dla mnie wielka szansa.

— Tego właśnie chcesz? — spytał Neef. — Pracować w gazecie ogólnokrajowej?

— Ja chcę wydawać taką gazetę — roześmiała się Ewa.

— Jesteś ambitna. Jak Max.

Uśmiech zniknął z twarzy Ewy.

— A czy to coś złego?

— Oczywiście, że nie. Pod warunkiem, że ambicja zbytnio cię nie zżera.

Przez kilka chwil oboje milczeli.

— Uważasz, że tak jest w przypadku Maxa? — zapytała w końcu Ewa.

Neef skrzywił się.

— On wcale nie ukrywa, czego oczekuje od życia i ciężko pracuje, by to osiągnąć. Ale Farro-Jonesa niepokoi to, że nie wiemy, ile zakrętów ścina po drodze Max i jak dalece on i Menogen są gotowi iść na skróty.

— Kupiłbyś od Maxa Pereiry używany samochód? Niech zgadnę...

— No więc się rozumiemy — odparł Neef.

— Ale sam przecież mówiłeś, z iloma to kontrolami i zabezpieczeniami ma do czynienia Max w swojej pracy — zauważyła Ewa.

— Zgoda — przyznał Neef. — Byłem tam. Firma wywarła na mnie wrażenie. To doskonale prowadzona placówka. Solą w oku Maxa jest to, że pracowni uniwersyteckie nie muszą przestrzegać tych wszystkich przepisów, które obowiązują przedsiębiorstwa komercyjne. Uważa, że są traktowane zbyt ulgowo.

— A są?

— Szczerze mówiąc, tak.

— A gdyby sprawdziły się najgorsze przypuszczenia i okazałoby się, że te za chorowania na raka rzeczywiście spowodował nowy wirus pochodzący z pracowni Maxa? Co wtedy?

— Max zostałby rzucony wilkom na pożarcie — odparł Neef.

— Tak po prostu? Żadnych okoliczności łagodzących? — zdziwiła się Ewa.
— Przecież to jego wynalazek uratował życie temu chłopcu, Thomasowi Downy.

— Max nie miałby nic na swoją obronę — powiedział z naciskiem Neef. — Jeśli o mnie chodzi, to gdyby okazało się, że Menogen jest winny śmierci Melanie i innych, mogą zamknąć tę firmę raz na zawsze i wyrzucić klucz.

— Nie zrozum mnie źle, Michael — poprosiła z wahaniem Ewa. — Wiem, pomyślisz, że jestem nieczuła... Ale gdyby to najgorsze okazało się prawdą, czy zwolniłbyś mnie z naszej umowy i pozwolił mi opublikować tę historię, zanim zdążyliby to zrobić inni?

— Przypuszczam, że tak — odrzekł Neef. — Ale to się nie zdarzy.

— Oczywiście, że nie.

W tym momencie podano jedzenie.



W poniedziałkowy poranek pierwszy telefon, jaki otrzymał Neef był od Franka MacSweena. Dzwonił z domu.

— Betty i ja właśnie wyjeżdżamy na jeziora. Zdecydowałem się wziąć krótki urlop. Muszę trochę odsapnąć. Nasza patologia będzie tymczasowo nieczynna. Wszystkie sekcje zostały przeniesione do Uniwersyteckiego.

— Cieszę się, że zrobisz sobie przerwę — odrzekł Neef. — Wyjazd przyda się bardzo wam obojgu.

— Szczerze mówiąc, dzwonię dlatego, że chciałem cię poprosić o przysługę.

— Strzelaj.

— Dziś wieczorem Katedra Patologii na Uniwersytecie wydaje pożegnalną kolację dla Eddie'ego Millera. Odchodzi na emeryturę. Ja tam nie pójdę, ale był bym wdzięczny, gdybyś mnie zastąpił. Nie sądzę, by w tej uroczystości wzięło udział dużo osób ze św. Jerzego, jeśli w ogóle ktokolwiek się tam pojawi. Byłby wstyd, gdyby nikt nas nie reprezentował. Wiem, że Eddie nie odchodzi w glorii chwały, ale jeśli jakaś profesja usprawiedliwia sięganie po butelkę, to jest nią patologia. Znam go od wielu lat. Kiedyś był naprawdę dobrym fachowcem.

— Jeśli ci na tym zależy — odrzekł Neef.

— Znasz go, prawda?

— Tak, ale niezbyt dobrze. Spotkaliśmy się kilka razy, to wszystko.

— To przyjęcie odbędzie się w Salach Connaught na Uniwersytecie. Początek o siódmej trzydzięci. Stroje wieczorowe.

— Dobrze, pójdę tam. Przekażę Eddie'emu twoje najlepsze życzenia.

— Bardzo cię proszę.

— Jasna cholera! — zaklął Neef, gdy odłożył słuchawkę.

Do pokoju akurat weszła Ann Miles z jakimiś papierami.

— Problemy? — zapytała.

— Kiedy ostami raz oglądałem mój smoking, przypominał popularną miejscowość wakacyjną dla moli.

— To wypożycz inny — doradziła Ann.

— Nie mam na to czasu — odparł Neef.

— Podaj mi swój rozmiar. Zadzwoń do wypożyczalni, z której korzysta mój mąż. Dostarczą ci smoking pod wskazany adres.

— Świetnie — ucieszył się Neef.

Po chwili zadzwonił Tim Heaton. Był ciekaw, czy Neef widział artykuł Marka Louradisa w „Mail”. Neef zaprzeczył.

— Jest doskonały — zachwycił się Heaton. — Zajmuje dobre pół strony i zawiera wykresy wyjaśniające, do czego służą wektory Menogenu. Tego właśnie było nam potrzeba. Niech ludzie wiedzą, że jesteśmy wiodącą placówką medyczną.

— Mhm... — mruknął Neef bez entuzjazmu.



Neef przyjechał na Uniwersytet o siódmej czterdzieści pięć. Sale Connaught mieściły się na trzecim piętrze najstarszego budynku uczelnianego kompleksu. Odbывwały się w nich wszystkie oficjalne uroczystości, podczas których pożądana była atmosfera akademickiego dostojeństwa. Pożegnalna kolacja na cześć odchodzącego na emeryturę członka personelu była jedną z takich właśnie okazji. Neef pomyślał, że już sam hall wejściowy wygląda tak okazale, że działa na przybysza onieśmialająco. Za recepcyjnym kontuarem tkwił umundurowany mężczyzna, jedyna żywa istota pośród portretów byłych kanclerzy i królewskich urzędników. Podniósł wzrok znad gazety, zauważył czarną muszkę Neefa i zrobił zapraszający gest, pokazując schody.

— Dobry wieczór, sir.

— ...bry wieczór — odpowiedział Neef, przeciął hall wyłożony marmurową posadzką i skierował się ku wielkiej klatce schodowej, wiodącej na pierwsze piętro. Schody z białego, włoskiego marmuru rozchodziły się na wysokości dwunastego stopnia w dwóch kierunkach i pięły spiralnie z lewej i prawej strony do otwartego półpiętra. Za dnia główną klatkę schodową oświetlał blask przedostający się przez umieszczoną wysoko w górze szklaną kopułę. Po zmroku zapalano kandelabry z kutego żelaza.

Gdy Neef dotarł w końcu do Sal Connaught, zastał tam już trzydzieści, czy czterdzieści osób. Wszyscy tłoczyli się przed główną jadalnią, popijając sherry. Ubrane na czarno kelnerki pasowałyby bardziej do herbaciarni z lat trzydziestych. Miały twarze pozbawione wyrazu i czujne spojrzenia, kiedy uwijały się wśród tłumu, cały czas uważając, by nie wpaść na kogoś, kto akurat robi krok do tyłu, lub by nie zderzyć się z czyimś beztrosko wyciągniętym ramieniem.

— Drinka, sir? — zaproponowała jedna z nich.

Neef skorzystał z zaproszenia, uśmiechnął się i rozejrzał, szukając znajomych twarzy. MacSween miał rację. Nie było tu wielu osób ze Szpitala św. Jerzego. Widząc osamotnienie Neefa, podszedł do niego David Farro-Jones, prowadząc pod rękę żonę Jane. Była równie ładna jak Farro-Jones przystojny. I czarująca.

— Nie sądziłem, że tu będziesz, Michael — zdziwił się Farro-Jones.

— Witaj, Michael. Nie widziałam cię od wieków — powiedziała Jane. — Wciąż powtarzam Davidowi, że musimy zaprosić cię na kolację.

— To miło z twojej strony — uśmiechnął się Neef. — Właściwie jestem tu przez przypadek. Frank MacSween prosił, żebym go zastąpił. Wziął urlop. Bardzo przeżywa śmierć wnuczka.

— Biedny Frank — westchnęła Jane.

— To absolutna tragedia — przyznał Farro-Jones.

— Prawdę mówiąc... — zaczęła cicho Jane — uważam, że większość ludzi przyszła tutaj pod fałszywym pozorem. W rzeczywistości cała Katedra Patologii z ulgą pozbędzie się starego Eddie'ego. Stanowimy tu tylko elegancką fasadę, a wiadomo, jak sprawy stoją.

Gdy goście zasiedli do niejadalnej właściwie kolacji, cały wieczór wydał się Neefowi kiepską farsą. Mięso było twarde, jarzyny konsystencją przypominały gąbkę, a w dodatku jedzenie zdążyło wystygnąć przed podaniem na stół, gdyż kuchnia znajdowała się daleko od jadalni. Ludzie udawali, że wszystko jest w porządku, nie chcąc psuć Eddie'emu uroczystego wieczoru. Wymieniano znaczące spojrzenia i unoszono brwi, ale nikt się nie skarżył. W milczeniu przeżuвано potrawy.

Takie same spojrzenia towarzyszyły mowie dziekana, który podkreślał zasługi Eddie'ego dla uniwersytetu, wydziału medycyny i katedry patologii szczególnie. Jego bezinteresowne oddanie dla pracy wskazane zostało w przemówieniu jako przykład do naśladowania, zwłaszcza przez młodych, choć, jak zauważył Neef, nikt z tej grupy nie był obecny. Litanię pochwał zakończyło wręczenie Eddie'emu przez zastępcę dyrektora uczelni zegara. Żona Eddie'ego, Trudy, dostała bukiet kwiatów. Eddie przez cały czas siedział ze spuszczoneymi oczami i uśmiechem błakającym się na wargach. Gdy wstał, by podziękować, omal nie przewrócił się do tyłu. Był już mocno pijany. Kelnerki wymieniły znaczące spojrzenia. Biesiadnicy uśmiechali się niepewnie, czekając z zażenowaniem, co też Eddie będzie miał do powiedzenia.

— Przyjaciele... — zaczął bohater wieczoru, a jego nieco bełkotliwy głos po twierdził podejrzenia kelnerek. — Nie wiem, co mam powiedzieć...

Po policzkach Eddie'ego spłynęły łzy wzruszenia. Mowa dziękczynna, którą następnie wygłosił mogłaby pod względem rozwlekłości i braku związku z tematem zawstydzic niejednego zdobywcę Oscara. Każdy z wdzięcznością powitał moment, gdy wice-

dyrektor wykorzystał chwilę przerwy w wywodach Eddie'ego i zaintonował: „Bo z niego jest porządny facet...” Chóralny śpiew uniemożliwił Eddie'emu kontynuowanie przemówienia. Zebrani nie zamierzali dopuścić go znów do głosu.

— Czy to już naprawdę koniec? — szepnęła do ucha Neefa Jane.

— Daj Boże — westchnął Neef.

Ludzie zaczęli krążyć po sali, więc Farro-Jones skorzystał z okazji, by porozmawiać z Neefem na temat wirusa.

— Jeszcze nic nie znalazłem — zwierzył się. — Ale pracuję nad tym wszystkie trzy elektronowe mikroskopy.

— A co powiedziałeś personelowi? — zapytał Neef.

— Sam przygotowałem preparaty, więc nikt nie wie, że próbki pochodzą od Charlie'ego. Po prostu poprosiłem moich ludzi o raport na temat wszystkich wirusów, jakie zauważą.

— W porządku.

— O czym tak obaj szepczecie?! — zagrział nagle tubalny głos.

Neef przestraszył się, gdy ciężka dłoń spoczęła na jego ramieniu. Za nimi stał Eddie.

— Nie jestem pewien, czy się znacie — powiedział z zakłopotaniem Farro-Jones.

— Nic nie mów... Niech zgadnę... — Eddie chwiejnie wycelował w Neefa palec. — To Onkologia Numer Jeden, św. Jerzy... Neef!

— Zgadza się — potwierdził Neef. — Spotkaliśmy się już kilka razy. Frank MacSween prosił, żebym tu wpadł i przekazał ci jego gorące przeprosiny, Eddie. Wyjechał z Betty na krótki urlop na jeziora.

— Biedny Frank — wybełkotał Eddie. — Żeby tak stracić wnuczka...

— Tak, to bardzo smutne — przyznał Neef.

— Kiedy wreszcie ci faceci z Wydziału Zdrowia wytropią tę cholerną zarazę, co? — zapytał Eddie.

— Nie idzie im zbyt dobrze — zgodził się Neef.

— Nie idzie im zbyt dobrze?! — Eddie teatralnym gestem uniósł brwi. — Ślepy w mglistą noc poradziłby sobie lepiej.

— Czy mogę porwać cię na minutkę, kochanie? — odezwała się wtem Jane Farro-Jones, która pojawiła się jakby znikąd. Ujęła męża pod ramię i delikatnie odciągnęła na bok. Jej misja ratunkowa powiodła się i Farro-Jones został wybawiony z opresji. Nieszczęsny Neef pozostał na placu boju sam z Eddie'em.

— Ciągłe nie są w stanie ustalić, w jaki sposób uległa skażeniu pierwsza pacjentka — powiedział Neef.

— Pierwsza pacjentka? — wymamrotał Eddie.

— Melanie Simpson — wyjaśnił Neef dziwiąc się sobie, po co, na Boga, prowadzi tę konwersację.

Eddie trzykrotnie postukał się palcem w nos i pokręcił głową.

— Ona nie była pierwsza — stwierdził.

Neef poczuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki. Ale mowa Eddie'ego była tak niewyraźna, że mógł się przesłyszeć.

— Słucham?! — zapytał.

— To ja... — oznajmił Eddie z triumfalną miną. — Ja miałem pierwszą pacjentkę.

— Co ty wygadujesz, Eddie? — Neef był zaintrygowany. — Miałeś już wcześniej do czynienia z takim przypadkiem, jak Melanie Simpson?

Eddie z przesadnym zapałem pokiwał głową.

— No pewnie!

— Kto to był? Kim była ta pacjentka? — zaczął się dopytywać Neef, ale Eddie już się rozglądał za następną kolejką do wypicia. Nudziło mu się bez alkoholu. — Kiedy to było? — naciskał Neef.

— Kilka tygodni temu — rzucił Eddie wyraźnie porytowany, że nie może znaleźć drinka.

Neef zwalczył w sobie chęć przyciśnięcia Eddie'ego do ściany i wyduszenia z niego interesujących go odpowiedzi. Natomiast zaproponował uprzejmie:

— Może przyniosę ci coś do picia? — Jego umysł pracował gorączkowo. Zadanie nie było łatwe. Wprawdzie nikt nie miał ochoty rozmawiać z Eddie'em, ale gdyby zostawił go na chwilę samego, ktoś mógł jednak poczuć się w obowiązku, by podejść do honorowego gościa. Okazja, aby dowiedzieć się wszystkiego mogłaby przepaść bezpowrotnie. Musiał wyciągnąć z Eddie'ego informacje właśnie teraz. Nie chciał ryzykować wycieczki do baru. Trwałaby zbyt długo. Spojrzał w bok i zauważył, że w pobliżu rozmawiają trzy osoby. Tuż obok nich, za marmurowym filarem, stał mały stolik, a na nim szklaneczki z alkoholem należące do zatopionej w rozmowie trójki. Neef zrobił trzy kroki, okrążył filar, po czym opadł na kolana i z ukrycia sięgnął po jedną ze szklaneczek. Ale szczęście mu nie dopisało. Stojąca najbliżej kobieta zerknęła w dół i zobaczyła, co robi.

— No wie pan! — wykrzyknęła oburzona.

Neef nie wypuścił z ręki drinka. Niezgrabnie wzruszył ramionami i wrócił do Eddie'ego. Kobieta natychmiast zaczęła relacjonować swoim towarzyszom, co zaszło. Ale ponieważ byli na uniwersytecie, a nie w knajpie, Neef liczył na to, że skończy się na gadaniu i nikt nie podejmie interwencji. W końcu, obowiązywały tu pewne normy. Wcisnął szklaneczkę w dłoń Eddie'ego.

— Dzięki ci, Neef — ucieszył się bohater wieczoru. — Dzięki, stary.

— Eddie, czy ja cię dobrze zrozumiałem? Zanim wypłynęła sprawa Melanie Simpson zdarzył się podobny przypadek i określiłeś go w raporcie z sekcji jako rak oskrzela?

— Oficjalnie nie. Oficjalnie to był zator w płucach. Ale widziałem nowotwory. Dostrzegłem je.

— Kim była pacjentka, Eddie?

— Dziewczynką.

— Dziewczynką? Małą dziewczynką? A może w wieku Melanie?

— Mniej więcej.

— Dlaczego nie zgłosiłeś obecności nowotworów, Eddie?

Eddie pociągnął łyk alkoholu i przyjrzał się Neefowi.

— Daj spokój, Neefy... To moje przyjęcie. Powinienem się dobrze bawić. Chodź, poznasz moją żonę, Trudy. Jest ze mną na dobre i na złe... — Chwiejnym krokiem ruszył przed siebie.

Neef zatrzymał go delikatnie.

— Powiedz mi tylko, dlaczego nie zgłosiłeś obecności nowotworów, Eddie?

— Pozwól, że coś ci powiem, Neefy... — Eddie zniżył głos do szeptu. — Tajemnica spokojnego życia polega na tym... żeby mówić ludziom to, co chcą usłyszeć. Otóż to, synu... Mów im to, co chcą usłyszeć. On nie chciał nic słyszeć o nowotworach, no to ja nie wspominałem o nowotworach. Jasne i proste, no nie? A co mi za różnica, tak? Mam spokój — Eddie czknął głośno i zakończył swój monolog słowami: — Ta drobina i tak już nie żyła. Nic nie mogło jej wskrzesić.

— Kto nie chciał słyszeć o nowotworach, Eddie?

Eddie spojrzał na Neefa, jakby miał do czynienia z niedorozwiniętym.

— No on! — wykrzyknął.

— Kto to jest „on”, Eddie?

— Przepraszam cię, stary — rozległ się nagle za Neefem poirytowany męski głos. Neef poczuł klepnięcie w ramię. — Moja żona twierdzi, że zabrałeś jej drinka. Jak chcesz się napić, to bar jest tam.

— Spadaj! — warknął Neef przez zaciśnięte zęby.

Mężczyzna się cofnął.

— Coś takiego! — wykrzyknął.

— O co chodzi z tym drinkiem? Komu go zabrałeś? — zainteresował się Eddie. Odepchnął Neefa i zawołał do zdenerwowanego mężczyzny: — Co jest, Harold? Ja stawiam. Wszystkim. To moje przyjęcie. A na moim przyjęciu nikomu nie zabraknie picia.

Neef uznał, że niestety decydujący moment minął. Eddie zataczając się ruszył w kierunku całej trójki, wpatrującej się w Neefa miażdżącym wzrokiem. Poczuł się jak ostatni dureń i odwrócił głowę. Po chwili namysłu poszedł do baru, zamówił duży dzin z tonikiem i dwoma łykami opróżnił szklanekę.

— Aż tak źle? — usłyszał obok.

Przy nim stał Farro-Jones.

Neef potrząsnął głową, ale nie był w stanie odpowiedzieć.

— Wiesz, czego ci potrzeba? — zapytał Farro-Jones. — Takiej żony jak Jane. Ona ma wprawę w ratowaniu mnie z takich opresji.

— Zauważyłem — odparł Neef.

— Chodź, przyłącz się do nas.

— Eddie powiedział mi, że Melanie Simpson nie była pierwszą pacjentką — zakomunikował Neef.

— Co?! — wykrzyknął Farro-Jones.

— Twierdzi, że wcześniej był już taki przypadek, ale nie umieścił tego w raporcie.

— Ale dlaczego, na miłość Boską?!

— Podobno ktoś nie chciał o tym słyszeć.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

— Nie mogłem z niego wyciągnąć nic sensownego. Jest zalany w trupa.

— Zalewa się bez przerwy od osiemnastu miesięcy — zauważył Farro-Jones. — Jesteś pewien, że nie gadał po prostu jakichś bzdur?

— Być może — przyznał Neef. — Ale uważam, że powinniśmy to zbadać.

— Absolutnie! — zgodził się Farro-Jones. — Mówił mi wcześniej, że zamierza wpaść jutro do pracy, żeby posprzątać swoje biurko i pożegnać się ze wszystkimi. Moglibyśmy go złapać, póki będzie stosunkowo trzeźwy i spróbować dowiedzieć się czegoś.

— Będę około dziesiątej — obiecał Neef.

— Co tam obaj knujecie? — spytała Jane Farro-Jones, stając między mężczyznami i biorąc ich obu pod ramiona.

— Zastanawiamy się właśnie, jak zakończyć ten uroczy wieczór — wyjaśnił jej szepem mąż.

— Tylko niech to nie trwa zbyt długo — poprosiła Jane.

Eddie już ledwo trzymał się na nogach. Z obu stron podtrzymywali go dwaj kole-dzy z Katedry Patologii. Wyprowadzili go na środek sali i wicedyrektor donośnym głósem, pasującym do jego stanowiska i do człowieka jeżdżącego volvo kombi, rozkazał, by sformować koło.

Obce ręce spłotły się nerwowo w uścisku i zebrani utworzyli krąg. Dziekan zainto-nował „Stare dobre czasy”. Eddie wisiał na ramionach swych dwóch kolegów jak kurczak na rożnie. Tymczasem ludzkie koło to zbliżało się, to oddalało od niego. Teraz tylko brakuje, żeby zwymiotował, pomyślał Neef. Ale na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Uroczystość zakończyła się wzajemnym poklepywaniem po plecach, a podczas wkładania płaszczy w marmurowych salach rozbrzmiewały słowa: „Wspaniały wieczór!”

Na zewnątrz powietrze pachniało przyjemnie, gdy Neef wyszedł w noc. Zamierzał zaraz złapać taksówkę, ale jeszcze przez chwilę chciał być sam.

Za drzwiami znalazł kartkę od Ewy. Próbowwała się z nim spotkać, ale go nie zastała. Zostawiła mu gazetę z artykułem na temat strachu przed rakiem. Neef zaczął wyrzucać

sobie, że nie powiedział Ewie o pożegnalnej kolacji na cześć Eddie'ego, ale w głębi duszy musiał przyznać przed samym sobą, że nie było to tylko przeoczenie. Poprzedniego wieczoru Ewa zirytowała go trochę, śpiesząc się tak bardzo do pisania swojego artykułu. Wiedział, że to dziecinada, ale czuł potrzebę zademonstrowania swojej niezależności. Tak było wczoraj. Dziś, po powrocie z okropnej uroczystości nie czuł już tej potrzeby. Żałował, że nie ma z nim teraz Ewy.

Podniósł gazetę i zasiadł do czytania.

14

Poniedziałek zaczął się od zebrania kierownictwa szpitala. Właściwie nie było o czym dyskutować. Jedynie Carol Martin, szefowa pielęgniarek znów poprosiła, aby zwiększyć liczbę nocnego personelu. Zabiegała o to od kilku tygodni, szukając poparcia u poszczególnych lekarzy-konsultantów. Twierdziła, że zbyt dużo odpowiedzialności spoczywa na barkach zbyt małej grupy kobiet. Neef obiecał jej swoje poparcie i słowa dotrzymał. Heaton i jego prawa ręka, Phillip Danziger odpowiedzieli, że zobaczą, co da się zrobić.

Następnie Tim Heaton pogratulował Markowi Louradisowi udanego artykułu na temat terapii genowej.

— Oto, co nazywam pozytywnym dziennikarstwem — oświadczył Heaton. — Opinia publiczna będzie teraz postrzegać św. Jerzego jako placówkę medyczną stosującą najnowsze osiągnięcia nauki. Lekarze ogólni zobaczą, że jesteśmy przodującym szpitalem. Będą zadowoleni mogąc przysyłać do nas pacjentów.

Neef zauważył, że podczas zebrania Louradis unika kontaktu wzrokowego z nim. Miał pewną satysfakcję wiedząc, że tamten czuje się winny z powodu szukania rozgłosu za wszelką cenę. Ale czas, kiedy złościło to Neefa minął. Z filozoficznym spokojem pogodził się z tym, że niektórzy ludzie tak właśnie postępują.

Heaton zadowolony był zwłaszcza z tego, że wreszcie uwagę obawiających się raka skierowano na Wydział Zdrowia, a nie na szpital. Twierdził, że tak właśnie powinno być. Podniósł tę kwestię na zebraniu i jego zdecydowane stanowisko w sprawie zorganizowania niedzielnej konferencji prasowej poza murami św. Jerzego spotkało się z dużym uznaniem.

— A przy okazji, jak oceniacie reportaż o zagrożeniu rakiem? — zapytał.

— Po większej części alarmistyczny — orzekła Carol Martin. — Po przeczytaniu go niektórzy gotowi pomyśleć, że tajemniczy czynnik rakotwórczy to obleśny, zielony potworek pokryty łuską, czyhający w ciemnych zaułkach na nieostrożnych przechodniów.

— Może gdyby tak było, mielibyśmy ułatwione zadanie — stwierdził Neef. — Przynajmniej wiedzielibyśmy, z czym mamy do czynienia.

— A co ty sądzisz o tym materiale prasowym, Michael? — spytał Heaton.

— Uważam, że opisuje przedstawicieli odpowiednich władz jako niezbyt inteligentnych ludzi, ale to stało się niemal narodową rozrywką w dzisiejszych czasach. Moim zdaniem, nie ma tam nic krzywdzącego.

— Sądzę, że niesprawiedliwie oceniono ludzi Wydziału Zdrowia — odezwał się John Marshall. — Nie mają w tej chwili najłatwiejszego zadania.

— Ale nie da się zaprzeczyć, że nie posunęli się ani o krok w poszukiwaniach przyczyny zachorowań. Są dziś dokładnie w tym samym punkcie, w którym byli tuż po pierwszym przypadku — zareplikował Neef.

— To niekoniecznie ich wina — odparł Marshall.

— Nie mówię, że ich — skontrował Neef. — W gruncie rzeczy zgadzam się z tobą, ale to w niczym nie zmienia faktu, że do niczego nie doszli.

Neef zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta trzydzieści pięć. Miał być na uniwersytecie o dziesiątej.

— Dzień pełen zajęć, Michael? — zapytał Heaton zauważywszy ten gest.

— Jak wszystkie — westchnął Neef.

— No cóż... Jeśli nie ma więcej spraw...

Wszyscy przecząco pokręcili głowami.

— A zatem zaczynamy nowy tydzień.

Heaton podszedł do Neefa i poinformował go, że nadał już bieg sprawie wniosku o uzyskanie w trybie nadzwyczajnym pozwolenia na używanie wektora.

— Jestem ci wdzięczny — odpowiedział Neef.

— Naprawdę wierzysz, że to może się udać?

— Jestem optymistą. Muszę nim być.

Heaton uśmiechnął się szeroko.

— W twoim położeniu chyba nie możesz sobie pozwolić na nic innego, musisz być optymistą, inaczej byś zwariował. To niełatwa sprawa, ale jeśli dobrze sobie przypominam, podczas próbnej terapii odnieśliście jeden sukces.

— Thomas Downy — przytaknął Neef. — Nowotwór mózdzku, który zauważalnie maleje. Ten chłopiec ma dziś rano kolejny skanining. Zawiadomię cię, jaki jest wynik.

— Bardzo cię proszę! — powiedział z zapalem Heaton. — Taka historia byłaby świetnym uzupełnieniem artykułu Marka. Udana zastosowanie terapii genowej w walce z rakiem wysunęłoby nas na czoło w świecie medycyny. Szpital św. Jerzego stałby się sławnym ośrodkiem, wykorzystującym osiągnięcia nauki. Bylibyśmy znani na całej kuli ziemskiej jako najlepsi. Napływałyby pieniądze. Pacjenci kołataliby do naszych drzwi, byle tylko się tu dostać.

— Byłoby wspaniale — przyznał Neef beznamiętnym tonem.

— Mówię poważnie, Michael. Jeśli to dziecko całkowicie wyzdrowieje dzięki terapii genowej, to będziemy musieli rozważyć, jak najokazalej zaprezentować to prasie. Szpitalowi potrzebna jest reklama. Co ty na to?

Neef był rozbawiony tym, jak szybko Heaton żąda rewanżu za przysługę wyświadczoną zaledwie w niedzielę wieczorem.

— Zgoda, Tim — odrzekł. — Uważam, że jeśli nastąpi całkowite wyleczenie, a nie tylko remisja, my i Menogen zasłużymy na trochę uwagi.

Heaton wydawał się kompletnie zaskoczony tym, że Neef zgodził się tak łatwo i bez żadnych argumentów przeciw.

— Doskonale! — wykrzyknął w uniesieniu. — Każę Johnowi Marshallowi przygotować wstępny projekt kampanii.



Było pięć po dziesiątej, gdy Neef przekroczył próg pracowni Davida Farro-Jonesa.

— Przyszedłeś w samą porę na kawę, Michael.

— Millera jeszcze nie ma? — zapytał Neef.

— Dzwoniłem na dół kilka razy, ale nikt nie odpowiada. Zważywszy w jakim był wczoraj stanie zdziwiłbym się, gdyby w ogóle dziś się obudził.

Neef się uśmiechnął.

— Zdaje się, że długa i szczęśliwa emerytura, o której mówił wczoraj dziekan, to w jego przypadku tylko pobożne życzenie. Każdy kolejny dzień spędzi przy butelce.

— Moim zdaniem, będzie miał szczęście, jeśli pociągnie jeszcze rok — oświadczył Farro-Jones.

— Jak to znosi jego żona?

— Trudy? Myślę, że czeka aż Eddie umrze, żeby wreszcie mogła spokojnie dożyć swoich dni. Mają syna w Nowej Zelandii. Pewnie do niego pojedzie.

Do pokoju weszła sekretarka Farro-Jonesa, niosąc kawę.

— Bez mleka i cukru, zgadza się, doktorze?

— Co za pamięć! — odparł Neef. — Dziękuję.

— Marge mogłaby zawstydzić słonie — roześmiał się Farro-Jones.

— Nie jestem pewna, jak mam to rozumieć, doktorze — odpowiedziała Marge. — Odchudzam się.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem, a Marge wyszła.

— Może zejdziemy na dół, na patologię i zaczekamy tam na niego — zaproponował Farro-Jones, gdy skończyli kawę i wyczerpali temat koszmarnej kolacji pożegnalnej.

— Dobry pomysł — zgodził się Neef.

Dział Patologii w Szpitalu Uniwersyteckim był o wiele bardziej rozbudowany, niż u św. Jerzego, gdyż pełnił również funkcje dydaktyczne. Studenci pierwszego roku medycyny uczyli się tu anatomii i fizjologii, toteż potrzebne były duże pracownie. Farro-Jones poszedł do biura Eddie'ego na skróty, przez główne laboratorium prosekcyjne. Długie pomieszczenie o niskim suficie miało szyby z mrożonego szkła. Mogło tu pracować jednocześnie czterdziestu studentów podzielonych na dwuosobowe zespoły. Neef zmarszczył nos czując zapach formaldehydu.

— Jest tam kto? — zapytał Farro-Jones pukając do drzwi Eddie'ego. Potem pchnął je i wszedł do środka. Neef poszedł w jego ślady.

— Jeszcze go nie ma — stwierdził Farro-Jones.

— Ale jest jego marynarka — Neef wskazał część ubrania wiszącą na wewnętrznej stronie drzwi.

— Może to taka, którą zawsze tu trzyma — odrzekł Farro-Jones.

— Jego teczka też — Neef pokazał czarną walizeczkę na dokumenty, leżącą w rogu pokoju obok szafki.

— Dziwne... Może wyszedł i żegna się z ludźmi.

— Zapytajmy kogoś. — Po chwili Neef zastukał do drzwi obok.

— Proszę — odpowiedział głos mówiący z indyjskim akcentem.

— Szukam Eddie'ego Millera. Widział go pan dziś rano?

— Pół godziny temu. A kim pan jest, jeśli wolno...

Farro-Jones wetknął głowę do pokoju.

— Wszystko w porządku, Vijay. On jest ze mną. Przyszliśmy pożegnać się z Eddie'em.

— A, David! Eddie gdzieś tu jest.

— Wszystko z nim w porządku? — zapytał Farro-Jones.

— Wygląda, jakby trochę bolała go głowa.

— Dzięki, Vijay. Poszukamy go.

Neef i Farro-Jones obeszli całą patologię. Kilka osób widziało Eddie'ego, ale już dobre pół godziny temu. Wrócili więc do pokoju starego patologa. Jego marynarka i teczka nadal tam były. Postanowili zaczekać na jego powrót. Minęło dziesięć minut, ale Eddie się nie pojawił.

— No, dalej, Eddie... — mruknął Farro-Jones patrząc na zegarek. — Nie mogę tu sterczeć cały dzień. Mam swoją robotę.

— Poszukajmy go jeszcze raz — zaproponował Neef. — Może spaceruje gdzieś w nostalgicznym nastroju, patrząc po raz ostatni na dobrze znane miejsca. Rozdzielimy się, a potem znów spotkamy tutaj.

— Masz rację. Szkoda czasu na siedzenie w tym pokoju — zgodził się Farro-Jones.

Neef poszedł zgodnie z ruchem wskazówek zegara i najpierw trafił do muzeum patologii przeznaczonego dla studentów. Cicha sala pełna była oszklonych gablot z błyszczącego mahoni. Ich zawartość stanowiły zdeformowane i zniszczone chorobami narządy ludzkie. Zatrzymał się przy jednej z nich i obejrzał wyjątkowo zniekształcony płód. Napis poniżej brzmiał: USZKODZENIA WYWOŁANE PROMIENIOWANIEM.

W końcu sali siedział za biurkiem mały, zgarbiony człowieczek w uniformie uniwersyteckiego woźnego.

— Szukam doktora Millera. Nie widział go pan? — zapytał Neef.

Mężczyzna wydał z siebie świszczący, astmatyczny szept.

— Jakąś godzinę temu.

Neef opuścił muzeum i doszedł korytarzem do prosektorium używanego przez patologów szpitalnych oraz okręgowych specjalistów od medycyny sądowej. Studenci nie korzystali z niego, gdyż było finansowane przez szpitalny trust, a nie utrzymywane z budżetu przeznaczonego na cele edukacyjne. Zajrzał do środka. Jeden z patologów przeprowadzał akurat sekcję zwłok. Była to kobieta. Podniosła wzrok znad otwartego ciała i zapytała:

— Co pan tutaj robi?

Neef spojrzał przepaszająco na potężnie zbudowaną, rudowłosą postać o czerwonej twarzy trzymającą w ręce skalpel. Jej marsowa mina sprawiła, że poczuł się niepewnie.

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam — powiedział. — Jestem Michael Neef ze Szpitala św. Jerzego. Szukam Eddie'ego Millera.

— Tu go nie ma — odparła kobieta powracając do przerwanej pracy.

— Istotnie... nie... — Neef wycofał się cicho z sali. Gdy znalazł się po drugiej stronie drzwi odetchnął głęboko. To spotkanie przypomniało mu, jak bardzo nie lubi patologii i jak ten zawód działa na wykonujących go ludzi. Stres kobiety był niemal namacalny. Nic dziwnego, że Eddie tak skończył, pomyślał.

Ruszył przed siebie przez pomieszczenie, gdzie przechowywano zwłoki. Kiedy mijali rzędy ciężkich drzwi chłodni ciągnące się po obu stronach, przystanął na chwilę. Poczuli nagle dziwny przymus otwarcia którychś drzwi i zbadania zawartości komory. Uznał jednak, że pomysł jest idiotyczny i poszedł dalej. To miejsce drażniło go. Miał już dość błędzenia i bezowocnych poszukiwań. Przypomniawszy sobie drogę na skróty przez pracownię prosekcyjną do biura Eddie'ego i postanowił tamtędy wrócić.

Przemierzył połowę drugiego pomieszczenia, kiedy nagle jego uwagę zwrócił metaliczny dźwięk. Przystanął, nasłuchując. Po kilku sekundach odgłos się powtórzył.

— Jest tam ktoś? — zapytał.

Odpowiedziała mu cisza. Gdy dźwięk rozległ się po raz trzeci, Neef ruszył tam skąd, jak mu się zdawało, dochodził. Był wprawdzie lekarzem-konsultantem, ale poczuł się tak zdenerwowany, jak student medycyny mający po raz pierwszy zetknąć się z mar-

twym ciałem. Winił za to atmosferę tej pracowni. Źle na niego wpływała i uznał to za własną słabość. Ale z drugiej strony, był przekonany, że coś jest nie w porządku. Czuł to, a pierwszą zewnętrzną oznaką były ciarki przechodzące mu po plecach.

W końcu sali zobaczył ściankę działową. To stamtąd dochodził dźwięk. Okrążył ją powoli i ujrzał rząd pojemników podobnych do wanien. Były to zbiorniki z formaliną do konserwowania zwłok, na których uczyli się studenci. Gdy Neef przyglądał się im, nagły metaliczny dźwięk ozwał się znowu. Zabrzmiał gdzieś w górze nad ostatnim zbiornikiem. Neefowi na moment zamarło serce. Uniósł głowę i dostrzegł... niedomknięty lufcik. Wiatr poruszał okienkiem, które od czasu do czasu uderzało o pręt zabezpieczający je przed całkowitym otwarciem. To było źródło tajemniczego hałasu.

Neef zawstydził się własnej nerwowości. Podszedł do ostatniego w rzędzie zbiornika i rozejrzał się za czymś, na czym mógłby stanąć by domknąć lufcik. Nic takiego nie znalazł. Zastanawiał się, czy nie wejść na róg zbiornika, żeby móc dosięgnąć okienka. Ale kiedy spojrział w dół, nagle na powierzchni formaliny pojawiły się pęcherzyki powietrza. Neefowi zaparło dech w piersiach. Wtem bulgot ustał i wtedy jego oczom ukazała się blada, martwa twarz Eddie'ego Millera. Z ust nieżyjącego mężczyzny wydobyły się po chwili następne bąbelki. Powietrze uwięzione w jego płucach wypływało na powierzchnię.

— Jezu Chryste! — wyszeptał Neef, nie mogąc oderwać wzroku od straszliwego widoku. Słowa dziekana o „długiej i szczęśliwej emeryturze” zadźwięczały w jego głowie jak makabryczny żart.

Neef szybko odnalazł Farro-Jonesa i powiedział mu o swoim odkryciu. Razem powrócili na miejsce tragedii.

— Chryste! — mruknął Farro-Jones. — Co za los go spotkał... Ale jak to się mogło stać?

Neef popatrzył na poruszany wiatrem lufcik.

— Eddie musiał wspiąć się na róg zbiornika, żeby docisnąć okienko i stracił równowagę. Pewnie runął do tyłu, wpadł do formaliny i uderzył głową o krawędź pojemnika.

— Co za potworny pech — stwierdził Farro-Jones.

— I co nam teraz pozostaje? — zapytał Neef.

— Zastanawianie się, czy Eddie mówił prawdę.

— Właśnie — westchnął Neef. — Szkoda, że nie udało się z nim porozmawiać, kiedy był trzeźwy. Nie mam pojęcia, po co mógłby wymyślić coś takiego w stanie kompletnego upojenia alkoholowego.

— Rzeczywiście — zgodził się Farro-Jones.

— No cóż... — Neef spojrział na pływające w formalinie zwłoki. — Tego się już nigdy nie dowiemy.

— A może przejrzałbym kartotekę sekcji zwłok Eddiego? — zaproponował nagle Farro-Jones. — Mógłbym się zorientować, czy nie figuruje tam nikt odpowiadający temu, co twierdził Eddie. Pewnie nie podał ci nazwiska?

— Nie. Wypytywałem go o to, ale udało mi się jedynie dowiedzieć, że chodziło o dziewczynkę mniej więcej w wieku Melanie Simpson.

— To powinno wystarczyć — powiedział Farro-Jones. — Spróbuję coś znaleźć.



Neef mógł wrócić do siebie dopiero wówczas, kiedy minęła pora lunchu. Został przesłuchany przez policję i musiał wypełnić niezbędne formularze, dotyczące wypadku w Szpitalu Uniwersyteckim. Farro-Jones próbował namówić go na wspólny lunch, ale Neef odmówił, twierdząc że tego dnia stracił już wystarczająco dużo czasu. Gdy wreszcie dotarł na swój oddział, czekał na niego Lawrence Fielding.

— Spójrz na to — powiedział podekscytowany. — Oto wyniki ostatniego skaningu Thomasa Downy.

Neef natychmiast się zorientował, dlaczego Fielding jest taki podniecony. Nowotwór Thomasa zmniejszył się do rozmiarów ziarnka grochu. — To absolutny cud! — ucieszył się.

— Właśnie — zgodził się Fielding. — Jeśli mam być szczery, nie wierzyłem, że to nastąpi. Naturalnie miałem nadzieję, że może nam się powiedzie, ale tak na prawdę nie wierzyłem, że się uda. A tymczasem...

Neef uśmiechnął się.

— A co z innymi?

— Niestety, jedno wielkie rozczarowanie. U nikogo z pozostałych nie ma żadnych oznak poprawy. Muszę powtórzyć jeszcze raz, że moim zdaniem powinniśmy wrócić do konwencjonalnej terapii, albo zastosować antivulon, jeśli to będzie odpowiednie rozwiązanie.

— Dobrze — odrzekł Neef. — Nie ma po co dłużej zwlekać. Szkoda czasu.

— Nie musisz naradzić się z Maxem Pereirą albo z zarządem szpitala?

— Nie. To ja decyduję, co jest dobre dla pacjentów. Udzielam ci mojego „błogosławieństwa”. Mamy cztery porażki i jeden sukces... ale za to jaki!

Fielding uśmiechnął się.

— W tym tempie nowotwór zniknie do przyszłego tygodnia. Rozumiem, że dziś po południu przyjdą rodzice Thomasa. Chciałbyś z nimi osobiście porozmawiać?

— Ty to zrobisz — odparł Neef. — Nieczęsto zdarza się nam okazja przekazywania dobrych wieści.

— Dzięki — powiedział Fielding. — To cholernie przyjemne uczucie.

Neef nie mógł się powstrzymać od wesołego uśmiechu. Po raz pierwszy usłyszał z ust Fieldinga przekleństwo.

— Max Pereira wynalazł nowy wektor — poinformował go. — Uważa, że mógłby pomóc Neilowi Bensonowi. Szpital wystąpił o wydanie na to licencji w trybie nadzwyczajnym, żebyśmy mogli zastosować ten wektor.

— Rozumiem — Fielding pokiwał głową. Jego spojrzenie było pełne wątpliwości.

— Tak, wiem — stwierdził Neef z westchnieniem. — Dla Neila to trochę za późno. Ale mimo wszystko zamierzam spróbować.

— Masz całkowitą rację.

— Ewie jeszcze o tym nie mówiłem. Nie chcę rozbudzać fałszywych nadziei. I tak już cierpi wystarczająco z powodu Neila.

— Będę o tym pamiętał — obiecał Fielding.

— Kate Morse odezwała się?

— Rozmawiałem z nią dziś rano. Jest bardzo przybita. Nie sądzę, by Charlie'emu zostało wiele życia.

— Masz rację — przyznał Neef. — Ale może tak będzie lepiej...

— Podobno dziś rano zmarł ktoś z personelu Szpitala Uniwersyteckiego — przy pomniał sobie Fielding.

— Wieści szybko się rozchodzą — zauważył Neef. — To Eddie Miller, patolog. Zamykał okno w pracowni prosekcyjnej, poślizgnął się i wpadł tyłem do zbiornika z formaldehydem.

— Mój Boże!

— Wczoraj byłem na jego pożegnalnej kolacji. Wpadł rano do pracy tylko po to, żeby zabrać trochę swoich rzeczy. Był już na emeryturze — wyjaśnił Neef.

— Człowiek nigdy nie może przewidzieć, co go czeka — westchnął Fielding.



Tuż po czwartej Neef zadzwonił do Farro-Jonesa z zapytaniem, jak przebiega polowanie na wirusa.

— Niestety — usłyszał w odpowiedzi. — Jak dotąd, nie mamy szczęścia.

— Więc Menogen jest czysty?

— Niezupełnie. To, że nie znaleźliśmy nowego wirusa w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa nie przesądza sprawy. Nie mogę jeszcze powiedzieć, że niczego tam nie ma.

— Nie rozumiem — zdziwił się Neef.

— Może istnieje inna forma cząsteczki zakaźnej.

— Jaka?

— Mówiąc to, miałem na myśli priony — wyjaśnił Farro-Jones. — Jak ci wiadomo, to one wywołują BSE, czyli chorobę wściekłych krów, jak to nazywają nasi przyjaciele z prasy i oczywiście jej tak zwany ludzki odpowiednik, chorobę Creutzfeldta-Jakoba...

— Ja wiem co nieco o prionach, Davidzie, choć oczywiście to raczej twoja specjalność, nie moja. Ale...

— Chodzi mi o to — przerwał Farro-Jones — że BSE jest chorobą zakaźną, lecz nigdy nie znaleziono jej bakterii ani wirusa. W porządku, wiemy, że prionów, tych białkowych cząsteczek zakaźnych, nie można zobaczyć pod mikroskopem, ani sztucznie wyhodować. Ale one istnieją. I obecnie uważa się, że przenoszą BSE, chorobę C-J i to, co wykryto u owiec.

— Scrapie.

— Tak.

— Chyba nie sugerujesz, że Max Pereira stworzył coś takiego w swojej pracowni i potem to się stamtąd wydostało?

— To brzmi trochę jak science-fiction — odparł Farro-Jones. — Ale kiedy bawimy się DNA w laboratoriach, to nawet przy wszystkich środkach zapobiegawczych nie mamy stuprocentowej pewności, co z tego wyniknie. Chyba taka jest z definicji natura badań naukowych. Wciąż wypróbowuje się rzeczy nieznanne.

— Mój Boże — westchnął Neef. — Więc pewnie nie byłoby również sposobu na wytropienie, skąd coś takiego się wzięło i które laboratorium za to odpowiada?

— Nie.

— Naprawdę wierzysz, że coś takiego mogło się zdarzyć?

— Obowiązujące przepisy są dobre, ale jeśli dla równowagi dodasz chęć zysku i ambicje, otrzymasz niebezpieczny koktajl.

— Zapewne — przyznał Neef. — Będziesz szukał dalej?

— Jeszcze przez jeden dzień — odrzekł Farro-Jones. — Pomijając inne względy, nie możemy już pobrać od Charlie'ego Morse'a więcej próbek. Obawiam się, że wyszedł już na ostatnią prostą.

— Tak słyszałem — przytaknął Neef. — Przypuszczam, że nie miałeś jeszcze okazji zerknąć na kartotekę sekcji zwłok, które przeprowadził Eddie?

— Jeszcze nie. Straciliśmy dziś rano zbyt wiele czasu na rozmowy z policją i wypełnianie papierków. Ciągłe próbuję nadrobić zaległości. Zajmę się tamtą sprawą jak tylko będę mógł.

Neef odłożył słuchawkę, oparł łokcie na biurku i przetarł oczy. Kiedy znów je otworzył, zobaczył przed sobą Ewę.

— Pukałam — powiedziała. — Jestem tu mile widziana, czy nadal próbujesz mnie unikać?

— Nie próbuję cię unikać — zaprzeczył z naciskiem Neef. Podszedł do Ewy i pocałował ją lekko. — Wczoraj wieczorem musiałem wziąć udział w pożegnalnej kolacji wydanej dla kogoś, kto odchodził na emeryturę. Dowiedziałem się w ostatniej chwili, że mam tam iść. Zastąpiłem Franka MacSweena. Nie dość, że uroczystość była koszmarna, to jeszcze bohater wieczoru wpadł dziś rano do zbiornika z formaldehydem, uderzył o niego głową i zginął.

— Mówisz poważnie?! — wykrzyknęła Ewa.

— Niestety. Większość przedpołudnia zabrały mi rozmowy z policją.

— Dlaczego akurat tobie?

— Bo ja go znalazłem. Poszedłem tam dziś rano, żeby zapytać go o coś, co mówił wczoraj wieczorem.

— To musiało być straszne.

Neef pokiwał głową.

— Przyjemne nie było — przyznał. — Przyszłaś do Neila?

Ewa przytaknęła.

— Nie czuje się dziś zbyt dobrze. Pielęgniarka powiedziała mi, że w nocy bardzo cierpiał.

— Słyszałem.

— Ale chciał, żebym mu opowiedziała bajkę. Maxwell Gunn trafił dziś do portu. Ugasił płonący kuter rybacki kapitana Coda. Kapitan był Maxwellowi tak wdzięczny, że dał mu wielką rybę, żeby zjadł ją sobie przy herbacie po powrocie do remizy strażackiej... — Ewa odwróciła głowę i sięgnęła do torebki po chusteczkę. Przycisnęła ją na chwilę do oczu, po czym spojrzała na Neefa niemal wyzywająco.

Neef poczuł ucisk w gardle.

— Może pojedziemy do domu — zaproponował delikatnie.

— Bardzo chętnie — odrzekła Ewa.



— Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak ci się podobał mój artykuł — zauważyła Ewa, gdy potem leżeli obok siebie. W okna domku zaczęły właśnie bębnić krople deszczu. W drzwiach sypialni zatrzymała się Dolly, by zajrzeć do pokoju w drodze z hallu do kuchni. Popatrzyła z dezaprobatą na leżącą parę i powędrowała dalej.

— Uważam, że jest dobry — odrzekł Neef. — Przedstawiłaś stan faktyczny i nie wiele dodałaś od siebie.

— W gazecie dostałam pochwałę.

— W ogólnokrajowej?

— Tak. Myślę, że mogą mi nawet zaproponować stałą pracę w zespole redakcyjnym.

— A jeśli tak, to co by to oznaczało?

— Rozstanie się z „Citizenem”. Może również przeprowadzkę.

— Rozumiem... Kiedy?

— Jeszcze mi niczego nie zaproponowali! — obruszyła się Ewa. — Na razie mam na koncie tylko jeden artykuł.

— Ale gdyby?

— Pewnie od zaraz. Ale nie martw się na zapas. Dopóki Neil mnie potrzebuje, nie biorę pod uwagę wyjazdu stąd.

Neef chrząknął.

— Nie zamierzałem ci tego mówić, ale zmieniłem zdanie. Nie tak dawno temu ktoś mi powiedział, że nie mogę dźwigać wszystkiego tylko na własnych barkach.

Ewa uśmiechnęła się.

— Cieszę się, że nauka nie poszła w las.

— Otóż Max Pereira opracował nowy wektor wirusowy, który jego zdaniem mógłby pomóc Neilowi. Menogen nie miałby szans na szybkie uzyskanie zgody na używanie go, gdyby próbował załatwić sprawę normalną drogą. Ale szpital wystąpił o wydanie zezwolenia w trybie nadzwyczajnym. Dziś rano został złożony wniosek.

— Och, Michael! To cudownie! — wykrzyknęła Ewa siadając na łóżku.

Neef położył jej palec na ustach.

— Nie tak szybko — uprzedził. — W przypadku Neila naprawdę jest już bardzo późno. Czas działa na jego niekorzyść. I na naszą. Szanse nie są duże. Poza tym, sam wektor może się okazać nieskuteczny. Pamiętaj, że podczas oficjalnych prób tylko jeden na pięć spowodował poprawę stanu zdrowia pacjenta.

— Ale w wypadku Thomasa Downy zadziałał — upierała się Ewa.

— Owszem.

— Więc dlaczego nie zamierzałeś mi o tym powiedzieć?!

— Nie chciałem, żebyś robiła sobie zbyt wielkie nadzieje, a potem cierpiała, gdyby terapia okazała się nieskuteczna.

— Cieszę się, że jednak mi powiedziałeś. — Ewa z powrotem położyła głowę na poduszce. — Powinniśmy dzielić razem wszystkie smutki i radości, kiedy chodzi o Neila. On tyle znaczy dla nas obojga. Jak myślisz? Dostaniecie to pozwolenie?

— Nie widzę przeszkód — odparł Neef. — Problem w tym, jak długo to potrwa.

— Założę się, że czujesz się lepiej, kiedy mi o tym powiedziałeś.

— Masz rację — przyznał Neef. — Ulżyło mi.

— Może chcesz się ze mną podzielić jeszcze czymś, dopóki tu jestem? — Ewa wskazała na swoje ramiona. — Nie są szerokie, ale mogą dużo udźwignąć.

— Jest tego mnóstwo — wyznał Neef z uśmiechem. — Na przykład to, że David Farro-Jones nie znalazł żadnego nowego wirusa w badanych próbkach.

- Czy to uwalnia Maxa od podejrzeń?
- Tak myślałem, ale David zwrócił mi uwagę na możliwość obecności w preparatach nowych czynników zakaźnych niewidocznych pod mikroskopem.
- Więc niejasności pozostają?
- Niestety tak, choć nie wydaje mi się prawdopodobne, by Max celowo zrobił coś niebezpiecznego lub postąpił nieodpowiedzialnie.
- To trudna sytuacja dla Menogenu, skoro nie może być ani oczyszczony z podejrzeń, ani o nic oskarżony. Ludzie zaraz pomyślą, że jednak nie ma dymu bez ognia — stwierdziła Ewa.
- Właśnie dlatego zatrzymaliśmy to przy sobie — odrzekł Neef. — Nie byłoby z naszej strony fair wskazywać na bliskość tych dwóch adresów. Natychmiast wyciągnięto by pochopne wnioski.
- Czy David zamierza kontynuować badania?
- Jeszcze przez jeden dzień. Wygląda na to, że już raczej niczego nie znajdzie.
- Coś cię jeszcze gnębi?
- A to co?! — obruszył się żartobliwie Neef. — Hiszpańska inkwizycja?
- To dla twojego dobra — uspokoiła go Ewa. — Wciąż cię uczę, jak dzielić się z drugą osobą swymi kłopotami. To ci tylko wyjdzie na zdrowie.
- Nie powiedziałem ci, po co poszedłem dziś rano na Uniwersytet.
- Rzeczywiście. A dlaczego tam poszedłeś?
- Neef opowiedział Ewie o kolacji pożegnalnej na cześć Eddie'ego Millera i o jego wyznaniu, że zetknął się z wcześniejszym niż Melanie Simpson przypadkiem raka.
- Co?! — wykrzyknęła. — Ależ to całkowicie zmienia postać rzeczy!
- Zgadza się — przyznał Neef. — Jeśli to prawda.
- I zmarł, zanim zdążyłeś go o wszystko wypytać?
- Tak, ale chyba raczej nie należy wierzyć w tę historię. Nie mogłem wyciągnąć z niego nazwiska, a jemu, zdaje się, bardziej zależało na przekonaniu mnie, że istniał jakiś spisek przeciwko niemu. Wyglądało to na zwykłe głędzenie pijanego paranoika. Na wszelki wypadek David sprawdzi, czy w kartotece Eddie'ego nie figuruje taki przypadek.
- Jest jeszcze coś, z czego chciałbyś mi się zwierzyć? — spytała Ewa.
- Mam wrażenie, że wyciągnęłaś już ze mnie wszystko — odrzekł Neef.
- Nie czujesz się teraz lepiej?
- Prawdę mówiąc, tak — przyznał Neef. — Musisz wracać na noc do domu?
- Nie muszę, jeśli tego nie chcesz.
- Nie chcę.



Następnego popołudnia na oddziale zjawił się Max Pereira. Był zachwycony ostatnimi wynikami badań Thomasa Downy, gdy obejrzał zdjęcia.

— Lawrence zrobił je wczoraj — wyjaśnił Neef.

— To działa! — Pereira uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Zadziałało cholernie dobrze — stwierdził Neef. — Do przyszłego tygodnia będzie po wszystkim.

— Tak powinno być w każdym przypadku — Pereira pokręcił głową. — Sprawdzałem pozostałe cztery wektory do upadłego i wszystko gra. Więc dlaczego nie zadziałały? Chciałbym to wiedzieć.

Neef wzruszył ramionami.

— Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom.

— Jak mam to rozumieć? Że nie wiesz? — upewnił się Pereira.

— Właśnie tak — przytaknął Neef.

— A jak tam problem waszego Wydziału Zdrowia? Czy ci spece znaleźli już wirusa?

— Niezbyt życzliwie przyjęli twoją sugestię.

— Ten facet nazwiskiem Lennon nie potrafiłby nawet znaleźć własnego ptaszka w swoich spodniach — skwitował tę uwagę Pereira. — Gdybyśmy mieli elektronowy mikroskop, sam bym tego poszukał. Czy komuś przyszło do głowy, żeby tak zrobić?

— Owszem... — Neef nagle poczuł się zaniepokojony. — David Farro-Jones przyrządził się dokładnie próbkom pobranym z płuc Charlie'ego Morse'a.

— No i?

— Niestety nic.

— Cholera... To musi być wirus. Mówię ci, człowieku, że tak jest!

— Jeśli wystarczyłoby na to twoje słowo, to pewnie bym ci uwierzył — powiedział ostrożnie Neef przyglądając się uważnie Pereirze. Próbował dostrzec u niego jakąś oznakę zakłopotania. — Ale o wiele trudniej jest udowodnić takie twierdzenie, niż je wygłosić.

— Nie rozumiem dlaczego — zdziwił się Max.

Neef starał się rozszyfrować stojącego przed nim mężczyznę. Pereira najwyraźniej nie wiedział, że dom Melanie Simpson znajduje się tak blisko Menogenu. A fakt, że uparcie forsował teorię o wirusie sugerował, iż nawet przez moment nie przyszło mu do głowy podejrzenie, że to jego własne laboratorium mogłoby być odpowiedzialne za stworzenie nowego, zabójczego organizmu. A może Pereira był po prostu tak doskonałym aktorem? Może jego pewność siebie brała się stąd, że wiedział, iż nikt nie jest w stanie ustalić pochodzenia wirusa i powiązać go z Menogenem? Neefowi nie chciało się w to wierzyć, ale też nie mógł całkowicie odrzucać takiej możliwości.

— Przyniosłem to... — Pereira wyjął ze swojej sfatygowanej teczki dwie szklane buteleczki.

— Nowy wektor? — zainteresował się Neef.

— Zgadza się. Równie dobrze może być w twojej lodówce jak w mojej. Tu przynajmniej będziesz miał go pod ręką. Jak tylko dostaniesz zezwolenie, wykorzystasz go nie tracąc cennego czasu.

— Dobrze pomyślane — pochwalił go Neef.

— Proponuję, żebyś jedną buteleczkę schował tutaj, a drugą zaniósł do farmacji jako rezerwę. Tak, jak poprzednim razem.

Neef uśmiechnął się kwaśno przypominając sobie stłuczoną w sali operacyjnej fiolkę.

— Tak zrobię.

Po wyjściu Pereiry Neef został sam ze swymi myślami. Był pełen sprzecznych uczuć. Obsesowość Maxa i jego brak wrażliwości sprawiały złe wrażenie, ale z drugiej strony mówił po prostu to, co myślał i uważał za słuszne, nie dobierając subtelnych sformułowań. Neef uświadomił sobie, jak rzadko zdarza się to innym.

Dźwięk telefonu przerwał te rozmyślenia. W słuchawce odezwał się głos Tima Heatona.

— Obawiam się, że mam złe wieści.

— Tylko tego mi teraz potrzeba — odrzekł Neef znużonym głosem. — O co chodzi?

— Twój wniosek o wydanie w trybie nadzwyczajnym zezwolenia na zastosowanie terapii genowej został oddalony.

— Co?! — wykrzyknął Neef czując się tak, jakby za chwilę wściekłość miała rozsadzić mu czaszkę. — Dlaczego?!

— Procedura jest następująca. Żeby móc złożyć to podanie, musiałem je najpierw przedstawić podkomisji Okręgowego Wydziału Zdrowia. Myślałem, że to tylko formalność. Przystawią mi tam pieczęć i na tym się skończy. Ale myliłem się. Odrzucili wniosek. Odmówili podpisania go.

— Nasza cholerna okręgowa komisja?! — zawołał Neef.

— Powiedzieli mi, że ten wniosek to nie jest sprawa, której mogą lekką ręką udzielić poparcia. Uważają, że Menogen zyskał już wystarczająco dużo, otrzymując zgodę na współpracę ze św. Jerzym. Żądają pełnego sprawozdania z przebiegu pierwszej próby z terapią genową, zanim zdecydują się rozpatrzyć możliwość, czy powinna być stosowana szerzej i skierować sprawę wyżej. Przykro mi, Michael.

— Jezu Chryste... — jęknął Neef. — Mam już ten wektor w lodówce. Może uratować życie Neilowi Bensonowi. A banda starych pierdołów pieprzy o pełnych sprawozdaniach i poucza, żeby lekko nie traktować tej sprawy.

— Naprawdę bardzo mi przykro — powtórzył Heaton.

— Może jest jeszcze coś? — zapytał Neef.

— Co masz na myśli?

— Czy w związku z tą sprawą jest jeszcze coś, czego mi nie powiedziałaś?

W słuchawce zapanowała długa cisza, którą Neef odczytał niemal jako odpowiedź na swoje pytanie. Potem Heaton dodał:

— Twój wniosek zablokował właściwie jeden członek komisji. Inni przyjęliby go bez zastrzeżeń, ale głos tego jednego przeważał szalę.

— Znasz jego nazwisko?

Heaton znów zamilkł na dłużej.

— Jeśli ci powiem, nie zrobisz żadnego głupstwa? — odezwał się w końcu.

— Nie zrobię, przyrzekam.

— Peter Baroda.

— Jezu Chryste! To osobista zemsta!

— Jak mam to rozumieć?

— Baroda miał małe starcie z Maxem Pereirą na ostatnim zebraniu z ludźmi z Wydziału Zdrowia. Wyraźnie nie przypadli sobie do gustu. Baroda musiał zauważyć na wniosku nazwisko Pereiry. Dlatego sukinsyn zablokował sprawę.

— To byłoby trudno udowodnić — odrzekł Heaton. — Ale jeśli Baroda nie przepuścił wniosku z tego właśnie powodu, to zgadzam się z tobą. To sukinsyn.

— Mój Boże — westchnął Neef widząc, że ostatnia szansa uratowania życia Neilowi przepadła. — Na jakim świecie my żyjemy.

— Przykro mi — powtórzył znów Heaton. — Chyba nie muszę ci przypominać, że użycie nowego wektora bez zezwolenia nie wchodzi w rachubę.

— Nie, nie musisz — odrzekł Neef.

Siedział trzymając się za głowę, gdy do gabinetu weszła Ann Miles z kilkoma listami do podpisania.

— Dobrze się czujesz? — zaniepokoiła się.

— Wszystko w porządku.

— Kawy?

— Chętnie. Ach... Ann?

— Tak?

— Mogłabyś sprawdzić, czy panna Sayers jest na oddziale i jeśli tak, to poprosić ją tutaj?

— Oczywiście.

Czas wydawał się Neefowi stać w miejscu, gdy przez następne pół minuty wpatrywał się w przestrzeń. Nagle usłyszał głos Ewy, którą przyprowadziła Ann.

— Przybyłam w samą porę — uśmiechnęła się Ewa. — Neil czuje się dziś troszkę lepiej. Coś się stało?

Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy przyjrzała się Neefowi.

— Coś się stało, prawda? Chodzi o Neila?

— Okręgowy Wydział Zdrowia odmówił zatwierdzenia wniosku o wydanie pozwolenia w trybie nadzwyczajnym.

Ewa otworzyła usta i z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Ale dlaczego?

— Oficjalnie dlatego, że ich zdaniem nie powinniśmy stosować dalszych wektorów Menogenu, dopóki nie ocenią, jak wypadła pierwsza próba.

— Rozumiem... A nieoficjalnie?

— Max Pereira zadarł z jednym z członków komisji na ostatnim spotkaniu z Wydziałem Zdrowia. Teraz facet ma okazję, żeby się odegrać.

— I z takiego powodu mały chłopiec ma umrzeć?! — wykrzyknęła Ewa nie wierząc własnym uszom.

— Ten mężczyzna pewnie nie patrzy na to pod tym kątem — odrzekł Neef. — Max ma zwyczaj mówienia wszystkiego prosto z mostu i zraża do siebie ludzi.

— Jak się nazywa ten członek komisji? — zapytała Ewa.

Neef spojrzał na nią podejrzliwie.

— Czy mi się zdaje, czy ty coś knujesz?

— Zdaje ci się. Wprawdzie chętnie uciąłabym temu facetowi jaja, gdybym uważała, że to może pomóc Neilowi, ale wiem, że to by pewnie nic nie dało. Nie, niczego nie knuję. Po prostu chciałabym wiedzieć.

— Nazywa się Baroda.

— Peter Baroda?

— Znasz go?

— Ze słyszenia. Robi wiele hałasu w miejscowych kręgach biznesu, ale przecież nie jest lekarzem.

— Nie musi nim być, żeby zasiadać w komisji — wyjaśnił Neef.

— Wystarczy, że jest znany w mieście? — spytała Ewa.

— Coś w tym rodzaju.

— Nie do wiary — powiedziała kręcąc głową. — Coś takiego nie może pozbawić Neila jego ostatniej szansy. Masz ten nowy wektor?

— Mam, ale zapomnij o tym. Nie możemy go użyć bez zezwolenia.

— A niby dlaczego?! — zdziwiła się.

— Bo to nie jest tylko kwestia świstka papieru. Wniosek rozpatrują specjaliści, którzy mogą dostrzec w proponowanej terapii słaby punkt, którego my nie wzięliśmy pod uwagę.

— Ależ Neil umrze, jeśli nie podda się go leczeniu! — zaprotestowała Ewa.

— Nie musisz mi tego uświadamiać — zachnął się Neef. — Nie pogarszaj sprawy.

Ewa zerwała się z miejsca i spojrzała na niego z taką miną, jakby nagle straciła dla niego cały szacunek. Odwróciła się na pięcie i wyszła bez słowa.



Neef wrócił samotnie do domu, zrobił sobie drinka i zasiadł w fotelu, patrząc na ogród. Nie zawracał sobie głowy przyrządzaniem czegoś do jedzenia. Nie miał serca do niczego. Mimo, iż wiedział, że to on miał rację, a nie Ewa, wyraz rozgoryczenia na jej twarzy był dla niego udręką. W jej oczach był tym, który zamierzał pozwolić, by Neil umarł, podczas gdy mógł go uratować. Może powinien się zachować jak ulubiony przez widzów typ bohatera filmowego. Machnąć lekceważąco ręką na wszelkie przepisy i zarządzenia, i zrobić, co uważał za słuszne.

Bzdura! Gdyby każdy tak postępował, zapanowałaby anarchia. W świecie medycyny zaroiliby się od szarlatanów wstrzykujących pacjentom swe najnowsze eliksiry i mikstury dobre na wszystko, bez obawy że zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Gdyby choć miał zapewnienie kogoś innego, niż Pereira, że wektor jest bezpieczny. Ale w chwili, gdy na Maxie ciążyło podejrzenie, nie zamierzał ryzykować.

Po dwóch drinkach zasnął w fotelu. Kiedy się ocknął, Dolly leżała na jego kolanach. Podrapał ją za uszami i powiedział:

— Przynajmniej ty mnie nie opuściłaś, moja mała przyjaciółko. Zaraz... a może ty też zamierzasz odejść?

Ale Dolly była najwyraźniej w nastroju do pieszczot. Przekręciła się na grzbiet, dając Neefowi do zrozumienia, że ma podrapać ją w brzuszek. Zabawę przerwał telefon.

— Neef.

— Tu Ewa. Przepraszam, nie powinnam była tak się wściekać. Ale to było... Byłam taka...

— Wiem — przerwał jej Neef. — Zapomnijmy o tym.

— Mam dobrą wiadomość.

— Jaką?

— Mimo wszystko wniosek zostanie poparty.

— Co?! — wykrzyknął Neef.

— Popytałam wśród kolegów o Barodę i jeden z nich podsunął mi dobrą myśl. Wykorzystałam ją.

— Co to znaczy, wykorzystałaś? — zapytał z obawą Neef.

— Zadzwoiłam do Barody i powiedziałam mu, że robię reportaż o saunach będących przykrywką dla domów publicznych. Zapytałam go, czy zechciałby mi wyjaśnić, dlaczego jego zielony jaguar ciągle parkuje przed jedną z nich na Melton Place.

— Dobry Boże!

— W końcu zawarliśmy umowę. On obiecał, że wycofa swój sprzeciw w sprawie przyjęcia wniosku, a ja, że zapomnę, gdzie widywałam jego samochód.

— Przecież to szantaż!

— Owszem.

— Dobra robota.

— Powiedział, że wniosek zostanie wysłany dalej już jutro. Przekonałam go, że byłoby lepiej załatwić to jeszcze dziś.

— Jestem przerażony — westchnął Neef.

— Czym? — zdziwiła się Ewa.

— Tobą. Kiedy ci na czymś zależy, nie cofasz się przed niczym.

— Takie jest życie.

— Z każdym dniem coraz bardziej przypominasz mi Maxa Pereirę.

— W każdym razie, przepraszam za moje zachowanie. Zobaczymy się jutro?

— Zobaczymy się — zgodził się Neef.

Nagle poczuł, że jest głodny.

15

Charles Morse zmarł następnego dnia o jedenastej przed południem. Była przy nim Kate. Neef został uprzedzony przez Marka Clellanda ze Szpitala Uniwersyteckiego, że nadchodzą ostatnie chwile Charlie'ego i pojechał tam, by jej towarzyszyć w razie potrzeby. Kiedy Kate wyszła z sali męża, zobaczyła Neefa. Oparła ręce na jego piersi, a on przytulił ją mocno i pozwolił, by wypłakała się w jego ramionach.

— Tak mi przykro, Kate — szepnął.

Bez słowa skinęła głową. Clelland podziękował mu gestem za to, że przyszedł.

Pielęgniarka zaprowadziła ich do małego pokoju i przyniosła herbatę. Neef rozlał ją do filiżanek i po jakimś czasie Kate zaczęła stopniowo wracać do równowagi.

— Wciąż nie mogę w to uwierzyć — powiedziała. — To wszystko stało się tak nagle. — Wstała i wolno podeszła do okna trzymając w ręce filiżankę.

— Spójrz na nich — odezwała się. — Autobusy, samochody, taksówki... Ludzie zajęci swoimi sprawami, jakby nigdy nic. A przecież coś się wydarzyło. Mój Charlie nie żyje. Czy oni nie zdają sobie z tego sprawy?

Neef podniósł się i chciał do niej podejść, ale odwróciła się i powstrzymała go.

— Wszystko w porządku, Mike. Naprawdę. Przygotowywałam się na to. Może to wygląda inaczej, ale tak było. Daj mi tylko kilka chwil.

Próbowała oddychać równo, żeby się uspokoić, ale nie udało się jej. Po policzkach zaczęły jej spływać łzy.

— Och, Mike... — łkała. — Co ja bez niego zrobię? Był dla mnie wszystkim, całym sensem mojego istnienia... Po co mam dalej żyć bez Charlie'ego?

— Wiem, wiem... — Neef starał się ukoić jej ból otaczając ją ramionami. — Potrzebujesz czasu, Kate. Wszystko się ułoży.

Kate wreszcie zdołała się uspokoić i wypila łyk herbaty.

— Czy jest jakiś postęp w poszukiwaniach przyczyny raka Charlie'ego? — zapytała, starając się opanować drżenie głosu. Potem strzepnęła końcami palców nie istniejący pyłek na swoim kolanie.

Neef przecząco pokręcił głową.

— Nie. Dochodzenie wciąż trwa.

Kate milczała przez chwilę, po czym nagle poprosiła:

— Na Boga, powiedz mi coś wesołego! — Zaczęła na wpół śmiać się, na wpół łkać.

Neef postanowił spełnić jej prośbę.

— Nowotwór mózdzka u Thomasa Downy niemal zupełnie zniknął.

— Mówisz poważnie?!

— Jak najbardziej. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— Cofam wszystko to, co myślałam na temat doktora Pereiry — oświadczyła Kate.

Neef skinął głową.

— Może ocenialiśmy go zbyt surowo. A przecież właśnie jemu Thomas Downy zawdzięcza życie.

— Dzięki Bogu, że są jeszcze na tym świecie jakieś dobre wiadomości. — Kate spróbowała uśmiechnąć się przez łzy.

— Chodźmy. Odwiozę cię do domu — zaproponował Neef.

Kiedy Neef wrócił na oddział, Ann Miles poinformowała go, że próbował się z nim skontaktować Tim Heaton.

— Spodziewałem się tego — odrzekł Neef. Oddzwonił do Heatona mając na dzieję, że jakoś zdoła udać zaskoczenie, jeśli będzie musiał.

— Michael, wyobraź sobie, że mam dla ciebie dobre wieści! Peter Baroda widocznie zmienił zdanie, bo twój wniosek został przyjęty.

— Naprawdę?! — wykrzyknął Neef, zdając sobie nagle sprawę z tego, że nie zrobiłby kariery jako aktor. — To wspaniale!

— Nie mam pojęcia, dlaczego zmienił zdanie, ale najważniejsze, że to zrobił.

— Oczywiście — zgodził się Neef. — Cudowna wiadomość.

— Wiedziałem, że się ucieszysz. A przy okazji, jak się czuje twój pacjent z nowotworem mózgu? Wczoraj zapomniałem cię o to spytać. Nadal są widoczne postępy?

Neef skrzywił się, gdyż Heaton wcale nie zapomniał go spytać i dobrze o tym wiedział. To on zapomniał zadzwonić do Heatona i powiedzieć mu o wszystkim.

— Tim, zupełnie wyleciało mi to z głowy. To ze zdenerwowania — usprawiedliwił się szybko. — A postęp jest więcej niż zadowalający. Nowotwór zmałał do wielkości ziarenka grochu. Przy odrobinie szczęścia zniknie do przyszłego tygodnia.

— Doskonale! — Heaton był bardzo zadowolony. — Na wszelki wypadek John Marshall przygotowuje już oświadczenie dla prasy, o które go wcześniej prosiłem.

— Dobrze.

— Tego właśnie potrzebuje nasz szpital. Lekarstwa na raka.

— Zaczekaj...

— To dopiero początek! — entuzjazmował się Heaton. — Chyba nie zaprzeczysz?

— Chyba nie — zgodził się Neef.

— Zawiadomię cię natychmiast, jak tylko będę coś wiedział o twoim wniosku.

Ostami tego dnia zadzwonił do Neefa Farro-Jones.

— Przejrzałem kartotekę autopsji, które wykonał Eddie w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Nie znalazłem absolutnie niczego na poparcie tej jego historyjki.

— Muszę powiedzieć, że odetchnąłem z ulgą — wyznał Neef.

— Ja też — odrzekł Farro-Jones.

— I żadnych śladów nowego wirusa.

— Ciągle nic. Przestajemy go szukać. To zabiera zbyt wiele czasu.



Zgon Charlie'ego Morse'a wywołał nazajutrz kolejną falę krytyki prasowej. LICZBA ŚMIERTELNYCH OFIAR RAKA ROŚNIE, A SŁUŻBA ZDROWIA NADAL BŁĄDZI PO OMACKU widniało na pierwszej stronie „Citizena” i w tym tonie utrzymane były tytuły w innych dziennikach. Jednej z gazet udało się przyprzeć do muru miejscowego członka parlamentu i nakłonić go do wypowiedzi. Uspokoił swoich wyborców, że już napisał do ministra zdrowia i zażądał natychmiastowego działania. Zapewniono go, iż zostaną podjęte odpowiednie kroki.

W ciągu dnia Neef miał okazję przekonać się, co to oznacza. Lennon oznajmił mu przez telefon, że już nie prowadzi dochodzenia. Sprawę przejęła grupa specjalistów przybyłych z ministerstwa zdrowia. W jej skład wchodził również naukowiec z Porton Down, rządowego ośrodka obrony przed bronią chemiczną i biologiczną.

— Zabrali ciało Charlie'ego Morse'a — poinformował Lennon. — Chcą przeprowadzić własne badania patologiczne.

— Mieli prawo to zrobić? — zapytał Neef.

— Posiadają takie pełnomocnictwa, że praktycznie mogą robić, co im się żyw nie podoba — wyjaśnił Lennon. — Przejęli już wszystko tu na Sutton Place i natychmiast zarządzili pełną blokadę informacyjną. Żadnych komunikatów dla prasy. Ośmielam się twierdzić, że i pan niedługo się z nimi spotka. Na czele tego zespołu stoi niejaki Klein.

Dwie godziny później Ann Miles zaanonsowała przybycie doktora Kleina i doktora Watersa.

— Poproś ich — powiedział Neef.

Pierwszy wkroczył do gabinetu Klein. Był wysokim, chudym mężczyzną z wystającym jabłkiem Adama, podskakującym co chwila nad sztywnym kołnierzykiem prążkowanej koszuli. Wyciągnął rękę i przedstawił się:

— John Klein.

Nie sprawiał wrażenia ani nastawionego przyjaźnie, ani wrogo. Po prostu miał do załatwienia sprawę służbową. Jego towarzysz był o głowę niższy, miał spadziste ramiona, a skrzywienie lewej strony ust sugerowało, że niedawno przeszedł lekki wylew. Przedstawił się jako Malcolm Waters. Żaden z mężczyzn się nie uśmiechał.

— Dziękujemy, że od razu nas pan przyjął doktorze — powiedział Klein. — Jak już panu zapewne wiadomo, zostaliśmy tu przysłani przez Ministerstwo Zdrowia, żeby uporać się z waszym problemem.

— Wolałbym żeby nie nazywał pan tego problemu naszym — odparł Neef w nadziei, że uda mu się trochę rozluźnić atmosferę.

— Nie chodzi mi o pański szpital — wyjaśnił Klein bez cienia humoru. — Użyłem słowa „waszym” mając na myśli cały rejon, w którym się znajdujemy. Na razie zapoznajemy się ze wszystkimi członkami miejscowego personelu medycznego i naukowego, którzy mają coś wspólnego z prowadzonym dotychczas do chodzeniem. Dowiedziałem się od doktora Lennona, że to właśnie pan wysunął hipotezę, iż zachorowania na raka może powodować wirus.

— Zasugerował to jeden z moich kolegów — sprostował Neef. — Ja tylko przedstawiłem jego opinię.

— To znaczy... — Klein przekartkował plik dokumentów — doktor Pereira?

— Zgadza się.

— Co skłoniło doktora Pereirę do podejrzeń, że to wirus?

Neef wzruszył ramionami.

— Myślę, że charakter tej sprawy. Poszukiwania innej przyczyny zachorowań spełzły na niczym.

Waters uśmiechnął się z przekąsem.

— Z braku innej przyczyny winien jest wirus.

Neef znał to powiedzenie. On i Frank MacSween często go używali. Ale w ustach Watersa zabrzmiało ono obraźliwie. Neef pomyślał, że nie podoba mu się ten facet.

— Były jeszcze inne powody — dodał. — Ale będziecie panowie musieli porozmawiać o nich z doktorem Pereirą. To on jest ekspertem od wirusów, nie ja.

— Rozumiem jednak, że to pan próbował znaleźć tego domniemanego wirusa — zauważył Klein.

— Nie — odparł Neef. — Inny mój kolega badał pod mikroskopem elektronowym próbki pobrane z płuc Charlesa Morse'a. Niczego nie znalazł.

— To znaczy... — Klein znów zajrzał do swoich papierów — doktor Farro-Jones z wydziału medycyny na uniwersytecie?

— Zgadza się.

— Czy doktor Pereira jest w tej chwili na miejscu? — spytał Waters.

— Doktor Pereira nie należy do tutejszego personelu — wyjaśnił Neef. — Jest zatrudniony w firmie Menogen. To komercyjne przedsiębiorstwo biotechnologiczne. Obecnie korzystamy z ich wektorów, wypróbując wspólnie terapię genową.

— Wiemy o tym — odrzekł Waters. — Myśleliśmy, że może akurat jest tutaj.

— Przychodzi tylko kilka razy w tygodniu.

— A dlaczego zasięgał pan opinii doktora Pereiry? — zapytał Klein.

— To chyba samo wyszło podczas naszej rozmowy — odpowiedział Neef.

— Podczas rozmowy, mówi pan? — zdziwił się Klein. — A często zdarza się panu dyskutować na poufne tematy medyczne z obcymi, doktorze?

— Uważam doktora Pereirę za kolegę po fachu. To również ekspert w dziedzinie wirusologii. Poza tym, tylko on próbował jakoś rozwikłać tę zagadkę, podczas gdy wszyscy inni byli bezradni. Jestem pewien, że doktor Lennon także cenił sobie jego współpracę.

— Doktor Lennon już nie prowadzi tego dochodzenia — przypomniał chłodnym tonem Klein.

Neef wolał się nie odzywać i nie komentować tego.

— Musimy panu uświadomić, że chodzi o sprawy poufne — pouczył go Klein.

— Doktor Pereira jest człowiekiem z zewnątrz.

— Nie rozumiem... — Neef był zdumiony. — O co chodzi?

— Ministerstwo wydało nam instrukcję utrzymywania blokady informacyjnej podczas prowadzenia tego śledztwa. Obowiązuje całkowity zakaz rozmów z prasą. Dotyczy on zarówno personelu szpitalnego, jak i pracowników uniwersytetu. Panu, oczywiście, nie wolno omawiać żadnych aspektów tej sprawy z doktorem Pereira.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim do Neefa w pełni dotarło znaczenie słów Kleina.

— Bo inaczej...? — rzucił wyzywająco czekając, co teraz usłyszy.

— Naprawdę mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, doktorze — odparł Klein. — To wszystko jest dla naszego wspólnego dobra. Jestem głęboko przekonany, że nikomu z nas nie zależy na tym, by niepotrzebnie alarmować i straszyć opinię publiczną.

Znow to samo, pomyślał Neef. Rzucił Kleinowi pełne niechęci spojrzenie i stwierdził:

— Wy też uważacie, że to wirus.

— Chyba możemy sobie darować tak kategoryczne stwierdzenia, doktorze.

— Jesteście tu po to, by wyświetlić tę sprawę, czy ją zatuszować? — Neef był coraz bardziej poirytowany.

— Ministerstwu leży na sercu wyłącznie interes publiczny — zapewnił go Klein.

— Co za ulga.

— Miałem nadzieję, że nasza współpraca będzie się układała lepiej.

— Od chwili, kiedy tu weszliście słyszę od was tylko to, że mam trzymać gębę na kłódkę — zauważył Neef. — Fatygowaliście się do mnie wyłącznie po to, żeby mi to powiedzieć?

Klein i Waters wymienili spojrzenia:

— Wiemy, że jest pan związany z pewną dziennikarką — powiedział Klein wymownie akcentując słowo „związany”, jakby miał na myśli coś nieprzyzwoitego.

Waters zerknął do notatek.

— Z panną Ewą Sayers.

— I co z tego?

— Chcielibyśmy się upewnić, czy rozumie pan, jak wielką wagę ministerstwo przywiązuje do utrzymania tej sprawy w tajemnicy i jak będzie postrzegane niepożądane nadawanie rozgłosu naszemu dochodzeniu.

— Żeby nie było nieporozumień — dodał Waters.

Neefowi z najwyższym trudem udało się zapanować nad sobą. Zamiast się kłócić, spojrzął na zegarek.

— Będziecie mi musieli wybaczyć, panowie, ale jestem bardzo zajęty.

— Może zechcemy jeszcze z panem porozmawiać — uprzedził Waters.

— Moja sekretarka, pani Miles, umówi nas na spotkanie — odparł sucho Neef.

Waters uśmiechnął się krzywo, a Klein powiedział:

— Dziękujemy, że poświęcił nam pan swój drogocenny czas, doktorze.

Potem obaj wyszli.

Neef chwycił za telefon i zadzwonił do Farro-Jonesa.

— Właśnie skończyło mnie przesłuchiwać jakieś cholerne gestapo!

— Klein i Waters? Zabawna z nich para, nie sądzisz?

— To dwa nadęte kutasy — burknął Neef. — Kim oni właściwie są?

— Klein to epidemiolog z Ministerstwa Zdrowia. Powierzono mu kierowanie dochodzeniem. Waters jest wirusologiem z Porton Down.

— Szuka nowej broni biologicznej? — parsknął Neef.

— Uważaj. Telefony mogą być na podsłuchu — zażartował Farro-Jones zniżając głos do szeptu.

— Wcale bym się nie zdziwił. Nie powiedziałaś im chyba o zbieżności adresów zaczynających się od słowa Langholm?

— To nie byłoby fair wobec Maxa — odparł Farro-Jones. — Nie znaleźliśmy żadnego dowodu, więc po co miałbym im cokolwiek mówić. Ale oczywiście sami mogą do tego dojść.

— Jeżeli zrażą do siebie każdego, tak jak zrazili mnie, to będą musieli do wszystkiego sami dochodzić — powiedział Neef.

— Poczekamy, zobaczymy.

Neef dowiedział się, że w szpitalu była Ewa. Odwiedziła Neila. Neef minął się z nią, ale zostawiła wiadomość. Zaprosiła go na kolację. Gdyby nie mógł przyjechać, miał zadzwonić i nagrać odpowiedź na automatyczną sekretarkę. Nie było na szczęście takiej potrzeby. Zamierzał skorzystać z zaproszenia. Myślał o zbliżającym się wieczorze z przyjemnością, gdy przez kilka następnych godzin odwalał papierkową robotę, nikomu jego zdaniem niepotrzebną.

Szkoda, pomyślał, że nikomu we władzach nie przyjdzie do głowy, aby sprawdzić, co w praktyce oznacza godne pochwały zalecenie „dokładnego prowadzenia dokumentacji kontrolnej”. Czy nikt nie wie, że to niekończące się wypełnianie formularzy zabiera coraz więcej czasu i praca administracyjna obecnie absorbuje lekarza bardziej, niż jego właściwe obowiązki?

Neef zastał Ewę wściekłą.

— Co się, do diabła, dzieje?! — zapytała.

— Mnie o to pytasz? — zdziwił się.

— Przepraszam... — mruknęła. — Ale miałam zwariowany dzień. Pojechałam na Sutton Place, żeby zebrać nowe materiały do dzisiejszego artykułu, a tam był zamach stanu. Lennon został odsunięty od sprawy, a jacyś faceci z ministerstwa nabrali wody w usta. Nic nie chcieli powiedzieć. Czy miały miejsce jakieś nowe, dramatyczne wydarzenia?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Neef. — Ci faceci z ministerstwa, jak ich nazywałeś, zostali przysłani w odpowiedzi na pismo pewnego członka parlamentu, żądającego podjęcia energicznych działań. Byli dziś u mnie z ostrzeżeniem, żebym trzymał buzię na kłódkę, zwłaszcza, kiedy jestem w twoim towarzystwie.

— I ludzie uważają, że żyjemy w wolnym kraju... — pokiwała głową Ewa. — Im więcej poznaję różnych ministerstw, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nikt tam chyba nie myśli o tym, co robi. Gdy tylko któryś z urzędników znajdzie się w świetle reflektorów, trzęsie kolanami i szuka sposobów jak je wyłączyć, zamiast wykorzystać okazję i z uśmiechem pokazać ludziom, że dobrze potrafi radzić sobie z różnymi problemami.

— Co teraz zamierzasz?

— Napiszę artykuł protestujący przeciwko nie uzasadnionemu utajnieniu sprawy przez władze. Koledzy z innych gazet pójdą w moje ślady i odpowiednie czynniki znajdą się w bardziej kłopotliwej sytuacji, niż gdyby rozmawiały z nami otwarcie.

— Słyszałem kiedyś, że rząd ma środki pozwalające powstrzymać prasę przed pisaniem o pewnych sprawach, jeśli uzna to za szkodliwe — powiedział Neef.

— Musieliby mieć naprawdę bardzo istotny powód, żeby wydać zakaz pisania o tym. A wydanie go oznaczałoby, że w rzeczywistości wiedzą o tej całej sprawie o wiele więcej, niż się do tego przyznają. Nie sądzisz?

— Wątpię — odparł Neef. — Ale mam wrażenie, że ci twoi „oni” również uważają, że to wirus. Jeden z tych dwóch zabawnych facetów, którzy mnie dziś odwiedzili jest z Porton Down.

— Tam zajmują się bronią biologiczną, prawda? — zapytała Ewa.

— Obroną przed bronią biologiczną — poprawił ją Neef.

— Szukają nowych zabawek?

— Myślę, że to możliwe.

— Nie powinieneś mi tego mówić — przypomniała Ewa.

— Mamy prywatną umowę — odparł Neef. — Mogę ci mówić, co mi się podoba.

— Musieli cię porządnie rozdrażnić.

— Tak było.

Kiedy zasiedli do jedzenia, Ewa uprzedziła:

— Nie odwiedzę jutro Neila. Mówiłam mu o tym dzisiaj i on to zrozumiał. Zobaczę się z nim dopiero pojutrze.

— Od kiedy zaczęłaś go odwiedzać, nie opuściłaś ani jednego dnia.

— I nadal żadnego nie opuszczę, dopóki nie poczuje się lepiej — zapewniła. — Ale jutro muszę załatwić coś wyjątkowego.

— O...?

— Zostałam zaproszona na rozmowę do „Expressu”. Pewnie zaproponują mi pracę.

— To wspaniale — stwierdził Neef. — Tego właśnie chciałaś. — Ale w jego głosie zabrzmiało uczucie zawodu.

— Nie martw się — uspokoiła go Ewa pocieszającym tonem. — Coś wymyślimy. Cieszysz się?

— Oczywiście. Życzę powodzenia.



Neef miał nadzieję, że nazajutrz otrzyma pozwolenie na rozpoczęcie leczenia Neila Bensaona za pomocą nowego wektora Pereiry, ale tak się nie stało. Zapytał więc Heatona, czy nie mógłby przyspieszyć procedury licencyjnej dzwoniąc gdzie trzeba. Tim Heaton obiecał, że spróbuje, ale do końca dnia nic się nie zmieniło. Z Wydziału Zdrowia nie dotarła żadna wiadomość, jak radzą sobie z dochodzeniem nowi ludzie. Ewa też się nie odezwała, żeby opowiedzieć jak poszła jej rozmowa kwalifikacyjna. Neef opuszczał oddział niezadowolony. Mijający dzień rozczarował go.

Tylko Dolly na tym skorzystała. Nie mając nic na głowie Neef pamiętał, by w drodze do domu wstąpić do sklepu ze zwierzętami i kupić jej jedzenie oraz nowe pośłanie. Wybrał też nową zabawkę, Dolly bowiem powoli przestawała się interesować pomarańczową rybką.

Gdyby Neef wiedział, co przyniesie następny poranek, z przyjemnością powitałby jeszcze jeden nudny dzień. Jadąc do szpitala zatrzymał się, by kupić poranną gazetę. Jego uwagę zwróciło zdjęcie na pierwszej stronie „Expressu”. Przedstawiało budynek, który wydał mu się znajomy. Gdy przyjrzał mu się bliżej, nabrał pewności, że się nie mylił. Na fotografii widniała siedziba Menogen Research. Wyciągnął gazetę ze stojaka i rozłożył ją. Krzykliwy nagłówek głosił: ZABÓJCZY ZARAZEK RAKA WYDOSTAŁ SIĘ Z LABORATORIUM BADAWCZEGO.

Neef nie był pewien, jakie uczucie zawładnęło nim bardziej — szok, przerażenie, czy świadomość, że to zdrada. Kupił gazetę i wrócił do samochodu, żeby przeczytać artykuł. Materiał prasowy opatrzone uwagą: „Od naszego specjalnego wysłannika”. Donosił, że anonimowi urzędnicy prowadzący oficjalne śledztwo biorą pod uwagę możliwość, iż serię zachorowań na raka spowodował wirus, który wydostał się z Laboratoriów Badawczych Menogen na Langholm Road. Autor wskazywał na to, że pierwsza ofiara, Melanie Simpson, mieszkała przy Langholm Crescent. Źródła oficjalne odmówiły potwierdzenia tych faktów, ale też nie zamierzały im zaprzeczać, tłumacząc się obowiązującą blokadą informacyjną. Uwagi gazety nie uszło jednak to, iż jednym z przysłanych specjalistów jest rządowy ekspert-wirusolog z ośrodka obrony przed bronią biologiczną w Porton Down. Steven Thomas, dyrektor Menogenu, odrzucił podejrzenia jako „niedorzeczne”.

Neef poczuł, że robi mu się niedobrze. Czy kariera była dla Ewy tak ważna, że zdobyła się na coś takiego? Wyszedł na głupca, a jednocześnie został zraniony. Rozpaczliwie próbował znaleźć inne wytłumaczenie. Czy było do pomyślenia, żeby Klein i Waters od razu powiązali sobie Langholm Road z Langholm Crescent i spowodowali przeciek do prasy? Po co? Przecież za wszelką cenę starali się uniemożliwić dziennikarzom zdobycie jakichkolwiek informacji. Chyba, że... skorzystali z okazji, żeby zrzucić całą winę na Menogen i za jednym zamachem uwolnić od wszelkich zarzutów Wydział Zdrowia i ministerstwo.

Neefa zaskoczyła przebiegłość własnego rozumowania. Gdy tylko znalazł się u siebie, zadzwonił do Lennona. Ale linia była wciąż zajęta, co wcale go nie zdziwiło. Poprosił Ann Miles, żeby próbowała dalej i dopiero po upływie pół godziny usłyszał charakterystyczny, południowo-zachodni akcent Lennona.

— Wiem, że oficjalnie nie prowadzi pan już dochodzenia — zaczął Neef — ale zależy mi bardzo na tym, żeby się czegoś dowiedzieć.

— Niech pan strzela — odparł Lennon.

— Kiedy po raz pierwszy Klein i Waters zauważyli bliskość adresów Menogenu i Melanie Simpson?

— Dziś rano, czytając gazetę — odpowiedział kwaśno epidemiolog.

Tego właśnie obawiał się Neef.

— Jest pan pewien, że nie wiedzieli o tym wcześniej?

— Jestem. Mogę pana o coś spytać?

— Proszę bardzo.

— A pan wiedział?

Neef zamknął oczy. W tych okolicznościach pytanie było całkiem na miejscu. Poczuli się zakłopotani, że nie podzielili się tym odkryciem z Lennonem.

— Wiedziałem — przyznał. — Ale nie było nawet cienia dowodu, że to oznacza coś więcej, niż tylko zbieg okoliczności. I nadal nie ma.

— Ktoś najwyraźniej nie zgadza się z panem — stwierdził Lennon. Słowo „ktoś” wypowiedział tak, jakby chciał zasugerować, że Neef doskonale wie, o kogo chodzi.

— Co się właściwie dzieje?

— Nie jestem pewien, czy w zaistniałej sytuacji powinienem z panem o tym rozmawiać.

— Rozumiem... — Neef westchnął z rezygnacją. — Jeśli to pana pocieszy, to jestem tak zaszokowany jak pan. Nic nie wiedziałem o tym artykule.

— Klein i Waters wykorzystają go do własnych celów. Nie przypuszczam, by było im bardzo nie na rękę, jeśli opinia publiczna pomyśli, że to oni do wszystkiego go doszli. To dla nich zbyt dobra okazja, by ją przepuścić.

— Nie rozumiem... — zdziwił się Neef.

— Jeśli dobrze to rozegrają, wyjdą na bohaterów. Przyjechali tu dwa dni temu, a już udało się im rozwikłać zagadkę. Zauważyli coś, co przeoczył miejscowy niezdara, czyli ja. A Menogen zapewne spłonie na stosie publicznego gniewu.

— Ależ Klein i Waters niczego nie zauważyli! — zaprotestował Neef. — I wcale nie jest powiedziane, że cokolwiek wydostało się z pracowni Menogenu!

— Nie rozumie pan ludzkiej natury — skwitował Lennon, zanim się wyłączył.

Neef zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał. Lennon miał rację. Nie znał się na ludzkiej naturze.

Kiedy nadeszła pierwsza tego dnia poczta, Neef znalazł w niej zezwolenie na wypróbowanie nowego wektora Menogenu przy leczeniu Neila. Przeczytał ekspertyzę dołączoną do oficjalnej zgody i przekonał się, że jej autorzy, dwaj naukowcy oceniający wektor Pereiry, wypowiedzieli się na jego temat wręcz entuzjastycznie. Jeden nazwał dzieło Maxa „znakomitym”, drugi „wyjątkowo pomysłowym”. Neef był ciekaw, co teraz czuje Pereira. Zadzwoił do Menogenu, ale nikt nie odbierał telefonu. Nawet automatyczna sekretarka była wyłączona.

Zamierzał jak najszybciej wstrzyknąć Neilowi wektor. Udał się do dyżurki, do siostry oddziałowej, chwilowo zastępującej Kate Morse i zastał tam... Kate. Miała na sobie pielęgniarski uniform i gdy wszedł, uśmiechnęła się do niego.

Neef wzniosł oczy ku niebu.

— Wszystko w porządku, Mike — zapewniła go Kate. — Wolę być tu, niż siedzieć w domu i zastanawiać się, kiedy pozwolą mi pochować męża.

— Wiem. Słyszałem, co się stało.

— Charlie odszedł i pogodziłam się z tym. Mam dwoje dzieci, dom i swoją pracę, więc przyszłam. Muszę sobie jakoś radzić.

— Cieszę się — odrzekł Neef. — Brakowało nam ciebie. — Opowiedział Kate o nowym wektorze dla Neila.

— To brzmi obiecująco — przyznała Kate.

Neef nagle uświadomił sobie, że nie widziała artykułu w gazecie. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Nadchodził trudny moment.

— Chciałbym dać ci coś do przeczytania — powiedział. — Myślę, że powinnaś się z tym zapoznać.

Poszedł do siebie i po chwili wrócił z gazetą. Wręczył ją Kate i czekał w milczeniu, aż skończy czytać.

— Czy to prawda? — spytała niemal szeptem, kiedy dobrnęła do końca.

— Moim zdaniem nie — odparł Neef. — Jedyne stwierdzone fakty w tej historii stanowią zbieżność adresów. Reszta to kupa bzdur, dowód kompletnego braku odpowiedzialności.

Kate spojrzała na Neefa niezdecydowanie.

— Gdyby się okazało, że to ten mały drań jest odpowiedzialny za śmierć mojego Charlie'ego...

— Wiem, że Pereira nie wydaje się może najbardziej świetlaną postacią na świecie — przerwał jej Neef — ale na przekór wszystkiemu ja mu wierzę.

— W porządku — odrzekła. — Kto to napisał?

Neef nie potrafił na to odpowiedzieć. Odwrócił wzrok i bezradnie rozłożył ręce.

— Nie Ewa Sayers? — Kate przyjrzała mu się uważnie. Wzruszył ramionami. — Och, Mike... Tak mi przykro.

Neef skinął głową i uśmiechnął się gorzko.

— Wracając do Neila Bersona... Możesz go przygotować?

Gdy dokonywał ostatnich wyliczeń, ile wirusowej zawiesiny powinien wstrzyknąć, biorąc pod uwagę objętość nowotworu Neila, do pokoju zajrzała Ann Miles. Oznajmiła, że na zewnątrz czeka Max Pereira.

— Poproś go.

Pereira trzymał w ręce poranną gazetę. Był wzburzony.

— Widziałeś to gówno?! — wybuchnął. — To sukiny! Załatwili nas! Nie do uwierzenia!

— Uspokój się, Max — powiedział Neef. — Powiedz mi, co się stało.

— Pieprzone władze cofnęły nam wszystkie licencje. Zamknęli naszą firmę i wszczęli drobiazgowe dochodzenie. Na bramie powiesili kłódkę i koniec. Jaki znów zabójczy wirus, na litość Boską?!

— Zważywszy okoliczności niechętnie to robię, ale muszę ci przypomnieć, że to ty pierwszy wysunąłeś tezę o wirusie — zauważył Neef.

Pereira złapał się za głowę, jakby za chwilę miał się kompletnie załamać.

— Dobra... W porządku... — odezwał się po chwili. — Nadal uważam, że zachorowania powodował wirus. Ale w laboratoriach Menogenu nie ma niczego, co choćby w przybliżeniu mogło być tak zabójcze. A gdyby nawet było, mamy tyle przepisów dotyczących bezpieczeństwa, których ściśle przestrzegamy, że nie ma mowy, nie ma mowy, człowieku, żeby to wydostało się na zewnątrz!

— Wierzę ci.

— Dzięki Bogu, że chociaż ty jeden. — Max wskazał gazetę. — Kto napisał to gówno?

I znów Neef nie potrafił na to odpowiedzieć. Znów odwrócił wzrok.

— Nie żartuj — powiedział Pereira. — Chyba nie Ewa... Jasna cholera! Uważałem ją za przyjaciela.

— Witaj w klubie.

Do pokoju weszła Kate z wiadomością, że Neil jest przygotowany do zastrzyku. Zamarła na moment, widząc siedzącego w gabinecie Pereirę, ale szybko odzyskała równowagę, choć jej twarz przypominała maskę bez wyrazu. Neef nie zauważył na niej śladu zakłopotania czy urazy do Pereiry.

— Przykro mi z powodu pani męża — powiedział Max.

— Dziękuję panu — odrzekła lodowato Kate. Odwróciła się do Neefa i spojrzała mu prosto w oczy. — Jeśli jesteś pewien, że chcesz to zrobić, to Neil jest gotów.

Neef skinął głową.

— Neil?! — wykrzyknął Pereira. — Neil Benson? Ten chłopiec z czerniakiem?

— Dziś rano dostaliśmy zezwolenie — wyjaśnił Neef.

— No to jeszcze się nie zabiję — oświadczył Max. — To dobra wiadomość.

Nagle zauważył, jakim wzrokiem patrzy na niego Kate Morse i jego uśmiech przybladł.

— Czytała pani tę historię w dzisiejszej gazecie, tak? I teraz zastanawia się pani, czy to ja zabiłem jej męża. To nie ja, ani nikt z Menogenu. Jeśli w nic pani w życiu nie wie-
rzy, proszę, żeby uwierzyła pani w to, co powiedziałem.

— Spróbuję, doktorze — odparła Kate. Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Pereira siedział przez dłuższą chwilę głęboko zamyślony, po czym zwrócił się do Neefa:

— Jeśli pozwolisz, chciałbym być obecny przy tym zastrzyku.

— Oczywiście — zgodził się Neef. — Ten wektor to przecież twoje dzieło.

Z oddziałowej lodówki wyjęto wirus i Neef wraz z Pereirą już wkładali fartuchy, gdy podeszła do nich Ann Miles.

— Chyba powinienes to przeczytać — powiedziała wręczając Neefowi jakieś pismo. Neef przebiegł wzrokiem jego treść i zaklął.

— To od Tima Heatona — poinformował Pereirę. — Władze resortu zdrowia zabroniły używania jakichkolwiek produktów Menogenu. Totalny zakaz.

Pereira wyjął mu z ręki papier i również go przeczytał.

— Wygląda na to, że zostaliśmy oskarżeni, osądzeni i skazani, zanim zdążyliśmy powiedzieć cokolwiek na swoją obronę. — Odwrócił się i zaczął zdejmować fartuch. Neef poszedł w jego ślady, ale nagle zawahał się i wciągnął go z powrotem.

— Zaczynamy zabieg — oświadczył.

— Odbiło ci?! — wykrzyknął Pereira. — Człowieku! Przecież jeżeli to zrobisz, możesz się pożegnać z dalszą karierą lekarza.

— Czytałem ekspertyzę naukową nadesłaną dziś rano razem z zezwoleniem — odparł Neef. — Jest wspaniała. Tylko taka opinia naprawdę się liczy. Nie obchodzi mnie decyzja jakiegoś rządowego dupka, który podnosi raban tylko dlatego, że coś przeczytał w jakiejś choliernej gazecie.

— Nie rób tego, Mike — poprosił Pereira. — Czy to dupek, czy nie, urzędasy cię zniszczą.

— Jeśli Neil będzie żył, to warto rzucić na szalę wszystko.

— O rany! — mruknął pod nosem Pereira. — A ja myślałem, że tak naprawdę pacjentowi głównie was obchodzą, chłopcy.

— Mam to zrobić sam, czy idziesz ze mną?

— Wchodzę w to, stary — odparł Max.

Gdy obaj wkroczyli do pokoju zabiegowego, Kate Morse wraz z drugą pielęgniarką czekały już obok Neila. Malec leżał na kozetce i wydawał się spokojny. Był już pod działaniem środków uspokajających. Guz zniekształcający znacznie część jego twarzy wyglądał na tle chirurgicznego prześcieradła osłaniającego chłopca jak straszliwa pasożytnicza narośl nie z tego świata.

Neef wziął od młodszej pielęgniarki zawieszoną wirusową i napełnił strzykawkę.

— Obliczyłem objętość w ten sam sposób, jak poprzednio — powiedział do Pereiry. — Według tej samej formuły. Wyszło mi sześć i pół mililitra.

— Powinno być w sam raz — zgodził się Max. — Jesteś całkowicie pewny, że chcesz to zrobić?

— Jestem.

— Więc może lepiej, żeby siostry wyszły.

Neef spojrzał na niego i dopiero po chwili zrozumiał.

— Oczywiście. Nie pomyślałem o tym.

Kate Morse wyglądała na kompletnie zaskoczoną. Odwróciła się do młodszej pielęgniarki i oświadczyła:

— Dziękujemy, siostro. Nie sądzę, byśmy dłużej pani potrzebowali. — Dziewczyna wyszła. Wtedy Kate zapytała: — Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, o co tu chodzi?

Neef z trudem szukał odpowiednich słów, ale wyręczył go Pereira.

— Wbrew mojej radzie pani szef zamierza wstrzyknąć temu dziecku jeden z moich wektorów wirusowych wiedząc, że anulowano pozwolenie na jego użycie. Jeśli zostanie pani w tej sali, siostro, może pani zostać również pociągnięta do odpowiedzialności w wypadku wszczęcia postępowania. Dlatego proponowałem, żeby pielęgniarki wyszły.

Kate spojrzała na Neefa.

— Czy to prawda?

— Tak.

— W takim razie, musi istnieć naprawdę ważny powód, skoro to robisz. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to zostanę.

Pereira wznosił oczy ku niebu.

— Czy wy wiecie, że rujnujecie mój cynizm, który budowałem w sobie przez całe życie?

— Załatwmy to wreszcie — przynaglił Neef.



Po zastrzyku Neila z powrotem położono w jego łóżku, a Neef i Pereira wrócili do gabinetu. Neef poprosił Kate, żeby do nich dołączyła.

— Czuję się, jakbyśmy obrabowali bank — powiedziała.

— Chyba zrobiliśmy coś gorszego — odparł Pereira.

— To była moja decyzja i ja jestem za to odpowiedzialny — oświadczył Neef.

— Mam zamiar poprosić Ann, żeby sporządziła odpowiedni dokument stwierdzający, że tak właśnie było. Zostanie w nim napisane, że asystowałam mi przez lojalność, Kate i że działałam mimo twoich ostrzeżeń, Max. Podpiszę się pod tym.

Ani Pereira, ani Kate Morse nie zdążyli odpowiedzieć. Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Ann.

— Jest tu panna Sayers, doktorze — poinformowała.

Cała trójka wymieniła zdumione spojrzenia.

Pereira pokręcił głową.

— Ma dziewczyna tupet. To jej muszę przyznać.

— Nie chce mi się w to wierzyć — mruknęła Kate.

— Ani mnie — przytaknął Neef.

Kate i Pereira wstali, żeby wyjść. Kate skierowała Pereirę w stronę drzwi prowadzących bezpośrednio na oddział, żeby nie spotkali się z Ewą czekającą w sekretariacie u Ann.

— Będziemy w dyżurce — rzuciła na odchodnym.

W kilka chwil później w progu stanęła Ewa.

— Mogę wejść? — spytała.

— Wątpię, czy mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia — odparł Neef. Miał przy tym tak kamienny wyraz twarzy, że sfinks wydałby się przy nim wielce ożywiony.

— Tak mało w tobie wiary, Neef? — zapytała Ewa.

Neef nie zauważył w jej wzroku ani poczucia winy, ani zmieszania.

— Co masz na myśli?

— Ja nie napisałam tego artykułu.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Akurat...

— Nie napisałam tego artykułu — powtórzyła wolno i spokojnie.

— Tylko trzy osoby wiedziały o zbieżności adresów na Langholm.

— Musiał wiedzieć jeszcze ktoś.

— Dostałaś pracę? — zapytał Neef.

— Nie przyjąłem jej — odparła Ewa.

— Dlaczego?

— Pokazali mi artykuł o Menogenu, który zamierzali opublikować i zapytali, czy napisałabym następne. Odmówiłam.

— Odmówiłaś?

— Powiedziałam im, że moim zdaniem to nieodpowiedzialna dziennikarska robota. Zamierzają zniszczyć dobrą reputację firmy, nie mając przeciw niej żadnych dowodów. Więc pokazali mi drzwi.

— Dlaczego wczoraj nie zadzwoniłaś?

— Wróciłam późno do domu i okazało się, że mój telefon nie działa — wyjaśniła Ewa. — Czułam się tak podle, że nie chciało mi się wychodzić, żeby poszukać automatu. Wzięłam proszek nasenny i poszłam do łóżka.

— Chryste! Co za dzień — powiedział Neef wyciągając się na krześle i zakładając ręce za głowę.

— Czy mogę teraz pójść do Neila?

— Nie, to jest raczej niewskazane.

Ewa była tak nieszczęśliwa, jakby ją uderzył.

— Chyba nie zabronisz mi widywać się z nim?

— Nic podobnego — zaprzeczył Neef. — Tylko właśnie wstrzymałem mu wirus Menogenu.

— Dostałeś pozwolenie?! — wyraz jej twarzy natychmiast się zmienił.

— Tak... i nie — odparł i opowiedział Ewie, co zaszło.

— Zrobiłeś mu ten zabieg, nie mając zezwolenia?! — wykrzyknęła. — Przecież mówiłeś, że nigdy byś tak nie postąpił.

— Powiedziałem, że nie mógłbym tego zrobić bez wiarygodnej opinii ekspertów na temat tej terapii. Specjaliści zapoznali się z moją propozycją i ocenili ją pozytywnie. To mi wystarczyło. Zakaz wydali politycy, w odpowiedzi na twój... na artykuł w gazecie. A to nie był wystarczający powód, by mnie powstrzymać przed daniem Neilowi ostatniej szansy.

— Dzięki Bogu — odetchnęła Ewa.

— Max Pereira i Kate Morse są w dyżurce. Oboje myślą, że to ty napisałaś ten artykuł. Dziś rano Kate podejrzewała, że to Pereira był sprawcą śmierci jej męża. Max obawia się, że już nigdy nie wróci do swojej pracy.

Ewa zamknęła oczy.

— Co mam na to powiedzieć?

— Nic — odparł Neef. — Jeśli to nie ty napisałaś tę historię.

16

Neef kazał Ewie poczekać w gabinecie i poszedł po Pereirę. Kate musiała zająć się jakimś problemem na oddziale.

Max popatrzył na Ewę, jakby miał przed sobą jakąś dziwną formę życia z obcej planety.

— To nie ona napisała ten artykuł — poinformował go Neef.

— A ja gram w przyszłym sezonie na pozycji quarterbacka u „Gigantów” — odrzekł cicho Pereira.

— Mówię poważnie — zapewnił go Neef.

— Ja tego nie napisałam — wtrąciła się Ewa. — Wiedziałam tylko, że to się ukáže. Proszono mnie o kontynuowanie tej serii artykułów, ale nie napisałam tego, co wydrukowano dziś rano w gazecie.

— Więc kto? Ilu zakamuflowanych dziennikarzy należy do personelu tego cholernego szpitala? — zapytał Pereira.

— Gazeta nie dostała tego materiału od dziennikarza — wyjaśniła Ewa. — Gdy by było inaczej, nie prosiłoby mnie, żebym się tym zajęła. Ktoś ze szpitala udzielił im informacji i redaktor dyżurny „Expressu” zrobił z tego artykuł.

— Ale kto z personelu chciałby, żeby ukazała się taka historia? — zaczął się głośno zastanawiać Neef.

— I dlaczego? — dodał Pereira.

— Tim Heaton zawsze stara się zwrócić na nas uwagę prasy — powiedział Neef. — Ale to nie miałyby sensu. Przecież ten artykuł wcale nie wyjdzie św. Jerzemu na dobre. Po lekturze tamtego o terapii genowej, którego autorem był Louradis ludzie łączą nasz szpital z Menogenem. A dzisiejsza historia zaszkodzi nam tak samo, jak Menogenowi.

— Może nie aż tak bardzo — zauważył Pereira. — Nie sądzisz, że to mógł zrobić Louradis?

— Ale po co?

— Zadzwoił do mnie, żeby zapytać o kilka szczegółów, kiedy pisał ten swój „przewodnik dla zwykłych ludzi po terapii genowej”. Temu facetowi musi strasznie zależeć na zrobieniu sobie reklamy. Sprawił na mnie wrażenie takiego, który powie wszystko, byle znaleźć się w świetle reflektorów.

— Wątpię, żeby wiedział, że Melanie mieszkała tak blisko Menogenu — od parł Neef.
— Poza tym, trudno mi jest sobie wyobrazić, w jaki sposób ta historia mogłaby mu pomóc zostać gwiazdą.

— Więc nadal szukamy motywu — wtrąciła się Ewa. — Może komuś zależało na zniszczeniu Menogenu. Naraziłeś się komuś aż tak bardzo, Max?

Pereira wzruszył ramionami.

— Albo może chodziło o sprytne odwrócenie uwagi — podsunął Neef.

Przypomniała mu się taktyka stosowana dawniej przez Heatona. Polegała ona na podawaniu prasie dobrych wiadomości, które miały zatrzeć złe wrażenie, wywołane wcześniejszym nieprzychylnym artykułem.

— Odwrócenie uwagi? — zapytała Ewa. — Ale od czego?

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć — odrzekł Neef. — Zastanówmy się, jeśli ktoś chce zrzucić winę za epidemię raka na Menogen, to może znać prawdziwą przyczynę zachorowań i pragnie ją ukryć.

— Ależ nikomu nie przyszła nawet do głowy inna możliwość, prawda? — zauważyła Ewa. — Więc po co takie działanie?

— No tak... rzeczywiście — przyznał Neef.

Pereira spojrział na Ewę.

— Pewnie nie ma szansy, żebyś dowiedziała się w gazecie, od kogo dostali tę historię?

— To wykluczone — pokręciła przecząco głową. — Nie zdradzą mi swojego informatora. Każdy chroni takie źródła. Poza tym, nie rozstaliśmy się w zbyt przyjaznym nastroju.

— A może każde z nas zastanowi się nad tym spokojnie i spotkamy się znów jutro — zaproponował Neef, spoglądając na zegarek. — Rano zrobimy Thomasowi Downy ostatni skaning, więc ty i tak tu pewnie przyjdiesz, Max.

— Jasne — potwierdził skwapliwie Pereira. — Chciałbym to zobaczyć.

Wstał i zaczął się zbierać do wyjścia.

— A jakie ty masz plany? — zapytał Ewę Neef, gdy za Maxem zamknęły się drzwi.

— Teraz jadę na Sutton Place. Przypuszczam, że ten poranny artykuł rozwiąże języki panom Kleinowi i Watersowi. Będą musieli złożyć prasie jakieś oświadczenie. Zamierzam ich przycisnąć i nie będzie to dla nich miłe.

— Życzę powodzenia. Zobaczymy się później?

— Jeśli tego chcesz...

Umówili się, że Ewa przyjedzie do domku Neefa, kiedy skończy pisanie artykułu dla „Citizena”.



Tuż po czwartej zadzwonił Tim Heaton. Nie był w dobrym nastroju.

— Przez cały dzisiejszy cholerny dzień próbowałem wydobyć coś z tych facetów z ministerstwa i nic mi się nie udało. Przyznali, że nie prowadzili dochodzenia w Menogenie przed ukazaniem się tej historii w gazecie, ale nie zamierzają niczego dementować. Nic z tego nie rozumiem. Tak, jakby im zależało, żeby ludzie w to uwierzyli!

— Bo to odwraca uwagę od nich — odrzekł Neef.

— Ale szkodzi nam! — wykrzyknął Heaton. — Wszyscy kojarzą św. Jerzego z Menoginem! Akurat teraz, kiedy mogliśmy zbić kapitał zaufania po artykule Marka Louradisa i chwalić się publicznie sukcesem w leczeniu raka, musiało się to zdarzyć! Wszystko przepadło. Trust zarządzający Szpitalem Uniwersyteckim uzna, że zostaliśmy ośmieszeni. Który lekarz ogólny przy zdrowych zmysłach skieruje do nas pacjenta, skoro jesteśmy powiązani ze skompromitowaną firmą Menogen Research?!

— Ta historia nie wyszła na zdrowie również Menogenowi — zauważył Neef. — Oni są absolutnie pewni, że zachorowań nie spowodowało nic, co pochodziło z ich pracowni. Problem w tym, że nikt im nie wierzy.

— Pieprzone gazety!

— Uprzedzę twoje pytanie. To nie Ewa Sayers napisała ten artykuł.

— To już coś. Dostałeś moje pismo dotyczące zakazu używania produktów Menogenu?

— Dostałem.

— Wiem, że wiązałeś duże nadzieje z tym ich ostatnim wynalazkiem, ale tak wyszło. Przykro mi.

— Rozumiem — odrzekł Neef.

Nie był to najlepszy moment, by przyznać się Heatonowi do tego, co zrobił. Wiadomość, że pacjent Szpitala św. Jerzego dostał bez upoważnienia eksperymentalny lek Menogenu nie była raczej tym, co chciał by teraz usłyszeć na pocieszenie. A gdyby ten fakt ujawniono, gazety podniosły by krzyk, że zrobiono królika doświadczalnego z małego, bezbronniego chłopca tylko dlatego, że nie ma on rodziców, którzy mogliby zadbać o jego interesy. Nikt nie zadałby sobie trudu, by zbadać, jak wygląda prawda.



Ewa zjawiała się w domku Neefa około ósmej.

— Jesteś głodna? — zapytał ją.

— Zjadłam spaghetti, zanim usiadłam do pisania artykułu — odparła.

— Dowiedziałas się czegoś ważnego na Sutton Place?

— Rozmawiał z nami Klein. Oświadczył, że dochodzenie trwa. Każdy chciał się dowiedzieć, co to za wirus i jak wydostał się z pracowni Menogenu. Wtedy Klein i Waters zaczęli gadać bzdury, jakie w takich sytuacjach zwykło się mówić. Nie mieli na tyle przyzwoitości, żeby się przyznać, że nie znaleźli żadnego dowodu. Więc dobrałam się do nich.

— Jak to?

— Zapytałam ich publicznie, czy wiedzieli o zbieżności adresów na Langholm, zanim przeczytali o tym w gazecie. Klein próbował coś kręcić, ale jak go przycisnęłam, przyznał, że nie wiedzieli. W tym momencie swoją szansę zwietrzył etatowy dziennikarz „Expressu”. Chciał wydobyć od Kleina stwierdzenie, że to jego gazecie prowadzący dochodzenie zawdzięczają zdobycie tak cennego tropu. Powiedziałam mu, że nie istnieją żadne dowody na poparcie tej gazetowej teorii, artykuł w „Expressie” zaś jest raczej szkodliwy niż pomocny.

— Gratuluję.

— Facet z „Expressu” nie był zachwycony moją wypowiedzią — odrzekła Ewa. — Zapytał mnie, po czyjej jestem stronie. Wtedy poprosiłam Kleina o odpowiedź na pytanie, czy zamknął doskonale i odpowiedzialnie prowadzoną firmę tylko na podstawie nie udokumentowanych gazetowych pomówień. Odparł, że nie, więc chciałam, żeby podał mi powód. Wyjaśnił, że obecnie nie może tego ujawnić, bo nie leży to w publicznym interesie.

— Podejrzewasz, że po prostu nie wymyślił jeszcze żadnego powodu? — odgwałt Neef.

— Tak — potwierdziła Ewa. — Więc strzeliłam w ciemno. Na próbę zapytałam go, czy to prawda, że Menogen Research występuje na drogę sądową przeciw bezpodstawnemu zamknięciu ich laboratoriów.

— A występuje? — zainteresował się Neef.

— Nie mam pojęcia, ale tak bym zrobiła na ich miejscu. Twarz naszego przyjaciela Kleina przybrała bielszy odcień bladości, po czym usłyszałam, że nie może tego skomentować.

Neef przyrządził dwa dziny z tonikiem i podał jeden Ewie.

— Wygląda na to, że jesteś w stanie wojny ze wszystkimi.

— I tak się czuję — przyznała Ewa pociągając łyk alkoholu. — Wiesz, przez cały dzień jedna sprawa nie daje mi spokoju.

— Jaka?

— Mówiłeś, że tylko trzy osoby wiedziały o zbieżności adresów na Langholm, prawda?

— Tak.

— Przypuścmy, że to Farro-Jones jest autorem przecieku do prasy.

Neef przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

— Chyba nie mówisz poważnie?

Ewa wzruszyła ramionami.

— Wiem, że to twój przyjaciel. Ale skoro to nie ty, ani nie ja, to pozostaje tylko on.

— Ale po co miałyby to zrobić? — zaprotestował Neef.

— Zastanawiałam się nad tym. David Farro-Jones to biolog molekularny jak Max. Tworzy wektory do terapii genowej jak Max. Ale może... nie tak dobre jak Max?

Oczy Neefa zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— Sugerujesz, że David chce zniszczyć Menogen z zazdrości? Dlatego, że Max odnosi sukcesy, a on nie?

— Nie jestem pewna, z jakich przyczyn — odparła Ewa. — Ale to jest myśl. Sam mówiłeś, że na skutecznych wektorach można zarobić mnóstwo pieniędzy. Wszystko, co zaszkodzi Menogenowi jest korzystne dla konkurencji, w tym i dla Davida Farro-Jonesa.

Neef potrząsnął głową, jakby nawet nie chciał się zastanawiać nad słowami Ewy, ale nagle zdał sobie sprawę, że nie da się całkowicie wykluczyć takiej możliwości.

— Być może, coś w tym jest — przyznał.



Z powodu dręczących go podejrzeń źle spał. Nad ranem leżał rozbudzony, zastanawiając się, czy David Farro-Jones byłby zdolny zrobić coś takiego. Wydawało się to nieprawdopodobne. Nie pasowało do niego. Zawsze sprawiał wrażenie człowieka, któremu najbardziej leży na sercu dobro pacjentów. A jednak to David ostrzegał go przed zżeraniem ambicją Maxem, sugerując że Pereirze nie należy ufać. A jeśli to Farro-Jonesa, a nie Pereirę zżerała nadmierna ambicja i chciwość?

To pytanie rodziło następne. Jeśli Farro-Jones chciał zniszczyć Menogen, to czy był zdolny posunąć się dalej, niż tylko spowodować przeciek do prasy? A może celowo gmatwał śledztwo, by jedynym podejrzanym pozostał Menogen? W końcu, to właśnie on poszukiwał wirusa. Nagle Neef uzmysłowił sobie, że to również David miał ustalić, czy historia Eddie'ego Millera o wcześniejszym od Melanie Simpson przypadku raka była prawdziwa.

Neef zrezygnował z prób zaśnięcia. Wstał i zrobił sobie kawy.



Gdy następnego ranka Neef zjawił się na oddziale o ósmej, dowiedział się, że Neil miał bardzo ciężką noc. Natychmiast poszedł obejrzyć chłopca. Oczy malca były pozabawione wyrazu, zniknęła z nich cała blask. Neef często widział takie tępe spojrzenie u nieuleczalnie chorych pacjentów. Z Neila zaczęło uchodzić życie.

— Cześć, Tygrysie. Jak leci? — zapytał cicho, siadając na brzegu łóżka i prze sunął palcami po czole chłopca. Pozornie był to tylko pieszczotliwy gest, ale w rzeczywistości Neef chciał zbadać dotykiem skórę Neila. To, co poczuł nie nastroiło go optymistycznie. — Po zastrzyku, który zrobiliśmy ci wczoraj poczujesz się dużo lepiej — powiedział do chłopca. — Wtedy pojedziemy do mnie, żebyś poznał Dolly. Co ty na to?

Neil nie odpowiedział. Wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym, otępiąłym wzrokiem.

— Może nawet urządzimy sobie z Ewą jeszcze jeden piknik — ciągnął Neef. — Znow zjemy za dużo hot dogów i zorganizujemy następny wyścig łódek na rzece. Tym razem nie pozwolę ci wygrać!

I znow nie było odpowiedzi. Nagle Neil wyszeptał:

— Chcę do Ewy.

— Obiecuję, że niedługo tu będzie — odrzekł Neef.

— Chcę do Ewy — powtórzył malec.

Neef wstał i przyjrzał się chłopcu ze ściśniętym sercem. Ewa mogła zjawić się za późno.

Pobiegł do swojego gabinetu i zadzwonił do niej. Nie zastał jej. Zostawił więc wiadomość na automatycznej sekretarce, żeby jak najszybciej oddzwoniła. Potem zatelefonował do redakcji „Citizena”, ale tam też jej nie było.

O jedenastej przyszedł Pereira. Neef powiedział mu o Neilu.

— Jasna cholera! — zaklął Max. — Ale należało się spodziewać, że dla niego jest już za późno.

Neef skinął głową.

— Choć to może być reakcja na wirus, który wszczepiliśmy mu wczoraj — dodał Pereira.

— Jak to?

— Wprawdzie wirus nie jest szkodliwy, ale podrażnił jego system odpornościowy i dlatego tak źle się czuje.

— Daj Boże, żeby to było tylko to. Ale obawiam się, że jest gorzej. On odchodzi i boję się, że nic na to nie możemy poradzić. Próbowałem porozumieć się z nim dziś rano, ale bez rezultatu. — Neef spojrział na zegarek. — Chciał zobaczyć Ewę, ale nie udało mi się jej złapać. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby nie zdążyła tu przyjechać po raz ostatni, zanim...

Do gabinetu wszedł Lawrence Fielding. Trzymał w ręce wynik tomografii komputerowej Thomasa Downy. Wyraz jego twarzy mówił wszystko.

— On jest zdrowy — oznajmił. — Ani śladu nowotworu.

Neef obejrzał zdjęcie.

— Słowo daję! To cud!

Podał wynik Pereirze, znów zerknął na zegarek i zaklął pod nosem.

— Coś się stało? — zapytał Fielding.

Neef powiedział mu o Neilu i o tym, że nie może znaleźć Ewy.

— A próbowałeś w Wydziale Zdrowia? — zasugerował Fielding. — Wszyscy dziennikarze przesiadują tam teraz.

Neef już miał podnieść słuchawkę, gdy zadzwonił telefon. Usłyszał głos Ewy.

— Właśnie telefonowałam do domu, żeby sprawdzić, czy coś jest nagrane na sekretarce i dostałam twoją wiadomość. O co chodzi?

— O Neila. Możesz tu zaraz przyjechać?

— Już jadę — rzuciła do słuchawki Ewa nie zadając żadnych pytań, ale Neef wyczuł w jej głosie zdenerwowanie.

Zjawiała się po piętnastu minutach.

— Co się stało? — zapytała z lękiem. — Co z Neilem?

— Chyba będzie musiał poddać się swojej chorobie — wyjaśnił Neef. — Rak go pokonał. Zbyt długo zmagał się z nim w nierównej walce. Jego siły się wyczerpały. Chciał cię zobaczyć.

— Ale przecież ten nowy wektor... — Ewa spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. — Nie zadziałał?

— Zdaje się, że zastosowaliśmy go zbyt późno — odrzekł Neef.

Przełknęła ślinę i przez chwilę starała się uspokoić.

— Mogę go teraz zobaczyć? — spytała, gdy odzyskała równowagę.

— Tak, tak, idź. Niedługo do ciebie dołączę.

Neef zaczekał, aż Pereira skończy oglądanie wyników Thomasa Downy i powiedział:

— Chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli możesz poświęcić mi kilka minut.

— Mam do dyspozycji cały dzień — odparł Max. — Czyżbyś zapomniał, że zamknęli moją pracownię?

— Między innymi o tym chcę porozmawiać. Tylko trzy osoby wiedziały, że Melanie Simpson mieszkała tak blisko laboratoriów Menogenu. Ja, Ewa Sayers i człowiek, który pierwszy to zauważył, czyli David Farro-Jones.

Pereira wytrzeszczył oczy, jakby coś go przeraziło, ale się nie odezwał.

— Kilka razy udało mi się zauważyć, że niezbyt lubisz Davida — ciągnął Neef. — Możesz mi zdradzić, dlaczego?

— Bo to kupa gówna — odrzekł bez ogródek Pereira. — Piękna fasada bez żadnej treści wewnątrz.

— Ja zawsze uważałem go za wyjątkowo miłego i uczynnego człowieka, dobrego kolegę.

— Bo nigdy z nim bezpośrednio nie rywalizowałeś. Większość ludzi jest miła i czarująca, jeśli nie stajesz im na drodze albo nie próbujesz zdobyć tego, na czym im zależy.

— Mam rozumieć, że w swoim czasie ty stanąłeś mu na drodze? — upewnił się Neef.

— Kiedy zrobiliśmy doktoraty, obaj ubiegaliśmy się w Stanach o medal przyznawany co roku najbardziej obiecującemu młodemu naukowcowi. Davidowi strasznie na nim zależało. To długa historia, więc powiem tylko, że nagroda przypadła mnie.

— A David nie był tym zachwycony?

— Pozornie nie mógł chyba okazać się bardziej czarujący. Ale później, na przyjęciu, trochę za dużo wypił i poznałem prawdziwego Farro-Jonesa. Nazwał mnie małym, żydowskim bękartem, a komisji przyznającej nagrody zarzucił popieranie „swoich”. Rzekomo dlatego zostałem wyróżniony.

— Tak powiedział? — zdziwił się Neef.

— Takich rzeczy się nie zapomina — odparł Pereira. — Następnego ranka znów był sobą, starym, uroczym kumplem. Jakby nic się nie stało.

— Rozumiem... Więc wcale by cię nie zaskoczyło, gdyby się okazało, że to David Farro-Jones zmontował przeciek do prasy?

— Nic a nic.

— A zatem, pozostaje pytanie, jak daleko był gotów się posunąć, by mieć pewność, że jedynym podejrzanym będzie Menogen — powiedział Neef.

— Co masz na myśli?

— David prowadził poszukiwania wirusa. Kiedy go nie znalazł, zasugerowałem, że to oczyszcza Menogen z zarzutów. Wtedy wysunął tezę, że może chodzić o nowy rodzaj czynnika zakaźnego, niewidocznego pod mikroskopem, czyli o prion.

— Nie ma mowy — zdecydowanie zaprzeczył Pereira. — Chciał cię skierować na fałszywy trop. Choroba wywołana przez prion w niczym nie przypomina tego, z czym mamy teraz do czynienia. Jeśli czynnik zakaźny jest niewidoczny, to z zupełnie innego powodu. Albo w ogóle go nie ma, albo... może po prostu nie widzimy tego, co jest tuż obok nas...

— O czym myślisz, Max?

Pereira zignorował to pytanie.

— Nie tylko David szukał wirusa, prawda?

— Nie, nie tylko on — przyznał Neef. — Towarzyszył mu zespół współpracowników.

— I żaden z nich nie zauważył niczego niezwykłego... Hm... To interesujące. Czy analizy wirusologiczne pierwszych pacjentek zrobiono w pracowni Farro-Jonesa?

— Nie. W laboratorium szpitalnym.

— Mógłbyś mi dostarczyć kopię raportu dotyczącego którejś z pacjentek? A najlepiej wszystkich? — zapytał Pereira.

— Myślę, że tak — odrzekł Neef. — A po co?

— Powiem ci, jak je obejrzę. Ale pewnie próbek pobranych z płuc nie uda ci się zdobyć?

— Próbek pobranych od pacjentek z rakiem?

— Tak.

— Spróbuję.



Neef poszedł do sali Neila, by przyłączyć się do Ewy. Kiedy się tam pojawił ze zdumieniem zauważył w oczach chłopca iskierkę ożywienia. Ewa potrafiła go zainteresować. Opowiadała mu bajkę o Maxwellu Gunnie.

— Jeśli chcesz dorosnąć i być tak silnym, dobrze zbudowanym strażakiem jak Maxwell, musisz się teraz postarać, żeby wyzdrowieć — mówiła Ewa. — Mam rację?

Neil pokiwał głową i Neef się uśmiechnął. Potrafiła do niego dotrzeć.

— A teraz odpocznij — powiedziała Ewa. — Zobaczymy się później i opowiem ci następną historyjkę.

Neil skinął głową i zamknął oczy. Ewa wstała. Neef dostrzegł w jej oczach łzy. Wyszła za nim z sali.

— Czuję, jak mi się wymyka — szepnęła. — Mam z nim kontakt, ale nie mogę go zatrzymać. Jakby odciągała go ode mnie jakaś siła... Nawet nie jest wroga, tylko uparta... Nie wiem, jak z nią walczyć.

— Spisałaś się bardzo dobrze — odrzekł Neef. — Porozumiałaś się z nim. Mnie się to nie udało.

Ewa pocałowała go w policzek.

— Do zobaczenia. Przyjdę tu jeszcze później.

Po powrocie do gabinetu Neef siedział przez kilka chwil głęboko zamyślony, zanim przypomniał sobie, o co prosił go Pereira. Frank MacSween był na urlopie i Neef nie miał pojęcia, w jaki sposób zdobyć próbki patologiczne pobrane od ofiar raka. Poza Frankiem, znał w pracowni tylko Charlie'ego Morse'a, który teraz sam stał się ofiarą choroby. Nagle uświadomił sobie, że patologia nie jest jedynym miejscem skąd może wziąć chorą tkankę. W Szpitalu Uniwersyteckim leżał przecież elektryk. Gdyby miał szczęście, tę sprawę mógłby mu załatwić Mark Clelland, lekarz, który opiekował się Charlie'em Morse'em. Neef zadzwonił do niego.

— Mark? Tu Michael Neef ze św. Jerzego.

— Cześć — odrzekł Clelland. — Miałem do ciebie zadzwonić. Chciałem ci podziękować za przybycie w dniu śmierci Charlie'ego Morse'a. Doceniam to i jestem pewien, że jego żona również. Co mogę dla ciebie zrobić?

Neef nie zdawał sobie sprawy z tego, że Clelland uważał jego przyjazd do szpitala za przysługę. To mu ułatwiało zadanie.

— Posłuchaj Mark. Zastanawiałem się, czy mógłbyś zrobić dla mnie biopsję płuc elektryka, który dostał raka w tym samym czasie co Charlie.

— Chodzi o Douglasa Coopera? Hmm... To może być trochę trudne. W normalnych warunkach nie miałbym z tym problemu, ale ci faceci z ministerstwa położyli łapę na wszystkim. Wydali zakaz wysyłania materiałów patologicznych do innych pracowni, niż ich własna.

— Rozumiem — odrzekł Neef. Nie wziął pod uwagę takich przeszkód. — No trudno — dodał zawiedzionym tonem. — Miałem nadzieję, że zrobią mi trochę nowych slajdów do celów szkoleniowych. Rak w tych ostatnich przypadkach był tak rozwinięty, że idealnie by się do tego nadawał. Ale jak nie można, to nie można.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza, wreszcie do Clellanda dotarło, jaki zawód sprawił Neefowi.

— Dobra, zostaw to mnie. Zobaczą, co da się zrobić.

— Dzięki, Mark. Będę zobowiązany.

Neef wrócił myślami do Neila Bensaona. Chłopiec przegrywał swą ostatnią walkę o życie i perspektywa jego śmierci przepelniała serce Neefa rozpaczą. Wbrew swym ciągłym zaprzeczeniom na gruncie zawodowym, Neil był dla niego kimś tak wyjątkowym jak dla Ewy. Ten mały chłopiec symbolizował w jego oczach odwagę i hart ducha. Zasługiwał, by wygrać tę bitwę.

Ale umierał i to wydawało się Neefowi tak strasznie niesprawiedliwe, że aż niebezpiecznie podkopywało jego wiarę, czy w ogóle warto walczyć. Nagle zdał sobie sprawę, że takie wątpliwości są w jego zawodzie bardzo groźne. Musiał myśleć w szerszej perspektywie. Neil nie był jedynym pacjentem na liście zagrożonych. Czwórka dzieci, którym nie pomogła terapia genowa też zasługiwała na specjalne względy, bo również nie miała wielkich szans na przeżycie.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego. Przecież Thomas Downy wyzdrowiał. Tymczasem u pozostałej czwórki nie nastąpiła żadna poprawa. Bardzo dziwne... Tak, jakby ta czwórka nie została w ogóle poddana nowej terapii...

Neef poczuł nagle występujący mu na czoło zimny pot, bo oto poraziła go znieczuślna straszna myśl. W leczeniu całej piątki musiała być jakaś różnica! Ależ tak! Thomasowi Downy wstrzyknięto wektor pochodzący z partii rezerwowej, bo w sali operacyjnej stłukła się fiołka. Wszystkie pozostałe dzieci dostały zastrzyki z innej partii. Z tej, którą... zabrał do zbadania David Farro-Jones!

Neef usiłował odrzucić potworne podejrzenie składając je na karb stresu. Próbował sobie wytłumaczyć, że to paranoja. Ale bez rezultatu. Jeśli Farro-Jones chciał zdyskredytować Menogen, mógł to łatwo osiągnąć sprawiając, że wektory firmy okażą się nieskuteczne. Pozornie badał, czy są bezpieczne, w rzeczywistości zaś... pozbawił je zdolności działania. Wyniósł je stąd na moją prośbę! — pomyślał Neef łapiąc się za głowę. Gdyby pielęgniarka nie upuściła fiolki w sali operacyjnej, Thomas Downy też dostałby zastrzyk pochodzący z pierwszej partii a nie z rezerwowej. A wówczas we wszystkich pięciu przypadkach terapia genowa okazałaby się nieskuteczna!

Neef nie był zdecydowany, co ma teraz zrobić. Powinien przemyśleć wszystko jeszcze raz, czy może z kimś na ten temat porozmawiać? A może działać polegając na swoim instynkcie? Od razu, nie zastanawiając się nad tym dłużej? Jego wcześniejsza rozmowa z Maxem Pereirą przeważała szalę na korzyść tego ostatniego rozwiązania. Chwyił telefon i zadzwonił po Lawrence'a Fieldinga.

— Zaczynamy wszystko od początku — oznajmił, gdy ten się zjawił. — Całą czwórkę dzieci, którym nie pomogła terapia genowa poddamy zabiegowi jeszcze raz.

— Co?! — wykrzyknął Fielding.

— Jak najszybciej zarezerwuj sale operacyjne. Tym razem użyjemy wektorów pochodzących z zapasowej partii przechowywanej w naszej farmacji.

— Ale po co? — zapytał zdziwiony Fielding. — Co to zmieni?

— Podejrzewam, że z tamtymi fiolkami było coś nie w porządku — odrzekł Neef.

— A dokładniej?

— Nie jestem pewien, ale Thomas dostał zastrzyk z partii rezerwowej i to mu pomogło.

Fielding przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz — westchnął. — Uzyskane wyniki nie będą ważne, gdyż tego nie przewiduje uzgodniony protokół. Nie będziesz mógł ich opublikować.

— Gównu mnie to obchodzi — odparł Neef. — Ja chcę dać szansę tym dzieciom, rozumiesz?



— Co za cholerny dzień — westchnął Neef kładąc głowę na ramieniu Ewy. Siedzieli oboje na sofie w jej mieszkaniu. — Rozmawiałem z Maxem na temat tego, co powiedział o Farro-Jonesie.

— I...?

— Nie był ani trochę zaskoczony. Tak, jakby uważał, że to typowe dla Davida.

— A zatem?

— Jak mogłem się co do niego aż tak mylić?

— To się zdarza najlepszym z nas — pocieszyła go Ewa.

— Nie przestaję myśleć o tym, jakie szkody mógłby wyrządzić.

— Menogenowi?

— Nie tylko. Zastanawiam się, jak daleko był zdolny się posunąć, chcąc zniszczyć Pereirę. — Neef zwierzył się Ewie ze swych podejrzeń dotyczących fiolek.

— Naprawdę sądzisz, że byłby do tego zdolny?! — wykrzyknęła z niedowierzaniem.

— Nie wiem — przyznał szczerze Neef. — Trudno mi to rozstrzygnąć, skoro tak się co do niego myliłem.

— Jeszcze nie wiemy, czy się myliłeś — przypomniała mu Ewa. — Na razie to tylko przypuszczenia.

— Ale po rozmowie z Maxem czuję się w obowiązku zbadać to — odparł Neef.

— I nie podobają mi się wnioski, do jakich dochodzę.

— Co masz na myśli?

— Jestem ciekaw, czy byłby zdolny przeszkadzać w dochodzeniu ludziom z Wydziału Zdrowia po to, by uniemożliwić im odkrycie prawdziwej przyczyny zachowań na raka.

— Jak to?

— Tylko jemu powiedziałem o tym, co usłyszałem od Eddie'ego Millera. To znaczy, iż rzekomo był wcześniejszy wypadek raka niż Melanie Simpson.

— Więc?

— Następnego ranka Eddie miał wypadek i zmarł, zanim zdążyłem go wypytać.

— Chyba nie sugerujesz, że...

Neef uniósł do góry ręce.

— Nie wiem. Ale tak było i to David sprawdzał później kartotekę Eddie'ego. I oświadczył, że nic w niej nie znalazł.

— Jestem skłonna uwierzyć, że przekazał prasie informacje rzucające cień na Menogen. Ale jakoś nie wydaje mi się prawdopodobne, aby uciekał się do takich środków, o jakich mówisz — zaoponowała Ewa.

— W porządku — zgodził się Neef. — Jeśli to prawda, to jego celem nie było tylko zniszczenie Menogenu. Chodziło mu o coś zupełnie innego. Działał z pobudek, które nawet nie przyszły nam do głowy.

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu. Ewa pierwsza przerwała ciszę.

— Jesteś absolutnie pewien, że Eddie Miller w żadnym momencie nie wymienił nazwiska pierwszej ofiary raka?

— Nie mam takiej pewności — przyznał Neef. — Był zalany i bełkotał. Jego rewelacja tak mnie zaskoczyła, że coś mogło umknąć mojej uwadze. Pamiętam, że kilka razy pytałem go o to nazwisko, ale ciągle zmieniał temat.

— O co jeszcze go pytałeś?

— O różne rzeczy. Zapytałem go, kiedy widział tę „prawdziwą” pierwszą pacjentkę. Utrzymał, że to zdarzyło się na kilka tygodni przed wypadkiem Melanie. Naciskałem go, próbując ustalić szczegóły. Ale udało mi się wydobyć z niego tylko wiek dziewczynki. Podobno miała mniej więcej tyle lat, co Melanie.

— Nic więcej? — dopytywała się dalej Ewa.

Neef potrząsnął głową wytężając umysł, by coś sobie jeszcze przypomnieć.

— Aha... Zapytałem go, dlaczego nie umieścił tego w raporcie?

— No i...?

— Dał mi wykład, co należy mówić ludziom, żeby mieć w życiu spokój. Jego zdaniem trzeba mówić to, co chcą usłyszeć. A ponieważ ktoś nie miał ochoty słyszeć o umieszczaniu wzmianki o nowotworach w raporcie, więc jej nie umieścił.

— Tak po prostu? — zdziwiła się Ewa.

— Przynajmniej tak to wyglądało w jego ustach. Powiedział, że ta drobina i tak już nie żyła, więc co to miało za znaczenie? Sporządzenie raportu na temat nowotworów nie mogło jej wskrzesić.

— Ta drobina? — powtórzyła Ewa. — Tak ją dokładnie określił?

— Chyba tak, jeśli dobrze pamiętam... Dlaczego pytasz?

— Rozmawiamy o dziewczynce w wieku trzynastu, lub czternastu lat, prawda?

— Tak, tak przypuszczam. Ale do czego zmierzasz?

— Nastolatka to już nie taka „drobina”, nie uważasz?

Neef zastanawiał się nad tym przez chwilę. Nagle omal nie poderwał się z sofy.

— Masz rację! — wykrzyknął. — Eddie miał na myśli nazwisko! Drobina przez duże „D”! O to mu chodziło!

— Przypuśćmy — odrzekła z powątpiewaniem Ewa. — Może rzeczywiście tak się nazywała, kto wie...

— Trzeba to ustalić! — zapalił się Neef. — Chyba warto spróbować?!

— Możemy przyjąć takie założenie. Jak chcesz się do tego zabrać?

— Musimy się zastanowić... Znając nazwisko dziewczynki moglibyśmy przeprowadzić dochodzenie, ale wszystko wskazuje na to, że jej akta zostały usunięte z kartoteki. Zadając pytania zwrócilibyśmy na siebie uwagę... Nie. Trzeba znaleźć inny sposób.

— Ale już nie dziś — sprzeciwiła się Ewa. — Jest bardzo późno.

Neef spojrzął na nią i przyciągnął ją do siebie.

— Nie, nie dziś — powiedział cicho.

— Najpierw zadzwoń do szpitala. Dowiedz się, co z Neilem.

Neef zatelefonował.

— Dzielnie się trzyma — oznajmił po chwili.



Do gabinetu weszła Ann Miles i postawiła na biurku Neefa kawę. Uśmiechnął się z wdzięcznością. To był kolejny pracowity dzień. Czwórka dzieci, którym nie pomogła pierwsza terapia genowa została poddana ponownemu zabiegowi. Tym razem wstrzyknięto wszystkim wektory wirusowe pochodzące z rezerwowej partii, przechowywanej w szpitalnej aptece. Dobre samopoczucie Neefa psuła jednak świadomość, że brnie coraz głębiej w kłopoty. Zabieg wykonany na Neilu był zdecydowanie nielegalny. Należało się również liczyć z ewentualnością, że za bezprawne działanie zostanie uznane powtórne zaszczepienie czwórki dzieci produktami Menogenu. Neef westchnął ciężko. Na swoją obronę miał tylko to, że wszystko robił ze szlachetnych pobudek. Jednak tłumaczenie takie nie usatysfakcjonowałoby komisji śledczej resortu zdrowia, gdyby wszczęto dochodzenie. Ale dla Neefa najważniejsze było to, że ma czyste sumienie.

Powrócił myślami do dziewczynki przypuszczalnie nazywającej się Drobina, jeśli w ogóle istniała. Zastanawiał się, jak zdobyć na jej temat informacje. Musiał do nich dotrzeć w tajemnicy przed wszystkimi, a zwłaszcza przed Farro-Jonesem. To natychmiast wykluczało wszelkie próby oficjalnego dowiedzenia się czegoś w Szpitalu Uniwersyteckim. Pomyślał, że mógłby poprosić o listę wszystkich nastolatek zmarłych w ciągu ostatnich kilku miesięcy w tamtym szpitalu, ale to wyglądałoby od razu podejrzanie. Potrzebował prostego, niewinnego sposobu nie wzbudzającego niczyjej ciekawości. Po kilku minutach wpadł na pewien pomysł. Miejscowe gazety! Istniała szansa, że zamieściły one w swoim czasie wzmiankę o śmierci dziewczynki. Mógłby przejrzeć stare numery, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Zadowolony z siebie, Neef wyruszył do biur redakcji. Znalezienie tego, czego szukał nie zajęło mu wiele czasu. Dość szybko natrafił na nekrolog.

Dowiedział się z niego, że trzynastoletnia Susan Mary Drobina zmarła po ciężkiej, drugiej chorobie i była ukochaną córką Ann i nieżyjącego już Charlesa. Matka wyrażała podziękowanie za troskliwą opiekę lekarzom i pielęgniarkom Szpitala Uniwersyteckiego. Prosiła o nieskładanie kwiatów i o datki na rzecz Zespołu do Badań nad Mukowiscydozą. Dalej następowały szczegóły dotyczące kremacji zwłok.

Neef zwrócił uwagę na słowo „mukowiscydoza”. Nad tym pracował Farro-Jones. Czy znalazł ogniwo łączące wszystko w jedną całość? Czy Susan Drobina była jedną z pacjentek poddaną próbnej terapii genowej w Szpitalu Uniwersyteckim? Eddie Miller zarejestrował przyczynę jej zgonu pod nazwą zatoru w płucach, ale naprawdę zmarła na raka oskrzeli. Ktoś nie chciał tego ujawnić. Co to wszystko znaczyło? Jak głęboko tkwił w tym Farro-Jones? Neef nie znalazł w gazecie adresu państwa Drobina. Postanowił zajrzeć do książki telefonicznej. Nazwisko nie należało do popularnych.

Telefon zarejestrowany był na Charlesa Drobine. W dodatku rodzina mieszkała w rejonie Szpitala Uniwersyteckiego.

17

Neef znalazł na swoim biurku małą paczuszkę. Dostarczyła ją szpitalna furgonetka, a na opakowaniu widniało jego nazwisko, wypisane czarnym flamastrem. W środku znalazł plastikową fiolkę z nalepką „D. Cooper, tkanka płucna”. Wokół owinięta była karteczka o treści: „Od życzliwego dla kolegi z amnezją”. Neef uśmiechnął się i podziękował w duchu Markowi Clellandowi. Z powrotem zapakował fiolkę i umieścił ją w lodówce. Potem zadzwonił do Pereiry. Max zjawił się po dwudziestu minutach. Wydawał się zaskoczony, a jednocześnie zadowolony, że Neef zdobył próbkę.

— To nie było łatwe — poinformował go Neef. — Urzędnicy z ministerstwa zabronili wnoszenia próbek patologicznych, pobranych od ofiar.

Pereira uśmiechnął się kwaśno.

— Ale tobie się udało. Mimo wszystko.

Neef spojrzał na niego zdziwiony.

— No tak.

— Mówisz, że to nie było łatwe, ale załatwiłeś próbkę bez trudu. Z wami tak zawsze. Kiedy jakieś przepisy wam nie pasują, telefon tu, telefon tam i wszystko da się załatwić. Gdyby ktoś wyniósł z Menogenu choćby spinacz, znalazłby się po uszy w gównie, jeśli zrobiłby to bez zezwolenia. Ale to właśnie nas wykończyli, zamykając firmę.

Neef zastanowił się nad słowami Pereiry i ze smutkiem stwierdził, że rozumie jego rozgoryczenie.

— Czy to znaczy, że nie chcesz tej próbki? — zapytał z uśmiechem zażenowania.

— Chcę — odparł Max. — Jest mi potrzebna. Nie będzie mnie przez kilka dni. Zadzwoniłem do kogoś i poprosiłem o przysługę. Jedna z takich paskudnych, goniących za zyskiem firm jak nasza udostępniła mi swoje laboratorium.

Neef patrzył na zamykające się za Pereira drzwi i rozmyślał nad tym, że Max ma pełne prawo czuć się pokrzywdzony, ale... nie tylko jemu jest trudno.

Ewa przyszła posiedzieć z Neilem i niedługo potem Neef przyłączył się do niej. Opowiadała właśnie malcowi o ostatnich bohaterskich wyczynach Maxwella Gunna. Jego remiza dostała nowiutki wóz strażacki i Maxwellowi przypadł w udziale zaszczyt prowadzenia go po raz pierwszy do pożaru. Samochód posiadał ni mniej ni więcej tylko

aż trzy syreny o różnym tonie i Maxwell obsługiwał je trzema różnymi przyciskami umieszczonymi nad przednią szybą. Gdy późną nocą wracał do remizy, przez przypadek wcisnął wszystkie naraz i obudził całe miasto. Następnego dnia wszyscy ziewali z niewyspania.

Neef zauważył w kąciku ust Neila ledwo dostrzegalny cień uśmiechu. Ewa ziewnęła szeroko, żeby zilustrować opowiedzianą historię i Neef zrobił to samo. Wydawało się, że Neil też chciał spróbować, ale tylko zamknął oczy.

Kiedy spojrzenia Ewy i Neefa spotkały się, zobaczył w jej wzroku cierpienie.

— On jeszcze wciąż walczy — powiedział Neef. — Potrafisz czynić cuda.

— Ale to nie wystarczy, prawda?

— Nikt nie byłby w stanie zrobić więcej. Każdy dzień stwarza wirusowi Pereiry możliwość oddziaływania na organizm Neila, ale on już jest bardzo wyczerpany. Ma serce tygrysa, ale to tylko mały chłopiec, który wytrzymuje więcej, niż dziecko w jego wieku zdolne jest znieść.

Ewa oparła głowę na piersi Neefa i zaczęła łkać. Nie mogła już dłużej powstrzymać łez. Przepraszała i płakała na przemian.

— Cicho... — pocieszał ją delikatnie. — I nie masz za co przepraszać.

Umówili się później w jej mieszkaniu. Gdy tylko Ewa wyszła, Neef chwycił kartkę z numerem telefonu Charlesa Drobiny. Odpowiedziała kobieta.

— Pani Drobina? Chodzi o pani córkę, Susan.

— To pomyłka.

— Na pewno?

— Nie mam córki. Nawet nie znam nikogo o tym imieniu. Musiał pan pomylić numery.

— Przepraszam.

Neef zaklął pod nosem. Czyżby chodziło o kogoś zamiejscowego, kto nie figurował w lokalnej książce telefonicznej? Bardzo możliwe. Do Szpitala Uniwersyteckiego przyjmowano pacjentów z muskowiscydozą również spoza rejonu. Jednak miejsce kremacji podane w nekrologu wskazywało, że zmarła dziewczynka mieszkała gdzieś w okolicy. W takim razie... jej rodzina nie miała po prostu telefonu! A tego nie wziął pod uwagę.

Przed opuszczeniem oddziału Neef polecił, by informowano go natychmiast, jeśli stan Neila ulegnie pogorszeniu. Na wszelki wypadek zostawił numer telefonu Ewy.

★

— Próbowałam przekonać naczelnego, że w tej aferze gazeta powinna stanąć po stronie Menogenu — powiedziała Ewa.

— Odważne posunięcie — pochwalił Neef.

— I co z tego? On uważa, że to byłoby co najmniej nierozsądne, skoro wszyscy inni skaczą Menogenowi do gardła. Zrobił mi wykład na temat tego, że należy mówić ludziom to, co chcą usłyszeć.

— Gdzie ja to słyszałem? — odparł Neef. — To znaczy, że teraz ludzie chcą czytać o podłej, goniącej za zyskiem firmie, która wypuściła zabójczego wirusa, tak?

— Mniej więcej.

— Thomas Downy nie ma już nowotworu mózgu.

— To cudownie! — ucieszyła się Ewa.

— No właśnie — przytaknął Neef. — Ale wątpię, by gazety interesowało to, że wyzdrowiał dzięki wirusowi Menogenu. Podanie tego do publicznej wiadomości byłoby w obecnej sytuacji trochę niewygodne, prawda?

— Pójdę z tym do naczelnego. Jeśli chcesz — zaproponowała.

Neef uśmiechnął się i poradził Ewie, żeby na razie dała sobie z tym spokój.

— Możesz natomiast pomóc mi w innej sprawie. Jak znaleźć panią Drobinę, która miała córkę Susan?

— Susan? Więc udało ci się dziś coś ustalić?

Neef opowiedział Ewie, jak zdobył potrzebne informacje.

— Że też ja o tym nie pomyślałam?! — wykrzyknęła. Neef uśmiechnął się. — Mówisz, że leczono ją na zwłóknienie torbielowate?

Potakująco skinął głową.

— Jestem przekonany, że to musi prowadzić do Davida Farro-Jonesa. To jego specjalność.

— Masz jakiś pomysł? — spytała Ewa.

Neef zaprzeczył, ale dodał:

— Może Max coś odkryje. Prosił mnie o próbki patologiczne pobrane od pacjentów z rakiem. Udało mi się załatwić biopsję tkanki płucnej Douglasa Coopera. To elektryk, który zachorował w tym samym czasie, co Charlie Morse. Max zabrał gdzieś te wycinki, żeby nad nimi popracować. W tym czasie mógłbym porozmawiać z rodziną Susan Drobiny, gdybym ją odnalazł. Przypuszczam, że to by nam pomogło.

— Walka ze zwłóknieniem torbielowatym interesuje czytelników — powiedziała Ewa. — Dość popularne jest zbieranie funduszy na ten cel.

— Do czego zmierzasz?

— Możliwe, że „Citizen” lub któryś z niezależnych miejscowych dziennikarzy napisał w swoim czasie coś o śmierci Susan. Sprawdź to rano, jeśli chcesz.

— Dobry pomysł.

O drugiej w nocy oboje obudził telefon. Dzwonił John Duncan, lekarz dyżurny z oddziału Neefa.

— Doktor Neef? Prosił pan o wiadomość, gdyby stan Neila się pogorszył.

— Tak.

— Niestety... Obawiam się, że do rana będzie po wszystkim.

Ewa już zdążyła zerwać się z łóżka. Ubierała się w pośpiechu. Neef zrobił to samo. Po kwadransie zjawili się w szpitalu.

Neef pozwolił Ewie samej zostać z Neilem, podczas gdy on rozmawiał z Duncanem. Żadna pomoc medyczna nie mogła już być skuteczna. Tylko Ewa miała szansę dotrzeć jeszcze do umysłu chłopca.

— Bardzo mi przykro, sir — powiedział Duncan. — Wiem, że ten mały jest pańskim ulubionym pacjentem.

— Nie mam ulubionych pacjentów — sprostował Neef nie patrząc na lekarza. Obserwował Ewę szepczącą coś do Neila.

— Nie... No oczywiście, że nie... — poprawił się Duncan.

Neef stanął w progu sali Neila i słuchał.

— Maxwell liczy na ciebie — dobiegł go głos Ewy. — Pamiętaj o tym, Neil. Wciąż mnie pyta, kiedy będziesz na tyle zdrowy, żeby mu pomóc. Ma tak dużo roboty w remizie, że potrzebna mu jest każda para rąk. Powiedział mi, że zamierza tu jutro przyjechać. Chce ci pokazać nowy wóz strażacki. Czy to nie byłoby wspaniałe? Obiecasz mi, że wyzdrowiejesz na tyle, by się z nim spotkać?

Neef zobaczył, że głowa chłopca spoczywająca na poduszce porusza się wolno na znak zgody. Ewa rozpaczliwie próbowała powstrzymać łkanie.

— Znowu udało ci się do niego dotrzeć — odezwał się Neef.

— Chcę z nim zostać. Pozwolisz mi?

— Oczywiście. Ja też zostanę.

Ewa położyła dłoń na jego piersi.

— Jedź do domu. Nie możesz być przy wszystkich dzieciach jednocześnie.

Neef wiedział, że Ewa ma rację.

— Zobaczymy się rano — odrzekł.

Przytulił ją do siebie i lekko pocałował w po liczek.



W domu nie mógł zasnąć. Wrócił do szpitala przed siódmą rano. Ewa ciągle była z Neilem. Klęczała na podłodze obok jego łóżka. Głowę złożyła na poduszce i z otwartymi oczami szeptała coś do chłopca. Neef uśmiechnął się do niej, po czym zapytał Duncana o innych pacjentów. Wysłuchał sprawozdania i pozwolił lekarzowi wyjść wcześniej.

— On ciągle się trzyma — powiedział Duncan. — To zadziwiające. Panna Sayers mówiła do niego przez całą noc.

Neef skinął głową.

Zrobił kawę korzystając z ekspresu w biurze Ann Miles i zwrócił się do Ewy.

— Czas na śniadanie. Neil śpi.

Ewa podniosła się sztywno. Neef przykucnął, by przyjrzeć się chłopcu.

— Co z nim? — zapytała.

— Nie poddaje się — odparł Neef. — Dobra robota.

Ewa wypła kawę w gabinecie Neefa, po czym oświadczyła, że chce pojechać do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

— Muszę iść do pracy. Ale będę się z tobą kontaktowała.

— Dobrze — zgodził się Neef. — Gdyby coś się zmieniło, zawiadomię cię.

Następnie wydał personelowi polecenie, żeby nie zostawiać Neila samego. Należało wykorzystać to, czego wcześniej dokonała Ewa i podtrzymać zainteresowanie malca tym, co dzieje się wokół niego. Warto było nadal podejmować próby zyskania na czasie. Pielęgniarki czytały mu na zmianę, opowiadały bajki, pokazywały obrazki i rozmawiały o samochodach strażackich. Każda godzina dawała nadzieję. Stwarzała szansę, że wirus Menogenu zadziała. Neef zajrzał do Neila około południa. Mimo wysiłków pielęgniarek miał wrażenie, że toczą z góry przegraną bitwę. Wkrótce zadzwoniła Ewa. Chciała znać sytuację.

— Kryzys trwa — poinformował ją Neef.

— Niedługo przyjadę. Ale najpierw wybieram się do miejscowej straży pożarnej. Staralam się ich nakłonić, aby złożyli Neilowi wizytę. Na razie przekonałam ich połowicznie, ale przynajmniej oficer dyżurny zgodził się ze mną porozmawiać.

— To dobra myśl! — pochwalił Neef. — To może być coś, czego potrzebujemy.

— Dowiedziałam się też czegoś na temat Susan Drobiny. Jeden z dziennikarzy robił reportaż o jej śmierci. Mieszkała z rodzicami w osiedlu bloków Combe Tower. To niezbyt przyjemna dzielnica. Masz coś do pisania?

— Dyktuj.

Ewa podała mu adres i ciągnęła dalej.

— Kiedy Susan umarła, sąsiedzi zaczęli zbierać pieniądze, by uczcić jej pamięć. Założyli fundusz jej imienia. Zgromadzili dwieście pięćdziesiąt funtów i wpłacili je na konto Szpitala Uniwersyteckiego na badania nad mukowiscydozą.

— Rozumiem. Sprawdzę to — odrzekł Neef.



Ssanie w żołądku przypomniało Neefowi, że od poprzedniego wieczoru nie miał nic w ustach. Jego śniadanie składało się tylko z filiżanki kawy. Poszedł do szpitalnej stołówki, szybko przebiegł wzrokiem jadłospis i zdecydował się na wędzoną rybę. Nie była zła, ale po kilku kęsach stracił apetyt. Przysiadł się do niego Tim Heaton.

— Masz jakieś wiadomości z Wydziału Zdrowia? — zapytał.

Neef pokręcił głową.

— Nieoficjalne. Zdaje się, że my też jesteśmy na liście tych, którym nie wolno udzielać żadnych informacji.

— Chodzą słuchy, że do czegoś doszli.

— Skąd to przypuszczenie?

— Dotychczas ludzie z Wydziału Zdrowia liczyli na dobrowolną współpracę osób, które stykały się z ofiarami raka. Teraz ta współpraca jest obowiązkowa. Wszystkie te osoby muszą pozostać w swoich domach aż do odwołania. Wysyłają do nich ekipy speców od dezynfekcji i konfiskują niektóre rzeczy osobiste. Na personel lekarski i pielęgniarski opiekujący się pozostałymi przy życiu pacjenta mi nałożono takie same restrykcje. Co o tym sądzisz?

— A więc uważają, że mają do czynienia z wirusem — odparł Neef.

— Tylko uważają?

— Może już wiedzą, że to wirus — poprawił się Neef. — Czy te nowe ograniczenia dotyczą również nas?

— Każdy członek personelu z objawami przeziębienia i grypopodobnymi ma być natychmiast zgłoszony do Wydziału Zdrowia. Podejmą odpowiednie kroki, by go odizolować i przeprowadzić dochodzenie — wyjaśnił Heaton. Neef w zamyśleniu pokiwał głową. — Jestem zaskoczony, że na tym poprzestali — ciągnął Heaton. — Jeżeli uważają, że to wirus, to dlaczego nie przebadają całego personelu?

— Myślę, że chodzi o upływ czasu — odrzekł Neef. — Jeśli ktoś z nas byłby zakażony, to już byśmy o tym wiedzieli.

— Szczęśliwie tak się nie stało — westchnął Heaton.

— Ale to dziwne — powiedział Neef.

— Dlaczego dziwne?

— Mogłoby się wydawać, że nikt nie powinien być odporny na nowy rodzaj wirusa. A tymczasem okazuje się, że większość z nas jest.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknął Heaton. — Tylko tyle mogę powiedzieć.

— I oby tak było dalej — dodał Neef.

— A jak tam twój mały pacjent, na którym zamierzałeś wypróbować nowy wektor?

— Jego życie wisi na włosku.

— Bardzo mi przykro.

Neef uświadomił sobie, że rozmowa schodzi na niebezpieczne tory. Spojrzał na zegarek i oświadczył, że musi już iść.

— Ja też — stwierdził Heaton. — Mam zebranie na temat miesięcznego budżetu i ta cholerna przełożona pielęgniarek ciągle siedzi mi na głowie, żądając zwiększenia stanu osobowego swojego personelu.

— Pewnie rzeczywiście potrzebuje więcej kobiet do pracy.

— Wiem, że wy lekarze zawsze trzymacie stronę pielęgniarek. To jedna sitwa — żartował Heaton.

— Pozbądź się nas, a wszystko będzie działać jak w zegarku — odparł Neef.

Heaton posłał mu surowe spojrzenie i tak się rozstali.

Neef wrócił na oddział i... nie mógł tego zrobić w gorszym momencie. W sekretariacie nie było akurat Ann Miles, która by go ostrzegła. Otworzył drzwi gabinetu i zastał tam Davida Farro-Jonesa. Neef przełknął ślinę, mając nadzieję, że jego twarz nie wyraża zmieszania.

— Nareszcie... — uśmiechnął się Farro-Jones. — Twoja sekretarka powiedziała, że niedługo wrócisz, więc postanowiłem zaczekać. Chyba nie masz mi tego za złe?

— Oczywiście, że nie — zapewnił Neef wciąż obawiając się, iż jego mina zdradza, co naprawdę czuje. Serce waliło mu gwałtownie.

— Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że wpadnę, aby zapytać o twojego pacjenta z nowotworem mózgu. Nadal są postępy?

— I to jakie! — pochwalił się Neef. — Chłopiec wyzdrowiał. Pokażę ci wyniki ostatniego skaningu.

— Wspiania! Po prostu cud — orzekł Farro-Jones. — Cieszę się, że mogę wam pogratulować takiego sukcesu. Max musi być uszczęśliwiony.

— Jest zadowolony — przyznał Neef. — Ale dobry nastrój mąci afera wokół Menogenu.

— Domyślam się. — W głosie Farro-Jonesa zabrzmiała szczerza troska. — To te cholerne gazety są wszystkiemu winne. Powinny za to odpowiedzieć przed sądem. Mam nadzieję, że firma je zaskarzy.

— Nie wiem — wyznał Neef. — Nie miałem okazji zapytać o to Maxa. Zamknęli laboratorium Menogenu i nie widuję go.

— Słyszałem o tym — ton głosu Farro-Jonesa nadal wyrażał zatroskanie. — Pośpieszyli się z tym. Wiesz... w pewnym sensie czuję się za to odpowiedzialny.

— Jak to...? — Neef omal się nie zakrztusił.

— To ja zauważyłem zbieżność adresów Menogenu i Melanie Simpson.

— Ale nikomu o tym nie powiedziałeś.

— Nie, oczywiście, że nie — Farro-Jones uśmiechnął się w taki sposób, że Neef poczuł się nagle zaniepokojony. — Ale martwi mnie to, że mogłem zostawić coś na biurku. Ktoś mógł to znaleźć i chcąc zarobić parę funtów sprzedał to prasie.

— Co się stało, to się nie odstanie — wzruszył ramionami Neef. — Teraz już za późno, żeby naprawić wyrządzone szkody. Nieważne, jak to było.

— Niestety... — westchnął Farro-Jones. — Pokażesz mi te wyniki?

Neef wyjął zdjęcie mózgu Thomasa Downy i wręczył je Davidowi.

— Zdziwiałe — stwierdził Farro-Jones. — Aż trudno uwierzyć, że jeszcze kilka tygodni temu ten chłopiec miał umrzeć na raka mózgu.

— Tak, to wręcz nieprawdopodobne — zgodził się Neef.

— Musisz przyznać Michael, że to terapia przyszłości. Ona zmieni oblicze medycyny.

— Trudno temu zaprzeczyć.

Farro-Jones zwrócił Neefowi zdjęcie.

— Lepiej się wycofam po tym, jak zobaczyłem, co potrafi konkurencja!

Neef próbował roześmiać się razem z Davidem, ale przyszło mu to z wielkim trudem. Poczł wielką ulgę, gdy za Farro-Jonesem zamknęły się drzwi. Na krótko. Jego wzrok padł na kartkę z adresem Susan Drobiny, którą zostawił na biurku. Była częściowo ukryta pod notesem, ale nazwisko wyraźnie rzucało się w oczy. Czy Farro-Jones mógł go nie zauważyć? Neef nie był tego pewien. Nie miał pojęcia, co robił Farro-Jones podczas jego nieobecności w gabinecie.

Neef postanowił działać szybko.



Osiedle Combe Tower znajdowało się w najgorszej części miasta. Cierpiało na wszystkie choroby społeczne współczesności, od wysokiego bezrobocia do narkomanii i zorganizowanej przestępczości. W przeciwieństwie do policji, władze miejskie były zadowolone, że wszelkie plagi skupione są na jednym obszarze, choć publicznie nie przyznawały się do tego. Neef obejrzał się na swego land rovera zastanawiając się, co z niego zostanie, gdy wróci na parking. Wypalony wrak forda cortiny na końcu placu nie napawał go optymizmem.

Obie windy nie działały. Grupka kobiet obładowanych plastikowymi torbami z zakupami głośno pomstowała na tę niewygodę. Neef rozejrzał się po klatce, szukając schodów.

— To już dwa dni, cholera jasna! — dobiegło do jego uszu, gdy wspinał się na górę.

Na każdym półpiętrze musiał omijać leżące śmiecie. Przeważały puszki po piwie i opakowania po chrupkach, choć na trzecim ciemnym podeście zauważył również strzykawkę. Zakrzepła w niej krew miała brązową barwę.

Kiedy dotarł na czwarte piętro, usłyszał głosy dochodzące z korytarza i natknął się na czterech młodych ludzi grających w karty. Poczł się nieswojo. Mężczyźni zamilkli i wlepili w niego wzrok.

— Jakiś problem? — zapytał zaczepnie jeden z nich.

— Nie — odrzekł Neef omijając graczy.

Miał nadzieję, że spotkanie nie będzie miało dla niego przykrych następstw. Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał, że za jego plecami młodzieńcy wrócili do przerwanej gry. Odnalazł mieszkanie numer trzy i zapukał do odrapanych, zniszczonych drzwi.

Otworzyła mu kobieta w średnim wieku o zapadniętych policzkach i prostych, siwych włosach. Miała na sobie sweter wycięty w literę V i wygniecioną spódnicę, a na nogach kapcie z wielkimi, futrzanymi pomponami. Na jej nagiej szyi wisiał złoty krzyż.

— Pani Drobina? Jestem doktor Neef ze Szpitala św. Jerzego.

Na twarzy kobiety odmalowało się zaskoczenie.

— Czego pan chce?

— Chciałbym porozmawiać o pani córce.

— O Susan? A o czym tu gadać?

— Bardzo mi przykro, naprawdę, ale chciałbym panią zapytać, jak córka była leczona. Muszę ustalić kilka rzeczy.

— Susan nie leczono w pańskim szpitalu, tylko w Uniwersyteckim.

— Czy mógłbym na chwilę wejść? — Neef wiedział, że sąsiedzi już zaczynają się interesować jego wizytą.

— Chyba tak... — odrzekła niechętnie kobieta. — Mam dużo prasowania.

Wprowadziła Neefa do pokoju, w którym na rozstawionej desce do prasowania rozciągnięta była bluzka. Na drewnianym stojaku obok wisiały już uprasowane ubrania. Neef nie zauważył wśród nich żadnego dziecięcego.

— Czy Susan była pani jedynym dzieckiem?

Ann Drobina skinęła głową.

— Wszystkim, co mi pozostało. Jej tata umarł przed trzema laty.

— Przykro mi — powiedział Neef. — Cierpiała na zwłóknienie torbielowate, tak?

— Od urodzenia.

— Czy od początku leczyli ją w Szpitalu Uniwersyteckim?

— Co za wspaniali ludzie... — kobieta z uznaniem pokręciła głową. — Byli dla niej tacy dobrzy... A szczególnie ci... jak to się mówi?... lekarze od fizjoterapii.

— Wspominali kiedykolwiek, że Susan uda się wyleczyć? — spytał Neef.

— W zeszłym roku — Ann Drobina przysiadła na wprost niego na brzegu krzesła. Wytrząsnęła papierosa z paczki leżącej na obramowaniu kominka i zapaliła go. — Wypróbowywali nowy lek dla takich jak Susan, ale nic z tego nie wyszło.

— Czy to była terapia genowa? — zainteresował się Neef, czując rosnące pod niecenie. Trop prowadził do Farro-Jonesa.

— Zgadza się — potwierdziła kobieta wypuszczając z ust obłok dymu. — Chcieli wprowadzić do płuc Susan jakiś nowy gen, żeby już nie musiała chodzić na fizjoterapię, ale się nie udało. Coś poszło nie tak.

— Szkoda — stwierdził Neef.

— Wszyscy byli zawiedzeni — powiedziała ze smutkiem Ann Drobiną.
— A najbardziej doktor Farro-Jones. To chyba on wymyślił tę nową metodę leczenia.

— Tak, on — przytaknął Neef czując, jak skacze mu tętno. — Czy potem widziała się pani z nim?

— Przyszedł w odwiedziny. Uroczy człowiek. Prawdziwy dżentelmen. Naprawdę troszczył się o pacjentów. Chciał zobaczyć, jak czuje się Susan.

— Był tutaj?!

— No tak.

— Kiedy?

— Pierwszy raz wtedy, gdy nie udało się ta nowa terapia. Chyba z rok temu... Powiedział, że niedługo poradzą sobie ze wszystkimi problemami i jeszcze raz spróbują wyleczyć Susan.

— A później jeszcze go pani widziała?

— Dwa albo trzy miesiące temu.

Neefowi zaschło w ustach.

— Znow tu przyszedł?

— Tak. Opracowywał nowy sposób leczenia i chciał dać Susan szansę, żeby skorzystała z tego pierwsza. Zanim wypróbują to w szpitalu. Susan ucieszyła się. Lubiła doktora Farro-Jonesa. To taki przystojny mężczyzna. Rozumie pan, w jej wieku...

Neef uśmiechnął się.

— Podobał się jej. Co było dalej?

— Doktor przychodził tu, żeby ją leczyć. Powiedział, że to będzie nasz sekret.

— Jak ją leczył?

— Bardzo prostym sposobem — wyjaśniła kobieta. — Dawał jej małe buteleczki, kazał je trzymać blisko nosa i głęboko oddychać przez kilka minut. To nie bolało, ani nic...

Neef przełknął ślinę. Znalazł gaz, którego szukali ludzie z Wydziału Zdrowia. Tylko że to nie był gaz. To była zawiesina wirusowa w lotnej postaci podawana pacjentce przez drogi oddechowe. Preparat przygotowany przez sukinsyna o przerośniętych amibicjach, który miał gdzieś wszelkie przepisy.

— I co się stało? — zapytał.

— Susan to nie pomogło. Prawdę mówiąc, jej stan jeszcze się pogorszył. Musieli ją zabrać do szpitala. Miała zajęte płuca, wie pan... Doktor Farro-Jones powiedział, że za późno zastosował nową terapię, dlatego nie mógł jej uratować. Był bardzo zmartwiony. Przyszedł nawet na pogrzeb. Taki miły człowiek... Oddany, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Neef skinął głową. Wiedział, co kobieta ma na myśli. Rozumiał teraz również, co miał na myśli Pereira mówiąc o Farro-Jonesie różne inne rzeczy.

— Czy Susan знаła dziewczynkę o nazwisku Melanie Simpson? — spytał.

— Miała koleżankę imieniem Melanie. Były razem w harcerstwie. Ale nie wiem, jak brzmiało jej nazwisko. A dlaczego?

— Czy Melanie była tu kiedyś?

— Odwiedziła Susan na krótko przed tym, jak moją córkę po raz ostatni zabrali do szpitala. Przysłali ją z harcerstwa z pozdrowieniami. Żeby pan zobaczył, jakie kwiaty przyniosła!

— A znała pani Jane Lees?

— Jane też przysła — odrzekł kobieta.

— Jak Susan poznała Jane?

— Jane była sąsiadką mojej matki. Susan bawiła się z nią, gdy jeździliśmy tam w środy i niedziele. Zaprzyjaźniły się bardzo.

— Wiedziała pani, że Jane umarła?

Matka Susan potakująco skinęła głową.

— Na raka.

— Melanie też — powiedział Neef.

Pani Drobina była zaskoczona.

— Mój Boże! Nie wiedziałam o Melanie. Co za straszna... — Na jej twarzy nagle pojawił się wyraz podejrzliwości i niepokoju. — Po co pan tu przyszedł? Dlaczego pan mnie wypytuje? O co panu chodzi?

Nie doczekała się odpowiedzi. W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Neef zeszytniał i zaczął nasłuchiwać, gdy kobieta poszła otworzyć.

— Doktor Farro-Jones! Co za niespodzianka! Właśnie o panu rozmawialiśmy.

— Doprawdy? — ozwał się głos Farro-Jonesa. — Mogę wejść?

— Oczywiście, panie doktorze. I może ktoś wreszcie powie mi, o co chodzi.

Farro-Jones wkroczył do pokoju, wymijając panią Drobineę. Uśmiechnął się niepewnie do Neefa.

— Cześć, Michael. Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

— Czyżby? — Neef utkwiał w nim zimne, oskarżycielskie spojrzenie.

— Co pani Drobina ci naopowiadała?

— Opowiedziała mi wszystko — odparł szorstko Neef.

Gospodyni sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Może ktoś mi wyjaśni, o co chodzi — poprosiła.

Neef i Farro-Jones przestali zwracać na nią uwagę.

— I co teraz? — zapytał Farro-Jones, wciąż się uśmiechając, ale w jego oczach Neef nie dostrzegł wesołości. Wręcz przeciwnie. Czaił się w nich strach, a uśmiech miał go zamaskować. — Jak głęboko siedzę w gównie?

— Po sam czubek głowy — odparł Neef. — Wiem, co zrobiłeś.

— Rozumiem... — Farro-Jones nerwowo zatarł ręce, a potem przeganiał palcami włosy. — Chyba to niewiele da, jeśli powiem, że wszystko robiłem w dobrej wierze, co? Neef przecząco pokręcił głową.

— Robiłeś to tylko i wyłącznie dla siebie. Dla nikogo innego. I skończyło się tak, że zabiłeś kilka osób.

— Nie chciałem, żeby tak się stało. To był tylko przypadek, cholerny pech. Na litość Boską! Nie miałem pojęcia, że wektor wirusowy przeistoczy się w czynnik rakotwórczy. Nie mogłem przewidzieć, że stanie się zaraźliwy przez naprawienie DNA. Bo niby jak? Nie było sposobu, żebym to przewidział. Kiedy Susan dostała raka, uważałem to za czysty przypadek. Nieszczęśliwy wypadek.

— Raka?! — wykrzyknęła pani Drobina. — Moja Susan miała raka?!

— Dzięki nowej kuracji doktora Farro-Jonesa nabawiła się raka — wyjaśnił chłodno Neef, nie odrywając oczu od winowajcy. — Nie zmarła na mukowiscydozę. Doktor tylko tak to przedstawił.

— Uprzedzałem, że to ryzykowne — odezwał się Farro-Jones.

— Eddie Miller to też nieszczęśliwy wypadek?

— Nałogowy pijaczyna... — mruknął pogardliwie Farro-Jones.

— Chyba czas, żebyśmy zawiadomili policję — oświadczył Neef.

— Chcesz powiedzieć, że przyszła pora, żebym wypił to piwo, tak? — uściślił Farro-Jones próbując się znów uśmiechnąć. — Nic z tego.

Widząc wyraz jego oczu Neef poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

— Nie licz na to, że się z tego wywiniesz — ostrzegł go nadrabiając miną.

— Jedyne osoby, które mogą mnie oskarżyć znajdują się teraz w tym pokoju — stwierdził Farro-Jones.

Pani Drobina wciąż nic nie rozumiała.

— Co tu się dzieje?! — krzyknęła. — Proszę mi powiedzieć, co tu się dzieje!

Ale obaj mężczyźni znowu ją zignorowali.

— Mylisz się — sprostował Neef. — Zanim tu przyszedłem, zostawiłem Frankowi MacSweenowi list. On nie spocznie, dopóki nie staniesz przed sądem. Jesteś odpowiedzialny za śmierć jego wnuka.

— MacSween jest na urlopie — odparował Farro-Jones. — Skończmy z tymi głupimi zagrywkami.

Nagle błyskawicznym ruchem chwycił żelazko i cisnął nim w Neefa. Z odległości dziesięciu stóp nie mógł chybić. Neef nie zdążył nawet zrobić uniku. Kawał żelaza trafił go w lewą skroń. Poczuł potworny ból i ogarnęła go ciemność.



Ocknął się ze strasznym bólem głowy. Czuł duszący żar i słyszał wrzask kobiety. Próbował podnieść się z podłogi, ale zrobiło mu się niedobrze. Usiłował usiąść i wtedy stwierdził, że nie może oddychać. Mieszkanie płonęło i pokój wypełniał gryzący dym. Natychmiast wróciła mu pełna świadomość. Z powrotem opadł na podłogę. Tuż nad nią pozostała jeszcze warstwa powietrza. Zaczął pełznąć w kierunku, z którego dochodziły krzyki. Znalazł panią Drobinę w przedpokoju. Rozpaczliwie starała się dotrzeć do drzwi wyjściowych, ale na nogach zapaliły się jej kapcie. Podskakiwała szaleńczo, próbując je ściągnąć.

Neef zobaczył płomienie ogarniające hall. Droga ucieczki z mieszkania została odcięta. Pociągnął rozhisteryzowaną kobietę na podłogę i zerwał z jej nóg kapcie. Zawłókł ją do pokoju, byle dalej od szalejącego w hallu ognia. Opierała się uważając najwidoczniej, że jedyną szansą ratunku są drzwi wyjściowe.

— Niech pani się nie podnosi! — wrzasnął jej do ucha Neef przekrzykując trzask płomieni. — Tu na dole można jeszcze oddychać! — Przycisnął jej twarz do podłogi.

Ściągnął ze stojaka jakieś ubranie i zanurzył je w dzbanku z wodą służącą kobiecie do napełniania zbiornika żelazka. Zarzucił sobie mokry materiał na głowę i chroniąc twarz podczołgał się do drzwi pokoju. Stały już w ogniu, ale zatrzasnął je, by odgrodzić się od pożaru w przedpokoju. Pani Drobiną była w szoku. Rozglądała się nieprzytomnie szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Leżała na podłodze wstrząsana drgawkami i zagryzała sweter przyciśnięty do ust.

— Wszystko będzie dobrze — starał się ją pocieszyć Neef. — Straż pożarna na pewno jest już w drodze. Musimy tylko trochę poczekać.

Spojrzał w górę zastanawiając się, czy nie wybić szyby w oknie. Bał się jednak, że nagły ciąg powietrza podsyci pożar i płomienie ogarną cały pokój. Skoro już tyle wytrzymali, lepiej było poczekać jeszcze trochę.

Żar stawał się nie do zniesienia. Gorące powietrze zapierało dech w płucach. Neefowi wydało się nagle, że poprzez szum ognia słyszy odległe zawodzenie syren.

— Boże! Spraw, żebyśmy się nie mylił! — szepnął.

Mimo dymu czuł swąd spalonych włosów i skóry. Spojrzał na panią Drobinę i dostrzegł, że tłą się jej włosy. Musiał wybić szybę zanim oboje spłoną żywcem. Kiedy przygotowywał się do skoku w kierunku okna, zauważył wazony stojące po obu stronach kominka. Sterczące z nich kwiaty dawno zwiędły od gorąca, ale jego interesowało to, w czym są zanurzone. Podczołgał się na brzuchu do kominka i zagłębił rękę w pierwszym wazonie. Pod palcami poczuł wodę. Przyciągnął oba naczynia do okna i wylał zawartość jednego z nich na głowę kobiety. Potem oblał wodą siebie i wypił łyk płynu. Biorąc pod uwagę okoliczności, napój wydawał się chłodny i smaczny.

Syreny wyły teraz bardzo głośno. Neef usłyszał, że coś trze o mur na zewnątrz budynku. Nadchodziła pomoc. Wiedział, że jeśli mają przeżyć, decydujące będą najbliższe sekundy. Strażacy wspinający się po drabinie wybiją szybę w oknie. On i pani Drobina znajdą się w niebezpieczeństwie, gdyż wokół rozprysną się kawałki szkła, a nagły ciąg powietrza spowoduje, że przez pokój przetoczy się gwałtowna fala ognia. Rozważał, czy nie powinien wstać i pokazać się strażakom. Bał się jednak, że go nie dostrzegą i przyjmie na siebie rozpryski szyby. Szkło uderzy go w twarz, a zewsząd otoczą płomienie i stanie się mimowolną ofiarą akcji ratowniczej.

Pozostał więc na podłodze razem z panią Drobina. Jedyną deską ratunku było osłonięcie się czymś. Wzrok Neefa padł na stojak z ubraniami. Podpełzł do niego, przewrócił go na bok i przyciągnął do siebie całą wiszącą na nim odzież. Potem nakrył nią siebie i kobietę i przywarł do niej całym ciałem. W pokoju nagle zrobiło się ciemniej. Czyjaś postać przesłoniła okno. Neef zamknął oczy i zasłonił ręką twarz kobiety.

Szyba rozprysła się i nagły, gorący podmuch zapał Neefowi dech w piersi. Rozpaczliwie próbował się podnieść, gdy pokój zalały strumienie wody. Przywarł do ściany obok okna, by nie zmiotł go silny prąd tryskający z węża. Gdyby woda pod tak wielkim ciśnieniem uderzyła w niego, przeleciałby zapewne przez cały pokój i wylądował na płonących drzwiach do hallu. Gdy strumień przesunął się nieco, Neef wyłonił się z ukrycia i pokazał się strażakowi stojącemu na drabinie. Między jej platformą a ścianą budynku pozostawała przepaść około dwumetrowej szerokości. Metalowa kratka okienna została wygięta na zewnątrz, gdy tłuczono szybę.

Nie było sposobu, aby przysunąć drabinę bliżej.

18

— Ile osób jest w mieszkaniu? — zawołał strażak.

— Dwie.

— Obie w tym pokoju?

— Tak.

— Muszę tu ściągnąć sprzęt do cięcia! — krzyknął mężczyzna przyłożywszy do ust dłoń zwinioną w trąbkę. — Inaczej nie podejść bliżej! — wskazał pogiętą kratę.

— Nie ma czasu! — odkrzyknął Neef.

Obaj spojrzeli w dół na dzielącą ich odległość. Dystans nie wyglądał zachęcająco.

— Wezmę kobietę — zaproponował Neef. — Nie jest ciężka.

Zniknął na chwilę w głębi pokoju i przyciągnął panią Drobinę do okna. Zamierzał przekazać kobietę strażakowi. Nie wydawało mu się to trudne. Nie opierała się, była w szoku. Nie miał problemu z uniesieniem jej. Podtrzymując ją jednym ramieniem wychylił się z okna. Wtedy kobieta nagle się ocknęła i uświadomiła sobie, co się wokół dzieje. Wrzasnęła przeraźliwie, gdy spojrzała w dół i zobaczyła pod sobą przepaść. Zaczęła szarpać się i kopać, utrudniając Neefowi całą akcję. Nagle poczuł ten niewygodny ciężar na swoich barkach.

— W porządku! Złapię ją! — krzyknął strażak wychylając się z platformy jak najdalej mógł, by dosięgnąć rzucającą się kobietę. — Niech pan ją puści!

Neef rozluźnił chwyt i cofnął się widząc, że pani Drobina jest już bezpieczna w objęciach strażaka. Ale w ostatniej chwili kobieta wierzgnęła histerycznie obiema nogami i wysunęła się z trzymających ją rąk. Na moment zawisła w powietrzu, bo mężczyzna zdołał jeszcze chwycić ją za spódnicę. Gdy wydawało się, że sytuacja jest opanowana i strażak podciągnie ją z powrotem do góry, materiał rozdarł się nagle. Bezwładne ciało spadło z wysokości kilku pięter na spotkanie ze śmiercią.

— Jezu Chryste! — krzyknął strażak podnosząc rękę do osłaniającej jego twarz szyby. Ze zgrozą patrzył na rozkrzyżowane na ziemi zwłoki. Po chwili przeniósł wzrok na Neefa. W jego oczach była rozpacz i przerażenie. — Czy to była pańska...?

— Nie — odkrzyknął Neef. — I to nie pana wina. Nie mógł pan nic zrobić! — Przez moment obserwował, jak mężczyzna dochodzi do siebie. Szybko odzyskał równowagę.

— Da pan radę? — zawołał do Neefa.

— Tak! — Neef wiedział, że nie ma wyboru. Podciągnął się na okno i stanął nad przepaścią. Kiedy spojrzął w dół, zakręciło mu się w głowie. Desperacko szukał wzrokiem czegoś, co pomogłoby mu przedostać się na drugą stronę.

— Powoli! Niech się pan nie śpieszy! — pouczył go strażak.

Neef zebrał się na odwagę i już miał skoczyć, gdy w pokoju nagle eksplodowała pałaca się sofa. Otoczyła go czarna chmura dymu. Jego gardło wypełniły gryzące, toksyczne opary. Oczy zaczęły go piec. Próbował stać bez ruchu i nie oddychać, dopóki dym się nie rozwieje. Kiedy stwierdził, że może już nabrać powietrza, otworzył również oczy. Mrugał, usiłując opanować łzawienie.

— Wszystko w porządku?! — krzyknął strażak.

— Tak! Przechodzę!

Tym razem, gdy zbierał się do skoku, drabina raptownie się zakołysała. Dzieląca go od niej odległość zwiększyła się o dobre pół metra.

— To tylko wiatr! — uspokoił go mężczyzna na platformie. — Zaraz przysunie ją z powrotem.

Napięte nerwy zaczęły odmawiać Neefowi posłuszeństwa. Wpatrywał się w drabinę i kiedy wychyliła się w jego kierunku, skoczył. Pewnie wylądował na platformie i poczuł pod stopami twardy grunt. Strażak otoczył go ramionami. Przez moment trwali w tym niedźwiedzim uścisku.

— Czy to znaczy, że jesteśmy zaręczeni? — zapytał jego wybawca.

— Nie wiem, jak mam panu dziękować... — wysapał Neef.

— Nie ma potrzeby. Zejdzie pan sam na dół?

— Tak — zapewnił Neef i rozpoczął powolny spacer w dół. Schodzenie wydawało się trwać w nieskończoność.



Gdy dotarł na ziemię, rozejrzał się wokół. Był kompletnie zagubiony. Dookoła widział płataninę węży strażackich, pojazdy, błyskające niebieskie światła... Obok niego wyrosła załoga karetki pogotowia.

— Nie jest pan ranny?

— Nie, wszystko w porządku. — Neef strząsnął z siebie koc, którym okryto jego ramiona. Poszukał wzrokiem pani Drobiny i zobaczył nosze. Pod brezentową płachtą rysował się wyraźnie kształt ludzkiego ciała. Ruszył w tamtym kierunku.

— Naprawdę nie powinien pan... — usłyszał za sobą i poczuł na ramieniu dłoń próbującego powstrzymać go policjanta.

Oswobodził się i poprosił:

— Tylko na moment, dobrze?

Policjanci i strażacy myśleli zapewne, że Neef jest spokrewniony z ofiarą pożaru. Cała grupa cofnęła się pozostawiając go samego przy zwłokach. Neef przyklęknął obok noszy i odsłonił brezent. Martwa kobieta wydawała się małą wśród otaczających ją pojazdów. Przypominała porzuconą szmacianą lalkę. Neef poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Farro-Jones wkroczył w życie tej kobiety, zyskał jej zaufanie, a potem oszukał, a jej jedynej córce wyznaczył rolę królika doświadczalnego, by kontynuować swą karierę naukowca. Zamordował obie, sukinsyn! „Ale to taki dzentelmen... Naprawdę troszczył się o pacjentów... Nawet pokazał się na pogrzebie Susan... Przemięły człowiek...”

Neef wyprostował się i wziął głęboki oddech. Miał wrażenie, że wie, dokąd pojechał Farro-Jones.

Obok znów pojawił się sanitariusz z karetki.

— Jest pan już gotów, żeby poddać się badaniu? Lepiej zabierzemy pana do szpitala, mimo że chwilowo czuje się pan dobrze.

— Zaraz przyjdę — odrzekł Neef nie odrywając oczu od zwłok pani Drobiny.

Sanitariusz odszedł, ale za to zjawił się policjant.

— Niestety muszę zadać panu kilka pytań. Czuje się pan na siłach?

— Czy można z tym poczekać? — spytał Neef. — Teraz jadę na badania.

— Oczywiście. Może na razie poda mi pan tylko imię, nazwisko i adres, dobrze?

— Neef podał swoje dane. — Jest pan lekarzem? — zapytał policjant.

— Tak. Pracuję w Szpitalu św. Jerzego.

Kiedy mężczyzna schował do kieszeni notes i powrócił do swych kolegów, Neef rozejrzał się ostrożnie. Nikt go nie obserwował. Szybko wykorzystał okazję i skrył się za jednym z wozów strażackich. Pod jego osłoną pobiegł w kierunku parkingu, na którym zostawił samochód. Odetchnął z ulgą, widząc że jego land rover wciąż stoi na czterech kołach. Silnik zaskoczył natychmiast i Neef oddalił się z piskiem opon.

Był pewien, że Farro-Jones pojechał prosto do Szpitala św. Jerzego, by w pracowni patologicznej odszukać nie istniejący list do Franka MacSweena. Zapewne przetrząsał ją jeszcze nie mogąc znaleźć tego, czego nie było. A na dodatek uważał, że jego dwie ofiary spłonęły w pożarze.

Na widok samochodu Farro-Jonesa zaparkowanego przed wejściem na patologię Neef poczuł w żołądku skurcz strachu. To był tylko pojazd, ale symbolizował wszystko co najgorsze. Po raz pierwszy w życiu Neef miał wrażenie, że oto przyjdzie mu się zmierzyć z uosobieniem samego zła. Powinien zdać sobie z tego sprawę wcześniej. Istniało tylko jedno wyjaśnienie, dlaczego Farro-Jones podpalił mieszkanie. Ten człowiek był szalony. Owa myśl bynajmniej nie uspokajała Neefa, gdy schodził w dół do pracowni patologicznej.

Zatrzymał się u podnóża schodów i przez moment nasłuchiwał. Wokół panowała cisza. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że z powodu urlopu Franka MacSweena i śmierci Charlie'ego Morse'a pracownia jest czasowo nieczynna, a sekcje zwłok przeniesiono do Szpitala Uniwersyteckiego. Tam skierowano również laborantów, więc na patologii w św. Jerzym obecnie nikt nie pracował. Neef przesunął wzrokiem wzdłuż korytarza i zobaczył smugę światła, widoczną w szparze pod drzwiami biura MacSweena. Ten cienki pasek jaśniejący w ciemności potwierdził jego przypuszczenia. Farro-Jones wciąż był tutaj.

Neef zauważył, że wyłamano zamek w drzwiach. Przesząpił próg, zasłaniając sobą niemal całe wejście.

Farro-Jones podniósł na niego wzrok. Był wstrząśnięty, gdy zobaczył Neefa. Siedział właśnie w fotelu MacSweena i szperał w szufladach biurka. Podczas nieobecności patologa nagromadziło się mnóstwo papierów.

— Tu go nie znajdziesz. Wysłałem ten list na jego domowy adres.

Farro-Jones wstał powoli i zaczął się cofać, rozglądając się na prawo i lewo, jakby rozważał swoje szansę. Miał tylko jedną możliwość ucieczki. Musiał otworzyć drzwi znajdujące się za jego plecami. Prowadziły prosto do prosektorium. Tak też zrobił.

— To koniec — powiedział Neef idąc za nim. — Policja już tu jedzie. Zgnijesz w więzieniu, ty sukinsynu. Spędzisz tam resztę życia, skurwielu.

Farro-Jones rozpostarł ramiona, jakby chciał powstrzymać gniew Neefa.

— Już ci mówiłem, Mike, że nie chciałem, żeby tak się stało. To był tylko pech, nie-szczęśliwy wypadek, nic więcej. Wszystko poszło źle. Wpadłem w panikę i zrobiło się jeszcze gorzej.

— Potraktowałeś matkę i córkę jak króliki doświadczalne. One ci zaufały, a ty je zabiłeś! I nazywasz to pechem?!

— Ach, więc Ann Drobina nie żyje... — Wyraz oczu Farro-Jonesa zmienił się, jakby nagle coś sobie uświadomił. — A ty chcesz mnie przekonać, że policja uwierzyła w twoją historię i pozwoliła przyjechać ci tu samemu? Daj spokój, Neef. Bawisz się w „Strażnika Teksasu”. Jesteś jedynym, który wie i działasz na własną rękę.

— Dosyc tego! — Neef wciąż skradał się w kierunku Farro-Jonesa, a ten ciągle się cofał. Minęli stoły do sekcji zwłok i posuwali się w stronę pomieszczenia, gdzie przechowywano ciała.

— Neefy. Wiesz co, stary? Nie wierzę w istnienie tego listu. Chcesz spróbować szczęścia? To chodź!

Farro-Jones przyjął teraz agresywną postawę. Przestał się cofać i stanął gotowy do walki. Neef górował nad nim wzrostem, masą ciała i zapewne siłą, ale Farro-Jones był dobrze zbudowany i wysportowany. Poruszał się lekko. Zamarkował krok w lewo, ale Neef zastąpił mu drogę. Farro-Jones znów musiał się cofnąć i Neef stopniowo spychał

go w najdalszy kąt sali, skąd nie było ucieczki. Farro-Jones zauważył to. Chciał zmylić przeciwnika krokiem w prawo, po czym ruszył na niego. Ale Neef zrobił unik i uderzył go prawym sierpowym w twarz. Cios zwałił Farro-Jonesa z nóg. Klęcząc, rozcierał policzek.

Gdyby Neef miał pojęcie o sztuce walki ulicznej, dałby Farro-Jonesowi parę kopniaków i zakończył starcie na swoją korzyść. Ale dobijanie przegrywającego nie leżało w jego naturze. Czekał, aż przeciwnik się podda. Farro-Jones pozostał na podłodze, dopóki nie odzyskał tchu. Wtedy zaczął się podnosić.

— W porządku, Neef... Wygrałeś — stwierdził prostując się.

Neef odprężył się nieco i wtedy... dostał bykiem w brzuch. Zaparło mu dech w płucach i poleciał do tyłu, uderzając plecami w drzwiczki chłodni ze zwłokami. Otrząsnął się jednak natychmiast i trzasnął Farro-Jonesa pięściami w uszy. Próbował jeszcze dosięgnąć jego twarzy kolanem, ale chybił. Przeciwnik odskoczył w tył.

Natarcie głową nie odniosło pożądanego skutku, więc Farro-Jones zaczął okrążać czekającego na następny atak Neefa, rzucając na boki ukradkowe spojrzenia. Jego wzrok padł na puszkę z oliwą używaną przez portiera do smarowania zawiasów drzwi. Stała na parapecie. Farro-Jones szybko przestał się przyglądać puszcze i począł zakolami zmierzać w jej kierunku. Po chwili znalazła się w jego zasięgu. Nie odrywając oczu od Neefa wyrzucił za siebie ramię, chwycił puszkę i cisnął ją w przeciwnika. Neef tylko lekko przechylił głowę w lewo i pocisk przeleciał obok. Trafił w drzwiczki chłodni i upadł na podłogę.

Po raz pierwszy Neef dostrzegł w oczach Farro-Jonesa świadomość porażki. To podniosło go na duchu i zrobił się nieostrożny. Z taką łatwością uniknął ciosu, że nie wziął pod uwagę faktu, iż zawartość puszek wylała się na podłogę za jego plecami. Farro-Jones znów odzyskał pewność siebie i wyraz jego oczu znów się zmienił. Neef nie zdążył się zastanowić, dlaczego. Przeciwnik skoczył na niego, zmuszając go do cofnięcia się wprost w tłustą kałużę. Nogi rozjechały się pod Neefem. Stracił równowagę i upadając walnął głową o metalowe drzwiczki. Na kilka sekund zamroczyło go.

To wystarczyło, by napastnik przejął inicjatywę. Zwałił się na Neefa i tak długo zadawał mu ciosy w głowę, aż Neefa ogarnęła ciemność.

Kiedy odzyskał przytomność, ręce i nogi miał skrępowane taśmą chirurgiczną. Farro-Jones stał w rogu sali czytając kartkę wiszącą nad trzema trumnami przygotowanymi do umieszczenia w nich zwłok z chłodni. Zauważył, że Neef się ocknął więc podszedł bliżej.

— No cóż, Neef... To będzie dla ciebie smutny dzień. O czwartej trzydziści po południu twoje ciało zostanie poddane kremacji.

Neef poczuł, jak wnętrzności podchodzą mu do gardła. Wyraz twarzy Farro-Jonesa świadczył o tym, że nie żartuje.

— Na litość Boską, człowieku! Mordując ludzi nie wywiniesz się z tego. Powinien ci to wypowiedzieć zdrowy rozsądek. Co ci to da, że mnie zabijesz?

Próba przemówienia Farro-Jonesowi do rozsądku wywołała tylko uśmiech na jego twarzy.

— Po śmierci Ann Drobiny i twojej nikt już niczego mi nie udowodni. Nikt znajomy nie widział mnie dziś w tamtym osiedlu i nikt już więcej nie zobaczy ciebie. Zajmiesz miejsce... — Farro-Jones zajął do papierów, które trzymał w ręce — ... Jamesa Henry'ego Todda. To jego kremacja ma się odbyć dzisiejszego popołudnia. Więc sam widzisz... Wszystko się skończy.

Chwycił Neefa pod pachy i zawlókł go po podłodze ku podwyższeniu z trzema trumnami.

— Będzie ci trochę ciasno. Pan Todd był sporo niższy od ciebie. Ale jestem pewien, że jakoś sobie poradzimy.

Neef wciąż był oszołomiony po ciosach w głowę, ale panika dodała mu sił. Napiął mięśnie rąk i nóg, ale krępująca je taśma nie puściła.

— Przewidziałem, że będziesz się rzucał — uśmiechnął się złowieszczo Farro-Jones. — Więc kiedy leżałeś jak zimny trup, przygotowałem ci coś na uspokojenie. — Zaczął napełniać strzykawkę. — Nic groźnego. Nie chcę, żebyś przegapił swój własny pogrzeb.

Neef nie miał sposobu na uniknięcie zastrzyku. Niemal natychmiast poczuł, jak wiotczają mu mięśnie i opada z sił. Nie stracił przytomności, ale był za słaby, żeby się poruszyć. Farro-Jones zakneblował go kawałkiem materiału i zakleił mu usta taśmą chirurgiczną. Zdjął wieko z trumny przeznaczonej dla Jamesa Todda i oparł je o drzwiczki chłodni.

— A teraz, do środka... — mruknął, podciągając z trudem bezwładne ciało Neefa do góry, by w końcu załadować je nieporządnie do trumny.

— Tak myślałem — pokiwał głową. — Trochę za krótka. — Zgiął nogi Neefa i układał je tak długo, aż zmieściły się w skrzyni. Potem poupychał wokół głowy Neefa fartuchy chirurgiczne unieruchamiając ją całkowicie. Gdyby nawet Neef miał siłę, żeby się poruszyć, nie mógłby już tego zrobić.

Farro-Jones wyczytał z jego oczu, że wciąż jest przytomny.

— Bardzo dobrze — stwierdził z zadowoleniem. — Doświadczysz na własnej skórze, jak przebiega taka ceremonia. Przeżyjesz jazdę do krematorium, nabożeństwo, posłuchasz muzyki organowej i pieśni religijnych... Może się założymy, że to będzie psalm dwudziesty trzeci, co? Pewnie nawet usłyszysz, jak ktoś uroni kilka łez, zanim włączą silnik elektryczny i poczujesz, że suniesz w dół, tam gdzie są piece. Potem będzie już tylko brzęk otwieranych drzwiczek i... znajdziesz się w środku.

Farro-Jones uniósł wieko i jego cień przesłonił Neefowi światło. Po chwili trumna została zamknięta i ogarnęła go zupełna ciemność. Słyszał, jak Farro-Jones wkręca

w otwory śruby, jedną po drugiej. Poczuł, jak we wnętrzu skrzyni rośnie temperatura. Czuł na twarzy własny oddech odbijający się od pokrywy. Pomyślał, że zapas powietrza wkrótce się wyczerpie. Gdyby miał szczęście, straciłby przytomność, zanim spala go żywcem. Wszystko zależało od tego, czy Farro-Jones zaśrubuje wieko na dobre. Boże! Spraw, żeby tak zrobił! — pomodlił się w duchu Neef. Wolał śmierć przez uduszenie, niż w piecu krematoryjnym.

— Zostawię ci malutką szparę — usłyszał nagle głos Farro-Jonesa. — Musisz przecież doczekać wielkiej uroczystości.

Neef dostrzegł cienką smugę światła. Farro-Jones nie dokręcił do końca wszystkich śrub. Tam, gdzie były luźne, podważył wieko śrubokrętem i tak go zostawił.

Koszmar, jaki przeżywał Neef napawał go takim przerażeniem, że groziła mu utrata zmysłów. Dlaczego, na Boga, nie pozwolił, by zajęła się tym policja?! Nawet nie powiedział nikomu, dokąd się wybierał! Nikt nie wiedział, gdzie jest i nikt nigdy nie dowie się, co się z nim stało. Owszem, wybuchnie mały skandal, gdy pracownicy kostnicy odkryją, że zostało im ciało z nazwiskiem Todd, które miało zostać poddane kremacji. Ale będzie już za późno, by stwierdzić, kto znajdował się w trumnie spalonej na popiół. Usłyszał na zewnątrz jakieś poruszenie. Rozpoznał odgłos wózka do przewożenia zwłok. Farro-Jones podniósł go i opuścił, gdy umieścił ciało Todda z powrotem w chłodni.

— Już niedługo, Neef. Karawan przyjedzie za kilka minut — zabrzmiał głos Farro-Jonesa. — Moje kłopoty się skończą. Spokojnie powrócę do pracy w laboratorium. Wiesz, najpierw uważałem za okrutne zrządzenie losu to, że zaraził się wnuczek Franka MacSweena. Ale gdyby tak się nie stało, nie byłbym w stanie tak ładnie po sobie posprzątać. Kilka osób straciło wprawdzie życie, ale co to ma za znaczenie, kiedy pomyśli się o korzyściach, jakie przyniosą moje badania, gdy już uporam się ze wszystkimi problemami. Nie sądzisz, że mam rację?

Knebel w ustach uniemożliwiał Neefowi udzielenie odpowiedzi na brednie szaleńca. Środek na zwiotczenie mięśni, który wstrzyknął mu Farro-Jones przestawał działać i Neef zaczynał teraz odczuwać dotkliwy ból w zdrętwiałych i nienaturalnie wykręconych kończynach. Najbardziej dokuczały mu skurcze w łydkach.

— Czas zamknąć cię na wieki, stary — odezwał się Farro-Jones. — Będą tu lada chwila.

Smuga światła przedostająca się do trumny zniknęła, gdy wyciągnął ze szpary śrubokręt i zaczął dokręcać wieko. Jego głos był teraz przytłumiony. Nagle dały się słyszeć również inne głosy.

Przerażenie Neefa sięgnęło zenitu, gdy pomyślał, że to pracownicy zakładu pogrzebowego. Skoro zjawili się tak szybko, nie zdąży zemdleć ani się udusić! Przez cały czas będzie przytomny! Jego mózg wysyłał sygnały alarmowe do obolałych kończyn, ale nie reagowały. Nie był w stanie zwrócić na siebie uwagi ludzi na zewnątrz.

Trumna spoczywająca na stojaku zakołysała się lekko. Ktoś jej dotknął. Neef czekał na moment, kiedy go podniosą, wpatrując się w ciemność rozszerzonymi ze strachu oczami. To oczekiwanie stawało się nie do wytrzymania, ale trumna pozostała na miejscu. Neef usłyszał, że ktoś odkręca śruby mocujące wieko. Gdy wreszcie je zdjęto, zmrużył oczy osłepiony blaskiem światła. Nad nim pochylała się twarz policjanta.



Neefa podciągnięto do pozycji siedzącej. Wtedy zobaczył dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, trzymających między sobą Farro-Jonesa. Mężczyzna w cywilu wyjął mu knebel z ust.

— Jakim cudem...?! — wysapał Neef.

— Domyśliłam się — usłyszał obok głos Ewy.

Przytuliła go mocno do siebie i poczuł wielką ulgę.

— Skąd wiedziałaś, że tu jestem? — zapytał.

— Wyjrzałam przez okno, żeby pomachać na do widzenia strażakom, którzy byli w odwiedzinach u Neila. Wtedy zobaczyłam twój samochód zaparkowany przed patologią. Wóz Davida stał obok. To mnie zaniepokoiło, gdyż Ann Miles powiedziała mi, że cię nie ma. Jeśli wyjechałeś, to co robił w szpitalu twój land rover? Już miałam dzwonić na policję, gdy sami się zjawili. Szukali cię w związku z... pożarem?

— To długa historia — odparł Neef, pocierając czoło. Poczuł się nagle strasznie wyczerpany i bezsilny. Efekt zastrzyku i świadomość tego, co mogło się stać dały znać o sobie. Stracił przytomność.



Już w kilka minut po przebudzeniu się w małej sali szpitalnej, Neef wdał się w sprzeczkę z pielęgniarką. Twierdził, że czuje się świetnie i zażądał, by go natychmiast wypuszczono. Jego argumenty nie trafiły jej do przekonania, ale nie chcąc się spierać z konsultantem, wezwała lekarza dyżurnego, który przyjął Neefa na oddział.

— Kilka brzydkich siniaków na głowie i pewnie ma pan kaca po tym, co panu wstrzyknięto — oświadczył młody doktor. — Nic więcej nie stwierdzam.

— W porządku — odparł Neef. — W takim razie, wychodzę. Mam kupę roboty.

— Obawiam się, że to na razie niemożliwe, sir. Policja i jacyś ludzie z ministerstwa kazali tu pana zatrzymać, dopóki nie zostanie pan... przesłuchany. Chyba takiego słowa użyli...

— Jak długo to potrwa?

— Już ich zawiadomiliśmy, że odzyskał pan przytomność. Mam nadzieję, że nie zabierze to dużo czasu.

— Niech pan posłucha. Muszę do kogoś zadzwonić. — Neef ruszył do drzwi, ale kiedy je otworzył, ujrzał dwóch policjantów. Zamknął je z powrotem.

Młody lekarz wzruszył ramionami.

— Przykro mi... Tamci na pewno zaraz tu będą.

Miał rację. Po dziesięciu minutach zjawili się czterej mężczyźni po cywilnemu i pokazali legitymacje służbowe. Przesłuchanie trwało cztery godziny. Gdy dobiegło końca, Neef był w równym stopniu wyczerpany i wściekły.

— Czy wreszcie mogę stąd wyjść?! — zapytał.

— Niestety jeszcze nie — odparł jeden z policjantów.

— Dlaczego, do cholery?!

— Chcielibyśmy, żeby zaczekał pan tutaj, dopóki nie znajdziemy doktora Pereiry.

— Pereiry? A co do diabła, on ma z tym wspólnego?!

— Szukamy go już od pewnego czasu. Niedługo powinniśmy go znaleźć i wtedy będziemy mogli wszystko uporządkować.

Neef uznał, że nie warto się dalej kłócić. Musiał uzbroić się w cierpliwość i spokojnie czekać.



Dochodziła północ, kiedy wreszcie usłyszał za drzwiami jakieś poruszenie. Gdy otworzyły się w końcu, do sali wszedł Pereira. Neef wstał.

— Co się, u diabła, dzieje, Mike? — zapytał Max.

— Sam chciałbym to wiedzieć — odrzekł Neef, po czym opowiedział mu o po żarze i aresztowaniu Farro-Jonesa.

— Jezu! — wykrzyknął Pereira. — Ale miałeś dzień!

— Farro-Jones eksperymentował z nielicencjonowanym wirusem. W charakterze królika doświadczalnego wykorzystywał jedno z dzieci ze zwłóknieniem torbielowatym.

— Wiem o wirusie — odparł Pereira, ale nie rozwinął tego tematu.

Do sali zajrzał jeden z policjantów, który wcześniej przesłuchiwał Neefa i oznajmił, że w sali wykładowej na patologii zaraz zacznie się zebranie i obaj „są proszeni” o wzięcie w nim udziału.



Neef i Pereira podążają za nim w zupełnej ciszy. Tylko ich kroki odbijały się echem w pustych o tej porze korytarzach. Kiedy weszli do sali wykładowej, zobaczyli małe przemeblowanie. Wniesiono tu krzesła i ustawiono je wokół długiego stołu, który za-

zwyczaj stał pod tablicą i służył do demonstracji dla studentów. U szczytu stołu zasiadł Klein, mając po prawej Watersa. Pozostałe miejsca zajęło około dziesięciu przedstawicieli policji i Ministerstwa Zdrowia. Pereirę i Neefa posadzono na drugim krańcu stołu na wprost Kleina.

Klein powitał ich, po czym rzekł:

— Panowie, wszystkim nam przykro z powodu tego, co zaszło w ciągu, ostatnich dwudziestu czterech godzin. Chyba wyrażę opinię tu obecnych, jeśli powiem, że powinniśmy zrobić co w naszej mocy, by zminimalizować skutki zdarzeń, jakie miały ostatnio miejsce.

Neef i Pereira wymienili spojrzenia.

— Ale bez względu na to, jak straszne były to wydarzenia, zwłaszcza dla doktora Neefa, musimy zachować właściwe proporcje, więc najpierw dla równowagi podam dobrą wiadomość. Zahamowaliśmy rozprzestrzenianie się epidemii raka. Nie zanotowaliśmy nowych przypadków zachorowań wśród osób stykających się z pierwszymi ofiarami. Wprawdzie nadal trzymamy te osoby w izolacji, ale myślę, że za tydzień znieśliśmy wobec nich wszelkie ograniczenia i ogłosimy koniec tej plagi.

— To bardzo dobrze — odezwał się ktoś z Wydziału Zdrowia.

— Jestem pewien, że wszyscy z ulgą powitamy powrót do normalności. Pozostaje tylko pytanie, jak najszybciej i najbardziej bezboleśnie przejść nad tym do porządku dziennego, aby nikt nie poniósł szkody.

Neef i Pereira znów spojrzeli na siebie.

— Chodzi mi o to, panowie, by ograniczyć szkodliwe skutki tej całej sprawy — wyjaśnił Klein. — Zapewne zgodzicie się ze mną, że nie ma sensu niepotrzebnie jej przedłużać, ciągnąc dalej dochodzenia, sporządzając raporty i podtrzymując zainteresowanie prasy. Nie przyniesie to nikomu korzyści i tylko nadal będzie alarmować opinię publiczną.

Zgiń, przepadnij, koszmarze, jakbyś nigdy nie istniał — pomyślał Neef. Znów nam każą trzymać gębę na kłódkę. Rzucił okiem na Pereirę i odniósł wrażenie, że Max doszedł do tego samego wniosku.

— Szczerze mówiąc, to właśnie obu panów proszę o współpracę — zwrócił się do nich Klein.

— Co konkretnie pan proponuje? — spytał Neef.

— Jeśli panowie pójdziecie nam na rękę i zachowacie milczenie, powstrzymamy się do prowadzenia dalszego postępowania przeciwko Menogenowi.

— Co?! — wybuchnął Pereira. — Przecież pan dobrze wie, do jasnej cholery, że Menogen nie miał z tym nic wspólnego!

— Oczywiście! — poparł go oburzony Neef. — Jedynym winnym jest Farro-Jones i jego zbyt wygórowane ambicje.

— Niestety, doktora Farro-Jonesa nie ma wśród nas, więc nie może się bronić — odrzekł Klein.

— Tylko dlatego, że siedzi w policyjnym areszcie! — wypalił Neef.

— Jak rozumiem, doktor Farro-Jones przeszedł rodzaj załamania nerwowego. Został przewieziony do zamkniętego szpitala psychiatrycznego. Może minąć trochę czasu, zanim będziemy mieli okazję przesłuchać go, choć oczywiście zgadzamy się z panem, że był zaangażowany w nielegalne eksperymenty na Susan Drobini — powiedział Klein. — To wysoce naganne i godne pożałowania postępowanie, lecz nie ma dowodu, iż te doświadczenia stały się przyczyną zgonów na raka.

— Jezus Maria! — jęknął Pereira.

— Susan Drobina to ogniwo łączące Melanie Simpson i Jane Lees — wyjaśnił Neef poirytowanym tonem. — Obie ją odwiedzały.

— Ale nie ma dowodu, że Susan Drobina naprawdę zmarła na raka płuc — odparł Klein.

— Bo Farro-Jonesa krył patolog Eddie Miller.

— Wspomniany przez pana patolog niestety nie żyje — skrzywił się niechętnie Klein. — I muszę panu przypomnieć, że jeszcze nie znaleziono wirusa odpowiedzialnego za zgony. Nadal uważamy za najbardziej prawdopodobne, że z terenu Menogenu Research wy dostał się nie zidentyfikowany czynnik zakaźny. Jesteśmy gotowi zgodzić się z tym, że w żadnym wypadku nie była to wina personelu firmy, nikt niczego nie zaniedbał i nie mógł przewidzieć. Traktujemy to jako odosobniony przypadek, za który nikt z Menogenu nie ponosi odpowiedzialności. Dlatego możemy odstąpić od prowadzenia dalszego dochodzenia w zamian za pozyskanie panów do współpracy.

Neef ledwo mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Zastanawiał się, czy Klein jest naprawdę taki tępy, czy tylko udaje.

— Nie zgadzam się — powiedział spokojnie Pereira.

Wywołało to o wiele większy efekt, niż gdyby się wściekał. Neef miał niejasne przeżucie, że Max chowa coś w zanadrzu. Kilku mężczyzn poruszyło się niespokojnie na krzesłach. Najbardziej zbity z tropu wydawał się Klein.

— Przykro mi... — powiedział — ale w takim razie nie zostawia mi pan wyboru...

— Pan wie, prawda? — przerwał mu Pereira wpatrując się w Watersa, który jeszcze ani razu nie zabrał głosu.

Teraz jego skrzywione usta zadrżały lekko.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— Ależ rozumie pan. Doskonale pan rozumie — odparł Pereira. — Jest pan wirusologiem, jak ja. I to dobrym, bo inaczej nie pracowałby pan w tej „fabryce zabawek” w Porton.

— Może przeszedłby pan do rzeczy, doktorze Pereira — wtrącił się Klein.

Neef zauważył, że Klein jest poważnie zaniepokojony i z zadowoleniem pomyślał, że Pereira musi mieć w rękawie jakiegoś asa.

Pereira wciąż patrzył na Watersa.

— Widział pan raporty wirusologiczne, tak jak ja. Zabrał pan ciało Charlie'ego Morse'a, żeby przeprowadzić własne śledztwo. Tylko nie wiedział pan, że ja mam próbki pobrane z płuc Douglasa Coopera.

Waters i Klein wymienili spojrzenia. Najwyraźniej nie była to dla nich pomyślna wiadomość. Klein przełknął ślinę.

— Co pan sugeruje? — zapytał ostrożnie, jakby bał się usłyszeć odpowiedź.

— Zaraz to wyjaśnię — odpowiedział Pereira. — Rutynowe raporty wirusologiczne, dotyczące zmarłych pacjentów wymieniały obecność rhinowirusa, adenowirusa i paraadenowirusa, czyli wszystkich wirusów jakie można spotkać u chorych na zapalenie płuc. Ale właśnie paraadenowirus zwrócił moją uwagę. To nie był zwyczajny, typowy przykład tego rodzaju wirusa, jak okazało się po wnikliwych analizach, które zdołałem przeprowadzić, dysponując niewielką ilością czasu. Stało się dla mnie oczywiste, że został on zmodyfikowany, by posłużyć jako wektor przy terapii genowej. Laboranci szukający w swoim czasie nowego wirusa nie uświadomili sobie tego. Myślę, że Farro-Jones stworzył na bazie paraadenowirusa wektor wirusowy, mogący przenieść gen ZT do komórek pacjentów ze zwłóknieniem torbielowatym, by zintegrował się z ich chromosomami. Ale sądzę, że to mu nie wystarczało. Chciał pójść o krok dalej i wyznaczył wektorowi specyficzny cel — określone miejsce w DNA. Na nieszczęście, trafiony cel okazał się proto-onkogenem. Gdy wirus się zintegrował, spowodował to, że wytworzyła się komórka rakowa. Gdzieś po drodze zdarzyło się drugie nieszczęście, gdyż unieszkodliwiony wirus ponownie się uaktywnił. Krótko mówiąc, stworzył wirusa, który zamienił raka płuc w chorobę zakaźną.

— Oto dlaczego było to tak niebezpieczne — odezwał się Neef. — Gdyby bazował na zwyczajnym wirusie, jak adenowirus, większość z nas miałaby na to antyciała.

— Zależnie od tego, kiedy ostatni raz miało się katar albo grypę — dodał Pereira.

— Ale niektórzy z nas nie mieliby ich — uzupełnił Neef.

— Przypuszczalnie właśnie dlatego nasz przyjaciel z Porton Down tak się tym interesuje — podsumował Pereira. — A jednocześnie właśnie dlatego ci faceci tak zawzięcie udają, że tego wirusa w ogóle nie ma.

— Jeśli to, co pan powiedział jest prawdą, doktorze Pereira... — zabrał w końcu głos Klein — to stanowczo nalegamy, by natychmiast przekazał nam pan tego wydzielonego wirusa.

— Menogen Research nie używa paraadenowirusów jako wektorów — odparł wyzywająco Pereira. — I nigdy nie używał.

Klein odchrząknął.

— Sądzę, że w świetle tej... rewelacji możemy uznać, iż Menogen w żaden sposób nie ponosi winy za tę epidemię.

Pereira nie spuszczał z niego oka, więc dodał:

— I może należałoby przyznać, że zbyt pochopnie cofnęliśmy wam licencję...

Pereira nadal się w niego wpatrywał.

— Straciliśmy kupę forsy.

— Więc trzeba również pomyśleć o rekompensacie finansowej za poniesione straty — skapitulował Klein.

— W porządku — westchnął Pereira. — Nareszcie zaczęliśmy ze sobą rozmawiać jak ludzie. A teraz... Rzeczywiście chcecie, żebym przekazał wam tego wirusa? Przecież już go macie w Porton. Może po prostu wrzucę go do sterylizatora?

— Chcemy go mieć — odparł Klein, ale nie zamierzał potwierdzać prawdziwości słów Pereiry. — Ktoś z tego grona uda się z panem, kiedy zakończymy nasze spotkanie.

— Jak pan sobie życzy... — Pereira wzruszył ramionami. — A nasza licencja?

— Rano otrzymacie ją z powrotem.

— Wraz z oświadczeniem dla prasy oczyszczającym nas z wszelkich zarzutów?

— Tak — odpowiedział Klein, niemal nie otwierając ust. — Żadnego innego oświadczenia nie będzie — dodał chłodno.

Ton głosu Kleina nie podobał się Neefowi. Wyczuł w nim jakąś groźbę i wolał nie sprawdzać, jaka to groźba. Pereira wyraźnie przeciągał strunę. Znow miał zamiar coś powiedzieć, ale Neef go ubiegł.

— Doktor Pereira i ja jesteśmy ostatnimi ludźmi na świecie, którym zależało by na podnoszeniu niepotrzebnego alarmu i straszeniu opinii publicznej. Może pan być pewien, że zachowamy absolutne milczenie.

— To bardzo dobrze — odrzekł Klein. — Najważniejszy jest spokój społeczny.



Gdy wyszli z sali, Pereira zapalił papierosa i zaciągnął się mocno.

— Dobrze się spisałeś tam w środku — pochwalił go Neef.

W pobliżu czekali już dwaj oficerowie policji, by udać się z Pereira do laboratorium po wirusa.

— Musiałem — odparł Max. — Nie sądzisz?

— Owszem — przyznał w zamyśleniu Neef. — Wiesz, kiedy się poznaliśmy, uważałem cię za skończonego cynika. Ale byłem w błędzie. Przepraszam.

Pereira uśmiechnął się.

— Kiedy się poznaliśmy, nie wierzyłem, że istnieje ktoś taki jak lekarz naprawdę oddany swojej pracy i stawiający na pierwszym miejscu dobro pacjentów. Też byłem w błędzie i również przepraszam.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Neef patrzył, jak Pereira oddala się w towarzystwie policjantów. Potem ziewnął i poszedł na swój oddział.

Wszędzie włączone było tylko nocne oświetlenie. Zastał Fieldinga pochłoniętego nadrabianiem zaległości w papierkowej robocie. Pracował w świetle biurowej lampy.

— Cześć. Jak leci? — powitał go Neef znużonym głosem.

— Wyglądasz, jakbyś wrócił z wojny — odrzekł Fielding patrząc na ślad po ciosie żelazkiem widniejący na głowie Neefa.

— Można tak powiedzieć — zgodził się Neef. — Ale nic więcej nie mogę wyjaśnić.

Fielding ze zrozumieniem skinął głową.

— Domyślałem się, że coś się dzieje. Czy słusznie przypuszczam, że problem zachorowań na raka został rozwiązany?

— Całkiem słusznie — przyznał Neef.

— No cóż... To chyba najważniejsze.

— Tak. A co z Neilem?

— Dobrze. Na listę znanych nam terapii będziemy musieli wpisać odwiedziny brygady straży pożarnej. Ich wizyta szalenie mu pomogła. Na nowo uchwycił się życia.

— To świetnie. A jak miewa się ta czwórka, którą powtórnie poddaliśmy terapii genowej? Żadnych niepokojących objawów?

— Nie. W tej chwili wszystko w porządku. Na pewno bez problemu przebrnie przez okres oczekiwania na leczenie gancyclovirem.

Neef z zadowoleniem pokiwał głową.

— Masz dla mnie coś jeszcze?

— Johnowi Martinowi naprawdę dobrze służy antivulon — odrzekł Fielding. — Myślę, że będziemy mogli zwiększyć dawkę.

— Wspaniale. Stosując konwencjonalną metodę leczenia pewnie już byśmy go stracili.

— Na razie wszystkie sprawy układają się pomyślnie — zapewnił Fielding.

— I czego tu więcej wymagać? — ucieszył się Neef. — Ale jak to mówią, jutro też jest dzień. Widziałaś Ewę?

— Poszła do domu około dziesiątej. Prosiła, żebyś do niej zadzwonił. Martwiła się o ciebie.

— Zadzwonię.

Neef poszedł do swojego gabinetu i zatelefonował do Ewy.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknęła słysząc jego głos. — Nikt nie chciał mi nic powiedzieć, z wyjątkiem tego, że „pomagasz policji w prowadzeniu dochodzenia”.

- Już jestem wolny. Dzwonię z oddziału.
- Możesz do mnie przyjechać?
- Już jadę.



Neef długo trzymał Ewę w ramionach. Tak dobrze było dotykać jej ciała, czuć zapach perfum i miękkość włosów na policzku.

— Twoja biedna twarz... — Ewa dotknęła jego posiniaczonego czoła.

— To drobiazg. Zawdzięczam ci życie.

— Ale pewnie nie możesz mi nic powiedzieć, prawda? — Ewa wyczuła lekkie skrępowanie Neefa.

— Max i ja musieliśmy obiecać, że będziemy milczeć, ale i tak znasz większość faktów. Boże! Błagam cię, żebym już nigdy z życia nie przeżył podobnego dnia! — westchnął z przejęciem Neef.

— Widziałeś się z Neilem?

— Przed wyjściem z oddziału. Lawrence powiedział mi, że przetrzymał kryzys dzięki tobie i straży pożarnej.

Ewa uśmiechnęła się kiwając potakująco głową.

— Strażacy to był wielki sukces. Jak teraz oceniasz jego szansę?

— Wszystko zależy od skuteczności wektora Menogenu — wyjaśnił Neef. — Ale myślę, że są duże szanse, że zadziała. Pojutrze zaczniemy podawać Neilowi gancyclovir i... jestem optymistą.

— Musisz nim być — przypomniała mu Ewa.

— Poza tym...

— Oddałabym wszystko za następny taki piknik, jaki mieliśmy we trójkę przy starym młynie.

Neef przytulił ją mocniej.

— Tak sobie myślę... — zaczął. — Jeśli Neil wyjdzie z tego, nadal będzie potrzebował miłości i opieki, najlepiej w prawdziwej rodzinie. I tak sobie myślę, że ty i ja...

— Tak...?

— No wiesz. Może moglibyśmy...

— Co?

— No wiesz...

— To mi nie wystarczy Neef.

— No dobrze — Neef ujął Ewę za rękę. — To prawda, że kiedy się poznaliśmy, nadal kochałem moją żonę Elaine.

— Twoją żonę? — zdziwiła się Ewa.

— Moją zmarłą żonę — poprawił się Neef. — Elaine nie żyje. Odeszła. Nigdy jej nie zapomnę. Ani jej, ani tego, co razem przeżyliśmy. Ale to już przeszłość. Ja zaś żyję nadal i bardzo cię kocham. Nie wyobrażam sobie przyszłości bez ciebie. Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, gdybyś została moją żoną. — Neef uniósł dłonie Ewy do ust i obie ucałował. — Co ty na to?

Uśmiechnęła się.

— Odpowiem ci, tak.

Ken McClure pragnie podziękować wielu przyjaciołom i kolegom naukowcom i lekarzom za pomoc w stworzeniu tła tej książki. Szczególne podziękowania należą się doktorom Susan i Gordonowi Dewar oraz Heather Davidson. Wreszcie, co nie mniej ważne, chce zapewnić Dolly, która jest jedyna w swoim rodzaju, o swej nieustającej miłości.

SPIS TREŚCI

1	4
2	20
3	30
4	43
5	56
6	69
7	83
8	97
9	111
10	125
11	139
12	153
13	167
14	183
15	201
16	217
17	231
18	245